

James Herbert  
KSIĘŻYC

Tytuł oryginału MOON

Kiedyś

Chłopiec przestał płakać.

Leżał z zamkniętymi oczami na wąskim łóżku. Jego twarz wyglądała w świetle księżyca jak alabastrowa maska. Co chwila jego ciałem targał spazmatyczny dreszcz-

Palce chłopca kurczowo zacisnęły się na kołdrze i podciągnęły ją wysoko pod brodę. Czuł straszny, przytłaczający ciężar, jak gdyby krew w jego żyłach zamieniła się w ciekły ołów. Tajemnicza ociężałość pojawiła się na skutek doznanej straty, czyniąc go osłabionym i wyczerpanym.

Chłopiec leżał tak już od dłuższego czasu — nie miał pojęcia jak długo, gdyż trzy ostatnie dni stanowiły dla niego wieczność — lecz ojciec zakazał mu ruszać się z łóżka. Więc leżał tak, wciąż rozpamiętując utratę bliskiej osoby, przerażony nie znaną mu dotąd samotnością.

Aż nagle coś zmusiło go do otwarcia zaczerwienionych od łez oczu.

Przy łóżku stała kobieca postać i uśmiechała się do niego. Poczul emanujące od niej ciepło i bolesne zatroskanie. Lecz to przecież niemożliwe. Ojciec powiedział mu, że to niemożliwe.

— To... niemożliwe... — powiedział drżącym dzieciennym głosem, który zabrzmiał złowrogo w mroku nocy. — On... mówi... że to... nie możesz... być...

Uczucie żalu i ból po stracie najbliższej osoby powróciły, gdyż teraz przepelniały także kobiecą postać.

I wtedy chłopiec, jakby poruszony nagłym odkryciem, zaczął rozglądać się po pokoju, gdyż poczul czyjąś obecność. Poczul, że

jeszcze ktoś przygląda mu się z ciemnego kąta pokoju, ktoś, kogo nie mógł dojrzeć. Wrażenie to opuściło go z chwilą, gdy usłyszał odgłos kroków na korytarzu. W oczach chłopca po raz pierwszy zagościł strach. Kobieca postać zniknęła.

W drzwiach pojawił się cień mężczyzny.

Do sypialni wtoczył się ojciec chłopca, jak zwykle cuchnący alkoholem i będący w gniewnym nastroju.

— Przecież mówiłem ci — powiedział mężczyzna, a w jego szorstkich słowach znać było wściekłość zmieszaną z poczuciem winy. — Dość tego! Dość już tego... — Podniósł zaciśniętą pięść, podchodząc do łóżka chłopca, który skulił się pod kołdrą.

Za oknem księżyc w pełni rysował się ostro i czysto na tle głębokiej czerni nocnego nieba.

Nie żyła.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą gościła paniczna trwoga, była już tylko pustka.

Jej oczy stały się martwe. Były takie jak u mrożonej ryby leżącej na kuchennej desce.

Jej ciało umilkło, wydawszy ostatni przedśmiertny, zduszony krzyk, który przerodził się w westchnienie. Wyrazpanicznegolęku zniknął z twarzy.

Palce ofiary wciąż kurczowo zaciskały się na ciele oprawcy. Zakrzywiony kciuk wczepiony był w usta, jak gdyby kobieta zamierzała wyrwać uśmiech z pochylonej nad nią twarzy.

Oprawca podniósł się, zwalnając uścisk na szyi zamordowanej. Jego oddech był zaledwie lekko przyspieszony z wysiłku, choć kobieta długo walczyła o życie.

Wyjął kciuk ofiary ze swoich ust, wykrzywionych w pogardliwym uśmiechu, a ręka martwej kobiety opadła bezwładnie na nagie ciało.

Oprawca na chwilę zastygł w bezruchu, przyglądając się ofierze z uśmiechem, który nie opuszczał jego twarzy.

Złapał martwą kobietę za nadgarstki i uniósł jej ręce, dotykając zeszywniałymi palcami swojej własnej twarzy i szyi, kusząc je do zemsty, lecz jednocześnie naigrawając się z ich niemocy. Z ust oprawcy dobiegł niski gardłowy chichot.

Kształt ludzki przesunął dłonie po swoim nagim ciele, dotykając i pieszcząc wszystkiego zakamarki. Delikatny dotyk wywołał kolejne doznania.

Na chwilę zajął się z wolna stygnącymi zwłokami kobiety.

Po pewnym czasie ciemna sylwetka oprawcy podniosła się z łóżka. Jego skórę pokrywały kropelki potu. Tajemnicza postać jeszcze nie zdołała się nasycić.

Zimny deszcz, niesiony nagłym porywem wiatru, chłostał szyby okienne, jak gdyby w proteście przeciwko tym okropnościom. Wypłowiła zasłony, broniące dopływu światła dziennego, tłumili dźwięki.

W rogu obskurnego pokoju leżała na podłodze torba, która teraz została otwarta. Wyjęto z niej czarne zawiniątko. Rozpakowano je na łóżku w pobliżu zwłok. Pojawił się błysk metalowych narzędzi, dostrzegalny nawet w półmroku. Postać podnosiła każde z nich do oczu, po czym wybrała jedno z nich.

Ciało ofiary zostało rozcięte od mostka do spojenia łonowego, a następnie od biodra do biodra. Z głębokiego nacięcia w kształcie krzyża natychmiast zaczęła sączyć się krew.

Fałdy skóry zostały rozdzielone na boki, a zakrwawione ręce zanurzyły się we wnętrznościach.

Poszczególne organy wewnętrzne zostały wydobyte i ułożone na łóżku, gdzie połyskiwały, lekko parując. Serce, po które sięgnięto na końcu, zostało wyrwane z klatki piersiowej i rzucone na stertę wnętrzności. Ześliznęło się i spadło na podłogę. Duszący odór wypełnił pokój.

Puste miejsce w ciele ofiary zostało wkrótce wypełnione. Postać przemierzała pokój w poszukiwaniu drobnych przedmiotów, lecz dopiero po wykorzystaniu wnętrzności martwej kobiety. Wreszcie zadowolona, sięgnęła do leżącego na łóżku czarnego zawiniątko, skąd wyjęła igłę i nici. Zaczęła zszywać rozcięte płaty ciała nierównym ściegiem, uśmiechając się nieprzerwanie. Uśmiech przekształcił się w szeroki grymas zadowolenia, kiedy oprawca pomyślał o ostatnim przedmiocie włożonym do wnętrza zwłok.

Był całkowicie odprężony. Wolno przepływał ponad skałkami o zielonkawym odcieniu, dzięki przymocowanym do stóp płetwom, używając rąk jedynie po to, by zmienić kierunek. Uważał, żeby nie zaczepić o ostre krawędzie i nie rozciąć skóry. Pracował nogami wolno i z gracją, a niezbyt twarde płetwy pozwalały mu łatwo pokonywać podwodne prądy.

Morskie rośliny falowały, tworząc upiorne kształty, a przerażone ryby gwałtownie czmychały na jego widok. Promienie światła dziennego docierały tu rozproszone, wskutek czego dno morskie wyglądało bardzo tajemniczo. Childes słyszał wyłącznie swój oddech i przytłumione echa własnych ruchów.

Nagle uwagę jego przykuł jakiś ruch w piasku, więc ostrożnie zbliżył się do skalnej krawędzi, po czym niepewnie się zatrzymał.

Ujrzał rozgwiadzę, która, przyczepiwszy się do jakiegoś mięczaka i przygwoździwszy go do dna morskiego, powoli rozwierała odnózkami połówki muszli. Rozgwiadza pracowała cierpliwie, na zmianę używając pięciu kończyn, by zmęczyć ofiarę. Zdecydowanie powiększała szczelinę pomiędzy bliźniaczymi częściami muszli, tak aby odsłonić delikatne, bezbronne ciało mięczaka. Childes przyglądał się z perwersyjnym zaciekawieniem, lecz nie bez uczucia lekkiego obrzydzenia, jak w końcu podwodny myśliwy w charakterystyczny dla siebie sposób wysunął żołądek i zatopił go we wnętrzu muszli mięczaka, żeby wyssać ciało ofiary.

Drobne poruszenie pomiędzy rozpadlinami skalnymi na powierzchni dna odwróciło uwagę Childesa od rozgwiadzy. Zaciekawiony, zaczął uważniej przyglądać się skamieniałym formom rafy, aż ponownie dostrzegł niewielki ruch. Był to krab pająkowaty o pancerzu i szczypcach porośniętych zielonymi algami, stanowiącymi znakomity naturalny kamuflaż w tutejszych wodach. Gdy na chwilę znowu znieruchomiał, stał się prawie niewidoczny.

Childes ruszył śladem kraba, który podjął przerwana wędrówkę. Zaskakiwała go żwawość małego stworzenia, które przez szkło maski do nurkowania wydawało się znacznie większe niż w rzeczywistości. Krab pająkowaty zatrzymał się, tak jakby nagle uświadomił sobie, że jest obserwowany. Nurek wysunął palec w kierunku stworzenia, żeby zbadać jego reakcję.

Uśmiechnął się na widok nagłego, panicznego odwrotu małego kraba, lecz prawie natychmiast uśmiech zniknął z twarzy Childesa, który poczuł, że zaczyna mu brakować tlenu. Bez pośpiechu zaczął przygotowywać się do wypłynięcia na powierzchnię.

Widzenie pojawiło się niespodziewanie, takjak we wszystkich poprzednich przypadkach. Było zamglone i nieostre, ponieważ jawiło się w jego umyśle, a nie było postrzegalne wzrokiem. Stanowiło mieszaninę barw, zapachów i kształtów. Poczul mrowienie na rękach. Ujrzał coś podłużnego, poskręcane go, wilgotnego i błyszczącego czerwienią, a po chwili połyskujące metalowe ostrze tnące delikatną powierzchnię. Pojawiła się krew. Pływał we krwi. Poczul falę nudności i zachłysnął się morską wodą.

Jego ciałem targnęły bolesne konwulsje i zakrztusił się własną żółcią zmieszana z słońą wodą, która wdzierala się do gardła. Ustnik przewodu z tlenem odskoczył od warg i kolejna porcja wody zalala usta. Childes wydał z siebie mimowolny, zduszony krzyk, który pod wodą stał się zaledwie skrzekliwym bulgotem, i rozpaczliwie odbił się nogami od dna, by wydostać się na powierzchnię. Uciekające pęcherzyki powietrza wzmagaly jego panike. Skapana w słońcu powierzchnia morza wydawala się bardzo odległa.

Kolejna wizja wdarła się do umysłu Childesa. Dłonie, wielkie okrutne palce poruszające się w miarowym rytmie. Nieslychana, absurdalna wizja, Palce, trzymające igłę z nicią, szyły.

Ciałem Childesa targnął kolejny konwulsyjny wstrząs. Instynktownie próbował zamknąć usta, lecz bez powodzenia. Wciaż lylal słońą wodę, którą tloczylo morze. Czul, jak słabną jego zmysly, więdną ramiona i nogi. Tak szybko, pomyslal. Ostrzegano go, ze śmierć przez utonięcie może być szybka. Paradoksalnie był świadom, że do maski wciaż przytwierdzony jest ustnik przewodu tlenowego w kształcie litery J. Walczył coraz słabiej i czul, że daje się ponieść wodzie. Wiedzial, że tonie.

Nagle poczul dotyk szczupłej ręki mocno ujmującej go pod ramię. Powoli, lecz miarowo zaczął się unosić. Próbował ze swej strony wykazać odrobinę energii, ale przezroczystry płaszcz niemocy otulal go coraz szczelniej.

Zetknięcie z powierzchnią wody stało się kolejnym szokiem. Życie powróciło doń w nagły i bolesny sposób.

Piersią i żołądkiem targały paroksyzmy. Krztusił się i prycał, plul wodą i żółcią. Groziło, że znowu pójdzie pod wodę wraz ze swoim wybawcą. Z trudem docieral do niego uspokajający głos, nie potrafil jednak rozróżnić poszczególnych słów. Zmusil się, by rozluźnić mięśnie i nakazal płucom bardziej miarowe oddychanie, wciaż dławiąc się i krztusząc resztkami wody i żółci.

Płynęła na plecach i holowala go do brzegu, wciaż mocno trzymając za ramiona. Dzięki płetwom łatwo pokonywali opór niewielkich fal. Childes nadal oddychal z niemałym trudem, lecz wkrótce czul się na siłach, by pomóc jej nieco, dostosowując pracę nóg do jej rytmu.

Dotarli do płycizny i dziewczyna postawila go na nogi. Zdjęła z jego twarzy maskę i objęła jego zwieszona ramiona, klepiąc go po plecach, kiedy ponownie zakrztusił się resztkami wody. Na jej twarzy malowalo się zatroskanie. Uklękła, by zdjąć jego i swoje płetwy. Ramiona Childesa wciaż spazmatycznie unosily się pod wpływem wysilku, jaki nadal sprawialo mu oddychanie. Stał pochylony z dłońmi wspartymi na kolanach i po chwili zaczął drzeć na całym cieie. Dziewczyna czekala cierpliwie z maską do nurkowania podniesiona na czoło, a jasne włosy, teraz ciemniejsze, bo mokre, opadaly jej pasemkami na ramiona. Milczala, zdajac sobie sprawę, że jeszcze za wczesnie na rozmowę.

W końcu pierwszy odezwal się Childes.

— Amy... — wykrztusił.

— Juz wszystko w porzadku. Chodźmy na brzeg.

Wyszli z wody, oboje lekko się zataczajac i nawzajem podtrzymujac. Childes osunal się na kamienistą plażę, czujac ulgę, szok i mdłości — wszystko naraz. Usiadła obok niego, odgarniając włosy z jego twarzy i delikatnie masujac mu plecy.

Byli sami w malej zatoczce, która odstraszała plażowiczów trudnym dojściem przez strome skaliste zbocze i chłodnym południowo-wschodnim wiatrem. Bujna roślinność porastala szczyt klifowego wybrzeża i przelewala się w dół zbocza, aż do granicy litej skały u samego podnóża.

Wczesnomajowe kwiaty, rozrzucone na zielonej części skarpy, łamaly jej monotonię błękitem, bielą i żółcią. Opodal cicho szumial malutki wodospad, który zygzakiem obmywal występy skalne, by w końcu dotrzeć do morza. W pewnej odległości znajdowal się pomost, do którego przycumowane

były małe łodzie rybackie kołyszące się na powierzchni wody. Ich liny cumownicze wyglądały z daleka jak sieć z szarych nici. Do przystani można było dostać się wąską ścieżką wśród wielkich kamieni, które zarazem oddzielały przystań od plaży. Dziewczyna zauważyła na przystani kilka osób, które patrzyły w ich stronę, prawdopodobnie zaniepokojone zdarzeniem. Dała im znak ręką, że wszystko w porządku.

Childes podniósł się, po czym ponownie usiadł ze zwieszoną głową, obejmując rękoma kolana.

— Przestraszyłeś mnie. Jon — powiedziała dziewczyna, klękając przed nim.

Spojrzał na nią z pobladłą twarzą. Przetarł dłonią oczy, jak gdyby pragnął zetrzeć wspomnienie.

— Dzięki, że mnie wyciągnęłaś — powiedział w końcu. Pochyliła się i pocałowała go w policzek, a potem w ramię. W jej oczach widać było zaciekawienie.

— Co się właściwie stało?

Jego ciałem wstrząsnął kolejny dreszcz i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak mu zimno.

— Przyniosę koc — powiedziała, wstając.

Nie zwracając uwagi na ostre kamienie, podeszła boso do miejsca, gdzie na płaskim kamieniu leżały ich ubrania i torby. Childes przyglądał się jej smukłej sylwetce, gdy wyciągała koc z torby, i cieszył się z jej obecności — nie tylko dlatego, że wyciągnęła go z morza, ale po prostu dlatego, że jest z nim. Przerzucił wzrok na powierzchnię morza i zauważył na horyzoncie pasmo ciemniejących chmur, zapowiedź burzy.

Zamknął oczy i poczuł smak soli w gardle. Spuścił głowę i jęknął cicho.

Dlaczego teraz, po tak długim czasie?

Poczuł na ramionach dotyk szorstkiego koca i podniósł głowę.

— Wypij — powiedziała Amy, podsuwając mu pod nos płaską srebrną flaszkę.

Brandy częściowo splukala smak soli i wywołała kojące ciepło w przełyku i żołądku. Podniósł rękę, tak aby dziewczyna mogła usiąść obok niego pod kocem.

— Już dobrze? — spytała, przysuwając się blisko. Przytaknął ruchem głowy, lecz drzenie wciąż nie ustępowało.

— Przyniosłam ci okulary.

Wziął od niej szkła i założył. Świat stał się wyraźniejszy i przez to jakby bardziej realny. Kiedy odezwał się, głos mu drżał:

— To się znowu zaczęło — powiedział

— Jutro? — zapytał.

Amy pokręciła przecząco głową.

— Tato ma gości przez cały dzień — westchnęła z rezygnacją. — Mam służbę.

— Interesy?

— Aha. Potencjalni inwestorzy z Lyonu. Zaprosił ich na cały weekend, ale dzięki Bogu mogą przyjechać tylko na niedzielę. Wracają samolotem w poniedziałek po południu, po wizycie w przedsiębiorstwie. Jest rozczarowany, bo sądził, że będzie mógł pokazać im wyspę.

Paul Sebire, ojciec Amy, był prezesem Jacarte International, wpływowej finansowej firmy inwestycyjnej z siedzibą na wyspie, gdzie system podatkowy był łagodniejszy niż w kraju macierzystym i na kontynencie. Choć wyspa znajdowała się w strefie wpływów brytyjskich, to jednak duchowo bliższa była Francji.

— Szkoda — powiedział Childes, wsiadając do samochodu.

— Przykro mi, Jon. — Nachyliła się, by go pocałować. Jej włosy, teraz związane w koński ogon, łaskotały go przyjemnie w pierś.

Oddał jej pocałunek, rozkoszując się zapachem morza w jej włosach i smakiem soli na ustach.

— Czy on nigdy nie wypoczywa? — spytał.

— Właśnie to stanowi dla niego wypoczynek. Mogłabym załatwić ci zaproszenie, ale nie sądzę, żebyś się dobrze czuł w tym towarzystwie.

— Znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że to prawda. — Zapuścił silnik. — Pozdrów ojca ode mnie. Zrobiła nachmurzoną minę.

— Wątpię, czy on zrewanżuje się tym samym. Jon, powiedz, co się właściwie stało...

— Dziękuję, że mnie wyciągnęłaś.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi.

— Co zobaczyłem? Skinęła głową.

— Dawno mi się to już nie zdarzyło.

Patrzył przed siebie w zamyśleniu. Po chwili dopowiedział:

— Tak naprawdę, nigdy nie wierzyłem, że to się skończyło.

— Ale to przecież już prawie trzy lata. Dlaczego miałyby się powtórzyć?

Childes wzruszył ramionami.

— Może to fałszywy alarm i to już się nie powtórzy. Na pewno tylko wyobraźnia płata mi figle. —

Zamknął oczy. Wiedział, że to nieprawda, ale nie czuł się jeszcze na siłach, by o tym rozmawiać.

Wychylił się z samochodu i pogłaskał ją po szyi.

— Hej, przestań się tym trapić. Baw się jutro dobrze i do zobaczenia w szkole w poniedziałek.

Wtedy porozmawiamy.

Amy sięgnęła na tylne siedzenie po torbę, a Childes pomógł jej ją podnieść.

— Zadzwońisz do mnie wieczorem? — spytała.

— Wydawało mi się, że będziesz zajęta poprawianiem prac semestralnych.

— Nie mam zbyt wielkiego wyboru, gdyż czeka mnie masa roboty z gośćmi ojca w niedzielę. Ale na pewno będę mogła pozwolić sobie na małą przerwę.

Zmusił się do żartobliwego tonu:

— Okay, pani psorko. Niech pani tylko nie będzie zbyt surowa dla dzieciaków.

— To zależy od tego, co napisały. Nie wiem, co jest trudniejsze: uczenie ich francuskiego czy porządnej angielszczyzny. Tobie dużo łatwiej. Twoje komputery same poprawiają błędy uczniów.

Westchnął i uśmiechnął się. — Chciałbym, żeby to było takie proste. — Pocałował ją jeszcze raz w policzek, zanim się wyprostowała. Pierwsze krople deszczu pojawiły się na przedniej szybie wozu.

— Uważaj na siebie, Jon — powiedziała i widać było, że pragnie coś dodać, lecz powstrzymuje ją jego rezerwa. Wiele czasu zabrało jej poznanie Childesa i nawet teraz zdawała sobie sprawę, że jest w jego psychice sfera — mroczna — do której nigdy nie zdoła dotrzeć. Zastanawiała się, czyjego była żona tego próbowała.

Amy patrzyła na oddalającego się czarnego minimorrisa i zmarszczywszy brwi, pokiwała ręką na pożegnanie. Odwróciła się i weszła przez okazałą bramę, po czym przyśpieszyła kroku na zwirowym podjeździe, by dotrzeć do domu, zanim rozpada się na dobre.

Childes po krótkiej jeździe skręcił w wąską drogę, jedną z tych, które, niczym system naczyń krwionośnych, oplatały siecią całą wyspę. Czasami zwalniał i zjeżdżał na samą krawędź drogi, wzdłuż której ciągnęły się wysokie żywopłoty. Przepuszczał nadjeżdżające z przeciwka pojazdy, których kierowcy zmuszeni byli stosować ten sam manewr. Mocno zaciskał dłonie na kierownicy, aż pobiełały mu knykcie. Prowadził samochód, bardziej kierując się instynktem niż rozmysłem.

Kiedy dotarł do domu, znowu drżał na całym ciele i czuł w gardle kwaśny smak treści żołądka.

Wprowadził morrisa na mały podjazd przed starym kamiennym budyneczkiem — miejsce, które oczyścił z chwastów i krzewów jeżynowych, kiedy tylko się tu wprowadził — po czym wyłączył silnik. Zostawiwszy w samochodzie torbę ze sprzętem do nurkowania, wysiadł i podbiegł do frontowych drzwi, szukając w kieszeniach klucza. Gdy go wreszcie wydobył, nie mógł włożyć do zamka. W końcu udało się. Otworzył drzwi na oścież, pobiegł przez krótki korytarz i ledwie zdążył dopaść łazienki, czując, jak żołądek podskakuje mu do gardła. Zwymiotował do muszli klozetowej. Wytarł usta i nos papierową chusteczką, po czym spuścił wodę, patrząc, jak wir wody wciąga kawałek miękkiego papieru.

Zdjąwszy okulary o brązowych oprawkach, umył twarz zimną wodą, przez chwilę trzymając dłonie na oczach, by je ochłodzić.

Wycierając twarz, Childes patrzył na swoje odbicie w lustrze łazienkowej szafki. Był blady.

Zastanawiał się, czy to tylko wyobraźnia podpowiada mu istnienie sińców pod oczami. Wyciągnął ręce przed siebie, starając się utrzymać je nieruchomo. Nie udało się.

Założył okulary i przeszedł do saloniku. Po drodze musiał się schylić, by przejść przez drzwi. Nie był szczególnie wysokim mężczyzną, ale budynek był bardzo stary i miał nisko sklepione sufity oraz wyjątkowo małe drzwi. Pokój też nie był zbyt duży. Childes umeblował go nader skromnie.

Była tam stara kanapa o wyblakłym obiciu, przenośny telewizor i kwadratowy stolik, a po obu stronach ceglanego kominka znajdowały się niskie regały wypełnione do granic możliwości książkami. Na górnej półce obok lampy stało kilka butelek i szklanki. Podeszedł tam i nalał sobie dużą porcję szkockiej.

Z zewnątrz dobiegał miarowy szum deszczu, który przekształcił się w ulewę. Childes stał przy oknie, bezmyślnie wpatrując się w zielen malutkiego ogrodu na tyłach domu, za którym rozciągały się otwarte pola. Dom stał w ciasnym szeregu bliźniaczych zabudowań, które kiedyś stanowiły mieszkania robotników rolnych z tutejszego majątku. Jednak grunty dawno już zostały rozparcelowane i sprzedane innym właścicielom. Childes miał szczęście, że przybywszy na wyspę prawie trzy lata temu, zdołał wynająć jeden z domków, podaż wolnych mieszkań była tu bowiem bardzo niewielka. Zawdzięczał to dyrektorce szkoły, Estelle Piprelly, której bardzo zależało, by zatrudnić kogoś mogącego poprowadzić zajęcia komputerowe. Dzięki jej wpływom uzyskał prawo najmu domu.

W oddali, na półwyspie widział zabudowania college'u stanowiącego kompleks budynków o różnej architekturze, dobudowywanych, w miarę jak na przestrzeni lat szkoła się rozrastała. Główny budynek, z wieżyczką, był biały. Z tej odległości wieża wyglądała jak szarawa wypukłość krajobrazu na tle ciemnych, wezbranych deszczem chmur.

Gdy Childes salwował się ucieczką z Anglii przed nieoczekiwaną i niewygodną popularnością, przed wścibskimi spojrzeniami zarówno przyjaciół, jak i zupełnie obcych ludzi, którzy znali jego twarz z gazet i telewizji, wyspa zapewniła mu błogi spokój i tak potrzebne odosobnienie. Tutejsi mieszkańcy stanowili zwartą, zamkniętą społeczność, żyjącą z dala od skomplikowanych problemów macierzystego kraju. Pomimo pozornej nieprzystępności autochtonów, stosunkowo łatwo udało mu się odnaleźć swoje miejsce w zaledwie pięćdziesięcioletniej społeczności. Niezdrowe zainteresowanie i — ścisnął mocniej trzymaną w dłoni szklankę — oskarżenia zostawił za sobą. Pragnął, żeby tak już było zawsze.

Childes dopił whisky i nalał następną porcję. Tak jak poprzednio brandy, tak teraz szkocka pomagała mu usunąć nieprzyjemny smak w ustach. Powrócił do okna, lecz tym razem zobaczył w nim tylko swoje odbicie. Niebo się ściemniło.

Czy tym razem jest tak samo? Czy wizja, która objawiła mu się pod wodą, ma coś wspólnego z tamtymi koszmarami, które dręczyły go dawno temu? Trudno powiedzieć: był przecież bliski utonięcia, a to zakłóciło sposób odbioru zjawiska. A jednak coś podpowiadało mu, że potworne wizje powróciły na nowo.

Ogarnął go lęk. Było chłodno, a pomimo to krople potu wystąpiły mu na czoło. Poczł przyplływ nowego, irracjonalnego strachu.

Poszedł do przedpokoju, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

Po chwili usłyszał zdyszany głos.

— Frań? — powiedział, patrząc na ścianę, lecz widząc jej twarz.

— A któż by inny? To ty, Jon?

— Tak.

Długa pauza, którą przerwała jego była żona.

— Czemu dzwonisz? Chciałeś mi coś powiedzieć?

— Gdzie jest... hm... to znaczy, jak się ma Gabby?

— W porządku, biorąc pod uwagę okoliczności. Jest w pokoju obok i bawi się z Annabel w zabawę o nazwie: „Kto zrobi

większy bałagan?” Wydaje mi się, że Melanie zamierzała wysłać ją na popołudnie do ogrodu, ale nie pozwoliła na to pogoda. A jak tam u ciebie? Bo tutaj leje jak z cebra.

— To samo. Myślę, że przekształci się w burzę. Znowu milczenie.

— Jestem trochę zajęta, Jonathanie. Muszę być w mieście o czwartej.

— Pracujesz w soboty?

— Tak, trochę. Do Londynu przyjeżdża dziś jeden z nowo pozyskanych pisarzy i wydawca chce, żebym się nim zajęła. Muszę go poinstruować o szczegółach promocyjnego cyklu spotkań z czytelnikami.

— Ashby nie może tego sam zrobić? Ton jej głosu zabrzmiał ostro:

— Prowadzimy agencję na zasadach partnerskich: ja mam swoją działkę i on ma swoją. A czego byś się spodziewał po kobiecie, która powróciła do pracy zawodowej?

Ledwie zawołane oskarżenie zabolowało go i nie po raz pierwszy zaczął zastanawiać się, czy ona kiedykolwiek pogodzi się z tym, że ją porzucił. „Porzucił”, właśnie tak by to musiało zabrzmieć w jej ustach.

— Kto się zajmie Gabby?

— Będzie na obiedzie u Melanie, a później Janet ją przyprowadzi. — Janet była dziewczyną, którą jego eks-zona wynajmowała do opieki nad dzieckiem w ciągu dnia. — Zostanie z Gabby do czasu mojego powrotu. Odpowiada ci to?

— Frań, nie miałem zamiaru...

— Nie musiałeś odchodzić, Jon. Nikt cię do tego nie zmuszał.

— Mogłaś zgodzić się na wyprowadzkę — odparł łagodnie.

— Wymagałeś ode mnie, bym wszystko porzuciła.

— Przecież wtedy pracowałaś w agencji tylko na pół etatu.

— Ale ta praca była dla mnie ważna. A teraz znaczy dla mnie jeszcze więcej. Poza tym doskonale wiesz, że były inne powody. Nasze życie tutaj.

— Stało się nie do zniesienia.

— A czyja to wina? — Jej głos złagodniał, jak gdyby natychmiast pożałowała tych słów. — No dobrze, wiem, że wiele się zdarzyło i sprawy wymknęły się spod kontroli. Próbowałam to zrozumieć i jakoś się z tym uporać. Ale to przecież ty nalegałeś, żeby uciekać.

— Wiesz, że to było coś więcej.

— Wiem, że w końcu wszystko by ucichło i powróciło do normy. Wszystko. — Oboje wiedzieli, co miała na myśli.

— Tego nie wiadomo na pewno.

— Posłuchaj, nie mam teraz czasu na takie rozmowy. Muszę zaraz wyjść. Przekażę Gabby całusy od ciebie i może jutro zadzwoni.

— Chciałbym się z nią wkrótce spotkać.

— Nie wiem... może w przerwie międzysemestralnej. Jeszcze zobaczymy.

— Zrób coś dla mnie, Frań. Westchnęła i opuściła ją zagniewanie.

— Słucham.

— Sprawdź przed wyjściem, czy z Gabby wszystko w porządku. Zajrzyj do niej i upewnij się, czy wszystko jest okay.

— O co ci chodzi, Jon? I tak bym to zrobiła, ale czemu tak nalegasz?

— To nic. Myślę, że po prostu ten pusty dom działa na mnie przygnębiająco.

— Zachowujesz się tak jakoś... dziwnie. Naprawdę tak źle z tobą?

— Przejdzie mi. Przepraszam, że zająłem ci tyle czasu.

— Nie martw się, zdążę. Potrzebujesz czegoś? Mam ci coś wysłać?

Gabby. Przyślij mi moją córeczkę. — Nie. Niczego mi nie trzeba. Wszystko w porządku. Ale dzięki za troskę.

— Okay. Muszę lecieć.

— Powodzenia z tym nowym autorem.

— Na pewno będzie miał dobrze zorganizowaną promocję książki. No to cześć.

Połączenie zostało przerwane.

Childes wrócił do saloniku i opadł na kanapę, uznawszy, że

nie ma ochoty na następnego drinka. Zdjął okulary i potarł oczy zeszywniałymi palcami. W myślach miał wizerunek córki. Gabriela miała cztery lata, gdy je zostawił. Żywił nadzieję, że pewnego dnia zrozumie.

Siedział — z głową na oparciu kanapy, z nogami na małym wzorzystym dywaniku leżącym na lakierowanej drewnianej podłodze, z okularami trzymanymi na piersi jedną dłonią — wpatrując się w sufit, czasami zamykając oczy i usiłując przypomnieć sobie to, co poprzednio widział w wyobraźni.

Z jakiegoś powodu jedyną rzeczą, którą pamiętał, była czerwona, gęsta i lepka krew. Miał wrażenie, że czuje jej zapach.

Tej nocy nawiedził go pierwszy koszmar.

Obudził się przerażony i spięty. Sam.

Nadal pamiętał dręczący go sen, lecz jego szczegóły się zatarły. Przypominał sobie biały, połyskujący kształt, który rozpląnął się w blasku księżycy zalewającego światłem pokój.

Childes usiadł w łóżku i oparł głowę o zimną ścianę za plecami. Czuł przenikliwe zimno, a strach dodatkowo wzmagając to nieprzyjemne uczucie. Nie wiedział, czego się lęka; nie mógł doszukać się żadnej racjonalnej przyczyny.

Za oknem martwą ciszę nocnego pejzażu rozdarł pojedynczy krzyk przerażonej mewy.

— Nie, Jeanette, musisz powrócić do poprzedniej komendy i sprawdzić ją. Pamiętaj, że komputer nie potrafi samodzielnie myśleć, a jego działanie całkowicie zależy od ciebie. Jedno złe polecenie i maszyna zaczyna płać figle. A wtedy nie masz już szans na otrzymanie pożądanego rezultatu.

Childes uśmiechnął się do uczennicy, lekko znużony ustawicznie powtarzającymi się podstawowymi błędami, ale był świadom, że nie każdy młody umysł daje się dostosować do wymagań zbliżającej się nowej ery postępu technologicznego, wbrew temu, co można przeczytać w ilustrowanych niedzielnych dodatkach do dzienników. Pozbawiony zawodowego kontaktu z najnowszymi generacjami komputerów, musiał przystosować się do pewnego regresu, jaki stanowiła dla niego obecna praca. Mozolnie przerabiał z młodzieżą podstawy techniki obsługi komputerów. Niektóre z dziewcząt miały do tego smykałkę, inne nie. Musiał więc wykazać się niemałą dozą cierpliwości, tak aby nie potęgować frustracji tych ostatnich.

— Dobrze, teraz wciśnij klawisz RETURN i wróć do poprzedniego etapu. Sprawdź wszystkie wiersze po kolei. Nie możesz się pomylić, jeśli zastanowisz się nad każdym krokiem.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, dając mu tym samym do zrozumienia, że wcale nie jest tego pewna. On też nie był.

Zostawił Jeanette, która przygryzając dolną wargę, wciskała każdy klawisz z przesadną rozważą, jakby uczestniczyła w intelektualnym pojedynku pomiędzy nią a maszyną.

— Hej, Kelly, doskonale.

Czternastolatka zwróciła ku niemu promienne spojrzenie, w którym zobaczył coś więcej niż tylko satysfakcję z pochwały. Przeniósł wzrok na ekran monitora.

— Czy to kalkulacja twoich własnych przychodów i rozchodów? — zapytał.

Przytaknęła ruchem głowy i przestała się wpatrywać w niego.

— W takim tempie na pewno zabraknie ci pieniędzy przed końcem semestru.

— Nie zabraknie, kiedy wyślę wydruk tej tabeli do domu. Tatuś zapłaci, jak zobaczy potwierdzenie na własne oczy.

Childes wybuchnął śmiechem; Kelly błyskawicznie odkryła nieograniczone możliwości mikroelektroniki. Pracownia była częścią działu techniki. Na stołach znajdowało się siedem komputerów, których używano nawet wtedy, gdy nie było go w pobliżu, by nadzorować pracę przy nich. Miał szczęście, kiedy przyjechał — uciekł — na wyspę, gdyż tutejsze szkoły, w większości prywatne, zaczęły kłaść spory nacisk na zajęcia komputerowe, doskonale zdając sobie sprawę, że w czasach gwałtownego przyspieszenia technologicznego płacący wysokie czesne rodzice uważają podstawy wiedzy informatycznej za nieodłączny element edukacji swoich pociech. Przedtem Childes pracował na zlecenie przedsiębiorstwa specjalizującego się w projektowaniu i wyposażaniu dużych i małych firm w systemy komputerowe odpowiadające ich indywidualnym potrzebom. Przedsiębiorstwo świadczyło kompleksowe usługi, począwszy od wyboru komputerów, właściwych urządzeń peryferyjnych, programów, które czasami modyfikowano specjalnie pod kątem specyficznych potrzeb zlecającego, aż po instalację systemu i szkolenie obsługi. Jednym z jego zadań było dostosowanie systemu oraz pomoc przy rozwiązywaniu problemów, które zazwyczaj pojawiały się w okresie rozruchu. Childes miał fenomenalną zdolność — niektórzy nazywali to intuicją — odnajdywania błędów i defektów niezwykle nieraz skomplikowanych systemów komputerowych. Był wysoko wykwalifikowanym specjalistą, świetnie opłacanym i powszechnie szanowanym przez kolegów, a mimo to jego odejście niektórzy z nich powitali z



ulgą. Kelly wciąż uśmiechała się do niego.

— Potrzebny mi nowy program, nad którym mogłabym pracować — powiedziała.

Childes zerknął na zegarek.

— Trochę późno, żeby zaczynać coś nowego. Następnym razem dam ci coś trudniejszego.

— Mogłabym zostać po zajęciach.

Jedna z dziewcząt zachichotała, a Childes mimowolnie się zarumienił. Na Boga, przecież ona ma czternaście lat!

— Może ty mogłabyś, aleja niestety nie. Zrób porządek na ławce, zanim będzie dzwonek. A jeszcze lepiej zrobisz, jak dosidziesz się do Jeanette i sprawdzicie razem jej program — wygląda na to, że ma z nim problemy.

W oczach dziewczynki pojawiła się łagodna irytacja, lecz uśmiech nie opuścił jej twarzy.

— Dobrze, proszę pana — odparła szybko.

Przeszła do ławki, gdzie siedziała Jeanette, i lekko potrząsnęła głową. Poruszała się ze świadomym wdziękiem kobiety, która wie wszystko o „tych rzeczach”. Nawet krótko obcięte włosy i zadarty nos nie zdradzały jej prawdziwego wieku, a dumnie sterczące piersi zadawały kłam obrazowi młodzieńczej uczennicy w szkolnym mundurku składającym się z granatowej spódnicy, białej koszuli i krawata w paski. W porównaniu z nią Jeanette była w każdym calu dziewczynką, której symptomy kobiecości wciąż jeszcze się nie ujawniły. Można by pewnie zaryzykować teorię, iż talent takich dziewcząt jak Kelly nie ogranicza się wyłącznie do nauki.

Przeszedł między rzędami krzeseł, pochylając się tu i ówdzie, by rzucić jakąś wskazówkę. Udzielał mu się młodzieńczy entuzjazm niektórych uczennic, kiedy pomagał im odnaleźć błędy i podpowiadał poprawne procedury. Dźwięk dzwonka zaskoczył go, choć przecież zdawał sobie sprawę, że zajęcia dobiegają końca.

Wyprostował się, zauważając, że Kelly i Jeanette nie odpowiada wzajemne towarzystwo.

— Proszę wyłączyć komputery — zwrócił się do grupy. — Zaraz, kiedy to spotykamy się znowu...?

— W czwartek — odpowiedziały chórem.

— Doskonale. Sądzę, że zajmiemy się omówieniem typów komputerów i perspektywami mikroelektroniki. Mam nadzieję, że przygotujecie jakieś mądre pytania.

Ktoś jęknął.

— W czym problem?

— Kiedy wreszcie zajmiemy się grafiką komputerową, proszę pana? — zapytała jedna z dziewcząt. Na jej pulchnym obliczu cherubinka pojawił się wyraz rozczarowania.

— Niedługo, Isobel. Jak będziecie do tego właściwie przygotowane. A teraz zmykajcie już i uważajcie, żeby czegoś nie zostawić, bo zamykam salę na klucz.

Dziewczęta rzuciły się wszystkie naraz do wyjścia, czego na pewno nie pochwaliłaby dyrektorka Zeńskiego College'u La Roche'a, ale Childes nie uważał się właściwie za nauczyciela, który powinien utrzymywać żelazną dyscyplinę, a jedynie za konsultanta do spraw komputerowych w tej szkole i dwóch innych na wyspie. Tak długo, jak dzieciaki nie wymykały się spod kontroli i wydawały się chłonać większość z tego, co starał się im przekazać, pragnął utrzymać na zajęciach rozluźnioną atmosferę. Nie chciał, by dziewczyny były spięte podczas zajęć przy komputerach, gdyż takie nastawienie nie sprzyjało twórczej pracy. Prawdę powiedziawszy, uczniowie we wszystkich trzech szkołach, w których pracował, nawet w college'u dla chłopców, byli niezwykle grzeczni.

Szczypały go oczy, podrażnione szklami kontaktowymi, które nosił. Zastanowił się, czy nie zmienić ich na okulary, które czekały w pogotowiu na dzień teczki, ale zdecydował, że byłoby z tym zbyt dużo zachodu. Podrażnienie przejdzie.

— Puk, puk.

Obejrzał się i zobaczył Amy stojącą w otwartych drzwiach.

— Czy pan wychodzi pobawić się na przerwie? — spytała.

— A tobie na tym zależy?

— Pewnie, że nie. — Amy weszła do pracowni. Włosy miała gładko związane w kok, co było próbą nadania sobie bardziej nauczycielskiego wyglądu. Według Childesa, fryzura i jasnozielona,

zapięta pod szyją suknia jeszcze bardziej podkreślały zmysłowość Amy, gdyż doskonale potrafił wyobrazić sobie ją bez tego przebrania.

— Masz przekrwione oczy — zauważyła, rzuciwszy szybkie spojrzenie ku drzwiom, a kiedy upewniła się, że nikt ich nie widzi, pocałowała go delikatnie w policzek.

Ledwie opanował impuls, by ją mocno przytulić.

— Jak minął dzień? — spytał.

— Nie pytaj. Miałam zajęcia z dramatu. Wiesz, jaką sztukę dziewczęta chcą wystawić na koniec semestru? Wrzucił papiery do aktówki i zatrzęsął ją.

— Jestem ciekaw.

— Drakulę. Potrafisz sobie wyobrazić minę panny Piprelly, kiedy się dowie? Nawet nie śmiem jej o tym powiedzieć. Zaśmiał się krótko.

— Wydaje mi się, że to całkiem niezły pomysł. Bije na głowę Nicholasa Nickleby.

— Świetnie, powiem dyrektorce, że projekt wystawienia Drakuli ma twoje poparcie.

— Jestem człowiekiem z zewnątrz i mój głos nie liczy się na zebraniach rady pedagogicznej.

— A myślisz, że mój ma jakieś znaczenie? Nasza dyrektorka może nie wygląda jak ajatollah Chomeini, ale na pewno jest z nim w jakiś sposób spokrewniona.

Potrząsnął głową z uśmiechem.

— Nie jest wcale taka zła. Może tylko trochę przewrażliwiona na punkcie publicznego obrazu szkoły, ale to zrozumiałe. Jak na taką małą wyspę, macie tu sporo prywatnych szkół.

— To z powodu ulg podatkowych. Ale masz rację: szkoły rywalizują między sobą o uczniów, o czym przypomina nam się na każdym zebraniu zarządu. Mam dla niej dużo sympatii, pomimo że... Nagle poczuli, że ktoś stanął w drzwiach.

— Zapomniałaś czegoś, Jeanette? — zapytał Childes, zastanawiając się, od jak dawna uczennica tam stoi. Dziewczyna spojrzała na niego pokornym wzrokiem.

— Przepraszam pana, ale chyba zostawiłam na ławce moje wieczne pióro.

— Więc wejdź i poszukaj go.

Ze spuszczoną głową Jeanette weszła do sali nerwowym krokiem. Była dziewczynką o drobnej budowie, długich prostych włosach, bladej cerze i ciemnych oczach, która być może pewnego dnia wyrośnie na ładną kobietę. Bluza szkolnego mundurka Jeanette była o rozmiar za duża, co dodatkowo podkreślało jej drobną budowę, a w zachowaniu uczennicy dominowała nieśmiałość, która rozbrajała, a czasami lekko irytowała Childesa.

Dziewczynka szukała pióra na ławce, którą wcześniej zajmowała, a Amy przyglądała się jej z lekkim uśmiechem, podczas gdy Childes zajął się wyłączaniem komputerów. Jeanette nie znalazła pióra i w końcu zaczęła wpatrywać się w komputer, tak jakby maszyna w nie wyjaśniony sposób połknęła zagubiony przedmiot.

— No i jak? — zapytał Childes, zbliżywszy się do ławki i nachyliwszy, by wyjąć wtyczkę z gniazdka.

— Nie mogę go znaleźć, proszę pana.

— Nic dziwnego. Leży pod ławką na podłodze. — Klęcząc, podał jej pióro.

Unikając jego wzroku, Jeanette wzięła je od niego.

— Dziękuję — powiedziała, a Childes zdziwił się, zobaczywszy, że jej twarz pokrył rumieniec.

Uczennica wybiegła z sali. Wyjął wtyczkę i wstał.

— Czemu się uśmiechasz? — spytał Amy.

— To biedactwo ma do ciebie słabość.

— Jeanette? Przecież to jeszcze dzieciak.

— W żeńskich szkołach z internatem każdy, nawet niekoniecznie przystojny, mężczyzna spotyka się z adoracją dziewcząt. Nie zauważyłeś tego?

Wzruszył ramionami.

— Może rzeczywiście kilka z nich rzuca mi dziwne spojrzenia... ale co miałaś na myśli, mówiąc „nawet niekoniecznie przystojny”?

Uśmiechając się, Amy wzięła go za ramię i poprowadziła pod drzwi.

— Chodź, lekcje się skończyły, a ja zasłużyłam sobie na chwilę odpoczynku. Mam na myśli krótką

przejażdżkę i duży dżin z lodem i tonikiem, zanim pójdę do domu na obiad.

— Znowu goście?

— Nie, dla odmiany obiad w rodzinnym gronie. A propos: masz zaproszenie na obiad w przyszły weekend. Uniósł brwi.

— Czyżby tatuś nagle zmienił zdanie na mój temat?

— Niestety nie, wciąż ciebie nie cierpi. Powiedzmy, że zawdzięczasz to wpływowi matki.

— To niezwykle pocieszające.

Spojrzała na niego, robiąc śmieszny minę, po czym przelotnie ścisnęła go za ramię przed wyjściem na korytarz. Kiedy schodzili po schodach, Amy zauważyła, że ich wspólne pojawienie się wywołało pewne poruszenie wśród uczennic. W obecności osób postronnych Amy i Jon odnosili się do siebie raczej oficjalnie, starając się nie wzbudzać podejrzeń co do charakteru ich związku, ale fakt, że często wspólnie opuszczali szkołę samochodem Childesa, wystarczał, by dostali się na języki. Doszli do dużych przeszklonych drzwi wejściowych budynku będącego jedną z nowszych części kompleksu zabudowań college'^ która mieściła gabinety nauk ścisłych, laboratoria, sale nauki języków i muzyki. Nowy budynek oddzielony był od głównego okrągłym trawnikiem okolonym drogą dojazdową, na środku którego stał pomnik założyciela szkoły, La Roche'a, niewzruszenie wpatrującego się w białą fasadę starej budowli, tak jakby liczył wszystkich wchodzących do środka. Grupki dziewcząt, rozszczebiotanych po długim okresie przymusowego milczenia, zmierzały w stronę parkingu znajdującego się na tyłach college'u, gdzie oczekiwali na nie rodzice, bądź do internatu mieszczącego się w południowym skrzydle. Powiew świeżego powietrza od strony klifu, niosący słonawą mgiełkę, stanowił miłą odmianę po nieco dusznej atmosferze sali lekcyjnej, i Childes wdychał je głęboko, kiedy w towarzystwie Amy schodził po kilkustopniowych betonowych schodach wiodących z nowego budynku.

— Panie Childes, czy mógłby pan poświęcić mi chwilkę? Oboje jęknęli, ujrawszy dyrektorkę szkoły, która machnęła ręką w ich kierunku z przeciwległej strony trawnika.

— Dołączę do ciebie później — szepnął do Amy, odpowiadając gestem lekko uniesionej dłoni na zawołanie panny Piprelly.

— Zaczekam przy kortach tenisowych. Pamiętaj, że jesteś od niej większy.

— Czyżby?

Rozstali się, a Childes ruszył prosto przez trawnik w kierunku dyrektorki, z wyrazu jej zmarszczonych brwi wnioskując, że powinien jednak obejść trawnik dookoła. Childes potrafił powiedzieć o panie Piprelly tylko tyle, że jest „sztywna” — dosłownie i w przenośni. Była zawsze wyprostowana jak struna i rzadko zdarzało jej się rozluźnić. Poza tym w jej sylwetce próżno by dopatrywać się znamion kobiecości. Nawet krótkie, siwiejące włosy miała gładko zaczesane do tyłu, a jej wąskie zaciśnięte usta znamionowały jeśli nie złośliwość, to na pewno absolutny brak poczucia humoru. Prostokątne oprawki okularów harmonizowały z kanciastą geometrią jej sylwetki, której nie przełamował nawet biust, i Childes nieraz zastanawiał się, czy nie jest to wynik specjalnych zabiegów. Bardziej pesymistyczna wersja głosiła, że panna Piprelly w ogóle nie posiada piersi.

Nie zabrało mu wiele czasu, by stwierdzić, że Estelle Piprelly, absolwentka Uniwersytetu w Canterbury, magister nauk humanistycznych, pedagogiki i psychologii, nie jest w istocie osobą tak surową, jak mógłby to sugerować jej wygląd zewnętrzny, chociaż zdarzały się jej czasami odstępstwa od normy.

— Co mogę dla pani zrobić, panno Piprelly? — zapytał, zatrzymując się obok niej przy wejściu do budynku.

— Wiem, że może to się panu wydać przedwczesne, panie Childes, ale zajmuję się planowaniem rozkładu zajęć na przyszły semestr. Obawiam się, że jest konieczne wskutek nacisków przedstawicieli rodziców oraz ciała założycielskiego, aby ukończyć pracę nad harmonogramem na długo przed letnią przerwą wakacyjną. Dlatego zastanawiam się, czy mógłby pan poświęcić nam nieco więcej swojego czasu w semestrze jesiennym. Mam wrażenie, że — wbrew mojej prywatnej opinii na ten temat — nauki komputerowe stają się obecnie czymś w rodzaju priorytetowego przedmiotu.

— Nie wiem, czy to będzie możliwe. Zdaje sobie pani sprawę, że współpracuję jeszcze z dwoma innymi college'ami: Kingsleya i de Montforta.

— Tak, ale z mojego rozeznania wynika także, że mimo to dysponuje pan sporą ilością wolnego czasu. Z całą pewnością mógłby pan poświęcić nam kilka dodatkowych godzin tygodniowo, nieprawdaż?

Jak wyjaśnić osobie pokroju panny Piprelly, która żyje wyłącznie dla dobra umiłowanego zawodu, że praca nauczyciela nie zajmuje wysokiej lokaty na liście jego życiowych preferencji? Już nie. Bardzo się zmienił. Całe jego życie uległo zmianie.

— Jedno popołudnie w tygodniu, panie Childes. Powiedzmy we wtorki. — Jej surowe spojrzenie nie dopuszczało możliwości odmowy.

— Proszę dać mi trochę czasu do namysłu — odparł i wyczuł gwałtowną zmianę jej nastawienia.

— Doskonale. Jednak proszę mieć na uwadze to, że muszę mieć gotowy zarys nowego rozkładu zajęć jeszcze przed końcem bieżącego tygodnia.

— Dam pani znać w czwartek — powiedział i natychmiast pożałował przepaszającego tonu w swoim głosie.

Westchnienie dyrektorki wyrażało ledwie tłumioną irytację.

— W takim razie czekam do czwartku.

Został odprawiony. Nawet bez zdawkowego pożegnania. Po prostu w jednej chwili przestał dla niej istnieć. Panna Piprelly już przyzywała grupę dziewcząt, które powtórzyły jego błąd i weszły na starannie utrzymany trawnik. Odwrócił się i odszedł jak skarcony uczeń, zmuszając się do nadania krokom sprężystości.

Estelle Piprelly, napomniawszy nieuważne dziewczęta (co nigdy nie wymagało od niej szafowania słowami i podnoszenia

głosu), ponownie przerzuciła uwagę na oddalającą się sylwetkę nauczyciela. Szedł z lekko opuszczoną głową, wpatrując się w ziemię, jak gdyby planował każdy krok z osobna. Młody człowiek, a jednak czasami sprawiał wrażenie dziwnie wyniszczonego. Może to nie było właściwe słowo, ale zdarzało się, że w jego oczach czaiło się znużenie i niepokój człowieka prześladowanego.

Zmarszczyła brwi i mimowolnie wygładziła niewidoczną fałdę bluzki.

Childes niepokoił ją, a ona nie wiedziała dlaczego. Nienagannie wywiązywał się z obowiązków i był popularny wśród uczennic, a nawet odrobinę zbyt popularny. Jego specjalistyczna wiedza była użytecznym dodatkiem reklamowym poprawiającym wizerunek szkoły i, bez wątpienia, jego praca pozwalała na odciążenie zapracowanych nauczycieli przedmiotów ścisłych. A jednak, mimo że pod naciskiem zarządu szkoły poprosiła go o dodatkową pracę, w jego towarzystwie odczuwała trudny do sprecyzowania niepokój.

Podobne uczucie zagrożenia miała dawno temu, będąc jeszcze dzieckiem, kiedy podczas wojny wyspa była okupowana przez wojska niemieckie, które planowały stąd desant na Wyspy Brytyjskie. Uczucia takie były powszechne w latach wojny, ale później Estelle Piprelly przekonała się, że posiada wyższy stopień psychicznej wrażliwości niż większość ludzi. Nie miało to w sobie nic z daru jasnowidzenia lub zdolności mediumicznych. Był to zaledwie niezwykle wyczulony zmysł postrzegania pewnych zjawisk psychicznych. Drzemał w niej stale, choć był nieco uspiiony poprzez pragmatyczny charakter obranego przez nią zawodu, ale w latach dzieciństwa potrafiła odczytać zapowiedź rychłej śmierci na twarzach wielu spośród niemieckich żołnierzy — nienaturalny zwiastun obecny w ich wyrazie i nastroju.

To samo, choć w bardziej niejednoznaczny sposób, dostrzegła teraz u Childesa. I chociaż jego sylwetka dawno zniknęła jej z oczu, panna Piprelly mimowolnie zadrżała.

Gdy zdołał przecisnąć się pomiędzy ogrodowymi stolikami i krzesłami w drodze powrotnej z hotelowego baru, niosąc w rękach drinki, Amy właśnie rozplotła misternie ułożony kok i związała włosy w koński ogon, co natychmiast usunęło z jej wyglądu aurę konserwatyźmu i nadało znacznie szykowniejszy charakter. Amy obdarzona była elegancją, która wydawała się bardziej wrodzona niż wystudiowana, i Childes, nie po raz pierwszy zresztą, pomyślał, że zupełnie nie wygląda na nauczycielkę — a przynajmniej nie jest podobna do tych, które kiedykolwiek uczył ją.

W cieniu ogrodowego parasola jej skóra miała niemal złotą barwę, a jasnozielone oczy i kosmyki jaśniejszych włosów zakręconych nad uszami jeszcze potęgowały to wrażenie. Jak zwykle miała na twarzy bardzo oszczędny makijaż, co upodabniało ją do niektórych spośród uczennic, a iluzję tę podkreślały także jej niewielkie jędrne piersi. A jednak mimo swoich dwudziestu trzech lat — była od niego o jedenaście lat młodsza — demonstrowała pewien rodzaj wyważonej dojrzałości, którą uwielbiał, gdyż ujawniała się na przemian z prowokującą młodzieńczą niewinnością i świeżością. Zestawienie to nieraz wprawiało go w zakłopotanie, gdyż dziewczyna często nie była świadoma zmian nastroju i pozy.

Kiedy podszedł, szczupłe palce Amy objęły szklankę z dżinem chciwym gestem przedrzeźniającym pijacką zachłanność, a promień popołudniowego słońca padł na jej dłoń, nadając jej jasnozłoty odcień.

— Ciekawe, co zrobiłaby panna Piprelly, gdyby wiedziała, że ma w swoim gronie pedagogicznym alkoholiczkę? — powiedział, podchwytyjąc zabawę. Udała, że dłoń trzymająca szklankę drży, i podniosła ją do ust.

— Ba, gdyby wiedziała, że połowa kadry szkolnej to ludzie, których osobiście wpędziła w alkoholizm.

Childes usiadł naprzeciw, by móc się jej przyglądać, poświęciwszy fizyczną bliskość na korzyść kontaktu wzrokowego.

— Nasza dyrektorka chce, żebym od nowego roku pracował w większym wymiarze godzin — powiedział, a uśmiech na twarzy Amy spowodował, że ogarnęła go fala ciepła.

— Jon, to byłoby wspaniale.

— Nie jestem tego pewien. To znaczy, tak, w tym sensie, że mógłbym cię częściej widywać, ale wiesz przecież, że przyjechałem tu z postanowieniem, że nie będę się przepracowywał.

— Chyba nie o to chodzi. Przecież znalazłeś się tutaj w zupełnie innych warunkach.

— Tak, to jakby inna planeta. Ale przyzwyczyłem się już do życia w zwolnionym tempie, do popołudniowych spacerów, do nurkowania w morzu albo po prostu drzemania na słonecznej plaży. W końcu znalazłem czas na rozmyślanie.

— Czasami wydaje mi się, że zbyt wiele czasu poświęcasz na myślenie.

Zmiana nastroju. Spojrzał w bok.

— Powiedziałem, że dam jej znać jeszcze w tym tygodniu. Wesołość znowu pojawiła się w głosie Amy.

— Tchórz.

Childes potrząsnął przecząco głową.

— W jej obecności czuję się jak sztubak.

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Na twoim miejscu zgodziłabym się.

— Dziękuję za radę. Postawiła szklankę na stole.

— Bardzo chciałabym ci pomóc. Wydaje mi się, że spędzasz za dużo czasu w samotności i dodatkowa praca w college'u mogłaby częściowo rozwiązać ten problem.

— Znasz moje zdanie na temat wszelkich dodatkowych obowiązków.

Wymienili spojrzenia.

— Masz zobowiązania wobec córki. Wypił łyk piwa.

— Za nami długi dzień — odezwał się po chwili. — Pora się rozchmurzyć.

Amy uśmiechnęła się, lecz w jej oczach wciąż znać było niepokój. Chwyliła jego dłoń i pogłaskała go po palcach, starając się jednocześnie przesłonić poważne myśli radosną paplaniną.

— Myślę, że zatrudnienie cię na cały etat byłoby niezłą rewolucją dla naszej Pip.

— Chce, żebym poświęcił szkole tylko jedno dodatkowe popołudnie.

— A jutro zażąda twojej duszy.

— I to ma być zachęta do dodatkowej pracy? Zrobiła chytrą minę.

— Po prostu usiłuję dać ci do zrozumienia, że wszelki opór pozbawiony jest sensu. Byli przed tobą tacy, którzy tego próbowali — dodała złowróbnym tonem.

— Muszę przyznać, że od pewnego czasu panna Piprelly dziwnie mi się przygląda.

— Na pewno odmawia tajemne zaklęcia.

Usadowił się wygodnie na krześle. Do ogródka w hotelowym barze zaczęli napływać nowi goście z drinkami w rękach, korzystając z dobrej pogody, która nastąpiła po dłuższym deszczowym okresie. Wielki trzmiel kołował nad pobliskim krzewem azalii, zapowiadając niskim bzyčeniem rychłe nadejście ciepłych miesięcy. Do niedawna Childes miał wrażenie, że na wyspie odnalazł oczekiwany spokój. Odpowiadał mu beztroski styl życia jej mieszkańców i obcowanie z tutejszą przyrodą. Prócz tego miał przecież Amy — piękną Amy — dzięki której jego dobrowolna banicja miała wiele jasnych stron, a tempo życia na wyspie bardzo odbiegało od zwariowanego rytmu jego pracy w firmie komputerowej działającej w szalonym mieście. Była też żona, która kiedyś kochała go, lecz później zaczęła się lękać... czego właściwie? Tego, czego żadne z nich nie było w stanie pojąć.

Dziwnej mocy psychicznej, ciężającej nad nim jak klątwa.

— O czym tak dumasz?

Patrzył niewidzącymi oczyma na Amy, gdy jej pytanie przerwało rozmyślenia.

— Miałaś znowu to nieobecne spojrzenie, do którego powinnam się już chyba przyzwyczaić — powiedziała. — Nie było to spojrzenie marzycielskie.

— Nie, myślałam o przeszłości.

— Przeszłość jest za tobą i lepiej, żeby tak pozostało, Jon.

Skinał głowę, nie mogąc zdobyć się na sensowne usprawiedliwienie. A jednak nie dawało mu spokoju uczucie dyskomfortu psychicznego, które pojawiło się wraz z ostatnią koszmarną wizją, jaką miał dwa tygodnie temu.

Oparła łokcie na stole.

— Hej, nie dałeś mi jeszcze odpowiedzi. — Zmarszczyła brwi, widząc brak zrozumienia w jego oczach. — Chodzi o moje zaproszenie na obiad. Jeszcze nie powiedziałaś, czy przyjdiesz.

— A mam w ogóle jakiś wybór? — Na chwilę powróciły złe myśli, lecz rozproszył je uśmiech Amy.

— Jasne, że tak. Możesz przyjąć zaproszenie albo zostać odprawiony na zawsze. A to oznaczałoby deportację z wyspy. Tatuś' nie cierpi złych manier.

— Wiem, że ma wielkie wpływy na wyspie.

— Właśnie.

— W takim razie przyjdę.

— Bardzo rozsądna decyzja.

— Ile starań kosztowało to twoją matkę?

— Niewiele. Uciekła się do groźby.

— Trudno sobie wyobrazić, żeby twój ojciec kogokolwiek się obawiał.

— Nie znasz mamy. Z pozoru wydaje się słodka, ale pod tą powłoką kryje się chłód stalowych sztyletów, którego nieraz sama się obawiam.

— Miło wiedzieć, że choć ona mnie lubi.

— Nie posunęłabym się aż tak daleko. Powiedziałabym raczej, że nie występuje zdecydowanie przeciwko tobie. Zaśmiała się cicho.

— Naprawdę, wprost nie mogę się doczekać tego wieczoru.

— Wiesz co, wydaje mi się, że ty ją po prostu intrygujesz. Jesteś atrakcyjnym mężczyzną o dwuznacznej przeszłości. Na chwilę Childes spojrzał w głąb swojej szklanki z piwem.

— Czy tak właśnie mnie postrzega twoja matka? — zapytał.

— Uważa cię za tajemniczego faceta i to jej się podoba.

— A drogi tatuś?

— Nie stanowisz wystarczająco dobrej partii dla jego córki, i to wszystko.

— Jesteś pewna?

— Nie, ale to naprawdę nie ma większego znaczenia. Przyznaję, że potrafi uszanować moje uczucia, i wcale nie muszę przed nim ukrywać, co do ciebie czuję. Ojciec bywa stanowczy, ale nigdy nie posunie się do tego, by zwrócić się przeciwko tobie, bo wie, że wyrządziłby mi ogromną krzywdę.

Childes nie był tego wcale pewien. Spotkał finansistę zaledwie kilka razy i tamten zawsze okazywał

mu ledwie skrywaną wrogość. Może nie darzył sympatią rozwodników albo nie ufał ludziom nie żyjącym zgodnie z jego wyobrażeniem o „normalnym” życiu.

Czując niebezpieczeństwo skierowania rozmowy na poważne tematy, Childes zapytał żartobliwym tonem:

— Czy muszę przywdziać garnitur wieczorowy?

— Zdaje mi się, że zaprosił też kilku swoich współpracowników, a to oznacza — co za zbieg okoliczności — obecność prezesa zarządu College'uLaRoche'a z małżonką, więc obawiam się, że okazja jest raczej oficjalna. Byłoby dobrze, gdybyś zaopatrzył się w krawat.

— Sądziłem, że wydaje się obiad z mojej okazji.

— Ty jesteś dodatkiem ze względu na mnie. — Spojrzała na niego poważnie. — Może ci się to wydać trywialne, ale twoja obecność wiele dla mnie znaczy. Nie wiem, w czym tkwi źródło antagonizmu między tobą a moim ojcem, Jon, ale jestem przekonana, że jest on niepotrzebny i destruktywny.

— Z mojej strony nie ma urazy, Amy.

— Wiem. I nie proszę cię, żebyś nagiął się do jego oczekiwania. Zależy mi na tym, żebyśmy spotkali się wszyscy w normalnych warunkach, żeby pokazać mu, jak dobrze pasujemy do siebie. Nie potrafił powstrzymać śmiechu, a ona zgromiła go wzrokiem.

— Wiem, co masz na myśli, ale zupełnie nie o to mi chodziło. Pamiętaj, że dla niego wciąż jeszcze jestem jego małą córeczką.

— Nigdy nie zrozumie, jak bardzo jesteś kobietą.

— Nie musi. Chociaż jestem pewna, że nie wyobraża sobie, iż jestem nadal niewinna jak dziecko.

— Nie byłbym tego taki pewien. Te sprawy są zawsze trudne dla ojców.

Intymna tematyka rozmowy spowodowała, że odczuł falę przyjemnego ciepła powoli ogarniającą ciało. Tak działo się zawsze, kiedy był w towarzystwie Amy. Wiedział, że ona odczuwa podobnie, gdyż na jej twarzy pojawił się ten znajomy rodzaj uśmiechu, a w jasnozielonych oczach rozblęskły filuterne ogniki. Spojrzała w bok i delikatnie zamieszała lód topiący się w szklance, wpatrując się w przezroczyste kostki jak wróżka w kryształową kulę. Docierały do nich odgłosy rozmów przy sąsiednich stolikach przerywane raz po raz wybuchami śmiechu. Z małego lotniska, położonego na zachodnim brzegu wyspy, wystartował samolot. Leciał nad powierzchnią morza, a w jego skrzydłach odbijały się promienie czerwieniejącego słońca. Lekka popołudniowa bryza targała niesforny kosmyk włosów za uchem Amy.

— Powinnam już pójść — powiedziała po chwili. Oboje doskonale wiedzieli, czego pragną.

Childes powiedział:

— Odwiozę cię z powrotem do La Roche'a, gdzie stoi twój samochód.

Dopili drinki i wstali. Kiedy szli przez hotelowy ogród w stronę białej bramy wyjściowej wiodącej na parking, chwyciła go za rękę. Ucisnął jej dłoń, a ona odwzajemniła ten gest.

W samochodzie Amy nachyliła się i pocałowała go w usta, a delikatność pocałunku w paradoksalny sposób wzmagająca i jednocześnie temperowała ich pożądanie. Gdy ich usta rozdzieliły się, łaknąc ponownego kontaktu, Childes dotknął opuszkami palców policzka Amy, po czym przesunął go po jej wargach. Pomyślał, że ich związek ostatnio nabrał nowej intensywności. Rozwijał się wolno, gdyż każde z nich podchodziło do partnera z pewną dozą ostrożności — on, obawiając się zbyt dużego zaangażowania ze swojej strony, ona zaś, świadoma jego inności. Teraz jednak czuli wszystkimi zmysłami, że wkroczyli w nową fazę znajomości, i zrozumieli, że już nie sposób będzie się wycofać.

Odsunął się od niej, zdziwiony nagłym przyplływem uczucia, nie wiedząc, dlaczego i jak mogło do tego dojść tak niespodziewanie.

Przekręciwszy kluczyk w stacyjce i włączywszy pierwszy bieg, Childes wyjechał z parkingu.

Childes otworzył frontowe drzwi i przez chwilę stał w wąskim korytarzu, zbierając myśli i oddychając głęboko. Zamknął drzwi.

Wciąż czuł ślady obecności Amy i ponownie zadumał się nad nowym wymiarem ich związku.

Przez długi czas trzymał swe uczucia na wodzy, ciesząc się z jej towarzystwa, podziwiając jej dojrzałość, niewinność i fizyczną urodę. Był świadom tego, że ich znajomość to coś więcej niż

przyjaźń, lecz zawsze starał się kontrolować emocje, które czasami dochodziły do głosu, nie pozwalając im sobą zawładnąć, tak by ich znajomość przekształciła się w coś poważniejszego. Rany odniesione wskutek zerwanego małżeństwa nie zostały jeszcze w pełni zaleczone i wciąż przejmowały go bólem.

Mimowolnie uśmiechnął się cierpko. Poczł się tak, jakby zawładnęła nim jakaś tajemnicza niewidzialna siła.

Drgnął. Dzwonek telefonu wyrwał go z rozmyślań. Wszedł do pokoju i podniósł słuchawkę.

— Jon? — Była zdyszana.

— Tak, Amy.

— Co się stało?

Odpowiedział dopiero po dłuższej pauzie:

— Czujesz to samo?

— Czuję się cudownie i zarazem tak jakoś dziwnie. To jakby podniecający ból.

Zaśmiał się, zdając sobie sprawę z trafności porównania.

— Powinienem chyba powiedzieć, że to przejdzie, ale mam nadzieję, że będzie inaczej.

— To mnie przeraża i jednocześnie zachwyca. Wyczuwał jej niepewność. Ściszyła głos i dodała:

— Nie chcę być zraniona.

Childes zamknął oczy i oparł się o ścianę, walcząc z przeciwstawnymi uczuciami.

— Dajmy sobie trochę czasu na przemyślenie tego.

— Ja go nie potrzebuję.

— Tak chyba będzie lepiej dla nas obojga.

— Dlaczego? Czy jest jeszcze coś, czego o sobie nie wiemy? To znaczy, coś ważnego. Wiele razy rozmawialiśmy. Opowiadałeś mi o sobie, o twojej przeszłości, o tym, co teraz czujesz. Czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć?

— Nie, nie mam żadnych mrocznych tajemnic do ukrycia, Amy. Wiesz o wszystkim, co mi się zdarzyło. Dużo, dużo więcej niż ktokolwiek inny.

— W takim razie, dlaczego boisz się tego, co staje się naszym udziałem?

— Myślałem, że ty jesteś pełna obaw.

— Nie w takim sensie. Ja tylko boję się własnej bezradności wobec tego, co się ze mną dzieje.

— A więc masz odpowiedź, nie rozumiesz?

— Uważasz, że mogłabym cię zranić?

— Może się zdarzyć coś, nad czym nie będziemy w stanie zapanować.

— Wydaje mi się, że to już się stało.

— Nie to mam na myśli. Coś może zmienić nasze uczucia. Wiem doskonale, bo już mi się to zdarzyło.

— Powiedziałeś mi, że twoje małżeństwo rozpadało się, zanim zdarzyły się te straszne rzeczy, które po prostu powiększyły przepaść między tobą a Frań. Nie wycofuj się, Jon, nie tak, jak...

Urwała, a Childes dokończył za nią:

— Jak przedtem.

— Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. Wiem, że tamte okropne przeżycia stały się dla ciebie nie do zniesienia. — Amy westchnęła żałośnie. — Och, Jon, dlaczego ta rozmowa przybrała taki obrót? Taka byłam radosna. Czułam potrzebę rozmowy z tobą. Brakowało mi ciebie.

Rozluźnił się. Jednak wciąż czuł pewien podświadomy dyskomfort. Nie miał pojęcia, jak to wytłumaczyć.

— Amy, mnie też jest przykro. Zachowuję się jak idiota. W masochistyczny sposób rozdrapuję stare rany.

— Przeszłość czasami zniekształca obraz teraźniejszości.

— To zabrzmiało filozoficznie.

Poczł ulgę, ponownie słysząc w jego głosie nutkę humoru.

— Muszę się bardziej zebrać w sobie — powiedziała.

— Przestań. Nie przejmuj się dziwactwami starszka. Znadto rozczulam się nad sobą. Więc mówisz, że brakowało ci mnie? Rozstaliśmy się ledwie dziesięć minut temu.



— Wróciłam do domu ze szkoły i poczułam się... taka, boja wiem — radosna. Szczęśliwa. Bliska omdlenia. To skomplikowane, sprzeczne uczucia. Zapraǳnęłam, żebyś był tu ze mną.

— To wygląda na ciężki przypadek.

— Bo tak jest, na Boga.

— Ze mną dzieje się to samo.

— Ale ty...

— Powiedziałem ci już: nie zwracaj na to uwagi. Mam czasami swoje humory.

— Mówisz tak, jakbym tego nie widziała. Mogę zaprosić cię jutro na lunch?

— Spryciara z ciebie.

— Możesz mnie nazywać, jak ci się tylko podoba. Poprzednia atmosfera powoli powracała.

— Wiesz co — powiedział — jeśli zdołasz to znieść, to pozwól, że ja coś przyrząǳę u siebie.

— Będziemy mieli zaledwie godzinę.

— Przygotuję coś już dziś wieczorem. Nic szczególnego. Mam jakieś mrozonki.

— Kocham mrozonki.

— A ja kocham ciebie. — W końcu przeszło mu to przez gardło.

— Jon...

— Do zobaczenia w szkole, Amy. Głos jej przycichł:

— Tak.

Pożegnał się i prawie nie słyszał jej odpowiedzi. Rozmowa się skończyła. Odłożył słuchawkę, jeszcze przez chwilę trzymając dłoń na gładkim plastyku i w zamyśleniu wpatrując się w ścianę. Nie miał zamiaru tego powiedzieć; nie chciał przełamywać ostatniego muru, który ich dzielił. Czy to miało jakieś znaczenie, skoro powiedział prawdę? Czego się właściwie obawiał? Przecież doskonale wiedział.

Niezwykła wizja i koszmarny sen sprzed dwóch tygodni wprawiły go w stan niespokojnego czuwania, podobnego do lęku, który kiedyś dręczył go i niemal zniszczył. Doprowadził do ruiny jego życie z Frań i Gabby. Nie chciał zranić Amy. Modlił się, aby jego przeczucia się nie sprawdziły, aby nie powtórzył się koszmar tamtych dni i wszystko okazało się tylko wytworem jego wyobraźni.

Childes potarł oczy i dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo go szczypią. Zrobił głęboki wdech i wydech, jakby chcąc pozbyć się niemiłych myśli, po czym przeszedł do maleńkiej łazienki i otworzył szafkę z lekarstwami. Wyjąwszy małą plastikową buteleczkę i pudełko ze szklami kontaktowymi, zamknął szafkę i ujrzał w lustrzanych drzwiczkach swoje odbicie. Oczy miał nabiegłe krwią i wydawało mu się, że jego cera ma nienaturalny odcień.

Znowu wyobraźnia płata mi figle, pomyślał. W idiotyczny sposób pozwolił, aby przykre wspomnienia powróciły ze zwielokrotnioną mocą. Była to prawdopodobnie opóźniona reakcja na tamte wydarzenia i nic poza tym. Był bliski utonięcia, bo po prostu za długo przebywał pod wodą, nie zauważywszy, że zużył już cały zapas drogocennego tlenu, którego brak wywołał powstanie w jego mózgu wizji. Koszmarny sen... cóż, to był tylko sen

jakich wiele, bez szczególnego znaczenia. Wydawało mu się, że zbyt wiele ukrytych znaczeń przypisuje mało istotnemu, aczkolwiek nieprzyjemnemu zdarzeniu. To zrozumiałe w świetle tego, co przeżył. Trzeba zapomnieć. Za wszelką cenę zapomnieć. Wiele się od tamtej pory zmieniło i życie miało dla niego teraz inny wymiar.

Przybliżając twarz do lustra, delikatnie wyjął miękką soczewkę z prawego oka i trzymając na palcu, delikatnie przepłukał, po czym wsunął do pojemniczka z płynem. Powtórzył te same czynności z drugim szkłem.

W korytarzu wyjął z aktówki okulary i poczuł, że podrażnienie oczu od razu ustępuje. Właśnie zamierzał pójść do kuchni, by sprawdzić, co będzie mógł przygotować na jutrzejszy lunch, kiedy usłyszał delikatne ǳięknięcie na piętrze. Wstrzymał oddech, patrząc w górę schodów. Czekał, mając uczucie, jakie pojawia się czasami, kiedy w środku nocy, słysząc tajemniczy ǳwięk, boimy się usłyszeć go znowu, a zarazem pragniemy potwierdzenia, że nie jest wyłącznie wytworem naszej wyobraźni. Hałas nie powtórzył się.

Childes wszedł na skrzypiące schody i zauważył, że drzwi jego sypialni są otwarte. Nic w tym

dziwnego: zostawił je otwarte tego ranka — zawsze tak robił. Podszedł bliżej i otworzył drzwi szerzej.

Pokój był pusty i Childes w myślach obruszył się, że reaguje jak bojaźliwa stara panna. Okna znajdowały się na przeciwległych ścianach, a po zewnętrznej stronie jednego z nich wisiało coś małego i delikatnego. Zbliżył się do okna, czując, jak gołe deski podłogi lekko uginają się pod jego ciężarem, i zauważył, że powiewający na wietrze strzęp jest tylko ptasim piórem, które przywarło do szyby. To już się zdarzało wcześniej; ptaki, mowy albo gołębie, widząc prześwit w oknie po przeciwnej stronie, próbowały tędy przelecieć i uderzały w szybę. Dla ptaków kończyło się to zapewne sporym szokiem, a dla szyby oznaczało kolejne zadrapanie lub drobne pęknięcie. Kiedy patrzył na okno, wiatr porwał piórko i uniósł je gdzieś daleko.

Childes miał już zamiar odwrócić się, gdy w oddali ujrzał

Amy.

zabudowania college'u. Serce mu zamarło i zacisnął dłonie na parapecie, kiedy dostrzegł płomienną łunę nad szkołą. Jednak natychmiast poczuł ulgę, gdyż zdał sobie sprawę, że jest to tylko efekt spowodowany odbłaskiem purpurowych promieni zachodzącego słońca.

Ale obraz ten pozostał w jego umyśle, i kiedy usiadł na łóżku, nie potrafił opanować drżenia rąk. Postać przyglądała się z ukrycia. Radosny, słoneczny dzień zadawał kłam ponuremu obrzędowi pochówku na cmentarzu.

Żałobnicy w ciemnych strojach stali dookoła otwartego grobu. Poplamione białe krzyże i spękane figurki uśmiechniętych aniołów były niewzruszonymi obserwatorami ceremonii. Z oddali dobiegał szum samochodów; muzyka płynąca z radia nagle się urwała — pewnie jakiś pracownik cmentarza zdał sobie sprawę, że właśnie odbywa się pogrzeb. Monotonny głos księdza ledwie docierał do ukrytej w cieniu za małym pagórkiem postaci.

Gdy mała trumna została opuszczona do dołu, jedna z kobiet zatoczyła się w stronę otwartego grobu, jak gdyby chciała zatrzymać ostatni akt tragedii swego dziecka. Mężczyzna stojący u jej boku podtrzymał ją przed upadkiem na ziemię. Pozostali żałobnicy odwrócili wzrok, by nie widzieć przejawów matczynej rozpaczki, która była równie trudna do zniesienia, jak przedwczesna śmierć dziecka. Niektórzy z nich ocierali łzy z policzków. Twarze kilku mężczyzn wyglądały jak zastygłe gipsowe formy.

Postać obserwowała ceremonię z kryjówki i uśmiechała się tajemniczo.

W końcu trumna zniknęła z pola widzenia, pochłonięta przez wilgotną ziemię. Ojciec zmarłego rzucił w ślad za trumną jakiś mały kolorowy przedmiot — zabawkę, lalkę, coś, co było drogie małemu, dziecięcemu sercu — zanim grób został zasypany.

Niechętnie, lecz z uczuciem wewnętrznej ulgi, żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Dwóch mężczyzn delikatnie podtrzymało matkę, która co chwila oglądała się za siebie, jak gdyby martwe

dziecko wzywało ją, błagając, by nie odchodziła. Ból zawładnął kobietą do tego stopnia, że musiała być niemal niesiona do stojących opodal samochodów.

Postać pod drzewem odczekała, aż usypano mogiłę.

Postanowiła wrócić jeszcze tej nocy.

— Dziękuję, Heleno. Sądzę, że możesz już sprzątnąć ze stołu. — Vivienne Sebire z wyraźną satysfakcją zauważyła, że przygotowany przez nią posiłek, składający się z musu z łososia oraz kaczki z jabłkami i wiśniami oraz mange-touts i brokuł, został przez gości skonsumowany z dużą przyjemnością i nie bez głośno wyrażanych pochwał pod adresem gospodyni. Jednak dostrzegła, że Jonathan Childes nie jadł z równym apetytem, jak pozostali goście.

Grace Duxbury, siedząca obok gospodarza, Paula Sebire' a, który zajmował honorowe miejsce u szczytu stołu, zaszczębiotała:

— To było doprawdy cudowne, Vivienne. Zanim opuścę próg tego domu, muszę poznać sekret tego musu.

— Tak — zgodził się jej mąż. — Znakomita przystawka. Ciekawe, dlaczego ty nie wykraczasz poza awokado z krewetkami, jeśli nie mamy gości na obiedzie?

Jak znam Grace, uwaga ta na pewno spotka się później z jej ostrą reprimendą, pomyślała Vivienne,

uśmiechając się do obojga.

— Och, cała sztuka polega na umiejętnym dozowaniu olejku z anchois. Po prostu trzeba dodać nieco więcej, niż podaje przepis.

— To było znakomite — potwierdził George Duxbury.

Helena, niska i mocno zbudowana służąca Sebire'ów o pogodnym uśmiechu i zrosniętych brwiach, zaczęła zbierać naczynia, podczas gdy jej pracodawczyni puszyła się od pochwał. Amy, siedząca naprzeciw matki i mająca po lewej stronie Childesa, podniosła się z krzesła.

— Pomogę ci — powiedziała do Heleny, zerkając z półskrywanym uśmiechem w stronę Childesa.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, Paul, jak ktoś tak zatwardziały w grzechu jak ty, może mieć takie szczęście? Masz piękną żonę, która do tego jest jeszcze wspaniałą kucharką, oraz niezmiernie czarującą córkę. — Ta uwaga wyszła z ust Victora Platnauera, przewodniczącego rady gminnej obejmującej zasięgiem swych wpływów całe terytorium wyspy oraz członka rady nadzorczej Zeńskiego College'u im. La Roche'a. Jego żona, Tilly, siedząca obok Childesa, cmokała z wyrzutem, choć sama przyłączyła się do śmiechu pozostałych gości.

— To bardzo proste, Victorze — Sebire zdobył się na typową dla siebie ripostę. — Kulinarne umiejętności mojej ukochanej żony skłoniły mnie do jej poślubienia, a moje geny stworzyły piękną Aimee. — Zawsze nazywał córkę, używając oryginalnego brzmienia jej imienia.

— Nie, nie — nalegał Platnauer — Amy odziedziczyła urodę po matce, a nie po ojcu. Czyż nie, panie Childes... eee, Jonathanie?

— Ma wszystkie najlepsze cechy obojga rodziców — zdołał dyplomatycznie odpowiedzieć Childes, ocierając usta serwetką.

Punkt dla ciebie, pomyślała Amy w drodze do kuchni, kiedy któryś z gości klasnął w dłonie z okrzykiem: „Brawo!” Jak dotąd idzie mu nieźle. Zauważyła, że ojciec przez cały czas dyskretnie przygląda się Jonowi, taksując go w myślach tak samo, jak miał zwyczaj to robić w stosunku do współników w interesach, kolegów i rywali. Niemniej, odgrywał rolę wzorowego gospodarza, który z kurtuazją wyraża życzliwe zainteresowanie wszystkimi swoimi gośćmi bez wyjątku, włączając w to Childesa i Edouarda Yigiersa, współpracownika z Marsylii. Amy podejrzewała, iż Yigiers został w tym tygodniu zaproszony na wyspę nie dlatego, że wymagało tego omówienie pewnych zagadnień finansowych, ale wyłącznie dlatego, że był młodym człowiekiem sukcesu, który wciąż piał się w górę, dzięki czemu stanowił doskonałą partię. Dla Paula Sebire'a był wprost wymarzoną żenią. Zastanawiała się, czy przypadkiem ojciec nie zaprosił Jona wyłącznie dlatego,

by mogła bezpośrednio porównać obu mężczyzn, Edouarda i Jona, którzy rzeczywiście bardzo się od siebie różnili.

Musiała przyznać, że Francuz był atrakcyjnym mężczyzną, bystrym i obdarzonym poczuciem humoru, lecz ojciec mylił się, osądzając go na podstawie zewnętrznych atrybutów. Paul Sebire był mężczyzną o szczerym sercu, pomimo bezwzględności, jaką odznaczał się w interesach, i stanowczości w wielu sprawach, a Amy kochała go tak, jak córka potrafi kochać ojca. Niestety, w kwestii przyszłego zięcia jego głęboko skrywana zaborczość nie pozwalała na to, by oddać córkę komuś, kto nie byłby osobą jego pokroju, a jeszcze lepiej, by stanowił dokładną, młodszą, replikę jego samego. Było to zadanie, do którego Paul Sebire zabierał się z łatwością do rozszyfrowania niezręcznością, choć jemu z pewnością wydawało się, że jest w tym delikatny. Jak zwykle też, nie doceniał innych — w szczególności swego jedyne dziecko — którzy byli w stanie przejrzeć jego zamiary.

Amy przypomniała sobie lunch z Jonem, który odbył się parę dni wcześniej, ich pierwsze sam na sam w jego domku. Dotarło do niej, jak długą drogę przeszedł ich związek i jak bardzo im na sobie zależy, czego dotąd nie byli świadomi. Tamtego dnia nie mieli wiele czasu na intymność, ale sposób, w jaki dotykali się, trzymali za ręce i pieścili, miał w sobie coś nowego.

— Poproszę o te talerze, panienko Amy, jak tylko skończy panienska podsłuchiwać pod drzwiami.

— Rozbawiony głos Heleny przerwał ciszę w kuchni. Stała zjedną ręką opartą na zlewku, a drugą na biodrze.

— Och. — Amy uśmiechnęła się niewinnie. Podeszła i postawiła talerze przy zlewku. — Wcale nie

podśluchiwałam, Heleno, tylko się zamyśliłam.

Victor Platnauer siedział pochylony nad stołem, patrząc wprost na Childesa. Pomimo przekroczonej sześćdziesiątki, Platnauer był wciąż proporcjonalnie zbudowanym mężczyzną o czerstwej twarzy i wielkich dłoniach, co było charakterystyczne dla wielu rodowitych mieszkańców wyspy. Miał ponadto ochryply głos i był szorstki w obejściu. Natomiast jego żona, Tilly, była jego przeciwieństwem; głos miała łagodny i delikatny, a jeśli chodzi o sylwetkę i zachowanie, podobna była do Vivienne Sebire.

— Miło mi słyszeć, że zgodził się pan poświęcić więcej czasu naszej szkole — powiedział Platnauer.

— Tylko jedno dodatkowe popołudnie — odparł Childes. — Wyraziłem na to zgodę zaledwie w tym tygodniu.

— Tak, poinformowała mnie o tym panna Piprelly. To dobra wiadomość, ale być może udałoby się nam przekonać pana, by pracował pan dla nas w jeszcze większym wymiarze godzin. Zdaję sobie sprawę, że pracuje pan ponadto w dwóch innych szkołach na wyspie, ale dla nas stało się niesłychanie ważne, aby rozszerzyć ilość godzin pańskiego przedmiotu. Nie wypływa to tylko z żądań rodziców. Powiedziano mi, że nasze uczennice wykazują duże zainteresowanie naukami komputerowymi.

— Niestety, nie o wszystkich bez wyjątku da się to powiedzieć — zauważył Childes. — Mam na myśli dziewczęta. Sądzę, że błędne jest dość powszechnie pokutujące mniemanie, iż każde dziecko posiada naturalne zdolności do obliczeń matematyczno--elektronicznych.

Tilly Platnauer wyglądała na zdziwioną.

— Wydawało mi się, że jesteśmy już bardzo zaawansowani w erze wojen gwiazdnych, a przoduje w tym najmłodsze pokolenie, do tego stopnia, że każde dziecko jest geniuszem komputerowym w porównaniu ze swoimi rodzicami.

Childes uśmiechnął się.

— Jesteśmy zaledwie na początku długiej drogi. A elektroniczne gry mają niewiele wspólnego z praktycznym zastosowaniem komputerów, choć przyznam, że mogą one stanowić pewien atut w początkowym okresie obcowania z komputerem. Proszę pamiętać, że komputer wymaga od użytkownika żelaznej logiki, a przecież nie każde dziecko jest w stanie umysłowo dostosować się do tego wymogu.

— To samo chyba dotyczy wielu dorosłych — skomentował oschle Victor Platnauer.

— W pewnym sensie mamy tu do czynienia z obosieczną bronią — ciągnął Childes. — Przemysł wyrabia u klientów mniemanie, że komputery są źródłem rozrywki, i to jest w porządku, powoduje bowiem automatycznie zainteresowanie i powiększenie rynku nabywców urządzeń. Jednakże gdy nabywcy, w naszym przypadku dzieci, odkrywają, że zabawę poprzedza wyczerpująca praca polegająca na zrozumieniu logiki komputerowej, wtedy następuje ogromne rozczarowanie.

— W takiej sytuacji rozwiązanie nasuwa się samo: należy zacząć nauczanie technik komputerowych na bardzo wczesnym etapie, tak aby komputer stał się nieodłącznym elementem życia dziecka. — To Edouard Yigiers wtrącił się do rozmowy. Jego francuski akcent zmiękczał słowa, lecz ich nie zniekształcał.

— Tak, ma pan rację. Jednak ma pan na myśli idealną sytuację, w której komputer jest normalnym elementem wyposażenia mieszkania, jak telewizor albo radio. A do tego nam jeszcze daleko.

— Tym bardziej ważne jest, aby szkoły zaznajamiały dzieci z najnowszymi osiągnięciami techniki wtedy, gdy ich umysły są jeszcze młode i chłonne, czyż nie, panie Childes? — powiedział Platnauer.

— To byłoby doskonałe rozwiązanie — zgodził się Childes. — Lecz powinien pan zrozumieć, że nauka obsługi komputera przekracza możliwości intelektualne niektórych uczniów. A tak się niefortunnie składa, że informatyka i mikrotechnologia na pewno narzucą styl życia w przeciągu najbliższych dziesięcioleci, w związku z czym wiele przedsięwzięć pozostanie w tyle.

— W takim razie musimy dołożyć starań, żeby dzieci z naszej wyspy były na bieżąco z tymi sprawami — powiedział Paul Sebire, a Platnauer przytaknął mu skinieniem głowy.

Childes ukrył zniecierpliwienie z powodu oczywistego niezrozumienia intencji jego wywodu;

uczniowie oczywiście mogą być karmieni wiedzą techniczną na siłę, lecz na pewno nie zostanie ona łatwo przetrawiona wobec braku wrodzonych zdolności.

Yigiers skierował rozmowę na inne tory

— Czy uczy pan także pozostałych przedmiotów ścisłych w La Roche'u i tych innych college'ach? Niespodziewanie odpowiedzi udzielił za niego Sebire.

— Skądże znowu. Jak mi wiadomo, pan Childes jest specjalistą od komputerów, Edouardzie, kimś w rodzaju technicznego cudotwórcy.

Childes spojrział na Sebire'a, zastanawiając się, skąd „było mu to wiadomo”. Czyżby Amy?

— Ach tak? — zdziwił się Yigiers. — W takim razie jestem niezmiernie ciekaw, co skłoniło pana do tego, by zająć się nauczaniem dzieci. Czy w pańskim przypadku nie oznacza to... proszę wybaczyć, ale tak się chyba określa—regresu? Przepraszam, jeśli moje pytanie wyda się panu niegrzeczne, ale taka nagła zmiana

— po francusku powiedzielibyśmy un brusque changement de vie

— zawsze wzbudza ciekawość, czy zgodzi się pan ze mną? — Uśmiechnął się uprzejmie do Childesa, który nagle zrobił się ostrożny.

— Czasami odkrywa się, że praca w jednostajnym kieracie nie jest tym, czego oczekuje się od życia — odparł.

Jego odpowiedź wyraźnie spodobała się Vivienne Sebire, która dodała:

— Właśnie. Któż zdołałby oprzeć się spokojnemu pięknu tej wyspy, które wielu miejscowych ludzi interesu próbuje zakłócić?

— Tu spojrziała znacząco na męża.

Drzwi wiodące do kuchni otworzyły się i stanęła w nich Amy w towarzystwie Heleny. Obie kobiety niosły desery na srebrnych tacach.

— Niemożliwe! Dalsze rozkosze dla podniebienia! — wykrzyknął George Duxbury. — Czym nas uruczysz tym razem, Vivienne?

— Macie wybór — powiedziała, kiedy słodkości znalazły się na środku stołu. — Deser morelowo-czekoladowy jest mojej produkcji, a suflet truskawkowy to specjalność Amy. Oczywiście możecie spróbować obu, jeśli dacie radę je zmieścić.

— Ja na pewno dam radę — zapewnił ją Duxbury.

— Moja dietetyczka dostałaby ataku, gdyby mnie dziś zobaczyła. — Jego żona natychmiast, ku rozbawieniu pozostałych gości, podsunęła swój talerzyk.—Poproszę o morele z czekoladą, tylko nie pytaj mnie, czy dołożyć także śmietankę.

Amy usiadła, a Helena zajęła się podawaniem deseru. Yigiers, który siedział obok niej, nachylił się blisko i powiedział poufale:

— Z całą pewnością zdecyduję się na suflet; wygląda znakomicie.

Uśmiechnęła się do siebie, Edouard miał taki głos, który mógłby znaleźć się w telewizyjnej reklamie likierów.

— Och, mama jest prawdziwą mistrzynią sztuki kulinarnej, której ja zaledwie liznęłam.

— Jestem przekonany, że cokolwiek pani robi, robi to dobrze. Pani ojciec powiedział mi, że pani także pracuje w College'u La Roche'a.

— Tak. Uczę francuskiego i angielskiego. Pomagam również w prowadzeniu kółka dramatycznego i recytatorskiego.

— A więc włada pani biegle moim językiem? Pani nazwisko wskazuje na francuskie pochodzenie, nieprawdaż? I jeśli wolno mi tak powiedzieć, reprezentuje pani ten subtelny typ urody, który charakteryzuje wiele kobiet w moim kraju.

— Wasz Yictor Hugo napisał kiedyś, że wyspy te są częścią Francji zawłaszczoną przez Anglię. Wchodziliśmy kiedyś w skład Księstwa Normandii i wielu spośród nas ma francuskich przodków. Niektórzy starsi mieszkańcy posługują się na co dzień francuskim dialektem i jestem pewna, że zauważył pan, iż wiele tutejszych nazw geograficznych zachowało swoje starodawne brzmienie. Grace Duxbury musiała podsłuchać rozmowę, gdyż wtrąciła:

— Wyspa zawsze była cennym kąskiem dla obu krajów, panie Yigiers.

— Mam nadzieję, że mój kraj nigdy nie był przyczyną waszych nieszczęść — odparł z cieniem

uśmiechu w oczach.

— Nieszczęście? — zaśmiał się Paul Sebire. — Wiele razy próbowaliście nas podbić, a wasi piraci nękali nas nader często w owych czasach. W późniejszym okresie nawet Napoleon chciał się do nas dobrać, ale i on dostał po nosie.

Yigiers popijał wino i wydawał się rozbawiony.

— Przyznaję, że zawsze docenialiśmy nasze francuskie pochodzenie — ciągnął Sebire — i z przyjemnością muszę zauważyć, że nasze związki nigdy nie zostały zerwane.

— Domyślam się, że nie żywicie równie ciepłych uczuć w stosunku do Niemców.

— Och, to zupełnie inna sprawa — wtrącił się burkliwie Platnauer. — Okupacja wyspy podczas ostatniej wojny, która przyniosła budowę cholernych bunkrów i nadbrzeżnych fortyfikacji na terenie całej wyspy, wciąż tkwi w pamięci tutejszych mieszkańców. Mimo to obecnie nie ma pomiędzy nami żadnych animozji; prawdę powiedziawszy, wielu niemieckich weteranów wojennych, którzy niegdyś wchodzili w skład załogi fortyfikacji, obecnie przybywa tu w charakterze turystów.

— To niezwykle, jak atrakcyjna była nasza wyspa dla ludzi z odległych stron — powiedział Sebire, gestem prosząc o porcję sufletu. — W czasach neolitu człowiek przybywał na wyspę, by grzebać zmarłych i czcić swoich bogów. Do dzisiejszego dnia zachowały się potężne granitowe grobowce, a na tutejszych terenach pełno megalitów i menhirów — wielkich bloków skalnych, które były obiektami kultu. Aimee, może jutro oprowadzisz Edouarda po wyspie? Musi wrócić do Marsylii w poniedziałek, a nie miał jak dotąd okazji rozejrzeć się po okolicy. Co ty na to, Edouardzie?

— Byłoby wspaniale — odparł Francuz.

— Niestety, Jon i ja mamy wspólne plany na jutro. — Amy uśmiechnęła się, ale spojrzenie, które rzuciła ojcu, było chłodne.

— Ależ to nonsens — nalegał Sebire, świadom jej niezadowolenia, lecz jednocześnie niezrażony.

— Przecież ciągle widujecie się w college'u, a ostatnio wygląda na to, że spędzacie wspólnie większość wieczorów. Jestem pewien, że Jonathan nie będzie miał nic przeciwko temu i zwolni cię na kilka godzin, biorąc pod uwagę, że naszemu gościowi pozostało już i tak niewiele czasu. — Rzucił uprzejme spojrzenie w stronę Childesa, który pograżony był w rozmowie z Vivienne Sebire, lecz odwrócił głowę, usłyszawszy swoje imię.

— Hmm... sędzę, że decyzja należy do Amy — odezwał się niepewnie.

— Właśnie — powiedział Sebire, uśmiechając się do córki.

— A więc nie ma problemu.

Z wyraźnym zakłopotaniem Yigiers zaczął mówić:

— To naprawdę nie jest takie ważne. Jeśli...

— Wszystko w porządku, Edouardzie—przerwał mu Sebire.

— Aimee jest przyzwyczajona do zabawiania gości, którzy przyjeżdżają do mnie w interesach.

Często żałuję, że nie wybrała mojej profesji zamiast zawodu nauczycielki. Jestem pewien, że byłaby jednym z najbardziej wartościowych pracowników mojej firmy.

— Przecież wiesz, że nie interesują mnie finanse — powiedziała Amy, tając niezadowolenie z tego, że nie pozostawiono jej wyboru. „Jon, dlaczego nie przyszedłeś mi z pomocą?“, zdawało się mówić jej spojrzenie. — Lubię pracę z dziećmi. Lubię robić coś użytecznego. Nie zamierzam cię krytykować, ale twój sposób zarabiania pieniędzy nie przyniosłby mi zawodowej satysfakcji.

Potrzebna mi możliwość bieżącej obserwacji wyników, jakie przyniosą moje wysiłki, a nie kolumny liczb i ciągle sprawdzanie salda.

— A czy pani obecna praca daje takie możliwości? — zapytał Yigiers.

— Och, tak. Praca z młodzieżą dostarcza mi wiele satysfakcji.

— Jestem pewien, że wszystkie twoje podopieczne mają świetne wyniki w nauce — powiedział Sebire.

— Tato, przestań. Jesteś strasznie protekcyjny — zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a Grace Duxbury powiedziała:

— Nie zwracaj na to uwagi, Amy, moja droga. Wydaje mi się, iż obaj należą do prawie wymarłego

gatunku tych, którzy uważają, że mężczyźni są wciąż panami świata. Proszę mi powiedzieć, monsieur Yigiers, czy podczas swojego pobytu odwiedzał pan tutejsze restauracje? Co pan o nich sądzi? Jak wypada porównanie ze słynną kuchnią pańskiego kraju?

Podczas gdy rozmowa toczyła się dalej, Amy rzuciła spojrzenia w stronę Childesa. Za pomocą mimiki twarzy usiłowała przeprosić go za to, że nie będą mogli spotkać się następnego dnia, a on rozumiał jej wysiłki i lekko potrząsnął głową. Podniósł kieliszek z winem, w drodze do ust lekko przechylając go w jej stronę. Amy odpowiedziała na toast.

Helena wróciła do kuchni i zaczęła wkładać brudne naczynia do zmywarki. Była zadowolona, że obiad się udał, choć przyjęcie trwa dłużej, niż się spodziewano. Pomyślała, że panna Amy ma szczęście, bo o jej względy ubiega się aż dwóch mężczyzn, i zastanawiała się, jak to możliwe, że odrzuca gładkiego, kulturalnego Francuza o francuskiej urodzie, francuskim stylu i francuskim głósie... przecież trudno mu się oprzeć.

Zadrżała z zimna i wyciągnęła rękę nad zlewem w stronę okna. Noc była przejmująco chłodna i ciemna. Księżyc ledwie rozpraszał mrok. Helena zamknęła okno.

Z jadalni dobiegały wybuchy śmiechu, kiedy Duxbury — który, prócz tego, że był właścicielem dużego przedsiębiorstwa importowego sprowadzającego meble, akcesoria biurowe i wszelkie inne produkty niezbędne dla firm z wyspy, zajmował się także organizacją targów dla instytucji handlowych z kontynentu — opowiadał gościom przy stole przydługie, lecz zabawne anegdoty. Childes nałożył łyżkę sufletu i z uznaniem spojrzał na Amy. W odpowiedzi dziewczyna przesłała mu ukradkowy niemy pocałunek. Na początku wieczoru czuł się nieswojo, nie będąc pewnym reakcji Paula Sebire'a, świadom, że zostanie poddany przez niego surowemu sprawdzianowi; szczególnie teraz, kiedy stało się jasne, że Amy jest mocno zaangażowana w ich związek. Jednak finansista był w stosunku do niego uprzejmy przez cały wieczór, a wszelki ślad poprzedniej oschłości zniknął lub przynajmniej był głęboko skrywany. Mimo to Childes nie potrafił się rozluźnić, gdyż stopniowo dotarło do niego, że młody Francuz nie został zaproszony na obiad przypadkowo, a jest jego potencjalnym rywalem w walce o względy Amy. Odgadł, że Sebire zaplanował to w szczegółach, czego ostatecznym dowodem była niedzielna wycieczka Amy i Yigiersa. Cały plan był przejrzysty i naiwny, ale sam musiał przyznać, że w porównaniu ze sporo młodszym Francuzem wypada raczej błado.

Z drugiej strony, Vivienne Sebire, jak przystało na wzorową gospodynię, była przez cały wieczór niezwykle miła i serdeczna w stosunku do niego; wyczuwał jej życzliwe zainteresowanie swoją osobą, dzięki czemu czuł się szczególnie wyróżnionym gościem. Żona Paula Sebire'a stanowiła idealną przeciwwagę jego obcesowości.

Przyłączył się do ogólnego wybuchu śmiechu, kiedy Duxbury dobrnął do pointy anegdoty i ledwo skończywszy jedną, już zaczynał opowiadanie następnej. Childes sięgnął po kieliszek z winem i kiedy go podnosił do ust, wydawało mu się, że dostrzegł na jego dnie dziwny blask. Zamrugał, po czym spojrzał jeszcze raz. Musiał się pomylić, to na pewno tylko refleks światła. Childes wypił łyk wina i znów wydało mu się, że w kieliszku dzieje się coś dziwnego. Zerknął jeszcze raz, raczej zdziwiony niż zaniepokojony.

Nie, w szkle było tylko białe wino, nic poza tym. Nic, co mogłoby... nic...

Obraz. Ale nie w kieliszku. W jego umyśle.

Duxbury ciągnął kolejną dykteryjkę.

Obraz był nierealny i nieostry, jak senny koszmar; drgający zamazany kształt. Childes odstawił kieliszek, zdając sobie sprawę, że jego dłoń drży. Poczł dziwne mrowienie na karku, tak jakby objęła go czyjaś zimna ręka. Wpatrywał się w wino w kieliszku.

Amy zaśmiała się głośno w przewidywaniu zakończenia anegdoty. Obraz ułożył się w ciąg wizji, które powoli nabierały ostrości. Childes poczuł falę gorąca. Zrobiło mu się okropnie duszno i mimowolnie sięgnął do kołnierzyka koszuli, jak gdyby chciał go rozluźnić.

Grace Duxbury, która znała na pamięć opowiadaną przez męża anegdotę, zachichotała z zakłopotaniem.

Wizja wtargnęła do umysłu Childesa i mógł teraz prześledzić jej poszczególne sceny, które rozgrywały się gdzieś poza tym pomieszczeniem. Miał wrażenie, że jakaś jego część opuściła

jadalnię Sebire'ów i znalazła się zupełnie gdzie indziej. Lecz wciąż był jedynie obserwatorem.

Widział, jak ktoś rozkopuje świeżo usypaną ziemię.

Chrypiący śmiech Victora Platnauera był zaraźliwy i Vivienne Sebire wybuchnęła śmiechem jeszcze przed usłyszeniem pointy anegdoty.

Mocne, grube palce zanurzały się w wilgotnej ziemi, drapiąc o powierzchnię drewna. Teraz zabrały się do pracy ze zdwojoną energią. Po chwili ukazał się kształt drewnianego przedmiotu. Wąski mały prostopadłościan. Childes drgnął i rozlał odrobinę wina.

Dostrzegł to Yigiers i z zaniepokojeniem przyglądał się mu zza stołu.

Wiek trumny zostało roztrzaskane, a spod uderzeń siekiery posypały się drzazgi. Połamane kawałki drewna zostały oderwane i odrzucone na bok, a otwór powiększony. Ukazały się zwłoki dziecka. Ich zarys był ledwie widoczny w słabym świetle. Ręka Childesa zacisnęła się na kieliszku. Jadalnia Sebire'ów zaczęła wirować. Prawie nie mógł oddychać. Niewidzialna siła uciskała jego kark z mocą stalowego imadła.

Przez chwilę widziane przez Childesa ręce zastygły w bezruchu, jak gdyby hiena cmentarna zorientowała się, że jest obserwowana. Jakby wyczuła obecność samego Childesa. On zaś poczuł gdzieś w głębi swego umysłu zimny dotyk. W następnej chwili wrażenie to zniknęło.

Tilly Platnauer wiedziała, że anegdota w zasadzie nie jest zabawna, ale sposób jej przedstawienia przez Duxbury'ego był rzeczywiście zniewalający. Jej ramiona zaczęły się unosić w spazmatycznym śmiechu.

Małe ciało zostało podniesione z jedwabnej kołderki i Childes dostrzegł teraz zimne, martwe oczy dziecka. Zwłoki chłopczyka złożono na trawie w pobliżu rozkopanego dołu, gdzie nocny wiatr rozwiewał jego jasne włosy, dając złudzenie, iż dziecko jeszcze żyje. Ciało dziecka odarto z ubrania i ukazał się jego nagi tors, biały i zimny jak marmur.

W słabym świetle księżyca zabłysło metalowe ostrze. Zanurzyło się w ciele dziecka.

Kieliszek w ręku Childesa rozprysnął się na kawałki, a wino zmieszane z krwią rozlało się na koronkowy obrus. Ktoś krzyknął.

Childes podniósł się, przewracając krzesło i stał, chwiejąc się, z oczami wzniesionymi do góry, zlany potem, który pobłyskiwał na jego skórze.

Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, po czym się wyprężył i wydawało się, że nawet włosy zjeżyły mu się na głowie. Wydawszy żalorny okrzyk, Childes zachwiał się i runął na stół.

Z żarłoczną łapczywością tajemnicza postać rzuciła się na serce martwego dziecka.

I

W odpowiedzi na zarzuty ojca, Amy zacisnęła pięści i zamknęła oczy.

Znajdowali się w jej sypialni. Amy, z pobladłą twarzą i oczami podpuchniętymi od łez, siedziała na krześle przy toalecie, a Paul Sebire nerwowo przechadzał się po pokoju. Amy wciąż miała w pamięci wyraz twarzy Jona, kiedy Platnauer odprowadzał go do swojego samochodu, by odwieźć do domu, wbrew protestom i zapewnieniom Childesa, że może prowadzić sam. Twarz Jona wyrażała szok i straszliwe napięcie.

Zaprotestował, kiedy chciano wezwać lekarza, tłumacząc, że doznał tylko chwilowego omdlenia na skutek gorąca panującego w jadalni. Wszyscy wiedzieli, że noc była chłodna, a wewnątrz domu w zasadzie nie dogrzane, lecz nikt nie podawał w wątpliwość jego wyjaśnień. Powiedział, że na pewno poczuje się lepiej, kiedy tylko znajdzie się w domu i położy na chwilę. Stanowczo odrzucił propozycję Amy i Vivienne przenocowania u nich, mówiąc, że musi być sam. Nieobecne spojrzenie Childesa przeraziło Amy w równym stopniu, jak pobladła twarz, ale dalsze naleganie nie miało sensu.

Kiedy żegnała się z nim, czuła jak wewnętrznie drży i żałowała, że nie może go pocieszyć i uspokoić. Amy fachowo opatrzyła skaleczoną dłoń, po czym lekko musnęła ustami koniuszki jego palców. Childes nie pozwolił jej, by towarzyszyła mu w drodze.

Paul Sebire przerwał nerwowy marsz po pokoju.

— Aimee — powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu — nie chcę cię dodatkowo denerwować, ale pragnę, żebyś mnie wysłuchała i uczyniła to, co podpowiada zdrowy rozsądek.



Przelotnie pogładził ją po włosach, po czym jego ręka ponownie spoczęła na ramieniu córki.

— Chciałbym, żebyś zerwała z Childesem.

Czekał na wybuch emocji, który nie nastąpił. Amy wpatrywała się beznamiętnie w swoje lustrzane odbicie, co było dla ojca jeszcze trudniejsze do zniesienia niż ewentualny wybuch gniewu lub płaczu. Ciągnął dalej łagodnym tonem:

— Jestem przekonany, że to człowiek niezrównoważony psychicznie. Dzisiejszego wieczoru początkowo sądziłem, że ma atak epilepsji, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że objawy padaczki są inne. Aimee, myślę, że ten człowiek cierpi na głęboką depresję psychiczną.

— To nieprawda — powiedziała spokojnie Amy. — Nie jest znerwicowany i daleko mu do załamania nerwowego. Nie znasz go, tato, nie masz pojęcia, przez co przeszedł.

— Mylisz się, Aimee. Wiem doskonale. Natomiast nie wiem, czy ty znasz jego przeszłość.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Odwróciła się gwałtownie, przez co ręka ojca zsunęła się z jej ramienia.

— Kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego nazwisko, miałem wrażenie, że już kiedyś obilo mi się ono o uszy. Nie potrafiłem go umiejscowić, choć przez dłuższy czas nie dawało mi to spokoju.

Dopiero niedawno, kiedy zacząłem podejrzewać, że za bardzo zaangażowałaś się w ten związek, sprawdziłem pewne fakty. — Podniósł rękę w obronnym geście. — Nie patrz tak na mnie, Aimee. Jesteś moją jedyną córką i zależy mi na twoim szczęściu bardziej niż na swoim własnym. Tak więc byłem zmuszony zbadać tę delikatną sprawę osobiście, gdyż bezpośrednio dotyczy ciebie.

— A czy nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś po prostu mnie zapytać o Jona?

— Ciebie? O co? Dręczyły mnie zaledwie niejasne wątpliwości. A poza tym nie miałem pojęcia, ile ty sama wiesz o Childesie.

— I co wykryłeś? — spytała uszczypliwie.

— Cóż, wiedziałem, że pochodzi z Anglii oraz że pracował w branży komputerowej. Najpierw poprosiłem Victora Platnauera, który, jak wiesz, jest członkiem Społecznego Komitetu Policyjnego, by przeprowadził dyskretne rozeznanie w sprawie przeszłości Childesa. Chodziło mi o sprawdzenie, czy miał wcześniej do czynienia z policją, i takie sprawy.

— Czy wyobrażasz sobie, że którakolwiek z tutejszych szkół zatrudniłaby go, wiedząc, że ma kryminalną przeszłość?

— Oczywiście, że nie. Szukałem czegoś innego. Powiedziałem ci przecież, że jego nazwisko wydawało mi się znajome z chwilą, gdy po raz pierwszy je usłyszałem, ale nie miałem pojęcia dlaczego.

— I w ten sposób doszedłeś do tego, co zmusiło go do opuszczenia rodziny i wyjazdu z Anglii.

— Przecież sama nie usiłowałaś ukryć faktu, że jest rozwodnikiem. Więc nie to mnie zaniepokoiło, ale fakt, że był podejrzany o morderstwo.

— Tato, jeśli dokładnie zbadałeś jego przeszłość, to z pewnością wiesz także, iż to właśnie Jon służył pomocą w wykryciu sprawcy tych mordów. Zapłata za to były fałszywe oskarżenia i ohydna wrzawa w prasie wokół jego osoby, trwająca jeszcze długo po faktycznym oczyszczeniu go z zarzutów.

— Oficjalnie śledztwo w sprawie tych morderstw nigdy nie zostało zamknięte.

Jęknęła z gniewu i rozpaczy. Sebire nie ustępował.

— Dokonano trzech makabrycznych morderstw, a dowody jednoznacznie wskazywały na to, że dokonała ich ta sama osoba. Wszystkie ofiary były dziećmi.

— A Jon był osobą, która skierowała śledztwo na właściwe tory.

— To prawda. Wskazał policji miejsca, gdzie pochowano dwie ostatnie ofiary. Ale wszyscy chcieli wiedzieć, skąd on o tym wiedział, Aimee, i to właśnie spowodowało oskarżenie przeciwko niemu.

— Przecież wyjaśnił to.

— Zeznał podobno, że był świadkiem mordów. Nie w sensie fizycznym, ale „widział” ich przebieg w wyobraźni. Czyż w takiej sytuacji można winić policję i opinię publiczną, że obarczyły go odpowiedzialnością?

— On ma... taki... szczególny zmysł. To wcale nie jest takie niezwykle, tato. Wielu ludzi odbiera sygnały psychiczne, o których inni. mniej wrażliwi, nie mają pojęcia. O ile mi wiadomo, policja

często wykorzystuje ludzi o podobnych zdolnościach w sprawach kryminalnych.

— Zawsze jak zdarzy się jakaś szczególnie okrutna seria morderstw, do policji wydzwanają dziesiątki wariatów twierdzących, że są w kontakcie z duchami zmarłych, które podały im rysopis zabójcy lub wskazały kolejną ofiarę. To powszechne, ale niestety prowadzi wyłącznie do marnowania cennego czasu policjantów.

— Nie zawsze. W przeszłości nieraz zdarzało się, że media o niespotykanych zdolnościach psychicznych rozwiązywały sprawy kryminalne.

— I chcesz mi powiedzieć, że Childes należy do grona takich, szczególnie obdarzonych przez naturę, osób? — Sebire zaakcentował ostatnie słowa tak, że zabrzmiały szyderczo.—Tak właśnie przedstawiały to wtedy gazety.

— Właśnie o to chodzi, że nie. Nie jest jasnowidzem ani medium w zwyczajnym sensie. Jon nigdy przedtem nie doświadczył czegoś takiego, przynajmniej nie w ten sposób. Był tak samo zaszokowany i dezorientowany, jak wszyscy inni. I przerażony tym, co się z nim dzieje.

— Policja zaarrestowała go pod zarzutem popełnienia tych morderstw.

— Byli zaskoczeni tym, co wiedział. Oczywiście, że początkowo go podejrzewali, ale miał zbyt wielu bezstronnych świadków, którzy mogli potwierdzić jego alibi.

— A jednak wciąż podejrzewano, że w jakiś sposób jest zamieszany w te ohydne czyny. Znał zbyt wiele szczegółów, aby to było przypadkowe.

— Przecież w końcu jednak ujęto sprawcę i oczyszczono Jona z zarzutów.

— Niestety, to wcale nie wynika z posiadanych przeze mnie informacji. Sprawa owych tajemniczych morderstw nigdy nie została rozwiązana.

— Musisz to lepiej sprawdzić w swoich źródłach, tato. I wtedy na pewno dowiesz się, że nieoficjalnie sprawę zamknięto. Ten szaleniak, który mordował dzieci, poderżnął sobie gardło. Jednak oficjalnie sprawy nie umorzono, gdyż samobójca nie pozostawił żadnego listu, w którym przyznawałby się do zbrodni. A jednak policja uważa, że wszystkie poszlaki wskazywały na niego, choć publicznie tego nie ogłoszono. Morderca popełnił samobójstwo, bo wiedział, że policja jest na jego tropie; Jon dał im dostatecznie dużo informacji, żeby zamknąć tego człowieka, który notabene figurował w kartotekach policyjnych jako dewiant molestujący dzieci, i z tego powodu spędził rok w więzieniu. Seria morderstw urwała się wraz z samobójczą śmiercią tego człowieka.

— W takim razie, czym wytłumaczyć ucieczkę Childesa? — Sebire zaczął znowu przemierzać pokój, zdecydowany nie opuszczać go, zanim nie uda mu się przywrócić córce zdrowego rozsądku.

— Porzucił żonę i dziecko, i schronił się na wyspie. Co go do tego skłoniło?

— Nie porzucił ich, nie w taki sposób, jaki sugerujesz. — Amy podniosła głos. — Jon błagał żonę, żeby wyjechała z nim, ale odmówiła. Napięcie nerwowe związane z tą całą sprawą również dla niej było ponad siły. Pragnęła uniknąć niezdrowego rozgłosu, uchronić siebie i Gabrielę, ich córkę, przed anonimowymi telefonami od wariatów, przed prasową nagonką na Jona, którego początkowo oskarżano o niebywałe zbrodnie, a potem usiłowano wykreować na wariata! Zdawała sobie sprawę, że nie zaznają wspólnie spokoju...

— Nawet jeśli to prawda, to jak mógł zostawić...

— Ich małżeństwo rozpadało się już przedtem. Jego żona zamierzała robić karierę zawodową, kiedy się pobrali. Gdy urodziła im się córka, macierzyństwo zabierało jej masę czasu i energii, z czym Frań nie potrafiła się pogodzić. Nie widziała siebie w roli gospodyni domowej, będącej zawsze w cieniu męża. Pragnęła pójść własną drogą, jeszcze zanim nastąpiło całe zamieszanie związane z tą okropną sprawą.

— A dziecko? Jak można...? Głos Amy złagodniał.

— On kocha Gabrielę. Fakt, że musiał ją opuścić, niemal kompletnie go załamał. Jednak zdawał sobie sprawę, że dalsze wspólne przebywanie w takim napięciu psychicznym będzie dla nich wszystkich nie do zniesienia. Nie miał swojej córce nic do zaoferowania; nie miał pojęcia, co będzie robił, jak będzie mieszkał na dobrowolnej banicji. Boże, przecież zrezygnował z doskonałej pracy, zostawił żonie wszystko, czego się razem dorobili, i wszystkie oszczędności. Jak ty sobie wyobrażasz jego opiekę nad czteroletnią córką?

— Dlaczego przyjechał właśnie tutaj? Czemu na wyspę? — Sebire znowu przerwał nerwowy marsz

od ściany do ściany i nachylił się nad siedzącą Amy, czując rosnące zdenerwowanie.

— Ponieważ dzięki temu jest blisko domu,\* nie rozumiesz? A jednocześnie dość daleko, by pozostać w ukryciu przed ciekawskimi. Poza tym w każdej chwili może wrócić i, przede wszystkim, być w kontakcie z rodziną. Jon nie porzucił swoich bliskich, nie zatrzęsął za sobą drzwi. Był zdruzgotany, dowiedziawszy się, że żona wystąpiła o rozwód — być może wyobrażał sobie, że pewnego dnia ich drogi znów się połączą przez wzgląd na Gabrielę, że zamieszkają wspólnie tutaj lub on zaparę lat, kiedy wszyscy zapomną jego nazwisko, powróci do Anglii. To wszystko legło w gruzach z chwilą, gdy otrzymał pozew o rozwód.

— W porządku, Aimee. Zakładając, że istotnie nie miał nic wspólnego z tamtymi okropnymi morderstwami oraz że wina za rozpad małżeństwa nie spoczywa wyłącznie na nim...

Amy otworzyła usta, by przemówić, ale Sebire powstrzymał ją gestem ręki.

— Najpierw wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. — Powiedział to głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Pozostaje faktem, że ten człowiek nie jest normalny. Jak inaczej wyjaśnić te... nawet nie wiem, jak to się nazywa, bo nie obchodzą mnie te spirytystyczne bzdury... powiedzmy, „intuicyjne wrażenia”? Dlaczego, u diabła, właśnie jemu to się zdarzyło?

— Tego nikt nie potrafi wyjaśnić, a już w najmniejszym stopniu sam Jon. Ale na jakiej podstawie go za to winisz?

— Za nic go nie winie. Tylko usiłuję wykazać, że z tym człowiekiem jest coś nie w porządku. Czy możesz mi wyjaśnić, co właściwie stało się dzisiejszego wieczoru? Co było przyczyną tej dziwnej chwilowej utraty przytomności? Czy to mu się wcześniej zdarzało? Wielki Boże, pomyśl, co by było, gdyby w takiej chwili prowadził samochód z tobą jako pasażerką?

— Nie wiem, co mu się stało, ani on tego nie wie.

— Ale przecież odmówił zbadania przez lekarza.

— Na pewno pójdzie do lekarza. Ja go do tego nakłonię.

— Ty będziesz się trzymać od niego z dala. Amy zdobyła się na niedowierzający uśmiech.

— Czy ty naprawdę sądzisz, że ja jeszcze jestem dzieckiem, któremu można powiedzieć, co ma robić, a czego nie? Czy sądzisz, że możesz mi zakazać widywania się z nim? — Wybuchnęła śmiechem, w którym jednak nie było cienia dobrego humoru. — Obudź się, tato, mamy dwudziesty wiek.

— Nie wydaje mi się, żeby Victor Platnauer w zarządzanej przez siebie szkole miał ochotę trzymać pracownika, któremu zdarzają się tajemnicze omdlenia.

Sapnęła ze złością.

— Nie mówisz chyba poważnie?

— Zupełnie poważnie.

Potrząsnęła głową i wpatrywała się w niego z rosnącą złością.

— Poczul się źle. Każdemu mogło się to przytrafić.

— Być może. A jednak w przypadku każdej innej osoby szybko puszczono by to w niepamięć.

— A ty będziesz pamiętliwy, prawda?

— Wiesz, że nie o to chodzi.

— W takim razie o co?

— Niepokoi mnie ten człowiek. Boję się o ciebie.

— To bardzo dobry i wrażliwy mężczyzna.

— Nie chcę, żebyś angażowała się uczuciowo.

— To już się stało. Nawet nie wiesz, w jakim stopniu.

Sebire zauważalnie drgnął. Podeszedł do drzwi, przystanął i obejrzał się na córkę. Dobrze znała ojca. Wiedziała, że potrafi być bezwzględny, kiedy ktoś mu się przeciwstawia. Panował nad tonem, lecz jego oczy kipiały gniewem.

— Sądzę, iż nadeszła pora, aby inni także poznali prawdę o dwuznacznej przeszłości Childesa — powiedział i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Pocił się straszliwie. Prześcieradło było całkiem mokre. Przewrócił się na bok w lepkiej pościeli, czując drażniący zapach własnego potu.

Wizja była wciąż ostra w pamięci Childesa, gdyż wydawała mu się niezwykle realistyczna, a jej potworność niemal namacalna. Przepelnił go mroczny koszmar.

Jakaś jego część znalazła się tam, na cmentarzu, w pobliżu zwłok dziecka, tak że prawie wyczuwał chłód martwego ciała. W niezrozumiały sposób przez chwilę zaistniał we wnętrzu tamtej istoty, tego potwora, który zbeczczył zwłoki dziecka. Wyczuwał perwersyjne zadowolenie tamtej istoty. A jednocześnie czuł, że jest intruzem, bezsilnym obserwatorem.

Różne myśli kłębiły mu się w głowie, a wraz z nimi dotarła do niego potworna świadomość, niewypowiedziany ból tak silny, że aż głośno jęknął. Myśl stała się zbyt bolesna, by ją poddać pod rozwagę, a jednak nie opuszczała go. Było jasne, że w końcu pojmie jej istotę, niezależnie od tego, jak głęboko będzie starał się ją zepchnąć do podświadomości. Czyż bowiem w pewnej chwili, gdy potworne ręce uniosły z trumny martwe ciało, nie miał wrażenia, iż są to jego własne dłonie?

Czy koszmarna wizja nie jest przypadkiem wyzwolonym wspomnieniem? Czy to on zbeczczył zwłoki dziecka? Nie, to niemożliwe, niemożliwe!

Childes wpatrywał się w zamknięte okno i nadśluchiwał dźwięków nocy.

Postać siedziała w mroku, uśmiechając się ponuro i wpatrując przez brudną okienną szybę w zamglony półksiężyc na tle ponurego nieba. Myślami była wciąż przy koszmarnym obrzędzie, który odbył się tej samej nocy na cmentarzu.

Na nowo przeżywała rozkoszny moment rozcinańcia martwego ciała i delectowała się w myślach wspomnieniem widoku wnętrza.

Oblizła wargi. Nieme serce było wyborne.

Lecz teraz nagły cień pojawił się na twarzy ponurego oprawcy.

Na cmentarzu, w chwili wydobywania dziecięcych zwłok z trumny, miał dziwne uczucie, że jest obserwowany. A przecież cmentarz był opustoszały, co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości. Świadcami obrzydliwego rytuału były tylko płyty nagrobne i kamienne figury aniołów.

A jednak ktoś przeniknął zmysłami mrok i dotarł do miejsca zdarzenia. Połączenie umysłów.

Kto?

Jak to było możliwe ?

Postać poruszyła się na krześle z chwilą, gdy księżyc przesłonięty został przez chmurę; oddech hieny cmentarnej stał się chrapliwy i urywany do czasu, aż słabe światło księżycy pojawiło się na nowo. W umyśle potwora zaczęło rodzić się podejrzenie, iż ktoś wie o jego istnieniu, więc wysilił wszystkie zmysły, by zlokalizować tę osobę. Jednak nie udało się. Nie tym razem.

Ale już niedługo. Już niedługo.

— Wygląda pan blado — zauważyła Estelle Piprelly, kiedy Childes wszedł do gabinetu i zajął miejsce na krześle po przeciwnej stronie wielkiego biurka, za którym siedziała dyrektorka.

— Czuję się znakomicie — odparł.

— Skaleczył się pan.

Uniósł zabandażowaną rękę w lekceważącym geście.

— Stłukłem kieliszek. Nic poważnego, kilka drobnych zadrapań.

Pokój był niezwykle wysoki. Jego ściany do połowy wyłożone były jasną, dębową boazerią, a powyżej pomalowane pastelową, zieloną farbą, z wyjątkiem jednej, na której znajdowały się regały szczelnie wypełnione książkami. Na ścianie po prawej stronie Childesa dominował portret założyciela college'u, stanowiący niewątpliwie wierne odwzorowanie rysów postaci, lecz wykonany w typowej dla wiktoriańskich obrazów manierze, która niewiele mówiła o charakterze portretowanej osoby. Przy drzwiach stał stary zegar, który miarowym tykaniem, jakby z namaszczeniem, odmierzał sekundy. Za plecami dyrektorki college'u znajdowały się wielkie okna wychodzące na ogrody szkolne, gdzie zielone trawniki sąsiadowały z klombami budzących się do życia kwiatów i krzewów ozdobnych. Z tego miejsca Childes widział też pochyły dach domku letniego o białych konturach, który odbijał silne promienie wiosennego słońca, a w tle rysowały się szczyty klifowych urwisk o pofałdowanej powierzchni, toczone erozją bastiony przeciwstawiające się naporowi morza. Ciemnoniebieska linia znaczyła granicę horyzontu pomiędzy wodą a niebem. Pomimo że gabinet był duży, a jego wystrój działał kojąco, Childes poczuł nagle przyływ dziwnej klaustrofobii, tak jakby ściany pokoju ograniczyły energię promieniującą z wnętrza jego osoby, siłę,

której nie potrafił powstrzymać w fizycznych granicach ciała. Zdawał sobie sprawę, że to wrażenie częściowo zawdzięcza nieuchronnej konfrontacji z dyrektorką.

— Dziś rano otrzymałam telefon od Victora Platnauera — zaczęła panna Piprelly, potwierdzając jego podejrzenia. — Jak rozumiem, spotkaliście się panowie ostatniej soboty na gruncie prywatnym.

Childes skinął głową.

— Wspomniał mi o pańskim... eee... zasłabnięciu — ciągnęła. — Powiedział, że zdarzyło się to podczas obiadu.

— Nie, obiad właśnie się skończył. Zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

— Pan Platnauer wyraził zaniepokojenie stanem pańskiego zdrowia. W końcu na pańskich barkach, jako nauczyciela młodzieży, spoczywa ogromna odpowiedzialność. Należy sądzić, że gdyby takie zdarzenie miało miejsce w sali lekcyjnej, mogłoby to ujemnie wpłynąć na dziewczęta. Jako członek zarządu szkoły, Victor Platnauer pragnie upewnić się, że nie jest pan przypadkiem narażony na nawroty podobnych ataków. Wydaje mi się to rozsądne. A co pan o tym sądzi? \*

— Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu, daję słowo.

— Czy ma pan jakieś podejrzenia co do przyczyny? Czy był pan już u lekarza?

Zawahał się przez chwilę przed odpowiedzią.

— Muszę odpowiedzieć przecząco na oba pytania. Czuję się świetnie. Niepotrzebna mi wizyta u lekarza.

— Nonsens. Jeśli pan zasłabł, to musi być jakaś przyczyna.

— Być może stało się to dlatego, że byłem trochę spięty tamtego wieczoru. Z przyczyn osobistych.

— Tak bardzo, że stracił pan przytomność? — W jej głosie słychać było drwinę.

— Mogę jedynie zapewnić panią, że to mi się nie zdarza. Czuję się zdrowiej niż kiedykolwiek.

Życie na wyspie stanowi dla

mnie radykalną zmianę stylu życia, z dala od pośpiechu i nerwowości, które towarzyszyły mojej poprzedniej pracy. Nie zamierzam także ukrywać, że miało na to także wpływ nieudane małżeństwo. Wiele zmieniło się od czasu mojego przyjazdu na wyspę: jestem obecnie bardziej wypoczęty i zadowolony z życia.

— Tak, wierzę panu. Ale, jak już powiedziałam na początku naszej rozmowy, wygląda pan nie najlepiej.

— Wydarzenie z ostatniej soboty wstrząsnęło mną równie mocno, jak i pozostałymi gośćmi na obiedzie — powiedział rozdrażnionym tonem.

Poczuł się niezręcznie pod wpływem jej nieruchomego spojrzenia i odwrócił wzrok, strzepując ze spodni niewidoczny pyłek. Przez chwilę miał wrażenie, że kobieta zagląda do wnętrza jego duszy.

— Dobrze, panie Childes, nie zamierzam dalej wnikać w tę sprawę. Jednak pozwolę sobie wystosować radę, aby przy najbliższej okazji udał się pan do lekarza. To omdlenie może być oznaką ukrytej choroby.

Poczuł ulgę, lecz milczał.

Panna Piprelly lekko zastukała końcówką wiecznego pióra w blat biurka, tak jakby był to młotek licytatora.

— Victor Platnauer powiedział mi również coś, co ma związek z pańską przeszłością, panie Childes, o czym niestety zapomniał pan mnie poinformować.

Wyprostował się na krześle, zeszywniał i splótł nerwowo dłonie, gdyż zdał sobie sprawę, co go czeka.

— Oczywiście, mam na myśli pańskie nader niefortunne związki z policją, które miały miejsce przed pańskim przybyciem na wyspę.

Powinien był wiedzieć, że pamięć o tamtych wydarzeniach tak prędko nie zaginie, że Anglia jest zbyt blisko, aby takie wieści nie przedostały się przez kanał La Manche na wyspę i nie utkwiły w czyjejs pamięci. Czy Platnauer wiedział od początku? Nie, na pewno by o tym wspomniał. Ktoś musiał mu o tym powiedzieć stosunkowo niedawno, i uśmiechnął się, gdyż rozwiązanie nasuwało się samo. Albo Paul Sebire grzebał w jego przeszłości, albo

też dowiedział się o tym od Amy, po czym przekazał tę interesującą informację członkowi zarządu

szkoły. W dziwny sposób odczuwał coś na kształt zadowolenia, że tajemnica wyszła na jaw, pomimo że uważał ją za swoją osobistą sprawę. Ukrywanie pewnych spraw może wywołać depresję, prawda? — zadał sobie to pytanie w myślach, lecz odpowiedział głośno:

— Prawda.

— Proszę? — dyrektorka wyglądała na zdziwioną.

— Otóż moje „niefortunne związki z policją”, jak to pani określiła, polegały na informowaniu. Stanowiłem dla policji jedynie źródło informacji, służąc pomocą w śledztwie.

— Właśnie. Chociaż pańskie metody uznano za nader osobliwe, czyż nie?

— Tak, można by to tak nazwać. Prawdę powiedziawszy, nadal nie rozumiem mechanizmu tego, co się wtedy działo. Jeśli zaś chodzi o zatajenie przeze mnie faktu w chwili starania się o pracę w tutejszej szkole, muszę powiedzieć, że uważałem ujawnienie tego za niepotrzebne. Mój udział w tamtych wydarzeniach nie miał charakteru kryminalnego.

— Naturalnie. Przecież nie to jest przedmiotem mojego zainteresowania.

Tym razem Childes zrobił zdziwioną minę.

— Moja... hmm... pozycja w szkole nie jest chyba zagrożona? Tykanie zegara odmierzało chwilę milczenia. Sześć sekund.

— Uważam za stosowne powiadomić pana, że poprosiłam naszą policję o dostarczenie dodatkowych informacji w pańskiej sprawie. Mam nadzieję, że rozumie pan i docenia pobudki, jakie mną kierowały.

— Pani chyba nie zamierza wyrzucić mnie z pracy?

Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Zachowywała się z typową dla siebie rezerwą, a jednak spojrzał na nią inaczej, kiedy powiedziała:

— Nie widzę powodu, bym miała to uczynić, przynajmniej na razie. Chyba że ma pan teraz coś do dodania, coś, co i tak prawdopodobnie odkryjemy?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie mam nic do ukrycia, panno Piprelly.

— Znakomicie. W naszej szkole istnieje ogromne zapotrzebowanie na pańskie umiejętności. W innym wypadku nie zwracałabym się do pana o podjęcie dodatkowej pracy. Wyjaśniłam to panu Platnauerowi. Muszę przyznać, że początkowo nie zgadzał się z moimi sugestiami, lecz to człowiek o obiektywnym spojrzeniu, i w końcu ustąpił. Jednak muszę uprzedzić lojalnie, panie Childes, iż oboje będziemy bacznie przyglądać się panu w najbliższym czasie. Zdecydowaliśmy nie ujawniać pańskiej przeszłości innym członkom zarządu w obawie przed publiczną wrzawą wokół tej sprawy, która byłaby czymś wysoce niestosownym dla autorytetu szkoły. Musimy dbać o naszą reputację. Estelle Piprelly poprawiła się na krześle i, choć jej ciało było nadal wyprężone jak struna, pozycja ta wydawała się jak na jej zwyczaj bardzo rozluźniona. Nadal taksowała Childesa przenikliwym spojrzeniem, pod wpływem którego czuł się nieswojo, a wieczne pióro wciąż sterczało między jej palcami niczym mały nieruchomy maszt. Zastanawiał się, co może oznaczać wyraz jej twarzy, nagle zmarszczenie brwi. Czyżby dostrzegał oznaki strachu za grubymi szkłami okularów? Szybko się opanowała i teraz nie był już pewien, czy w ogóle w jej wyrazie twarzy nastąpiła jakakolwiek zmiana.

— Nie będę pana dłużej zatrzymywać — szorstko powiedziała panna Piprelly. — Jestem pewna, że oboje mamy przed sobą wiele zajęć.

Niechże wreszcie stąd wyjdzie, pomyślała, natychmiast. To nie jego wina. Przecież trudno obarczać go winą za posiadanie nadzwyczajnego zmysłu, tak samo, jak trudno winić ją za jej własny dar. Nie mogła pozbyć się go na tej podstawie; byłoby to przejawem zbyt daleko posuniętej hipokryzji, zbyt okrutne. Ale teraz przede wszystkim zależało jej, by poszedł sobie, już, natychmiast. Przez chwilę odniosła wrażenie, że zdołał przeniknąć jej kamienną maskę i wyczuł u niej istnienie szóstego zmysłu, tego daru, który był dla niej równie niepożądany, jak dla college'u niezdrowa sensacja. Jej sekret jest zarazem jej przekleństwem. Nikt nie może dowiedzieć się o jego istnieniu; zbyt długo otaczany był ścisłą

tajemnicą. Nie wyrzuci Childesa ze szkoły — przynajmniej tyle mu się od niej należy — lecz będzie starała się trzymać od niego z dala, unikając zbędnych kontaktów. Nie zamierza pozwolić,

by przekonał się o ich podobieństwie. To byłoby wysoce nierozsądne. Nawet niebezpieczne dla kogoś o jej pozycji.

— Przepraszam, panie Childes, czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia? — Celowo użyła tonu zniecierpliwienia, w czym przyszyły jej z pomocą lata narzuconej sobie dyscypliny.

— Chciałem tylko podziękować i powiedzieć, iż doceniam zaufanie, jakim mnie pani obdarza.

— To nie ma z tym zupełnie nic wspólnego. Gdybym uważała, że nie jest pan osobą godną zaufania, to z pewnością nie zatrudniłabym pana. Powiedzmy, że doceniam pańską fachowość. Wstał i zdołał zmusić się do uśmiechu. Estelle Piprelly jawiła mu się jako zagadka. Otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, po czym raptownie zmienił zdanie. Wyszedł z gabinetu.

Dyrektorka zamknęła oczy i oparła głowę o tył wysokiego krzesła. Promienie słońca padającego na ramiona kobiety nie zdołały rozproszyć chłodu, który nagle ją ogarnął.

Na korytarzu Childes zaczął dygotać. Wcześniej wydawało mu się, że panuje nad sobą i otrząsnął się z udręki i bólu, które poprzedniego dnia wyczerpały go niemal do cna.

Wieczorem wiedział, że zaśnie natychmiast po położeniu się do łóżka. Tak też się stało. Nie trapiły go żadne koszmary, nie przewracał się nerwowo z boku na bok, nie pocił się; po prostu spał jak kamień przez kilka godzin. Rankiem obudził się wypoczęty, a wizja, która nawiedziła go w sobotni wieczór, należała już do wspomnień, nieprzyjemnych, lecz jako tako ulokowanych w pamięci.

Podświadomy odruch, mechanizm samoobronny umysłu; z pewnością istnieje jakiś termin medyczny określający taką reakcję organizmu.

Poranna gazeta z łatwością zdruzgotała ten misternie skonstruowany mechanizm obronny.

Mimo to starał się jakoś trzymać kupy i udawać, że wszystko

jest w porządku, zdecydowany dotrzeć jakoś do końca dnia. Potem wezwała go do siebie panna Piprelly. Teraz nie potrafił opanować widocznego drżenia.

— Jon?

Odwrócił się zaskoczony i Amy ujrzała lęk w jego oczach. Podbiegła do niego.

— Jon, co się stało? Okropnie wyglądasz. Childes przytulił się do niej na chwilę.

— Chodźmy gdzieś stąd — powiedział. — Masz chwilę czasu?

— Wciąż trwa przerwa na lunch. Mam pół godziny do następnych zajęć.

— Przejdźmy się może w jakieś spokojne miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Rozłączyli się, usłyszawszy w korytarzu czyjeś kroki, po czym zeszli schodami w kierunku głównego wejścia, nie odzywając się do siebie, dopóki nie znaleźli się na zewnątrz, gdzie powitały ich ciepłe promienie wiosennego słońca, stanowiące przyjemną odmianę po chłodzie panującym wewnątrz budynku.

— Gdzie się podziewałeś wczoraj? — spytała Amy. — Próbowałam skontaktować się z tobą przez cały dzień.

— Sądziłem, że oprowadzasz Edouarda Yigiersa po wyspie. — W jego głosie nie było cienia wyrzutu.

— Towarzyszyłam mu mniej więcej przez godzinę. Jednak rozumiał moją troskę o ciebie i zaproponował skrócenie wycieczki. Obawiam się zresztą, że nie byłam dla niego zbyt dobrym przewodnikiem. — Zbliżyli się do parkingu. — Byłam u ciebie, ale nie zastałam cię w domu. Martwiłam się o ciebie, Jon.

— Przepraszam, powinienem to przewidzieć. Po prostu musiałem wyjść. Nie mogłem znieść siedzenia w domu.

— Z powodu tego, co zdarzyło się przy obiedzie? Przytaknął.

— Nie udało mi się, niestety, wkraść w łaski twojego ojca.

— To nieistotne. Chciałabym znać przyczynę, Jon. — Potrząsnęła go za ramię.

— To się znowu zaczyna, Amy. Zdałem sobie z tego sprawę

już tamtego dnia na plaży. To jest dokładnie to samo uczucie, jakbym znajdował się zupełnie gdzie indziej i obserwował coś, czego nie jestem w stanie kontrolować.

Doszli do samochodu Childesa i zauważyła, że jego ręce szukające kluczyków drżą.

— Może lepiej będzie, jak ja poprowadzę — zaproponowała.

Otworzył drzwi samochodu i bez słowa podał jej kluczyki. Ruszyli, oddalając się od szkoły i

skręcając w pobliską drogę wiodącą na wybrzeże. W czasie jazdy co chwila spoglądała na niego i jego napięcie zaczęło jej się udzielać. Zaparkowała samochód opodal małej zatoczki, skąd rozciągał się cudowny widok na morze, niebiesko-zielone o jaśniejszej barwie w miejscach płycizn. Przez otwarte okna samochodu docierał do nich miarowy szum fal, delikatnie obmywających kamienistą plażę. W oddali widać było prom, który przemierzał spokojne wody w kierunku głównego portu znajdującego się we wschodniej części wyspy.

Childes obserwował wolno płynący prom, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Amy objęła głowę Childesa i skierowała jego twarz ku sobie.

— Przyjechaliśmy tu, żeby porozmawiać — powiedziała. — Powiedz mi, proszę, co właściwie stało się w sobotę. — Pochyliła się, by go pocałować i poczuła ulgę, zdawszy sobie sprawę, że jego drżenie osłabło.

— Mogę wyjaśnić ci to znacznie lepiej — powiedział. — Mogę ci to pokazać. — Sięgnął na tylne siedzenie, skąd wziął gazetę, po czym rozłożył ją.

— Spójrz na to — powiedział, wskazując palcem artykuł.

— „ZBEZCZESZCZENIE GROBU DZIECKA” — przeczytała głośno tytuł i zaczęła czytać resztę, potrząsając z niedowierzaniem głową. — Och, Jon, to straszne. Kto mógł zrobić coś takiego? Poćwiartować zwłoki dziecka i... — drgnęła i odwróciła twarz od gazety. — To ohydne.

— Właśnie to widziałem, Amy. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Byłem tam, na cmentarzu. Widziałem, jak ktoś wydobywał ciało dziecka i potem... W jakiś sposób byłem świadkiem tej potworności.

— Nie, to niemożliwe... Ujął ją za ramię.

— Widziałem to wszystko. Byłem obecny w psychice osoby, która tego dokonała.

— Jak to możliwe? — To pytanie wisiało w powietrzu.

— Tak jak poprzednio. Zupełnie tak samo. Mam wtedy uczucie, jakbym wcielił się w kogoś innego i widział wszystko oczami tamtej osoby. Ale jednocześnie jestem zupełnie bierny, nie potrafię w żaden sposób zapanować nad tym, co się dzieje. Nie potrafię tego powstrzymać! Jestem bezsilny! Amy była wstrząśnięta. Widząc przerażenie w oczach Childesa, przytuliła się do niego i przemówiła uspokajająco:

— Już dobrze, Jon. Nic ci się nie stanie. Przecież nie brałeś w tym faktycznego udziału. Nie masz z tym nic wspólnego.

— Muszę ci powiedzieć, że zeszłej nocy zaczęły ogarniać mnie już wątpliwości. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie są to okrutne czyny, których sam się dopuściłem i których wspomnienie zablokowane zostało przez mój umysł. — Wskazał na gazetę. — To zdarzyło się w Anglii w czasie, gdy byłem u was na obiedzie. Przyniosło mi tu sporą ulgę.

— Szkoda, że nie mogłam być wczoraj z tobą. Wybiłabym ci z głowy te głupie myśli.

— Nie, musiałem być sam. Rozmowa o tym niczego by nie zmieniła.

— Dzielenie się kłopotami zwykle pomaga. Uderzył otwartą dłońią w czoło.

— Źródło problemu leży tutaj.

— Nie jesteś wariatem. Uśmiechnął się ponuro.

— To wiem na pewno. Ale czy ten stan się utrzyma, jeśli wciąż będą nawiedzać mnie te wizje? Musiałabyś wiedzieć, jak to jest, jakie to przerażające. Jestem kompletnie roztrzęsiony, kiedy to mija, tak jakby ktoś mi wykroił kawałek mózgu.

— Tak samo czułeś się wtedy, to znaczy w Anglii.

— Tak. Może nawet gorzej. To było przecież coś zupełnie nowego.

— A jak znaleźli tego mordercę, to co wtedy?

— Poczulem ulgę. Niesamowitą ulgę. To było tak, jakby ktoś zdjął ze mnie potężne brzemie. Lecz w dziwny sposób uczucie ulgi pojawiło się, jeszcze zanim policja wytropiła mordercę. Widzisz, wiedziałem dokładnie, kiedy on popełnił samobójstwo, bo właśnie z tą chwilą mój umysł wyzwolił się z okowów. Uwolniła mnie jego śmierć.

— Dlaczego właśnie on, dlaczego ten jeden morderca i tylko on? Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym?

— Myślałem o tym często, ale nigdy nie doszedłem do wiążących wniosków. Już przedtem



wyczuwałem niektóre rzeczy, ale nic szczególnego, co można by określić mianem postrzegania pozazmysłowego. Sądzę, że to były takie zwyczajne sprawy, jakie zdarzają się większości ludzi. Na przykład, dzwoni telefon, a ty wiesz, kto to, jeszcze przed podniesieniem słuchawki, albo, kiedy zgubisz się w nieznanym mieście, intuicyjnie wybierasz właściwą drogę. Zwykle codzienne sprawy, nic szczególnego. — Poprawił się na siedzeniu, przyglądając się nurkującej mewie. — Specjaliści od psychotroniki mówią, że nasze umysły są jak odbiorniki radiowe, które dostrajają się do różnych częstotliwości fal. Gdyby przyjąć taką teorię, można by zaryzykować twierdzenie, że mózg tamtego mordercy nadawał sygnały na częstotliwości, którą tylko ja byłem w stanie odebrać. Podniecenie, jakie odczuwał w chwili mordu, wzmacniało poziom emisji sygnału, dzięki czemu fale mózgowo docierały do mnie.

Mewa, której skrzydła wydawały się oślepiająco białe w promieniach słońca, wznosiła się wysoko w górę. Childes odwrócił się do Amy.

— To głupia teoria, wiem, ale nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia — powiedział.

— Ależ wcale nie jest głupia. Nawet brzmi dość sensownie. Silne emocje, nagły szok mogą wyzwolić silną telepatyczną więź pomiędzy dwojgiem ludzi. To powszechnie znany fakt. Ale dlaczego teraz? Co spowodowało wyzwolenie psychicznych sygnałów tym razem?

Childes złożył gazetę i rzucił ją na tylne siedzenie.

— To samo, co wtedy. Odebrałem sygnał na innej częstotliwości.

— Musisz pójść na policję.

— Chyba żartujesz! Poprzednim razem ujawnienie tego faktu zniszczyło moje małżeństwo i zmusiło mnie do ukrycia się w mysiej dziurze. Czy naprawdę sądzisz, że ściągnę to na siebie raz jeszcze?

— Nie masz wyboru.

— Oczywiście, że mam. Będę po prostu siedział cicho i modlił się, żeby to minęło.

— Ostatnim razem nie wyszło ci to.

— Tym razem nikogo jeszcze nie zamordowano.

— Tak? A co się stało wtedy, gdy zobaczyłeś coś, przez co omal nie utonąłeś?

— Pogmatwany ciąg obrazów. Nie wiem, co się właściwie zdarzyło.

— Mogło to być morderstwo.

— Nie mogę zniszczyć wszystkiego pójdziem na policję. Nie miałbym żadnej szansy na pracę w La Roche, ani w pozostałych tutejszych szkołach, gdyby rozniosło się, że jakiś nawiedzony psychicznie gość uczy dzieciaki. Victor Platnauer już poczynił pewne kroki i wolałbym nie dostarczać mu dodatkowych argumentów.

— Platnauer?

W skrócie zrelacjonował jej przebieg spotkania z dyrektorką college'u.

— Myślę, że tatusiek maczał w tym palce—powiedziała, gdy skończył.

— Mówiłaś ojcu o mnie? Przepraszam, nie chciałem być taki szorstki. Nie ma powodu, żebyś ukrywała cokolwiek przed najbliższą rodziną.

— Zlecił miejscowej policji zbadać twoją przeszłość. Nie miałam z tym nic wspólnego. Childes westchnął.

— Powinienem był to przewidzieć. Zrobi wszystko, żeby nas rozdzielić, prawda?

— Nie, Jon. Jemu tylko chodzi o moje dobro. Chce wiedzieć, z kim jestem związana — zdobyła się na połowiczne kłamstwo.

— Nie można go winić za to, że jest zdenerwowany.

— Nie udawaj, to do ciebie nie pasuje. Przecież jesteś na niego wściekły. — Dotknęła kłapy jego marynarki i delikatnie przesunęła palec po jej krawędzi. Zmarszczyła brwi, co nadało jej twarzy poważny, skupiony wygląd. — Nadal uważam, że powinienes zgłosić się na policję. Ostatnim razem dowiodłeś im, że nie jesteś wariatem.

Przytrzymał jej dłoń.

— Daj mi jeszcze trochę czasu, dobrze? Te... wizje mogą nic nie znaczyć, mogą zniknąć.

Amy odwróciła się od niego i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

— Musimy wracać — powiedziała. A potem dodała: — A co będzie, jeśli nie znikną? Jeżeli będzie

jeszcze gorzej? Jon, co będzie, jak ktoś zostanie zamordowany?

Nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Childes przybrał oficjalny ton głosu, usłyszawszy dziecinny głosik Gabby w słuchawce telefonu.

— Halo?

— Z kim mam przyjemność rozmawiać? — zapytał, na chwilę odpędzając złe myśli.

— Tatusiu — ostrzegła go, przyzwyczajona do tego typu zabaw. — Zgadnij, tatusiu, co zdarzyło się dziś w szkole.

— Co to mogło być — powiedział z udawanym namysłem. — Zastrzeleliś nauczycielkę, tak?

— Nie!

— W takim razie ona strzelała do was.

— Bądź poważny!

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak stoi obok telefonu, ze słuchawką mocno przyciśniętą do ucha i z okularami zsuniętymi na koniuszek nosa.

— No, dobrze, powiedz mi, brzdącu.

— Najpierw przynieśliśmy nasze prace, a panna Hart pokazała moje rysunki wszystkim dzieciom i powiedziała, że są naprawdę dobre.

— Te z dzikimi kwiatami?

— Tak, przecież mówiłam ci w zeszłym tygodniu — powiedziała ze zniecierpliwieniem.

— Ach, rzeczywiście, wypadło mi to z głowy. To znakomicie. Więc mówisz, że naprawdę jej się podobały.

— Tak. Rysunki Annabel były prawie tak dobre, jak moje, chociaż myślę, że trochę odwalila ode mnie. Dostałam złotą gwiazdkę za moje, a Annabel żółtą. Świetnie, co? Zaśmiał się.

— Doskonale.

— A potem panna Hart powiedziała nam, że w przyszły wtorek wszyscy pojedziemy do Friends Park autobusem, gdzie są mały w klatkach i wielkie jezioro, i łódki na wodzie, i huśtawki, i zjeżdżalnie, i w ogóle...

— Mały w autobusie?

— Och, nie bądź głuptasem, w Friends Park! Mamusia powiedziała, że zrobi mi kanapki i da trochę pieniędzy na drobne wydatki.

— To brzmi cudownie. Czy mamusia wybiera się z wami?

— Nie, jedzie tylko nasza klasa. Myślisz, że będzie ładna pogoda?

— Sądzę, że tak. Teraz jest dość ciepło.

— Mam nadzieję, że będzie ładnie. Annabel też tak sądzi. Czy niedługo przyjedziesz mnie odwiedzić?

Jak zwykle żywiołowo zadawała niewinne pytania, nie mając pojęcia, jak bardzo ranią jego serce.

— Spróbuję, kochanie. Może w przerwie międzysemestralnej. Może mamusia pozwoli ci przyjechać tu do mnie.

— Samolotem? Nie cierpię statków. Za długo się płynie i wtedy robi mi się niedobrze.

— Tak, samolotem. Mogłabyś być ze mną przez kilka dni, zanim zaczną się zajęcia.

— Czy mogę wziąć ze sobą Pannę Puddles? Byłoby jej smutno beze mnie. — Panna Puddles była ulubioną czarną kotką Gabby, którą dostała w prezencie na swoje trzecie urodziny. Kotek szybko dorósł i przekształcił się w dojrzałe zwierzę, prześcigając w rozwoju dziewczynkę, jeszcze zanim Childes wyprowadził się z domu.

— Nie, to chyba nie byłby dobry pomysł. Mamusia będzie potrzebowała czyjegoś towarzystwa, kiedy ciebie przy niej nie będzie, prawda? — Nie widział córki prawie od pół roku i zastanawiał się, jak bardzo urosła. Miał wrażenie, jakby Gabby

rosła nagłymi skokami, co dziwiło go za każdym razem, kiedy ją widział.

— Chyba masz rację — odparła. — Chciałeś rozmawiać z mamusią?

— Tak, poproszę.

— Nie ma jej. Jest ze mną Janet.

— Ach, tak. W takim razie pozwól mi zamienić kilka słów z Janet.

— Zaraz ją zawołam. Wiesz co, tatusiu? Wczoraj posypałam całą Pannę Puddles srebrzystym proszkiem, żeby jej sierść bardziej błyszczała.

— Założę się, że bardzo jej się to spodobało — powiedział, uśmiechając się i potrząsając głową.

— Nie bardzo. Strasznie się rozgniewała. Mamusia mówi, że nigdy nie da się tego usunąć, a Panna Puddles wciąż kicha.

— Powiedz Janet, żeby spróbowała oczyścić ją odkurzaczem, jeśli oczywiście Panna Puddles nie będzie za bardzo protestować.

Gabby zachichotała z uciechy.

— Na pewno będzie się złościć. Powiem Janet, że chcesz z nią rozmawiać, dobrze?

— Dobra z ciebie dziewczynka.

— Kocham cię, tatusiu. Cześć. — Powiedziała to nagle, bez zapowiedzi.

— Ja też cię kocham — odpowiedział, słysząc stuknięcie słuchawki, zanim jeszcze zdołał dokończyć zdanie. Usłyszał tupot oddalających się kroków i przytłumiony, piskliwy głos wzywający Janet. Po chwili usłyszał inne, cięższe kroki i ktoś podniósł słuchawkę.

— Pan Childes?

— Jak tam, Janet?

— Wszystko w porządku. Frań pracuje dziś do późna, więc prosiła mnie, żebym zajęła się Gabby do czasu jej powrotu. Jak zawsze, przyprowadziłam ją ze szkoły.

— Udało ci się znaleźć pracę?

— Jeszcze nie, ale będę rozmawiała na ten temat w przyszłym tygodniu. Żadna z ofert nie jest tym, na czym by mi naprawdę zależało, ale lepsze to niż nic. Rozumiał jej problemy. Janet była bystrą nastolatką, lecz niestety nie miała wysokich kwalifikacji, a więc znalezienie odpowiedniej pracy było dla niej nie lada problemem.

— Czy mam coś przekazać Frań, panie Childes? — spytała Janet.

— Och, nie. Prawdopodobnie i tak jutro zadzwonię. Chciałem tylko pogadać z Gabby.

— Powiem Frań, że pan dzwonił.

— Dzięki. I życzę ci powodzenia w przyszłym tygodniu.

— Trochę szczęścia przyda mi się. Do widzenia, panie Childes.

Połączenie zostało przerwane i znów był sam w swoim małym domku. W takich chwilach ze zdwojoną siłą odczuwał brutalną wymowę faktu odłożenia słuchawki telefonu. Czuł tępy ból zranionej ręki i nienaturalną suchość w gardle. Przez chwilę stał nieruchomo w pobliżu telefonu, a jego myśli powoli odwracały się od córki i kierowały ku osobie pewnego policjanta, zajmującego się kiedyś sprawą morderstw, których ofiarami były dzieci, a którego naprowadził na trop maniaka-zabójcy. Dłoń Childesa wciąż spoczywała na jeszcze cieplej słuchawce, lecz nie potrafił znaleźć w sobie dość siły, by ją podnieść. Amy myliła się; skontaktowanie się z policją nie ma sensu. Cóż bowiem mógłby im powiedzieć? Przecież nie był w stanie zidentyfikować osoby, która rozkopala grób chłopca, ani wskazać miejsca jej pobytu. Do dzisiejszego ranka nie miał nawet pojęcia, że przestępstwo zdarzyło się w Anglii. Nie wiedzieć czemu, miał wrażenie, że to zdarzyło się gdzieś znacznie bliżej, może nawet na tej wyspie. Nie miał policji nic do powiedzenia, kompletnie nic. Zdjął rękę ze słuchawki telefonu.

Poród, podczas którego Gabby przyszła na świat, był skomplikowany, pośladowy. Opuściła łono matki nóżkami do przodu i była cała sinoniebieska, co niezwykle przeraziło Childesa, który przez cały czas porodu znajdował się u boku Frań. Wydawało mu się, że małeńka istotka o sinej skórze nie utrzyma się przy życiu. Lekarz prędko odwrócił noworodka do góry nogami i usunął śluz z jego ust, nie znajdując czasu na pocieszenie rodziców, walcząc o życie dziewczynki. Oczyściwszy drogi oddechowe, mocno uderzył w wątłą pierś małeństwa, zmuszając ją do pierwszego oddechu. Pierwszy krzyk dziecka, który był słabym, ledwie słyszalnym piskiem, napełnił wszystkich ulgą: lekarza, pielęgniarkę i, przede wszystkim, rodziców. Po odcięciu pępowiny, noworodek został przez lekarza ułożony na piersi Frań, a Childes, psychicznie wyczerpany w takim samym stopniu, jak Frań fizycznie, z rosnącą radością przyglądał się obojgu, czując, że opuszcza go napięcie, a jego miejsce zajmuje zmęczenie.

Frań, pobladła i postarzała na twarzy w wyniku męczącego porodu, i dziecko, wciąż zakrwawione,

o twarzy sonej i pomarszczonej jak u staruszki, leżały w zgodnej ciszy po wspólnych zmaganiach. Pochylił się nad nimi, uważając, by nie zgnieść kruchego ciała, czując potrzebę bycia blisko, tak blisko, jak to tylko możliwe. Powietrze przesiąknięte było szpitalnym zapachem środków dezynfekujących, który mieszał się ze słodką wonią potu. Childes pomyślał wtedy, że nic nie będzie w stanie zakłócić harmonii ich wspólnego życia ani ich rozdzielić.

W następnych tygodniach wydawało się, jakby Gabby powoli budziła się z głębokiego i koszmarne szoku. I tak też było — przeistaczała się z bezbronnej, nieświadomej istotki w małego człowieka. Wtedy wydawało mu się, że rozumiał istotę szoku, jaki przynosi akt przebudzenia do życia.

W pierwszych miesiącach życia córeczka większość czasu spędzała w okowach snu, z których wyzwalała się na krótkie chwile, kiedy chłoneła otaczającą rzeczywistość, a obserwacja jej błyskawicznego rozwoju była fascynującym zajęciem. To, że rosla i rozwijała się, stanowiło dla niego cud i potrafił godzinami obserwować ją, w późniejszym okresie patrzeć, jak stawia pierwsze, niepewne kroki, jak wciąż ssie kciuk lub kawałek materiału będący niegdyś jej kocykiem. Pierwsze wypowiedziane przez nią słowo wprawiło go w zachwyt, choć nie był to wyraz „tata”, a całkowita ufność, jaką pokładała w nim i Frań, kochającej ją prostą, matczyną miłością, sprawiła, że stał się delikatniejszy, co zresztą przeniosło się na inne dziedziny życia. Gabby sprawiła, że pojął, jak bardzo istota ludzka jest bezbronna wobec otaczającego świata. Absorbująca praca, polegająca na obcowaniu z maszynami, poprzednio stępiała takie doznania.

Ten nowy rodzaj wrażliwości niemal doprowadził go do szaleństwa, kiedy w myślach stawał się bezsilnym świadkiem zbrodni popełnianych na dzieciach.

Teraz, kiedy od tamtych wydarzeń minęły trzy lata, wrażenie to było silniejsze niż kiedykolwiek. Childes spędził wieczór, przygotowując ćwiczenia do czwartkowych zajęć, pierwszych z tych, które przyobiecał pannie Piprel-ly. Niedługo rozpoczynały się egzaminy i jednym z nich miał być sprawdzian z zajęć komputerowych. Irytowało go, że nie potrafi się skupić nad pracą i przez cały wieczór jest myślami przy Gabby i wspomina ich wspólne, szczęśliwe lata. Później w krótkim czasie zdarzyło się wiele okropnych rzeczy, które błyskawicznie zniszczyły ich szczęście, a lata, które minęły od tamtej pory, nie przyniosły ukojenia w żalu.

Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w rozłożone przed sobą papiery. Światło lampy na biurku rzucało głębokie cienie dookoła małego pokoju. Czy Gabby już śpi, a na nocnym stolczku, tak aby miała je pod ręką, leżą okulary? Zerknął na zegarek: prawie wpół do dziesiątej. Powinna już spać. Czy Frań wciąż czyta jej bajki na dobranoc, czy też jest zbyt zapracowana, zbyt zmęczona po powrocie do domu? Childes przerzucał kartki ze sprawdzianami, zaszokowany tym, że część dziewcząt wciąż nie znała różnicy między komputerami analogowymi a cyfrowymi. Proste, podstawowe wiadomości, które nie powinny sprawiać żadnego problemu. Drżał na myśl o wynikach egzaminu, mając nadzieję, że część praktyczna okaże się prostsza od teorii.

Przesunął ręką po zmęczonych oczach, odnosząc wrażenie, jakby szkła kontaktowe nagle stały się szorstkie. Trzeba by coś zjeść, pomyślał. Trzeba jeść. Mówią, że jedzenie jest niezbędne do życia. Ależ był zmęczony. Może zje kanapkę i wypije szklanekę mleka. Chociaż, może mocny drink zrobi mu lepiej.

Miał zamiar wstać, kiedy poczuł w głowie nieoczekiwane zimne ukłucie.

Childes dotknął obiema dłońmi skroni, zaskoczony nagłym wrażeniem. Mrugając, usiłował pozbyć się uczucia zimna. Jednak tajemniczy chłód nie ustępował.

Słyszał, jak na dworze wiatr targa gałęziami drzew. Gdzieś w domu zaskrzypiała deska podłogowa — to wynik zmiany temperatury, po ciepłym dniu przyszła zimna noc.

Odrętwienie powoli słabło i potrząsnął głową, by otrzeźwieć. Za dużo papierkowej roboty, powiedział sobie, za wiele psychicznego wysiłku o późnej porze. Przez cały wieczór próbował przecież skoncentrować się, lecz jego myśli wciąż wędrowały w stronę Gabby i innych rzeczy. Drink pomoże mu się odprężyć. Podniósł się, ciężko opierając na blacie biurka. Zimny dreszcz ponownie przeszył mu czaszkę, aż się zatoczył, chwytając oburącz za blat, by uniknąć upadku. W jego głowie kołatały różne myśli, mieszając się z sobą wzajemnie. Miał dziwne uczucie, jakby

czyjeś lodowato zimne palce grzebały wśród myśli i w jakiś niesamowity sposób... karmiły się nimi. Zgarbił się i skulił ramiona. Zacisnął wargi, tak jakby przejął go przenikliwy ból. Jednak nie czuł bólu, jedynie potęgujące się odrętwienie i chaos w myślach. Mimowolnie wydał z siebie jęk. W tej samej chwili wrażenie zaczęło ustępować. Wciąż stał przy biurku, podpierając się rękoma i dysząc w oczekiwaniu, że powróci do równowagi. Wydawało się, że trwa to niesłychanie długo, jednak Childes zdawał sobie sprawę, że upłynęło zaledwie kilkanaście sekund. Kiedy rozdygotane nerwy uspokoiły się, Childes podszedł do regału i zrobił sobie drinka. To dziwne, whisky zdawała się bez smaku.

Zakrztusił się kolejnym łykiem alkoholu, kiedy wreszcie poczuł jego piekące działanie. Otarł usta wierzchem dłoni. Co, u diabła, się z nim dzieje? Ponownie skosztował whisky, tym razem pijąc ostrożnie i powoli. Alkohol rozgrzewał go.

Childes niespokojnie rozejrzał się po pokoju, wyczuwając czyjaś obecność. To bzdura. Prócz niego w pokoju nie było

nikogo. Nikt nie zakradł się, podczas gdy siedział pochylony nad pracami uczennic.

Głębokie cienie, rzucane wskutek światła metalowej lampy przy biurku, sprawiały, że poczuł się nieswojo. Wyciągnąwszy przed siebie zabandażowaną dłoń, podszedł do drzwi, by włączyć górne światło. Zatrzymał się, zanim zdążył dotknąć kontaktu, wpatrując się we własną dłoń, zdziwiony jej nagłym drżeniem. Nie zdołał włączyć światła. Gdy spojrzął w dół, zobaczył, że dłoń trzymająca szklankę z whisky trzęsie się tak, jakby sama szklanka wibrowała.

Niewidzialne palce podstępnie wkraśli się do jego umysłu po raz wtóry.

Poczuł, że słabnie, i prędko opadł na pobliską kanapę, zagłębiając się w jej miękką poduszkę, jakby chciał umknąć napierającego ciężaru. Szklanka upadła na podłogę, a jej zawartość rozlała się, wsiąkając w dywan. Childes zamknął oczy, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że ktoś zagląda do wnętrza jego psychiki. W głowie pojawiały się różne obrazy: ekrany komputerów, twarze, pokój, w którym się znajdował, liczby, symbole, które przepływały przez mózg i znikaly, by po chwili pojawić się znowu. Ujrzał jakąś białą plamę, wydarzenia z przeszłości, swoją twarz, przypomniał sobie własny lęk i dawno zapomniane sny.

Jęknął przejmująco, starając się odepchnąć lodowate macki i próbując ze wszystkich sił odzyskać równowagę i spokój, powstrzymać karuzelę wirujących obrazów.

Childes odprężył się nieco, gdy zimny dotyk ponownie osłabł. Oddychał ciężko i wpatrywał się tępo w cienie na przeciwległej ścianie. Coś — ktoś — próbował dotrzeć do niego, nawiązać kontakt.

Niesamowite, przerażające uczucie dopadło go znowu, nie dając szansy na chwilę wytchnienia. Ktoś próbował wdrzeć się do jego świadomości. Nie! — zdawał się krzyczeć jego umysł. „Nie!” — wykrzyknął głośno. Ale zimne macki już tam były, szukając i czerpiąc z jego myśli. Czuł ich obecność. Krążyły wokół myśli dotyczących jego życia na wyspie, szkół, w których uczył, wokół Amy, Frań i... Gabby. GABBY! W tym miejscu tajemnicze macki na moment znieruchomiały.

Childes zwlókł się z kanapy, zmagając się z niewidzialnym intruzem, tak jak by był fizycznie obecny. Czuł, że lodowate macki rozluźniają uścisk pod wpływem jego rozpaczliwych wysiłków. Opadł na kolana. Skoncentrował myśli na wizerunku białej mgły, po to, by nie dawać pokarmu intruzowi pasożytującemu najego umyśle. Wkrótce poczuł ulgę. Jednak zanim objawy zupełnie ustąpiły, Childes, leżąc na podłodze i drżąc na całym ciele, usłyszał nagle wyraźny dźwięk, tak realny, że gwałtownie odwrócił głowę, przeszukując wzrokiem ciemne kąty pokoju.

Nie dostrzegł nikogo. Był sam, a jednak niski chichot wydawał się dochodzić gdzieś z bliska. Jeanette była już spóźniona. Pozostałe dziewczęta mieszkające w bursie zeszły już na dół, a ona, wciąż jeszcze w płaszczu kąpielowym, stała przy umywalce, pospiesznie myjąc zęby.

Że też musiało jej się to zdarzyć akurat dzisiaj! W dniu egzaminów! Matma! Kurczę, matma.

Jeanette nie raz zastanawiała się, czy nie jest kompletnym beztalenciem w tej dziedzinie.

Poranne słońce wpadało do łazienki, a jego promienie odbijały się w rzędzie porcelanowych umywalk. Na podłodze błyszcząły kałuże wody — pozostałość porannych ablucjach dziewcząt. Była sama, co zresztą jej odpowiadało; inne dziewczyny często wprawiały ją w zakłopotanie,

porównując rozmiary i kształty swoich piersi, co czasami przybierało formę prawdziwego konkursu. Jeanette, niestety, była w tym wyścigu na dalekiej pozycji, za większością trzynasto- i czternastolatek z jej klasy, a poza tym zupełnie nie bawiły jej takie porównania. Dodatkowo, jej poczucie inności spotęgowane było faktem, że nie zaczęła jeszcze miesiączkować.

Jeanette wypłukała usta i splunęła do umywalki, po czym osuszyła wargi ręcznikiem i wrzuciła wszystkie swoje przybory toaletowe do plastikowej torby. Człapiąc bosymi stopami po mokrej posadzce, podeszła do drzwi i ruszyła mrocznym korytarzem, zostawiając wilgotne ślady na lśniących deskach podłogi. Dziewczęta miały zakaz chodzenia boso po terenie szkoły, lecz Jeanette nie miała czasu, by znaleźć kapcie, które jak na złość skryły się gdzieś głęboko pod łóżkiem.

Zresztą i tak wszyscy nauczyciele byli już teraz na dole i zasiadali do śniadania.

W pokoju, który dzieliła z pięcioma innymi dziewczętami, było zimno, pomimo słonecznej pogody za oknem, i Jeanette prędko wyjęła z szafki regulaminową bieliznę, granatowe majtki i biały podkoszulek, i ułożyła ją na wąskim łóżku. Zrzuciwszy z siebie płaszcz kąpielowy, zdjęła przez głowę bluzę pidżamy, nie zadając sobie trudu rozpięcia guzików, po czym rzuciła ją na łóżko obok bielizny. Potarła dłońmi zmarznięte ramiona obsypane gęsią skórą i sięgnęła po podkoszulek. Przed jego założeniem spojrzała na swoje piersi i westchnęła z desperacją. Sutki sterczały pod wpływem zimna, lecz pagórki, z których wyrastały, były wciąż rozpaczliwie małe. Zaczęła lekko szczypać sutki, by nadać im większą twardość, i masować delikatną skórę piersi, żeby wreszcie zaczęły rosnąć. Poczowała delikatny dreszcz przyjemności i wydawało jej się, jakby wzgórki lekko nabrzmiały. Usiadła na łóżku, wciąż mając na sobie spodnie od pidżamy, i położyła dłonie na piersiach. To było miłe i zastanawiała się, czy by nie... Nie, nie było na to czasu. I tak przecież była spóźniona!

Zdjęła spodnie od pidżamy i prędko włożyła podkoszulek, majtki i białe skarpety, wyciągnięte z dolnej szuflady komódki stojącej obok łóżka. Ze względu na poprawę pogody, dziewczęta z College'u La Roche'a mogły już nosić regulaminowe błękitne sukienki z krótkimi rękawami. Jeanette założyła swoją oraz buty, które domagały się porządnego wypolerowania. Uporządkowała pościel, schowawszy pidżamę pod poduszkę, po czym chwyciła szczotkę i zabrała się do rozczesywania długich, splątanych włosów, krzywiąc się z bólu. Stojące nakomódce lustro w niebieskiej ramie, z maleńkim porcelanowym motylem w rogu, ukazało rezultat zabiegów, który wydał jej się mizerny. Pomimo pośpiechu Jeanette przysunęła twarz bliżej do lustra w poszukiwaniu plam na cerze. Prawie całkowicie zrezygnowała z czekolady i zmuszała się do zjadania do obiadu pełnej porcji jarzyn, ale pryszczki pojawiały się na twarzy z dającą się przewidzieć regularnością, prawie zawsze przy szczególnych okazjach. Ale dziś — dzisiejszy dzień nie przynosił z sobą nic doniosłego, tylko cholerne egzaminy — skóra była czysta! Mogłaby się założyć, że w dniu ślubu jej twarz będzie wprost usiana pryszczami, co zmusi ją do noszenia welonu przez cały czas trwania ceremonii i na pewno będzie lękała się uchylić go do pocałunku, żeby mąż nie zauważył, że jej twarz przypomina lody z poziomkami.

Jeanette przysunęła się jeszcze bliżej do lustra, zaglądając sobie głęboko w oczy i zastanawiając się, czy na podstawie ich wyglądu da się odczytać jej przyszłość. Wiele razy karcili ją zarówno rodzice, jak i nauczyciele za to, że przeznaczza zbyt wiele czasu na marzenia zamiast na myślenie, i spróbowała skierować myśli ku poważniejszym sprawom, jednak po chwili znów wymknęły się jej spod kontroli i zatopiły w świecie marzeń. Próbowała i próbowała, ale myśli wciąż nie dawały się okiełznać, tak jakby posiadały własną, niezależną wolę. Kiedy wyglądała przez okno na zielone korony drzew, po chwili wydawało jej się, że szybuje wysoko nad nimi, nad dolinami i nad spienionym oceanem, niejako ptak, lecz jako niczym nie skrepowana dusza. Gdy zaś gorące promienie słońca padały na jej twarz, w marzeniach pojawiały się obrazy spieczonej słońcem pustyni, gorącej egzotycznej plaży, upalnych dni spędzanych w towarzystwie swego — temu słowu towarzyszyło szczególne podniecenie — przyszłego kochanka. Kiedy wachała kwiaty, namysł przychodziły jej różne rośliny i stworzenia, duże i małe. Gdy patrzyła na księżyc...

Jakiś cień przesunął się za jej plecami.

Odwróciła się, ale niczego nie zauważyła; prócz niej w bursie nie było nikogo.

Ściany pokoju przyozdabiały plakaty, zdjęcia gwiazd muzyki pop, słynnych tenisistów, wycinki z

czasopism poświęconych modzie. Dwa pluszowe misie oraz lalka, trzymane przez dziewczęta w charakterze maskotek, a nie ukochanych „przytulank”, wpatrywały się w Jeanette martwymi oczami. Kolorowe pająki nad łózkami zawirowały, jakby pod wpływem podmuchu wiatru. Nie było nikogo, a jednak Jeanette zdawało się, że nie jest sama.

Gęsia skórka ponownie pojawiła się na jej ramionach i plecach, tym razem nie z powodu zimna. Promienie słońca przestały wydawać się takie jasne, jak poprzednio. Odsunęła się od lustra, ostrożnie idąc w kierunku luki pomiędzy dwoma rzędami łóżek, lękliwie zerkając w stronę każdego cienia, tak jakby w każdej chwili spodziewała się, że spod któregoś z nich wysunie się kosmata ręka i złapie ją za nogę. Kiedy znalazła się przy drzwiach, przyspieszyła kroku.

Wybiegła na korytarz, obejrawszy się jeszcze raz za siebie, by zobaczyć pusty pokój bursy ubarwiony plakatami i kolorowymi narzutami na łózkach, do którego znowu z poprzednią siłą zaglądało słońce i rozpraszało cienie.

Nie było tam nikogo. Niemniej Jeanette ruszyła biegiem w kierunku schodów.

Stanąła nad nim i otrząsnęła wodę z włosów. Deszcz słonych kropel opadł najego ciało. Otworzył jedno oko, osłoniwszy twarz przed promieniami słońca, które wciąż silnie grzało, mimo że było już późne popołudnie.

— Jaka jest woda? — zapytał Childes.

— Zimna — odparła Amy, klękając przy nim i energicznie wycierając włosy grubym ręcznikiem — ale cudowna. Dlaczego i ty nie popływasz?

Zamknął oko i odparł leniwie:

— Za dużo zachodu z wyjmowaniem szkieł kontaktowych. — Nie przyznał się, że nie pływał od czasu, kiedy podczas wspólnego nurkowania był bliski utonięcia. Teraz bał się wypłynąć na głęboką wodę.

— No, chodź, to cię odświeży. — Położyła mokrą, zimną dłoń na jego brzuchu i zachichotała, widząc jak jego mięśnie gwałtownie się napinają.

Przyciągnął ją do siebie, czując przyjemną wilgoć i słony zapach jej ciała.

— Potrzebny mi wypoczynek — powiedział — a nie wysiłek.

— Wypoczynek? Przecież w tym tygodniu są egzaminy. Nigdy nie miałeś tak mało pracy, jak teraz.

— Zgadza, się. I właśnie to mi odpowiada.

Amy zarzuciła ręcznik na głowę i ramiona, zasłaniając ich oboje przed słońcem. Podparła się najego piersi i pocałowała go w usta.

— Ciekawy smak — zauważył Childes. — Zupełnie jak pocałunki ostrygi.

— Nie jestem pewna, czy to komplement, czy nie, ale tym razem puszczyć ci to płazem. — Kosmyk jej mokrych włosów pozostawił na policzku Childesa wilgotny ślad.

O tej porze na plaży było niewiele osób, głównie turyści z Anglii i kontynentu, gdyż właściwy sezon jeszcze się nie zaczął, a większość mieszkańców wyspy była nadal w pracy. Szeroki pas piaszczystej plaży w zatoczce ograniczony był z jednej strony ponurym, wysokim ponemieckim bunkrem, posępną pamiątką ostatniej wojny. Z drugiej strony dostępu broniło rumowisko bloków skalnych, które wyglądały jak świeżo oderwane od stromizny klifu.

— Pogodziłaś się już z tatusiem? — spytał Childes.

Amy wiedziała, że celowo używał słowa „tatuś”, żeby się z nią droczyć. Chce jej dać do zrozumienia, że wciąż jest dla ojca małą dziewczynką, ale ponieważ sama używała tego zdrobnienia, już dawno przestała zwracać na to uwagę.

— Nadal się na mnie boczy, a ja na niego, ale mam wrażenie, że w końcu zaakceptuje tę sytuację.

— Nie wierzę.

— Nie jest wilkołakiem, Jon. On nie ma zamiaru wyrządzić ci krzywdy.

— A jednak napuścił Platnauera, żeby porozmawiał z panną Piprelly na mój temat.

— Pip nie daje się manipulować. Sama podejmuje decyzje. A na obronę ojca mogę tylko powiedzieć, że tak bardzo mu się nie dziwię, bo twoja przeszłość jest rzeczywiście odrobinę niepokojąca.

Nie potrafił powstrzymać cisnącego się na usta uśmiechu, zakręcając kosmyk jej włosów na palcu.

— Tobie to wciąż nie daje spokoju?

— A jakże by inaczej, Jon? Szczególnie po tym, co wydarzyło się ostatnio. Wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy, więc jak możesz przypuszczać, że bagatelizuję takie sprawy?

— Jakie sprawy? Od czasu słynnego omdlenia na obiedzie

nic się nie zdarzyło. Czuję się doskonale, nie podskakuję z nerwów na widok każdego cienia. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale odnoszę wrażenie, jakby zdjęto ze mnie olbrzymi ciężar.

Zataił przed Amy to, co działo się z nim owej nocy, kiedy samotnie siedział w domu. Nie powiedział o dziwnym wrażeniu, jakby jego mózg penetrowały koszmarnie, zimne macki. Pomimo że od tamtego czasu minęło już kilka dni i złowrózbnie przecucie opuściło go, to jednak wciąż słyszał w myślach echo potwornego chichotu.

— Mam nadzieję, że to prawda, Jon — powiedziała Amy czułym głosem, którego brzmienie odpędziło wszelkie złe myśli. — Wolę ciebie takim, jakim byłeś, kiedyśmy się poznali; opanowanym, serdecznym, czasami zabawnym — pociągnął ją za włosy — seksownym...

Przyciągnął ją do siebie. Ich usta złączyły się w pocałunku, początkowo delikatnym, po chwili coraz bardziej namiętnym i gwałtownym; ich języki splatały się, delektując ciepłą wilgocią.

Przywarła do niego mocno, całym ciałem. Wsunęła szczupłą nogę pomiędzy jego kolana.

— Hej, spokojnie — powiedział, łapiąc oddech. — Mam na sobie tylko kąpielówki. Pamiętaj, że jesteśmy w miejscu publicznym.

— Nikt nie patrzy. — Musnęła ustami jego szyję i jeszcze mocniej napała na niego udem.

— Nie tak powinna zachowywać się nauczycielka ze szkoły dla panienek.

— Szkoła się skończyła.

— To samo będzie ze mną, jeśli natychmiast nie przestaniesz.

— Czyżby wyszedł ci z kąpielówek?

— Amy — przestrzegł ją.

Odsunęła się od niego z wybuchem śmiechu.

— Świętoszek — powiedziała, siadając i zabierając się do dalszego suszenia włosów.

On także usiadł, podkurczając nogi, by ukryć wybrzuszenie kąpielówek.

— Wstydź się — naigrawała się z niego.

— Mam pomysł — powiedział nagle.

— Ach, tak? — odparła udawanym kpiarskim tonem.

— Możesz się wysuszyć porządnie u mnie. Chyba że z jakiegoś powodu musisz być wcześniej w domu.

— Jeśli o to chodzi, to powiedziałam, że nie będę w domu na obiedzie.

— Naprawdę? Zaplanowałaś to sobie, tak?

— Nie, ale myślałam, że może ty na to wpadniesz.

— Właśnie coś mi przychodzi do głowy...

Pojechali do domu Childesa, nie zadawszy sobie trudu, żeby się przebrać. Zresztą, półnaczy ludzie za kierownicą są typowym obrazkiem na wyspie, kiedy dopisuje słoneczna pogoda. Wkrótce znaleźli się w małym domu z szarego kamienia, gdzie mieszkał Childes.

Amy zadrżała z zimna, kiedy Childes zamknął za nimi drzwi.

— Zimniej tu niż na dworze — powiedziała.

— Dam ci swój płaszcz kąpielowy i zrobię drinka.

— Chciałabym najpierw zmyć z siebie sól.

— Dam ci mój płaszcz kąpielowy, zrobię drinka i napuszczę wody do wanny.

Objęła go za szyję i pocałowała w nos.

— Wiesz co, zrób tylko drinki.

Ujął ją w tali i przytulił mocno, szukając ustami jej ust. Amy oddała pocałunek z równą gwałtownością i prawie natychmiast poczuła na brzuchu jego erekcję. Odsunęła się od niego, zanim sprawy zdążyły wymknąć się spod kontroli.

— Pozwól, że się jednak najpierw wykąpię — powiedziała, lekko dysząc.

— Przecież zaledwie przed chwilą wyszłaś z morza. Jesteś czysta.

Oderwała się od niego.



— Zrób drinki i przejrzyj pocztę. To nie zabierze mi dużo czasu. — Zniknęła za drzwiami łazienki, zanim zdążył zdobyć się na kolejny protest.

Sięgnął po listy leżące na wycieraczkę. Natychmiast zobaczył wśród nich różową kopertę ze śmiesznym wizerunkiem pieska

Snoopy w rogu. Uśmiechnął się, kiedy na kopercie rozpoznał dziecinne pismo Gabby. Włożywszy koszulę, którą poprzednio przewiesił wraz z resztą garderoby przez poręcz schodów, Childes powoli wszedł do pokoju i po drodze rzucił na biurko pozostałe dwie szare koperty zawierające rachunki.

Otworzył różową kopertę. Gabby pisała do niego przynajmniej raz w tygodniu. Czasami listy były długie i zawierały masę informacji, inne, tak jak dzisiejszy, zaledwie kilka linijek koślawego pisma. Dla Gabby był to sposób na utrzymanie bliskiego kontaktu, mimo dzielących ich kilometrów. Panna Puddles wciąż miała srebrzysty proszek w sierści, Annabel zachorowała na ospę wietrzną, a mamusia obiecała, że podczas najbliższego weekendu pokaże jej, jak się piecze kruche ciasteczka. Childes dotknął wargami rzędu wielkich iksów obok podpisu Gabby. Był to ich wspólny sekret; iksy oznaczały buziaki i musiały być przypieczętowane prawdziwym pocałunkiem.

Z łazienki dobiegł go szum wody. Włożył list do koperty i odłożył na stolik. Nalał sobie szkockiej, a dla Amy wytrawnego martini, po czym poszedł do kuchni po lód. Kiedy przyniósł jej wino, właśnie wchodziła do wanny. Zatrzymał się w drzwiach i przyglądał się jej, podziwiając lekko opalone ciało, szczupłość nóg i długie, delikatne palce obejmujące brzeg wanny. Jej włosy, wciąż wilgotne od morskiej wody, okalały pasmami twarz i opadały na ramiona. Kiedy zanurzała się w wodzie, zmrużyła bładozielone oczy i wydała cichy pomruk zadowolenia. Sutki jej małych piersi wystawały ponad powierzchnią wody.

Childes zakręcił kurki i podał jej martini. Otworzyła oczy, wzięła od niego kieliszek i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Z wolna popijali alkohol, a Childes zanurzył dłoń w wodzie i zaczął delikatnie pieścić jej gładką skórę, wkrótce docierając do kępki delikatnych włosów pomiędzy nogami.

Amy westchnęła cicho i lekko przygryzła dolną wargę.

— Ach, jak dobrze — szepnęła, kiedy jego dłoń zatrzymała się tam na dłużej.

Pochylił się, by pocałować jej sterczące sutki, podczas gdy ona przeczesywała dłonią jego gęste włosy, głaskała go po karku

i wsunęła dłoń pod kołnierzyk koszuli. Delikatnie masowała kark i tym razem z jego ust wymknął się pomruk zadowolenia. Childes przesunął ustami po ramieniu i szyi Amy, szczypiąc zębami jej skórę, lecz tak, by nie sprawić jej bólu. Przekręciła głowę na bok, a jej ciało przeszył radosny dreszcz.

Przerwał pieszczoty, nie chcąc jeszcze doprowadzić do finału, jeszcze nie teraz. Odwróciła głowę i spojrzała na niego, jej oczy promieniały blaskiem.

— Kocham cię — powiedziała ze wzruszającą prostotą. Lekko ją pocałował i palcami odgarnął kosmyk włosów z twarzy.

— Na górze czeka na nas wygodne łóżko — szepnął.

Amy spuściła oczy, jakby nagle zawstydzona własną śmiałością.

— Uwielbiam być z tobą — dodała.

Wypiła łyk martini z wyraźną przyjemnością. Childes pomógł jej wmasować szampon we włosy, po czym splukał je, używając pustej szklaneczki po whisky. Bez pośpiechu umył jej gąbką plecy. W końcu pomógł jej wyjść z wanny i teraz stała przed nim piękna, szczupła i opalona, wzruszająca w swojej niewinnej młodzieńczej nagości, której jednak zadawał kłam prowokujący uśmiech. Childes osuszył ją, lekko poklepując ręcznikiem, jak gdyby obawiał się, że gwałtowniejsze ruchy zniszczą piękno brązowego ciała. Sięgnął do jej nóg, które ugięły się w kolanach, kiedy je wysuszał.

Zatrzymał się na chwilę, by pocałować jej brzuch, biodra i uda. Była tam bardzo wilgotna i nie był to wyłącznie skutek kąpieli.

— Jon — powiedziała, a w tonie jej głosu wyczuł łagodne ponaglenie. — Czy możemy już pójść na górę?

Podniósł się, sięgnawszy po płaszcz kąpielowy, w który troskliwie ją owinał.

— Idź pierwsza, a ja zrobię nam jeszcze po drinku.

Kiedy znalazł się znowu w pokoju, usłyszał tupot jej bosych stóp i skrzypienie sprężyn łóżka w

sypialni na piętrze. Pospiesznie napełnił szklanekę i kieliszek i wszedł na górę, zapominając o dodaniu lodu. Amy, wciąż jeszcze w płaszczu kąpielowym, czekała w łóżku. Prowokacyjnie odsłoniła nagie udo, a rozarty dekolot ukazywał subtelną krągłość jej piersi.

Childes stanął w progu sypialni i przez chwilę sycił się jej widokiem. Postawił szklanekę i kieliszek na nocnym stoliku, po czym usiadł na łóżku obok Amy. Żadne z nich nie odzywało się, zadowolając wzajemnymi spojrzeniami i radując z tego, co widzieli. Czekanie sprawiało im przyjemność.

W końcu Amy objęła go i przyciągnęła do siebie, zsuwając z jego ramion koszulkę. On zaś wsunął dłonie pod płaszcz kąpielowy i odwzajemnił uścisk. Zaczęli się całować bez opamiętania, a ich wargi złączyły się we wzajemnym poszukiwaniu. Jej ruchliwe dłonie pieściły jego plecy i biodra, podszczypując i lekko drapiąc. Pieścił jej piersi, które z wyjątkiem twardych sutków nie stawiały oporu pod naciskiem jego palców.

Jego ręka ześliznęła się w stronę jej uda i dalej w poszukiwaniu krągłych pośladków, pieszcząc je obrotowymi ruchami. Amy głośno westchnęła i ułożyła się na plecach, z jedną nogą lekko uniesioną. Dłoń, penetrująca zakamarki jej ciała, odszukała siedlisko ciepłej wilgoci, i powitał ją stłumiony okrzyk zadowolenia. Otworzyła się dla niego i wszedł w nią palcami, delikatnie gładząc kciukiem na zewnątrz, co spowodowało, że zaczęła oddychać szybciej i objęła go mocno, przytuliwszy się całym ciałem.

Oddech Amy stał się płytki i przyspieszony. Jęk rozczarowania wyrwał się z jej ust, kiedy Childes wycofał dłoń. Oboje pragnęli dotykać się, lecz on teraz jeszcze gwałtowniej potrzebował jej ciała, jej uścisku, pragnął, by objęła go nogami i wchłonęła w siebie. Zrozumiała ten zamiar i pomogła mu wyswobodzić się z resztek ubrania, a następnie sięgnęła po niego i pomogła mu wejść w siebie. Nie stawiała mu żadnego oporu i po chwili oboje zaczęli wydawać z siebie pomruki zadowolenia. Childes zatrzymał się na chwilę, chcąc ujrzyć jej twarz. Znowu zaczęli się całować, lecz dążenie do miłostnego spełnienia przewyciężyło pragnienie czułych pieścot.

Czuł, jak jej miękkie i gorące uda oplatają go, i uniósł się na łokciach, by móc całować jej piersi. Widok jej ciała, leżącego pod nim, był cudowny. Przyspieszył rytm, a Amy prędko dostosowała się do niego. Znowu opadł na nią całym ciężarem swego ciała, a ona wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Wkrótce pokój wypełniły ich posapywania, coraz głośniejsze pojękiwania i wreszcie okrzyki spełnienia.

Po chwili oderwali się od siebie, wymieniwszy pocałunki, i leżeli na plecach, oddychając głośno. Amy otrzeźwiała pierwsza i przysunęła się do Childesa, obejmując go lekko jedną ręką.

Wpatrywała się w jego profil; ostry podbródek i lekkie zgrubienie na grzbiecie nosa. Powiodła palcem po jego półotwartych ustach, a on lekko przygryzł go zębami.

— Będzie powtórka? — spytała figlarnie. Jęknął i wsunął rękę pod jej ramię, a Amy ułożyła głowę na jego piersi.

— Wiesz co? Czasami wyglądasz, jakbyś miała piętnaście lat.

— Na przykład teraz? Przytaknął.

— Czy to cię odstręcza?

— Skądże znowu. Przecież wiem, ile masz naprawdę. Widzę w tobie kobietę.

— Dziwkę?

— Nie, kobietę.

— Cieszę się, że to ci sprawia przyjemność.

— Uszczęśliwiłaś starego człowieka.

— Trzydzieści cztery lata to jeszcze nie starość.

— Jestem od ciebie o jedenaście lat starszy.

— Jak się tak nad tym zastanowić, to rzeczywiście wydajesz się odrobinę za stary. Może będę musiała zrewidować swoje plany w stosunku do ciebie.

— O, więc masz jakieś plany?

— Powiedzmy, że są to pewne niezbyt określone zamiary.

— Mogę się dowiedzieć, jakie?

— Jeszcze nie. Nie jesteś gotów, żeby je usłyszeć.

— Zastanawiam się, czy twój ojciec by je zaakceptował.

— Dlaczego zawsze musimy mówić o moim ojcu?

— Przecież stanowi ważną część twojego życia. Nie sądzę, by jego dezaprobatą sprawiała ci przyjemność.

— Oczywiście, że nie, ale muszę sama decydować o swoim życiu.

— Uczyć się na błędach?

— To też. Ale dlaczego jesteś takim pesymistą? Sądzisz, że nasz związek też jest pomyłką?

Childes podparł się na łokciu i spojrzał na nią.

— Och nie, Amy, zupełnie tak nie myślę. Jest nam tak dobrze ze sobą, że czasami mnie to przeraża.... Boję się, że cię stracę. Objęła go mocniej.

— To ty stawiałaś barykady, które musiałam po kolei zdobywać.

— Oboje długo nie mogliśmy się zdecydować.

— Kiedy cię poznałam, byłeś jeszcze wciąż zonatym mężczyzną, choć w separacji z żoną. Stanowiłeś dla mnie zagadkę, ale przypuszczam, że właśnie to z początku mnie w tobie intrygowało.

— Czekałem cały rok, zanim zdecydowałem się zaproponować ci randkę — powiedział.

— To ja pierwsza się z tobą umówiłam, nie pamiętasz? Zaprosiłam cię na plenerowe przyjęcie na plaży w jakąś niedzielę. Powiedziałeś, że być może przyjdiesz.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

— Tak, byłem wtedy raczej zamknięty w sobie.

— Nadal tak jest.

— Nie w stosunku do ciebie. Zmarszczyła brwi.

— Nie jestem tego pewna. Jest w tobie pewna sfera, której nigdy nie przeniknęłam.

— Amy, muszę ci powiedzieć, że ja sam mam z tym kłopoty. Siedzi we mnie coś — i nie mam, do diabła, pojęcia, co to jest — czego sam nie potrafię wytłumaczyć. Coś, co kryje się w najciemniejszym kącie umysłu, uspięne. Czasami mam wrażenie, że to potwór, który tylko czeka na sposobność do ataku. To niesamowite i bardzo nieprzyjemne uczucie. Czasami zastanawiam się, czy nie mam lekkiego świra.

— Sądzę, że większość z nas doświadcza czegoś podobnego. Właśnie dlatego ludzie działają czasami w sposób trudny do przewidzenia. To część niezbadanej ludzkiej natury.

— Nie, ze mną dzieje się coś innego. To tak... jak... — Był bardzo napięty, a teraz jakby uszło z niego powietrze. — Nie potrafię tego wytłumaczyć — powiedział w końcu. — Najtrafniej mógłbym to określić jako dziwną, tajemniczą moc; może to jednak zbyt mocne słowo. Jej istnienie jest niezwykle trudno uchwytnie; do tego stopnia, że wydaje się nierealne. Może to tylko wyobraźnia płata mi figle. Po prostu wyczuwam, że jest we mnie coś, co nigdy nie zostało ujawnione. Chociaż, pewnie masz rację, może rzeczywiście każdy z nas czuje coś podobnego. Wpatrywała się w niego intensywnie.

— Może. Ale, czy to, co odczuwasz, ma jakiś związek z twoimi „wizjami“?

Zamyślił się na chwilę, zanim zdołał odpowiedzieć.

— Chyba tak. Muszę przyznać, że świadomość tego tajemniczego, drzemającego we mnie potencjału staje się w takich chwilach silniejsza.

— Próbowalesz coś z tym zrobić?

— Jak? Do kogo mam pójść? Do lekarza, psychiatry?

— Parapsychologa?

— O, nie. Nie ma mowy, żebym się pakował w takie bzdury.

— Jon, nie ma wątpliwości, że masz pewien szczególny dar psychiczny. Dlaczego więc nie chcesz poradzić się kogoś, kto się w tym specjalizuje?

— Gdybyś przeszła to, co ja trzy lata temu, dostawała dziesiątki telefonów i listów od wariatów i przeróżnych „mediów“, żeby nie wspomnieć o tych, którzy odwiedzali mnie osobiście, by zamęczać mnie i moją rodzinę, nie mówiłabyś takich rzeczy.

— Nie miałam na myśli takich ludzi, lecz prawdziwego parapsychologa, naukowo zajmującego się tymi zjawiskami.

— Nie.

Zdziwił ją stanowczy ton jego głosu.

Leżąc na plecach, wpatrywał się w sufit.

— Nie chcę, żeby mnie ktokolwiek badał. Nie zamierzam głębiej w to wnikać. Chcę pozostawić to w spokoju, Amy. Wydaje mi się, że to samo przejdzie.

— Dlaczego się boisz? Zamknął oczy, kiedy odpowiadał:

— Ponieważ czuję osobliwy lęk, nazwij to przecuciem, że

jeśli ta nieznana... uspiona siła, przebudzi się we mnie, to stanie się coś straszego. — Otworzył oczy, lecz nie patrzył w jej stronę. — Coś niezwykłego i przerażającego — dodał. Amy wpatrywała się w niego bez słowa.

Później Amy przyrządziła kolację, Childes zaś snuł się leniwie pomiędzy kuchnią a pokojem. W wyniku poprzedniej rozmowy atmosfera się zmieniła, choć wciąż istniało między nimi intymne porozumienie. Amy była zaskoczona i zaniepokojona tym, co powiedział, ale postanowiła, że nie będzie go dalej zdręczać. Jonathana trapiły problemy, ale była pewna, że kiedy nadejdzie pora, on sam zdecyduje się jej wyznaczyć ich istotę. Nawet trochę żałowała, że doszło w ogóle do rozmowy na ten temat, gdyż Childes pogрузzył się w rozmyślaniach. A gdy jedli kolację, głównie ona dbała o podtrzymanie konwersacji.

Zanim wyszła, kochali się znowu, tym razem na kanapie w pokoju na parterze. Kochali się w mniejszym pośpiechu, przedłużając dojszcie do szczytowania, delektując się każdą chwilą wspólnej rozkoszy. Więż, jaka między nimi zaistniała, stała się niezwykle silna i nie mogło być żadnych wątpliwości co do charakteru uczuć, jakie wobec siebie żywili. Był dla niej niezmiernie czuły i delikatny i w końcu zdołał się odprężyć, zapominając o trapiących go problemach. Kiedy było już po wszystkim, rozplakała się. Powiedziała, że to ze szczęścia, a nie ze smutku, a on przytulił się do niej mocno.

Kiedy w końcu odwoził Amy do domu, było już bardzo późno. Oboje znajdowali się w stanie błogiej euforii po dniu pełnym wspólnych intymnych doznań.

W samochodzie pocałowała go na dobranoc. Był to namiętny pocałunek i dopiero po dłuższej chwili zdołała się wyrwać z jego objęć. Czekał, aż Amy dojdzie do frontowych drzwi, i dopiero wtedy zawrócił i odjechał. Ona zaś włożyła klucz do zamka z chwilą, gdy tylne światła samochodu rozplynęły się w mroku.

Zanim otworzyła drzwi, rzuciła ostatnie spojrzenie na magiczny krajobraz oświetlony jasnym blaskiem księżyca w pełni.

Staruszek usłyszał odgłos otwieranych drzwi, ale zacisnął powieki, udając, że śpi. W ślad za tym dotarł do niego odgłos kroków. Nienawidził ich i cały zeszytniał przypięty rzemiennymi pasami do wąskiego łóżka. Obmierzył zapach potu potwierdził jego podejrzenia, więc postanowił zaniechać udawania, nie potrafiąc utrzymać języka za zębami.

— Znowu tu jesteś, żeby się nade mną znęcać, tak? — wysapał. — Nie możesz mnie zostawić w spokoju?

Brak odpowiedzi.

Staruszek przekrzywił szyję, by móc spojrzeć w kierunku wejścia. Wisząca pod sufitem żarówka w osłonie ze stalowego drutu dawała mizerne światło, ale mimo panującego w pokoju półmroku dostrzegł ciemniejszy kształt sylwetki ludzkiej przy drzwiach.

— Ha! Wiedziałem, że to ty! — wrzasnął leżący mężczyzna. — Co cię sprowadza tym razem? Nie możesz spać? Jasne, że nie, przecież wszyscy o tym gadają. Nie może spać, ciągle gdzieś się włóczy po nocach. Nie lubią cię, nikt cię tu nie lubi. Ja też nie. Tak naprawdę, to ja ciebie nienawidzę. Ale ty przecież wiesz o tym doskonale! — Śmiech staruszka zabrzmiał chrypliwie.

— Czego tam stoisz? Nie gap się tak na mnie! No właśnie, zamknij drzwi, żeby nikt nie słyszał, jak się nade mną znęcasz. Przecież nie wolno nam zbudzić innych czubków, prawda? Poskarżyłem się lekarzom na ciebie. Powiedziałem im, co ze mną robisz, kiedy jesteśmy bezświadców. Powiedzieli, że porozmawiają sobie z tobą na ten temat — szydził staruszek. — Na pewno wkrótce się ciebie pozbędą.

Postać ruszyła spod drzwi w stronę łóżka.

— Założę się, że nie przyszło ci to do głowy, że oni mogą mi uwierzyć — urągał starzec — ale oni

doskonale wiedzą, że nie wszyscy wariaci są zamykani nocą na klucz. Są jeszcze tacy, którzy snują się po korytarzach, gdy wszyscy inni śpią, i którzy za dnia udają, że są grzeczni i mili. Tacy, którzy są bardziej szaleni niż pilnowani przez nich wariaci.

Postać stanęła nad łóżkiem, zasłaniając światło słabej żarówki. Trzymała w ręku lekarską torbę. — Masz coś dla mnie, tak? — powiedział staruszek, mrużąc oczy, by przeniknąć pochylający się nad nim czarny cień. — Znowu masz w zanadru jakieś paskudne sztuczki. Ostatnim razem miałem na ciebie pełno sińców i zadrapań. Lekarze je widzieli. — Wybuchnął triumfalnym śmiechem. — Teraz mi wierzą! Przecież tym razem nie mogłem się sam pokaleczyć! — Z kącika ust wyciekła strużka śliny i spłynęła po policzku staroego. Poczul na piersi ciężar stawianej torby i usłyszał metaliczny szczęk otwieranego zatrasku. Duże dłonie zanurzyły się we wnętrzu torby.

— Co tam masz w ręce? — zaciekawil się staruszek. — Błyszczysz się. Lubię błyszczące rzeczy. Lubię jak są ostre. Czy to jest ostre? Widzę, że tak. Tak naprawdę to o niczym nie powiedziałem lekarzom. Tylko tak gadałem, żeby cię zdenerwować. W życiu bym nawet słówkiem nie pisał. Nie mam nic... przeciwko temu... — wysapał. — Przecież to... tylko... zabawa.

Poruszył się niespokojnie, ale mocne rzemienne pasy krępowały jego ruchy, a zwiotczałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa. W zagadkowy sposób przerażenie w oczach staruszka nadało im normalny, trzeźwy wygląd.

— Powiedz mi, co tam trzymasz w ręce? — Mówił szybko, a słowa zlewały się w jedno, przekształcając się w wysoki jęk. Ramiona i pierś staroego mężczyzny uniosły się w bolesnym skurczu. Postać nachyliła się nad nim i teraz mógł dostrzec rysy jej twarzy. — Proszę, nie patrz tak na mnie. Nie cierpię, kiedy tak się uśmiechasz. Nie... nie kładź tego na... na moim czole. Nie! To... to boli. Wiem, że jak będę krzyczał, to i tak nikt mnie nie usłyszy, ale... nic mnie nie powstrzyma. Czy to krew? Zalewa mi oczy. Proszę, nic nie widzę... błagam... boli... Teraz... będę... krzyczał... to tnie... za głęboko....

Krzyk starca był tylko stłumionym rżeniem, gdyż wepchnięto mu do ust leżącą opodal skarpetę. Postać jeszcze bardziej pochyliła się nad łóżkiem staruszka i stalowym ostrzem wykonywała miarowe ruchy do przodu i do tyłu, podczas gdy pacjenci i pracownicy szpitala psychiatrycznego spali spokojnie.

Koszmar nawiedził Childesa tej nocy, ale nie podczas snu, tylko w czasie jazdy samochodem do domu.

Najpierw poczul falę gorąca i duszności, jakby znalazł się w chmurze nieprzyjemnych wyziewów. Zacisnął spocone dłonie na kierownicy. Skoncentrował się na drodze oświetlonej przez księżyc, próbując zignorować narastające w jego głowie ciśnienie. Jednak niesamowite uczucie spotęgowało się — jakby chmura oparów wypełniała szczelnie jego mózg, mięśnie karku ze-sztwywniały, a ramiona stały się ciężkie.

Pierwsza wizja zaledwie mignęła mu w wyobraźni i ucisk w głowie zelzał na chwilę. Nie był pewien tego, co widział, wrażenie zbyt prędko umknęło. Tajemniczy ucisk natychmiast powrócił i Childes gwałtownie skręcił na poboczne drogi. Gałęzie żywopłotów otarły się o maskę i boczne szyby samochodu, jakby chciały wdrzeć się do środka. Childes zwolnił, lecz nie zatrzymał się. Wydawało mu się, że ujrzał czyjeś ręce. Duże i silne dłonie.

Miał uczucie, jakby jego głowę wypełniały kłęby waty, które wciąż pęczniejąc, spychały na bok jego własną świadomość. Był już blisko domu i zmuszał się, żeby prowadzić samochód środkiem wąskiej drogi ze stałą, niewielką prędkością, wiedział bowiem, że ruch o tak późnej porze jest minimalny. Pojawil się obraz błyszczącego ostrego narzędzia trzymanego przez wielkie palce. Wizja ta wtargnęła gwałtownie jak piorun z jasnego nieba i przyćmiła wszystkie inne wrażenia.

Zmagał się z sobą samym, by utrzymać samochód na środku drogi, kiedy obraz zniknął równie nagle, jak się pojawił. Po chwili znowu powrócił, przynosząc ze sobą dziwne mrowienie od palców dłoni aż po ramiona.

Teraz rzeczywiście znajdował się już w pobliżu domu. Miał przed sobą zakręt drogi wiodącej wprost do rzędu małych bliźniaczych domów. Zdjął nogę z pedału gazu i przyhamował. Kropla potu ociekającego z czoła wpadła mu do oka, przetarł je więc wierzchem dłoni, by lepiej widzieć. Wcale nie przyszło mu to łatwo, ruch ręki był powolny. Wykonał skręt kierownicą i w światłach

przednich reflektorów minimorrisa pojawiły się znajome domy. Był świadom tego, co się z nim dzieje, lecz obawiał się rzeczy, które jeszcze mogły nastąpić. Pragnął za wszelką cenę znaleźć się w domu, czując się bezbronny w blasku księżyca, który sprawiał, że okolica wydawała się martwa, drzewa dziwnie płaskie, jakby wycięte z papieru, a cienie głębokie i ostre. Już prawie w domu, jeszcze kilka metrów. Spokojnie. Zaparkował przed domem i wyłączył silnik. Opadł do przodu z rękami na kierownicy. Wziął kilka głębokich oddechów, wciąż czując olbrzymie ciśnienie niemal rozsadzające czaszkę. Wyszarpnąwszy kluczyki ze stacyjki, wytoczył się z samochodu. Z głową i ramionami skąpanymi w jasnym blasku księżyca grzebał przy zamku, nie mogąc wsunąć klucza do dziurki. Po chwili udało mu się, popchnął drzwi, chwiejnym krokiem wszedł do pokoju, gdzie osunął się na kolana. Właśnie tam z pełną ostrością ukazała mu się wizja.

Wyraźnie widział twarz starego mężczyzny wykrzywioną grymasem przerażenia. W jego oczach widział zwierzęcy lęk. Z jego wąskich, popękanych ust sączyła się strużka śliny i wydobywały bełkotliwe słowa, których Childes nie słyszał. Stary człowiek zmagał się z rzemiennymi pasami, którymi przywiązany był do wąskiego łóżka. Skóra na chudej szyi napinała się, kiedy staruszek kręcił głową, a duża grdyka stale się poruszała, tak jakby gwałtownie przełykał powietrze. W wielkich, rozszerzonych wskutek przerażenia, źrenicach oczu Childes ujrzał niewyraźne odbicie, kogoś, kto pochylił się nad starcem.

Ujrzawszy stalowe ostrze dotykające czoła przerażonego mężczyzny, Childes osunął się na podłogę. Zasłonił dłońmi czoło i krzyknął, gdy zauważył posuwisty ruch narzędzia. Z rany wypłynęła struga krwi i natychmiast spłynęła po głowie ofiary, zabarwiając na czerwono rzadkie siwe włosy i zalewając oczy.

Posuwisty ruch małej chirurgicznej piły ustał na chwilę. Childes doznał niesamowitego uczucia, jakby na chwilę nawiązał z mordercą kontakt psychiczny. Lecz tym razem to on został rozpoznany, a oprawca powitał ten fakt z radością.

— Overoy?

— Detektyw inspektor Overoy, słucham,

— Mówi Jonathan Childes.

— Childes? — Krótka pauza. — Ach tak, Jonathan Childes, przypominam sobie. To już kawał czasu.

— Trzy lata.

— Naprawdę? No tak, rzeczywiście. Czym mogę panu służyć, panie Childes?

— To trudne. Nie wiem, od czego zacząć.

Overoy odsunął krzesło i położył nogi na krawędzi biurka. Jedną ręką wysunął z paczki papierosa i wetknął do ust. Potarł kamień taniej zapalniczki i zapalił, dając Childesowi czas na znalezienie właściwych słów.

— Pamięta pan sprawę tamtych morderstw? — wykrztusił z siebie w końcu.

Overoy wydmuchnęła chmurę dymu.

— Ma pan na myśli zabójstwa dzieci? Jakże mógłbym zapomnieć? Bardzo pan nam wtedy pomógł. I zapłaciłem za to wielką cenę, pomyślał Childes, choć tego nie powiedział.

— Wydaje mi się, że znowu dzieje się ze mną coś podobnego.

— Proszę?

Overoy nie ułatwiał mu zadania.

— Powiedziałem, że mam wrażenie, iż znowu dzieje się ze mną coś podobnego. Mam widzenia, wizje.

— Chwileczkę. Czy chce pan przez to powiedzieć, że odkrył pan zwłoki kolejnych ofiar?

— Nie, tym razem jestem świadkiem dokonywania mordów.

Overoy zdjął nogi z biurka i przysunął się, biorąc do ręki długopis. Gdyby to dzwonił ktoś inny, policjant pewnie zlekceważyłby doniesienie, uznając go za wariata, ale nauczył się traktować Childesa poważnie, pomimo początkowej daleko posuniętej nieufności podczas poprzedniej sprawy.

— Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co pan... hmm... „widział”, panie Childes.

— Najpierw musimy porozumieć się w pewnej sprawie. Chcę, żeby to było zupełnie jasne.

Overoy spojrział na słuchawkę tak, jakby był to sam Childes.

— Słucham — powiedział.

— Chcę, żeby wszystko, co panu powiem, pozostało między nami. Żadnych przecieków do prasy. Nie tak, jak ostatnim razem.

— Proszę posłuchać, to nie była wyłącznie moja wina. Dziennikarze mają niezwyklego nosa do wszelkich niezwykłych spraw. Staralem się trzymać ich z dala od pana, ale kiedy zwąchali, w czym rzecz, nie sposób było ich powstrzymać.

— Żądam pańskiej gwarancji, Overoy. Teraz nie dam się osaczyć tej wścieklej sforze — zbyt wiele musiałem wycierpieć ostatnim razem. A poza tym, może to, co mam panu do powiedzenia, nie ma najmniejszego znaczenia.

— Proszę mi wierzyć, że zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

— To mi nie wystarczy.

— Czego pan ode mnie oczekuje?

— Zapewnienia, że przynajmniej na razie, wszystko co panu powiem, pozostanie między nami.

Tylko wtedy, gdy uda się panu potwierdzić autentyczność moich rewelacji, posunie się pan dalej. I tylko w takim wypadku będzie wolno panu zawiadomić przełożonych i kolegów po fachu prowadzących dochodzenie.

— Jakie dochodzenie ma pan na myśli?

— Na razie jedno. Może dwa.

— Chciałbym jednak usłyszeć garść szczegółów.

— Czy mam pańskie słowo?

Overoy zapisał nazwisko Childesa na kartce papieru i podkreślił je dwa razy.

— Ponieważ nie mam pojęcia, o czym pan mówi, dobrze, zgadzam się.

Jednak mężczyzna po drugiej stronie słuchawki zawahał się, jakby nie ufając detektywowi. Overoy cierpliwie słuchał.

— Chodzi o profanację zwłok dziecka, chłopca. Jego ciało zostało okaleczone. Czy macie w tej sprawie jakies ślady? Overoy uniósł brwi ze zdziwienia.

— Nic. A pan coś o tym wie?

— Widziałem to.

— Tak jak poprzednio? Przyśniło się panu?

— Nie byłem przy tym fizycznie obecny, ale również nie przyśniło mi się to.

— Przepraszam, użyłem niewłaściwego słowa. Widział pan to w wyobraźni.

— Tak. Najpierw pogruchotano trumnę jakimś małym toporkiem, a potem wyciągnięto zwłoki dziecka i położono na trawie obok grobu.

Znowu na chwilę zapadło milczenie.

— Proszę mówić dalej — zachęcił Overoy.

— Ciało chłopca rozcięto nożem i wypruto organy wewnętrzne.

— Panie Childes, nie mówię, że panu nie wierzę, ale te szczegóły znalazły się w większości krajowych gazet. Wiem, że poprzednio miał pan spore problemy, żeby mnie przekonać. Przyznaję, iż początkowo sądziłem, że jest pan wariatem, ale w końcu uwierzyłem panu. Nawet ja nie mogłem podawać w wątpliwość faktów, kiedy wskazał nam pan, gdzie znajdują się zwłoki drugiej ofiary. Ale musi mi pan wymienić nieco więcej szczegółów, żebym mógł coś w tej sprawie zrobić, rozumie pan?

Childes powiedział beznamiętnie:

— Jest pewna rzecz, o której nie wspominały gazety, przynajmniej nie ta, którą ja czytałem. Serce chłopca zostało pożarte.

Długopis, obracany w palcach przez Overoya, nagle się zatrzymał.

— Overoy? Słyszał mnie pan?

— Tak, słyszałem. Serce nie zostało pożarte, jak pan to ujął, ale rzeczywiście znaleziono na nim ślady zębów. Podobne ślady odkryto w innych miejscach na ciele.

— Kto mógłby zrobić coś podobnego?

— Właśnie to chcielibyśmy ustalić. Co jeszcze może mi pan powiedzieć, panie Childes?

— O tym? Nic więcej. Widziałem, jak to się zdarzyło, ale niestety nie potrafię opisać przestępcy. Było tak, jakbym widział to jego oczami.

Overoy chrząknął.

— Jeśli dobrze pamiętam, przeprowadził się pan na jedną z wysp na kanale La Manche po naszych ostatnich... kontaktach. Czy właśnie stamtąd pan dzwoni w tej chwili?

— Tak.

— Czy zechciałby mi pan podać swój adres i numer telefonu?

— Chce mi pan wmówić, że nie macie go w swoich aktach?

— Po prostu zaoszczędzi mi pan tym sposobem sporo czasu. Childes podał informacje, o które prosił policjant, po czym powiedział:

— Więc jednak bierze pan poważnie to, co powiedziałem?

— Tak jak i ostatnim razem.

— No... tak. W końcu zaufałam mi pan.

— Jedno rutynowe pytanie, panie Childes. Oczywiście, tego dnia, kiedy sprofanowano zwłoki chłopca, był pan u siebie, na wyspach.

W odpowiedzi Childesa słyhać było znużenie:

— Tak, i mogę podać panu nazwiska osób, które są w stanie o tym zaświadczyć.

Overoy znów zapisał coś na kartce.

— Przepraszam, ale zawsze lepiej wyjaśnić takie sprawy na samym początku.

— Nie powinno to być dla mnie zaskoczeniem po tym, co spotkało mnie poprzednim razem.

— Sam pan przyzna, że okoliczności były raczej niezwykle.

A wracając do obecnej sprawy, czy jest pan zupełnie pewien, że nie ma nic więcej do dodania?

— Niestety nie.

Detektyw odłożył długopis i sięgnął do popielniczki po papierosa. Popiół spadł na notatki.

— To się zdarzyło dobre parę tygodni temu. Dziwię się, że dopiero teraz dzwoni pan z tym do mnie.

— Wtedy sądziłem, że to po prostu jednostkowy przypadek. Zresztą i tak niewiele mogłem panu powiedzieć.

— Czemu zatem zmienił pan zdanie? Głos Childesa łamał się:

— Miałem... kolejną wizję... ostatniej nocy. Overoy znów sięgnął po długopis.

— Nie wiem, czy jestem w stanie to teraz uporządkować. To trudno zapamiętać. Zupełnie tak samo jak ze snem: pamięta się go zaledwie przez moment po przebudzeniu. Późnym wieczorem wracałem do domu samochodem i zupełnie nieoczekiwanie w mojej świadomości pojawiła się ta wizja. Było to tak zaskakujące i intensywne doznanie, że omal nie rozbiłem samochodu. Ledwo dotarłem do domu i tam prawie straciłem przytomność. Odczuwałem to tak, jakby mój umysł przeniósł się w inne miejsce.

— Proszę powiedzieć, co pan widział. — Overoy z napięciem oczekiwał na odpowiedź.

— Byłem w jakimś pomieszczeniu. Niewiele widziałem z otoczenia, ale wydawało mi się dziwnie puste, ogołocone z przedmiotów. Miałem przed sobą twarz starego mężczyzny. Bał się czegoś przeraźliwie i usiłował uniknąć spotkania z tym, co do niego się zbliżało. Tym czymś — tym kimś

— byłem ja, a jednak nie ja. Widziałem wszystko oczami innej osoby. Było coś odrażającego w tym... potworze...

— Potworze?

— Tak to odbierałem. Coś chorego, odbiegającego od normy, zdeprawowanego. Wiem, bo przez chwilę wniknąłem do jego psychiki.

— Może pan udzielić wskazówek co do tożsamości napastnika?

— Nie, nie, zupełnie tak samo, jak trzy lata temu. Chwileczkę. Pamiętam jego dłonie, wielkie brutalne dłonie. Oprawca miał torbę, w której były... narzędzia.

— Do cięcia — powiedział Overoy oznajmującym tonem.

— Nie widziałem ich wszystkich, ale czułem, że tak właśnie jest.

— Czy stary mężczyzna mówił coś? Może wykrzyknął imię tej drugiej osoby?

— Nic nie słyszałem. Wszystko było nieme.



— Czy starzec usiłował uciekać?

— Nie mógł. Próbował, ale nie mógł ruszyć się z łóżka. To właśnie była kolejna dziwna rzecz: leżał na wąskim metalowym łóżku, na pryczy, do której przytroczony był jakimiś pasami. Tak mi się zdaje. Próbował wyswobodzić się, ale na próżno. Był przykuty do łóżka! Nie mógł uciekać!

— W porządku, panie Childes. Proszę powiedzieć, co się zdarzyło.

— Te ręce, te wielkie dłonie sięgnęły do torby po małą piłę i zaczęły piłować czaszkę staruszka... W ciszy, która nastąpiła, Overoy wyczuł udrekę. Odczekał chwilę, zanim zdecydował się zadać następne pytanie.

— Czy ma pan jakieś pojęcie, gdzie to mogło się zdarzyć?

— Przykro mi, ale nie. Nic to panu nie daje, prawda? Ale, widzi pan, zdecydowałem się powiedzieć panu o tym, gdyż jestem przekonany, że to była ta sama osoba, która sprofanowała grób chłopca. Overoy zaklął pod nosem.

— Skąd pan może być tego pewien? Przecież sam pan powiedział, że w obu przypadkach nie widział sprawcy?

— Wiem, po prostu wiem. Musi pan wierzyć mi na słowo. Przez kilka chwil dzieliłem umysł z tym potworem. Wiem, że to jedna i ta sama osoba.

— Powiedział pan, że to się zdarzyło zeszłej nocy?

— Tak. Późno. Po jedenastej, może około północy, nie jestem pewien. Przejrzałem poranne gazety, ale być może było jeszcze za wcześnie, żeby taka rzecz dostała się do prasy. W radiu też o tym nic nie wspomniano.

— O ile mi wiadomo, nic takiego nie zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Sprawdzę w centrali, ale wieści o tego typu przypadkach zazwyczaj rozchodzą się błyskawicznie.

— Znowu papieros zastąpił długopis i detektyw zaciągnął się głęboko. — Proszę mi powiedzieć — rzekł w obłoku dymu

— czy to jedyne zdarzenie, które widział pan w ostatnim czasie?

— Takie pytanie nigdy nie wyszłoby tak naturalnie z jego ust kilka lat temu.

— Czemu pan pyta?

— Cóż... — Policjant przeciągnął to słowo, jakby nie chciał zbyt wiele zdradzić. Jednak podjął decyzję. — Jakiś miesiąc temu zamordowano prostytutkę i wydaje nam się, że ta zbrodnia ma związek z otwarciem grobu dziecka.

— Ten sam sprawca?

— Wskazuje na to bardzo wiele śladów. Ten sam rodzaj okaleczeń, otwarta klatka piersiowa i wyjęte wnętrzności, ślady zębów na organach ofiary, pewne...

— Miesiąc temu?

Gwałtowność pytania Childesa spowodowała, że Overoy urwał.

— Mniej więcej. Czy to coś panu mówi?

— Pierwsza wizja... pojawiła się, kiedy pływałem... widziałem krew... wnętrzności...

— Miesiąc temu? — Tym razem przerwał detektyw.

— Tak. Ale wszystko było jakieś zamazane i nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, co właściwie widziałem. Jest pan pewien, że sprawcą jest ta sama osoba?

— Wszystko na to wskazuje. Porównaliśmy próbki śliny zebrane z obu ciał oraz ślady zębów. W zasadzie nie mamy wątpliwości: są takie same. Jeśli chodzi o motyw, to psychopata go nie potrzebuje. prostytutka została zgwałcona w szczególnie okrutny sposób i mamy wszelkie podstawy sądzić, że zdarzyło się to już po jej śmierci. Żadna kobieta nie pozwoliłaby na coś takiego. Patologowie nie znaleźli śladów męskiego nasienia w pochwie ofiary, jednak wsuwano tam różne przedmioty, tak więc istnieje podejrzenie, że morderca przeżywał frustracje wskutek własnego niedopasowania seksualnego. Wiemy, że musiał to być niezwykle silny osobnik, gdyż prostytutka została uduszona gołymi rękami, a nie należała do słabych i bezbronnych. Wprost przeciwnie: sama miała na koncie napaści, szczególnie na mężczyzn.

Overoy zaciągnął się papierosem.

— Według naszego rozeznania, jest pewna dodatkowa rzecz, która przesądza o powiązaniu tych dwóch spraw. Dlatego chcę, żeby pan się dobrze zastanowił: czy „widział” pan jeszcze coś

niezwykłego, coś, co mógłby pan zidentyfikować?

— Powiedziałem już, że nic takiego nie pamiętam.

— Proszę się dobrze zastanowić. — Overoy czekał, wpatrując się w swój notatnik. Po chwili znowu usłyszał głos Childesa:

— Przykro mi, ale nie potrafię przypomnieć sobie nic więcej. Kiedy próbuję się skoncentrować, wspomnienie jeszcze bardziej się rozmywa. Czy może mi pan powiedzieć, co miał na myśli?

— Jeszcze nie teraz. Powiem panu, co zrobię, panie Childes. Najpierw sprawdzę tę rzecz ze staruszką, może coś nadeszło. Potem skontaktuję się z oficerem prowadzącym dochodzenie w sprawie prostytutki i sprofanowania zwłok chłopca. Później zadzwonię do pana, dobrze?

— I sprawa ta pozostanie wyłącznie między nami?

— Na razie tak. Zresztą niewiele mógłbym ujawnić, prawda? A poza tym, mimo że odniosłem sukces, kiedy ostatnim razem pan ze mną współpracował, to wciąż jestem obiektem dowcipów ze strony kolegów po fachu. Tak więc pozwoli pan, że tym razem będę ostrożniejszy. Przepraszam za szczerość, ale tak to właśnie wygląda z mojej strony.

— W porządku, nie mam do pana żalu.

— Zadzwonię, jak dowiem się czegoś pewnego. To może potrwać bardzo krótko.

Odłożywszy słuchawkę, Overoy przez chwilę wpatrywał się w notatnik. Childes był szczery, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Może ma lekkiego świra, ale trudno się dziwić, kiedy jest się obdarzonym takimi zdolnościami. No właśnie, przecież to ten jego szósty zmysł wydawał się dziwny, a nie on sam.

Policjant zgasił papierosa i przyjrzał się swoim palcom, które były miejscami żółte od nikotyny, zmarszczył brwi. Zapalił kolejnego papierosa, po czym sięgnął po kawałek pumeksu leżący na biurku i zaczął gorączkowo pocierać nim zaplamioną skórę. Wszystko, co Childes powiedział o sprawie zmarłego chłopca, zgadzało się co do joty, ale w przypadku prostytutki musiał go ciągnąć za język. Jaki z tego wniosek dla niego — cynicznego detektywa z Wydziału Spraw Kryminalnych? Może nic. A może jednak coś. Jeszcze raz przejrzał notatki. O co mu chodziło w tej koszmarniej historii ze starym człowiekiem? Overoy odłożył pumeks i długopisem zakreślił jedno słowo.

Pasy... Childes powiedział, że staruszek był przywiązany do wąskiego łóżka. A pokój był goły, pozbawiony wyposażenia; jak on to powiedział? Ogołocony z przedmiotów. Co to może być za miejsce...?

Overoy patrzył w zakreślone kółkiem słowo, potem na przeciwległą ścianę. Za matową szybą widział ruch, słyszał stukot maszyn do pisania, dzwonki telefonów, głosy, ale nic z tego nie docierało do niego. Zaraz, zaraz... a jednak coś zdarzyło się zeszłej nocy. Czy to może mieć jakiś związek?

Niepewnie, lecz trawiony ciekawością, Overoy sięgnął po słuchawkę telefonu.

Sylwetka policjanta w mundurze, składającym się z czarnych spodni i jasnoniebieskiej koszuli z epoletami, stojącego przy wyjściu z hali przylotów lotniska wyraźnie rzucała się w oczy. Jego potężny wzrost czynił go jeszcze bardziej zauważalnym i kilku spośród pasażerów samolotu, który właśnie przyleciał z podlondyńskiego lotniska Gatwick, spoglądało na niego nerwowo, podchodząc do stanowiska kontroli celnej.

Małe lotnisko roilo się od sezonowych turystów i biznesmenów. Na dworze słońce przygrzewało jak latem, rozpraszając resztki chłodu. Ciągły strumień pojazdów wolno przesunął się wzdłuż strefy oznaczonej znakiem zakazu parkowania, uwalniając pasażerów z bagażami lub zasysając nowo przybyłych. W głównym hallu rzędy foteli zajęte były przez podróżnych i gromady znudzonych dzieci potykających się o wyciągnięte nogi rodziców, na co zmęczone matki zdawały się nie reagować, oraz grupy śmiejących się i żartujących wczasowiczów o zdrowym wyglądzie, którzy wykorzystywali ostatnie chwile urlopu.

Inspektor Robillard uśmiechnął się, kiedy z tłumu podróżnych w korytarzu hali przylotów wyłowił znajomą twarz. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Ken Overoy niewiele zmienił się od czasu, kiedy się ostatnio widzieli, ale gdy podszedł bliżej, Robillard ujrzał jego rzednące blond włosy i zaokrąglony brzuch.

— Hello, Geoff — powiedział Overoy, przekładając torbę podróżną do lewej ręki i wyciągając prawą na powitanie. Zignorował dwóch celników stojących opodal za kontuarem. — Miło, że po mnie wyszedłeś.

— Nie ma sprawy — powiedział Robillard. — Dobrze wyglądasz, Ken.

— Czyżby? Nie podpuszczaj mnie. Ale widać, że tobie służy życie na wyspie.

— To dzięki żeglarstwu, które uprawiam w weekendy. Dobrze widzieć cię po tylu latach. — Policjanci poznali się na szkoleniu zawodowym zorganizowanym przez New Scotland Yard, a później wspólnie uczęszczali na kurs dla inspektorów w zachodnim Yorkshire. Robillard podtrzymywał znajomość z Overoyem i podczas każdej bytności w Anglii szukał okazji do spotkania z nim, gdyż uwielbiał plotki nieodłącznie towarzyszące pracy w stołecznej policji, tak różnej od spokojnego życia stróżów prawa na wysepce. Niemniej Robillard musiał przyznać, że i tutaj było sporo roboty. Jednak tym razem miał wielką przyjemność służyć pomocą i radą koledze z Londynu.

Przeprowadził Overoya przez terminal i wyszli na zewnątrz, gdzie czekał na nich służbowy samochód, biały ford z policyjnym herbem na bocznych drzwiach i z niebieskim światłem na dachu.

— Jak wygląda przestępczość na waszej wyspie? — spytał Overoy, rzucając torbę podróżną na tylne siedzenie.

— Gwałtownie wzrasta wraz z rozpoczęciem sezonu turystycznego. Lepiej by było, gdybyście powstrzymali tę całą zbieraninę, która do nas ściąga latem.

Drugi policjant wybuchnął śmiechem.

— Nawet przestępcy potrzebują wakacji. Robillard uruchomił silnik i odwrócił się do kolegi, który usadowił się na tylnym siedzeniu, zapalał papierosa.

— Gdzie najpierw? — spytał. Overoy zerknął na zegarek.

— Jest po trzeciej, więc gdzie go zastaniemy o tej porze? W szkole?

Inspektor przytaknął ruchem głowy.

— Zaraz, zaraz, dzisiaj jest wtorek, a więc powinien być w College'u La Roche'a.

— W takim razie jedziemy do La Roche'a. Złapię go, jak będzie wychodził.

— Będziesz musiał zaczekać.

— To bez znaczenia. Mam masę czasu. Chociaż, może najpierw powinienem zameldować się w hotelu.

— Nie ma mowy. Wendy nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym nie zaprosił cię do nas.

— Nie chciałbym sprawiać wam...

— Nie będziesz. To przyjemność, Ken, a moja żona wprost uwielbia kryminalne historie, więc będzie wniebowzięta, jeśli opowiesz nam kilka plotek pochodzących wprost z siedliska przestępczej zarazy.

Overoy uśmiechnął się, czując, że już ogarnia go rozluźnienie.

— W porządku. Pogadajmy po drodze do szkoły, dobra.

Radiowóz prowadzony przez Robillarda wkrótce opuścił zatłoczone centrum i wyjechał na cienistą drogę wiodącą w kierunku wybrzeża. Soczysta zieleń posadzonych rzędami żywopłotów oraz świeże morskie powietrze jeszcze bardziej zrelaksowały Overoya. -Wyrzucił przez okno nie dopalonego papierosa i zaczerpnął powietrza, wychylając się przez otwarte okno samochodu.

— Co wiesz na temat Jonathana Childesa? — zapytał, patrząc przed siebie na wąską wiejską drogę. Robillard zwolnił, wymijając jadący z przeciwka samochód.

— Niewiele, tylko tyle, co było w wysłanym przez nas raporcie. Mieszka tutaj samotnie od blisko trzech lat i prowadzi zrelaksowany tryb życia, pomimo że pracuje w trzech szkołach. Nie można powiedzieć, że rzuca się w oczy. To zabawne, bo niedawno sami prosiliśmy centralę w Londynie o informacje na jego temat.

Overoy spojrzął na niego z zaciekawieniem.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Jeden z tutejszych radnych, który jest także członkiem Komitetu Policji, poprosił nas o sprawdzenie przeszłości Childesa. Nazywa się Platnauer. Jest też członkiem rady College'u La

Roche'a, więc prawdopodobnie dlatego mu na tym zależało.

— Ale czemu teraz? Przecież Childes pracuje w tej szkole już od dłuższego czasu, prawda?

— Ze dwa lata. Muszę przyznać, że mnie samego zaskoczyło nagłe zainteresowanie tym facetem. O co w tym wszystkim chodzi, Ken?

— Nie martw się, ten gość jest czysty. Po prostu facet może nas naprowadzić na trop pewnego przestępcy. To wszystko.

— Dopiero teraz rozbudziłeś moją ciekawość. Informacje na temat Childesa doręczyliśmy radnemu Platnauerowi, który z kolei przekazał je pannie Piprelly, dyrektorce College'u La Roche'a, i od tamtej pory nie mieliśmy od nich żadnego sygnału. W papierach udokumentowano udział Childesa w dochodzeniu, które prowadzono w Anglii, ale to był jego jedyny związek z machiną prawa. Ponieważ to ty prowadziłeś tamtą sprawę, dziwię się, że nie skontaktowano się przede wszystkim z tobą.

— Nie było takiej potrzeby. Wszystko jest w aktach.

— No, nie daj się prosić, powiedz, o co właściwie chodzi.

— Przepraszam cię, Geoff, ale na razie nie mogę. To może nie być nic wielkiego, a naprawdę nie chciałbym sprawić Childesowi kłopotów po tym wszystkim, przez co musiał przejść ostatnim razem. — Overoy wyjął z paczki następnego papierosa. — Z mojej winy zbyt wiele rzeczy przeciekło do prasy. Rzucili się na niego jak sępy na świeżą padlinę.

— Kim jest ten facet? Jasnowidzem?

— Niezupełnie. Ma niezwykle dar psychiczny. Jest swego rodzaju medium. Ale nie ma zdolności jasnowidzenia ani też nie potrafi rozmawiać z duchami zmarłych. Nic z tych rzeczy. W wyobraźni widział miejsce, gdzie pochowano zwłoki tych dzieciaków trzy lata temu, dzięki czemu był w stanie naprowadzić nas na trop mordercy. Niestety, spóźniliśmy się i facet popełnił samobójstwo, zanim udało się do niego dotrzeć.

— Ale jak...?

— Nie mam pojęcia. Nawet nie próbuję zrozumieć tych rzeczy. Nazwij to telepatią, jeśli masz ochotę. Jednak jestem pewien, że Childes nie jest żadnym hochsztaplerem. Prawdę powiedziawszy, to, że odbiera takie sygnały, jest dla niego prawdziwym utrapieniem i źródłem wielu stresów. Overoy zauważył budynki szkoły, jeszcze zanim wskazał mu je kolega. Główny budynek o białych tynkach wyłonił się przed nim ponad czubkami drzew, kiedy policyjny samochód wyjechał z zakrętu, a promienie słońca oślepiały, odbijając się od elewacji. Podjechali do głównej bramy i detektyw aż zagwizdał, ujrzawszy perspektywę długiej drogi dojazdowej wiodącej do wejścia do college'u.

— Kurczę, ale sceneria! — wykrzyknął.

W tle kompleksu zabudowań szkoły widać było powierzchnię kobaltowoniebieskiego morza, które zdawało się walczyć o prymat z błękitem nieba. Soczysta, bujna zieleń szczytów klifowych skarp i otaczające szkołę lasy dodatkowo urozmaicały krajobraz, w którym harmonijnie zlewały się kolory nieba, morza i roślinności. Opodal miejsca, gdzie stali, znajdowały się korty tenisowe okolone trawnikami i klombami kwiatów i nawet ostre barwy samochodów, stojących na pobliskim parkingu, nie były w stanie zakłócić łagodnego współistnienia palety barw.

— Chyba mógłbym zacząć znowu się uczyć, pod warunkiem, że to byłoby tutaj — powiedział Overoy, odganiając dym papierosowy sprzed twarzy.

— Najpierw musiałbyś zmienić płć — zauważył Robillard.

— Czemu nie.

Inspektor wybuchnął śmiechem.

— Mam cię podwieźć pod same drzwi? Overoy potrząsnął głową.

— Zaczekam na Childesa na ławce koło kortów. Nie należy zwracać na siebie uwagi.

— Twoja sprawa. Jego samochód to czarny mini. — Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru. — Numer rejestracyjny 27292. Sprawdziłem przed odebraniem cię z lotniska. Może by się jednak upewnić, że jest w szkole. — Przejechał przez bramę i zatrzymał radiowóz obok parkingu. — Stoi tam, a więc facet jest jeszcze w college'u.

Overoy otworzył drzwi samochodu i sięgnął po swoją torbę podróżną.

— Możesz to zostawić — powiedział Robillard. — I tak przyjadę tu po ciebie.

— Muszę coś wyciągnąć — odparł detektyw, rozpinając suwak torby i szukając czegoś w środku.

Wyjął zwykłą szarą kopertę. — Nie ma potrzeby po mnie podjeżdżać, Geoff. Mam nadzieję, że Childes zaprosi mnie do siebie i będziemy mogli tam spokojnie pogadać. Później wezmę taksówkę.

— Znasz mój adres?

— Tak, mam go w notesie. — Overoy stał obok samochodu, zasłaniając ręką oczy przed słońcem. Naraz pochylał się i zajrzał przez okno do radiowozu.

— Jeszcze jedno, Geoff — powiedział. — Byłbym wdzięczny, gdybyś nie rozgłaszał tego w komisariacie. Obiecałem Childesowi, że będę dyskretny.

— Jasne — odparł Robillard z uśmiechem. — Do zobaczenia.

Wycofując forda przez bramę, pomachał ręką na pożegnanie. Detektyw wyprostował się, włożył szarą kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym podszedł do ławki i usiadł, żałując, że nie wziął z sobą okularów przeciwsłonecznych oraz że żadna ze starszych dziewczyn nie grała właśnie w tenisa.

Z drugiej strony kortów zaczęły podjeżdżać samochody i Ove-roy domyślił się, że to rodzice przyjeżdżają po swoje córki, nie mieszkające w bursie. Zerknął na zegarek: Childes powinien się wkrótce pojawić.

Detektyw położył marynarkę obok na ławce, podwinął rękawy koszuli i rozluźnił krawat. Siedzenie na ławce w słońcu i myślenie było przyjemną odmianą dla policjanta, który trochę zazdrościł Robillardowi sympatycznej atmosfery, w której jego kolega miał szczęście pracować. Jednak Overoy wiedział, że uroda okolicy po krótkim czasie przestałaby zachwycać kogoś, kto nawykł do życia w mieście będącym enklawą przestępczości, korupcji i zgnilizny; kogoś takiego jak on, kto w wieku trzydziestu ośmiu lat znajdował ogromną przyjemność w intensywnej pracy policyjnej. Na pewno by się to podobało Josie, pomyślał. Ona błyskawicznie przystosowałaby się do zrelaksowanego stylu tutejszego życia — plażowania, ogrodowych przyjęć przy barbecue, świeżości powietrza. Życie na wyspie oznaczałoby rzadsze telefony wzywające go do pracy o najdziwniejszych porach oraz brak nadgodzin. Ale, swoją drogą, w zimie musi tu być parszywie nudno i bezbarwnie.

Usłyszał odległy dźwięk dzwonek i wkrótce z różnych budynków college'u zaczęły wysypywać się rozszczębiotane dziewczęta, burząc dotychczasową ciszę. Jednak minęło jeszcze sporo czasu, zanim ujrzał Childesa idącego alejką w towarzystwie szczupłej blondynki w żółtej letniej sukience. Kiedy szli, dziewczyna rozpuściła włosy i upięła je w koński ogon. Overoy przyglądał się jej, kiedy się zbliżali — była młoda, opalona i bardzo ładna. Zastanawiał się, czy jest dziewczyną Childesa. Sposób, w jaki dotknęła jego dłoni, potwierdził to przypuszczenie. Overoy podniósł się z ławki, zarzucił marynarkę na jedno ramię, a drugą rękę włożył do kieszeni.

Childes właśnie zamierzał wejść na teren parkingu, kiedy dostrzegł detektywa. Zamarł w bezruchu, a dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem. Powiodła za jego wzrokiem i zobaczyła Overoya, który właśnie ruszył w ich kierunku.

— Hello, panie Childes — powiedział. — Poznaje mnie pan?

— Trudno pana zapomnieć — usłyszał w odpowiedzi i zrozumiał zawartą w niej złośliwość.

Mężczyźni uściśnęli sobie dłonie, choć Childes uczynił to z niechęcią.

— Przepraszam, że tak pana zaskoczyłem — usprawiedliwił się detektyw — ale zbadalem sprawę, o której rozmawialiśmy przez telefon jakiś tydzień temu, i uznałem, że należy zobaczyć się z panem. — Ukłonił się dziewczynie, zauważając, że ma jasnozielone oczy, i dochodząc do wniosku, że z bliska jest jeszcze piękniejsza.

— Amy, to detektyw inspektor Overoy — powiedział Childes. — To ten policjant, o którym ci opowiadałem.

Amy podała mu rękę i teraz w jej jasnozielonych oczach pojawiło się podejrzliwe spojrzenie.

— Czy możemy porozmawiać na osobności? — spytał detektyw, zwracając się do Childesa. Amy natychmiast powiedziała:

— Zadzwoń do ciebie później, Jon — i odwróciła się, by odejść.

— Nie ma potrzeby... — zaczął Childes.

— W porządku — zapewniła go. — I tak mam coś do załatwienia, więc porozmawiamy później. Do widzenia, inspektorze. — Zawahała się przed odejściem, tak jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Podeszła do czerwonego MG i zanim wsiadła, rzuciła Childesowi zatroskane spojrzenie. Ten zaczekał, aż prowadzony przez nią samochód wyjechał za bramę, i dopiero wtedy odwrócił się do policjanta.

— Nie mógł pan tego załatwić przez telefon? — powiedział, nie mogąc ukryć rozdrażnienia.

— Niestety nie — odparł nie zrażony Overoy. — I zaraz zrozumie pan dlaczego. Czy możemy pojechać do pana? Childes wzruszył ramionami.

— W porządku. Przydzielono pana do prowadzenia tej sprawy? — spytał, kiedy szli do samochodu.

— Niezupełnie. Powiedzmy, że zajmuję się tylko pewnym wycinkiem śledztwa ze względu na moją znajomość z panem.

— W takim razie oznacza to, że jest jakiś związek.

— Być może.

— Czy rzeczywiście zamordowano kogoś w opisany przeze mnie sposób?

— Porozmawiamy w pańskim domu.

Wyjechali z parkingu i po chwili byli już na miejscu, a Overoy zdziwił się, że tak prędko dotarli do wąskiej drogi, przy której stał dom wynajmowany przez Childesa. W końcu, pomyślał, wyspa jest niewielka. Mały dom stał przy końcu rzędu bliźniaczych budyneczków i Overoy zaczynał coraz bardziej rozumieć gwałtowną reakcję Childesa na pogwałcenie jego prywatności. Domek był niezwykle malowniczy i posiadał w sobie coś z uroku „dawnego świata” — jeden z tych, za które mieszkańcy Anglii gotowi byli zapłacić fortunę, by tylko móc spędzać na wsi weekendy i wakacje. Wewnątrz domu panował chłód, co Overoy przyjął z wyraźną ulgą. Wszedł do saloniku i usiadł na kanapie, a Childes zdjął marynarkę i powiesił ją w malutkim przedpokoju.

— Napije się pan czegoś? — Childes zaproponował znacznie mniej wrogim tonem. — Kawy, herbaty?

— Z przyjemnością wypiłbym piwo.

— Może być piwo.

Childes na chwilę zniknął w kuchni, lecz po chwili pojawił się, niosąc w ręku opakowanie z sześcioma puszkami piwa i szklanki. Otworzył jedną z puszek i podał wraz ze szklanką inspektorowi, który napełnił naczynie zimnym napojem i uniósł w geście toastu. Childes usiadł naprzeciw, lecz nie odwzajemnił gestu.

— Co ma mi pan do powiedzenia? — zapytał, sącząc piwo.

— Niewykluczone, że miał pan rację w sprawie tego staruszka — powiedział Overoy, a Childes pochylił się w fotelu.

— Znaleźliście jego zwłoki?

Detektyw pociągnął solidny łyk piwa i potrząsnął przecząco głową.

— Kiedy powiedział pan, że facet był przytroczony pasami do wąskiego łóżka, a pomieszczenie, w którym się znajdował, było pozbawione wyposażenia, przypomniałem sobie coś. Właśnie nadszedł raport o pożarze w szpitalu psychiatrycznym. Część budynku doszczętnie spłonęła.

Childes wpatrywał się w detektywa intensywnie, ze szklanką zastygłą w pół drogi do ust.

— To musi być to — powiedział cicho.

— No, nie jesteśmy pewni. W pożarze zginęło dwadzieścia pięć osób. Pracownicy obsługi i pacjenci, wśród których znajdowało się kilku starszych mężczyzn, w większości zniedołężniałych i dotkniętych ciężkimi zaburzeniami psychicznymi. Wśród nich mógł być pański staruszek, ale wszystkie ciała uległy spaleni, więc nie można było stwierdzić, czy któraś z ofiar została uprzednio zamordowana w sposób, jaki pan opisał.

— Jak powstał pożar?

— To nie był wypadek, ponieważ nasi eksperci są pewni, że pożar powstał jednocześnie w dwóch miejscach, na jednym z pięter i w piwnicy. Zresztą w obu miejscach znaleziono puste kanistry po benzynie. Nie mamy pojęcia, kim był podpalacz, lecz nieoficjalna wersja głosi, że mógł to być jeden z pacjentów, który przez nieuwagę personelu nie został zamknięty w odosobnieniu i wędrując nocą po budynku, odkrył kanistry z paliwem w piwnicy. Prowadzący śledztwo podejrzewają, że

podpalacz mógł także zginąć w płomieniach.

— Skąd ta pewność?

— Nie mają pewności. Jednak pacjenci i pracownicy obsługi są od tygodnia przesłuchiwani i nie wskazują, że sprawcą mógł być któryś z nich. Oczywiście, jeśli weźmie się pod uwagę, że spora część pacjentów to kompletni wariaci, to nie można mieć stuprocentowej pewności. Z drugiej strony nie można wykluczyć, że to był ktoś z zewnątrz.

Childes usiadł wygodnie w fotelu i popijał piwo w zamyśleniu. Overoy milczał i nie ponaglał go. Z oddali dobiegł ich dźwięk przelatującego samolotu.

— Co dalej? — spytał Childes po dłuższej chwili milczenia.

— Jeśli między tymi zbrodniami rzeczywiście istnieje jakiś związek, to będzie nam potrzebny każdy okrucieństwo informacji mogący naprowadzić nas na trop tego szaleńca. Muszę panu powiedzieć, że nikt nie wiąże sprawy pożaru z poprzednimi wydarzeniami — to znaczy nikt prócz mnie — ale istnieją dowody na powiązanie dwóch poprzednich spraw. Mogę zapalić?

Childes przytaknął ruchem głowy, a Overoy wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierosów i zapalił jednego, używając pustej puszkę po piwie jako popielniczki.

— Jakie dowody miał pan na myśli? — zapytał Childes.

— Pierwsza sprawa to podobne okaleczenie ciała prostytutki i zwłok chłopca. W obu przypadkach mamy do czynienia z typową rytualną profanacją zwłok: nacięto skórę, usunięto organy wewnętrzne i wydarto serce, a na ich miejsce włożono obce ciała — u kobiety były to przypadkowe przedmioty z pokoju, w którym mieszkała; natomiast u chłopca, ziemia i trawa, a nawet zwiędłe kwiaty. Potem w obu przypadkach oprawca zaszył ranę. Wygląda to na dzieło szaleńca, ale jest w tym jakiś porządek, jakaś metoda.

— W takim razie może sprawcami są różne osoby będące członkami jakiejś makabrycznej sekty?

— Na miejscach obu przestępstw: na trumnie chłopca i przedmiotach wydobytych z ciała prostytutki, znaleziono odciski pal-

ców tej samej osoby. Można przypuszczać, że ktokolwiek to był, nie zawracał sobie głowy usuwaniem odcisków palców. Oczywiście w przypadku pożaru nie posiadamy żadnych dowodów tego typu; budynek spłonął niemal doszczętnie.

— Żadnych odcisków palców na kanistrach po benzynie?

— Kanistry zostały odkształcone przez ogień. Proszę opowiedzieć mi coś więcej o tym starym mężczyźnie. Co pan jeszcze widział?

Childes wyraźnie pobałdł na twarzy.

— Obawiam się, że niewiele więcej mogę powiedzieć. Straciłem przytomność. Obraz był zbyt intensywny... tortury... Nie mogłem tego znieść.

— To zrozumiałe. Ale czy jest pan przekonany, że sprawcą była ta sama osoba co poprzednio?

— Absolutnie, lecz trudno mi wytłumaczyć, skąd bierze się ta pewność. Kiedy przenika się do czyjś umysłu, można rozpoznać tę osobę tak samo, jak dzieje się to w przypadku kontaktu wzrokowego, a może nawet łatwiej. Nie ma mowy o pomyłce.

— Wspominał pan, że widział potężne dłonie.

— Tak. Wyglądały tak, jakby należały do osoby, do której umysłu przeniknąłem. Duże, szorstkie i silne, jak ręce robotnika nawykłego do ciężkiej fizycznej pracy.

— Czy na rękach była jakaś biżuteria? Mam na myśli obrączki, sygnet, bransoletę lub zegarek.

— Nie, nic takiego.

Overoy uważnie przyglądał się Childesowi podczas rozmowy, zauważając wyraz zmęczenia na jego twarzy i nerwowe napięcie w gestach. Jeżeli ten człowiek rzeczywiście odnalazł na wyspie upragniony spokój, to nie pozostał po nim nawet ślad. Overoy współczuł Childesowi, lecz zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru i musi wydobyć z niego jak najwięcej informacji. Odezwał się łagodnym tonem:

— Pamiętaj pan, w jaki sposób ostatnim razem wpadliśmy na trop mordercy?

— Zostawił coś na miejscu zbrodni.

— Właśnie. Kartkę z wiadomością, że niedługo zamorduje następne dziecko, bo to jest silniejsze od niego. Nasz psychiatra orzekł wtedy, że ten facet pragnie, by go pojmano i powstrzymano przed

dalszymi zbrodniami. Kiedy pokazaliśmy panu tę notatkę, zdołał pan opisać nam mordercę i podać w przybliżeniu jego miejsce zamieszkania. Pozostało nam tylko sprawdzić nasze rejestry w poszukiwaniu znanych maniaków seksualnych mieszkających w tym rejonie, którzy odpowiadałoby pańskiemu opisowi.

— Nadal nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłem o tym wiedzieć.

— Bo nie chciał pan się w to zagłębiać.

— Wiele osób kontaktowało się ze mną, żeby wyjaśnić mechanizm tego zjawiska, ale żadna z nich nie potrafiła zrozumieć, że mnie to zupełnie nie interesuje. Instytut Badań Psychologicznych chciał nawet wydać artykuł poświęcony mojemu fenomenowi; dwa amerykańskie uniwersytety zapraszały mnie na cykl wykładów, a Bóg wie ilu ludzi chciało, żebym pomógł im w odszukaniu zaginionych krewnych. Nie miałem pojęcia, co się właściwie dzieje w mojej głowie, i najmniejszej ochoty, żeby to zgłębić. Chciałem, by pozostawiono mnie w spokoju, ale nic z tego nie wyszło. Ma pan pojęcie, jak ja się wtedy czułem?

— Wiem, jak człowiek-słoń. Myślę, że po prostu za bardzo pan się tym przejmował.

— Pewnie ma pan rację. Ale byłem tym wszystkim wstrząśnięty do głębi i przerażony. Nie ma pan pojęcia, co przeżyłem z powodu tego mojego dziwnego daru.

— A jednak po tym wszystkim, przez co pan wtedy przeszedł, zadzwonił do mnie.

Childes otworzył kolejną puszkę piwa, mimo że jego szklanka była wciąż do połowy pełna. Nalał do samego brzegu i wypił wszystko.

— Musiałem — powiedział w końcu. — Ktokolwiek jest sprawcą tych zbrodni, musi być powstrzymany. Chciałbym wierzyć, że zginął w pożarze.

— Możemy czekać, aż morderca da o sobie znowu znać, ale sądzę, że być może jest sposób, aby się przekonać o tym, czy żyje.

Childes spojrzał na niego podejrzliwie.

— W jaki sposób?

Detektyw odstawił szklankę na stolik i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki brązową kopertę.

— Powiedziałem panu wcześniej, że mamy dowód na istnienie związku pomiędzy dwoma pierwszymi przestępstwami oraz że oba miały rytualny charakter. — Podał kopertę Childesowi. — Wewnątrz znajduje się pewien przedmiot. Drugi identyczny jest wciąż w naszym laboratorium. Oba zostały znalezione w ciałach ofiar: prostytutki i chłopca. Musiałem nieźle się nagimnastykować, aby uzyskać zezwolenie na pokazanie panu tego przedmiotu.

Childes wpatrywał się w kopertę, jakby obawiając się wziąć ją do ręki.

— Proszę wziąć — ponaglił go detektyw. Ręka Childesa drżała, gdy sięgał po kopertę, po czym opadła bezwładnie.

— Nie wiem, czy czuję się na siłach, żeby to zrobić — powiedział.

Overoy wstał i podszedł do niego, podając kopertę.

— Ostatnim razem pańskie cierpienia ustały dopiero z chwilą odnalezienia mordercy.

— Nie. On popełnił samobójstwo. To się stało dokładnie z chwilą, gdy umarł. Poczułem ulgę.

— A co pan odczuwa teraz? Czy według pana ten maniak zginął w pożarze?

— Nie... nie sądzę.

— W takim razie proszę wziąć kopertę i obejrzeć, co jest w środku.

Childes niechętnie wyjął kopertę z ręki Overoya. Drgnął, jakby przeszył go prąd. Była lekka.

Otworzył ją i wsunął do środka dłoni. Między kciukiem i palcem wskazującym poczuł coś gładkiego i okrągłego. Coś małego.

Z wnętrza koperty Childes wyjął przezroczysty owalny kamień. Kiedy położył go na dłoni, na jego srebrzystej powierzchni ujrzął błękitny poblask.

Childes zachwiał się, a Overoy złapał go za ramię, lecz momentalnie odskoczył, tak jakby poraził go prąd. Detektyw cofnął się o krok i obserwował Childesa, któremu dosłownie włos zjeżył się na głowie, jakby pod wpływem silnych ładunków elektrycznych.

Ciałem Childesa wstrząsnął niekontrolowany dreszcz. Miał wrażenie, jakby w jego umysł wdarła się jasna błyskawica. Poczuł zdziwienie, nie swoje, lecz tamtej osoby. Coś obcego i pięknego



wpełzło do jego umysłu. Jakież oczy przyglądały mu się od wewnątrz. Zaciśnął dłoń na kamieniu, raniąc paznokciami własną skórę.

Wyczuł oprawcę...

... Oprawca wyczuł jego...

— To był kamień księżycowy — Childes powiedział Amy. — Malutki minerał, który pozostawiono w ciele prostytutki. Overoy twierdzi, że podobny znaleziono w zwłokach chłopca.

Amy siedziała na podłodze u stóp Childesa, podpierając się łokciem na jego kolanie i z niepokojem wpatrując się w jego twarz. Rozparł się wygodnie na kanapie ze szklaneczką whisky w dłoni. Pił od czasu, kiedy przed dwiema godzinami policjant opuścił jego dom, a jednak nie odczuwał działania alkoholu. Zastanawiał się, czy przypadkiem jego mózg nie znalazł się w stanie odrętwienia na skutek niedawnych przeżyć.

— Czy w szpitalu też znaleziono coś podobnego? — spytała Amy.

— Zbyt wielkie były zniszczenia, by odnaleźć taki drobny przedmiot.

— Jednak mimo to Overoy uwierzył ci, kiedy powiedziałaś, że sprawcą tych wszystkich okropności jest ta sama osoba.

— Zaufał mi poprzednio, choć nie przyszło mu to łatwo. — Childes popijał whisky. Czuł w ustach jej gorzkawy smak. Alkohol pomagał mu rozproszyć wewnętrzny chłód. — Moim widzeniom zawsze towarzyszyła lśniąca biała poświata, jakby światło księżyca sączące się przez chmury.

— Nie miałaś pojęcia, co to oznacza, prawda?

— Najmniejszego.

— Ten kamień księżycowy wywołał u ciebie silną reakcję. Uśmiechnął się gorzko.

— Napędziłem Overoyowi niezłego stracha. Sobie zresztą

też. Ten stwór, kimkolwiek, czymkolwiek jest, wie, kim jestem. Był tutaj, w tym pokoju, w mojej głowie. Karcił się moim umysłem jak jakiś pełzający pasożyt. Usiłowałem stawiać opór, ale uczucie było zbyt silne. To mi się już kiedyś zdarzyło, ale nie było tak intensywne jak tym razem.

— Nic mi nie powiedziałaś.

— A co mogłem ci powiedzieć? Myślałem, że oszaleję, ale po chwili to dziwne uczucie penetracji umysłu ustąpiło i wszystko było w porządku. Nie czułem żadnego zagrożenia. Aż dziś powróciło ze zdwojoną siłą.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego właśnie tobie to się przydarzyło. Jon. Poza tymi dziwnymi stanami nie masz żadnych zdolności mediumicznych. Nie wykazujesz żadnego zainteresowania tymi problemami, wprost przeciwnie, traktujesz to jak temat tabu.

— Przecież już o tym rozmawialiśmy.

— Nie chodzi mi o tamte sprawy. Mam na myśli rzeczy dużo ogólniejsze: okultyzm, zjawiska parapsychologiczne i inne rzeczy, o których w dzisiejszych czasach mówi się otwarcie. Zawsze omijałeś temat, kiedy tylko rozmowa schodziła na spirytyzm, duchy, wampiry.

— To dobre dla dzieci.

— No właśnie. Znowu usiłujesz zbagatelizować całą sprawę. Zupełnie tak, jakbyś się tego bał.

— Bzdura.

— Czyżby? Jon, dlaczego nigdy nie rozmawialiśmy o twoich rodzicach?

— O co teraz ci chodzi?

— Odpowiedz.

— Oboje nie żyją, przecież wiesz.

— Tak, ale dlaczego nie chcesz o nich mówić.

— Matki prawie nie pamiętam. Zmarła, kiedy byłem małym chłopcem.

— Jak miałaś siedem lat. Umarła na raka. A ojciec? Dlaczego nie opowiadałeś nigdy o ojcu?

Childes zaciśnął usta.

— Amy, mam dość przesłuchań jak na jeden dzień. Do czego właściwie zmierzasz? Myślisz, że jestem siódmym synem siódmego syna, jakimś mistykiem? Wiesz, że to kompletne brednie.

— Zgoda! Po prostu staram się zmusić cię do otwarcia i zagłębienia się wewnątrz samego siebie. Od czasu kiedy cię poznałam, czuję, że coś ukrywasz. Nie tylko przede mną, ale także przed sobą samym. — Amy była zła i przyczyną tego stanu był jego upór. Jego spojrzenie upewniło ją, że

poruszyła właściwą strunę. Miała zatem rację.

— Dobrze, jeśli tak ci zależy, żeby to usłyszeć. Mój ojciec był pragmatycznym racjonalistą, który przez dwadzieścia sześć lat pracował w dziale księgowym pewnej firmy, a w wolnym czasie był świeckim kaznodzieją...

— To już mi kiedyś mówiłeś.

— ..który zapił się na śmierć.

Zamilkła, zaskoczona tym, co powiedział, ale wciąż zagniewana.

— To nie wszystko. Musi w tym być jeszcze coś.

— Na miłość boską, Amy, czego ty ode mnie chcesz?

— Prawdy.

— Nienawidził wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z mistycyzmem i zjawiskami nadprzyrodzonymi. Po śmierci matki nie pozwalał nawet wspominać o zmarłych. Nie mogłem nawet pójść na jej grób!

— I on był świeckim kaznodzieją? — powiedziała z niedowierzaniem.

— Był pijaczyną. Zadławił się na śmierć własnymi wymiocinami, kiedy miałem siedemnaście lat! I wiesz co? Odczułem wtedy ulgę. Byłem zadowolony, że wreszcie się go pozbyłem! No i jak ci się to podoba?

Uklękła i objęła go obiema rękami. Czowała, jak zeszywniał cały, próbował wyzwolić się z jej uścisku, ale trzymała go mocno. Stopniowo opuszczało go napięcie.

— Rozlewasz moją whisky — powiedział cicho. Amy uściśnęła go jeszcze mocniej, aż zaprotestował: — Hej!

Rozluźniła uścisk i usiadła obok niego, ale tak, by móc widzieć wyraz jego twarzy.

— Czyżby przez cały czas dręczyło cię poczucie winy, tak silne, że nie mogłeś tego z siebie wyrzucić? Jak mogłeś sądzić, że to może w jakikolwiek sposób zaważyć na naszym związku?

— Amy, pozwól, że coś ci powiem. Nie czuję się winny z powodu ojca. Może odczuwam tylko smutek, ale na pewno nie winę. Sam ściągnął na siebie ten los.

— Brakowało mu twojej matki.

— Na pewno. Ale miał inne zobowiązanie — wobec syna. Zaniedbywał mnie, ale to nie jest takie ważne. Były pewne sprawy, których nie potrafiłem mu wybaczyć.

— Był brutalny?

— Nie w swoim mniemaniu.

— Bił cię.

Twarz Childesa zachmurzyła się.

— Wychowywał mnie na swój sposób. Zmieńmy temat, Amy. Nie mam już siły, żeby o tym rozmawiać. — Zauważył, że jej oczy wypełniły się łzami. Pochylił się, by ją pocałować.

Powiedział: — Wiem, że chcesz mi pomóc, ale sama widzisz, że to do niczego nie prowadzi, prawda?

— Kto wie? Przynajmniej mam wrażenie, że poznałam cię trochę lepiej.

— Też mi coś!

— To mi pomaga zrozumieć.

— Co?

— Twoją rezerwę. Na przykład to, że nie jesteś skłonny do osobistych wynurzeń. Po śmierci matki musiałeś tłumić w sobie uczucia. Nie miałeś ojca, którego mógłbyś obdarzać pełną miłością, a przed chwilą nazwałeś go pragmatycznym racjonalistą. Dziwny sposób określenia najbliższej osoby.

— Bo taki był.

— I udało mu się to w części zaszczepić tobie. Uniósł brwi.

— Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo usiłujesz być logiczny we wszystkim, co robisz, a czasami jesteś racjonalny aż do znudzenia. Trudno się dziwić, że twoje dramatyczne przeżycia związane ze sferą psychiczną tak bardzo tobą wstrząsnęły.

— Nigdy nie podważałem istnienia zjawisk nadprzyrodzonych.

— Ani też nie uznawałeś.

— Czemu jesteś wobec mnie tak wrogo nastawiona, Amy? To pytanie zaszokowało ją.

— Och, Jon, wcale nie chciałam, żebyś to tak odebrał. Po prostu usiłuję ci pomóc. Pragnę, żebyś zajrzał w głąb swojej psychiki. Między tobą a sprawcą tych okropności musi być jakaś więź, coś, co przyciąga twój umysł do niego.

— Lub odwrotnie.

— Nieważne. Może to działa w obie strony. Ta myśl przeszła go dreszczem.

— To nie jest... to nie jest człowiek, Amy. To potwór, okrutna i zdeprawowana istota. Ujęła jego dłoń.

— Po tym wszystkim, co sobie dziś powiedzieliśmy, chcę, żebyś rzeczywiście zaczął myśleć logicznie. Morderca jest człowiekiem, Jon, niezwykle silnym, jeśli wierzyć temu detektywowi, ale człowiekiem o szczególnie zwichrowanej psychice.

— Nie. Zajrzałem do jego umysłu i ujrzałem całą jego potworność.

— W takim razie, dlaczego nie potrafisz go zidentyfikować?

— On... on jest zbyt silny. Czuję wtedy, jakby to coś dobierało się do mojego umysłu i wykradało myśli. Jestem świadkiem tych wszystkich okropności tylko dlatego, że ta istota tego pragnie. Ten stworzyciel szydzi ze mnie, Amy.

Wzięła jego szklanę i postawiła na podłodze.

— Chcę zostać u ciebie na noc. Tym razem on był zdziwiony.

— Twój ojciec...

Pomimo powagi chwili, Amy nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

— Wielki Boże, Jon, mam dwadzieścia trzy lata! Zadzwoń do mamy i powiem, że nie wrócę na noc. — Zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale złapał ją za rękę.

— Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

— A mnie tak. Zostaję. Zdenerwowanie powoli go opuszczało.

— Nie chcę spotkać na progu twojego ojca z naładowaną dubeltówką. Nie wiem, czy dałbym sobie z nim radę po tym wszystkim.

— Powiem matce, żeby schowała amunicję.

Wstała i musnęła dłonią jego policzek, po czym wyszła do przedpokoju. Słuchając jej przytłumionego głosu, opróżnił szklanę jednym łykiem. Zamknął oczy i złożył głowę na oparciu kanapy, zastanawiając się, czy Amy wie, jak wielką czuje ulgę na myśl, że nie będzie musiał spędzać tej nocy samotnie.

Zbudziło ją mamrotanie. Leżała obok w ciemności, słuchając. Mówił przez sen.

— ...to... niemożliwe... On... mówi... że to... nie możesz...  
być...

Amy nie zbudziła go. Usiłowała zrozumieć znaczenie wciąż powtarzanych słów.

— ...ty nie możesz być...

Oprawca dotarł do umysłu tamtego człowieka, początkowo zaskoczony, a później podekscytowany kontaktem między nimi. Kim jest tamten? Jaka jest jego siła? Czy może stanowić niebezpieczeństwo?

Na jego obliczu pojawił się uśmiech. Ta zabawa zaczęła go wciągać.

W umyśle oprawcy pojawiło się wiele obrazów, które zaczęły się zmieniać jak w kalejdoskopie. Początkowo niepokoiły go, lecz wkrótce znalazł w tym przyjemność. Penetrował świadomość tamtego człowieka nie bez oporu z jego strony, ale po krótkim czasie psychiczna więź stała się silna. Czuł przerażenie i panikę tamtego. Po chwili wdarł się do sfery jego wspomnień.

Odkrył w pokładach pamięci tamtego mężczyzny wspomnienie serii mordów dokonywanych na dzieciach. Początkowo zaskoczyło go to, lecz zaraz znalazł w tym sadystyczną przyjemność. Tym bardziej, że nie doświadczał tego za pomocą wrażeń wzrokowych, lecz jakby uczestniczył w nich. Rozkoszował się zbrodniami. Zrozumiał związek tamtego mężczyzny z dawnymi morderstwami.

Oprawca zrozumiał, że może zostać zdekonspirowany, gdyż jego czyny są silnie obecne w pamięci tamtego. Zaskoczył go fakt, iż tamten znalazł się w posiadaniu kamienia księżycowego, choć to właśnie dzięki niemu byli w stanie nawiązać tak niezwykle silny kontakt. Z chwilą odczytania prawdy o zabójstwach dzieci, oprawca pojął istotę związku między kamieniem a policją i rolę

psychometrycznego daru tamtego mężczyzny. Seria mordów na

dzieciach była kluczem do poznania tożsamości człowieka, którego myśli przeniknął.

Dokumentacja prasowa na temat tamtych zbrodni była łatwa do odszukania, gdyż gazety z tamtego czasu pławiły się w opisywaniu okrucieństw popełnianych przez tajemniczego mordercę dzieci.

Archiwum biblioteczne dostarczyło wielu potrzebnych informacji

Od tamtego czasu minął już tydzień. Oprawca właśnie wykręcił kolejny z numerów telefonicznych, które znajdowały się na sporządzonej przez niego liście.

Na twarzy oprawcy pojawił się ironiczny uśmiech z chwilą, gdy ktoś podniósł słuchawkę i po chwili odezwał się dziecięcy głosik:

— Halo?

Kiedy wyszli z klimatyzowanego budynku Rotschilda, słońce ogarnęło ich ciała gorącym uściskiem. Dwanaście dziewcząt ubranych w letnie niebieskie mundurki szczebiotało bez opamiętania, wykorzystując każdą chwilę wolną od zajęć lekcyjnych. Zebrały się na chodniku przed nowoczesnym budynkiem administracji, a Childes sprawdzał stan liczebny, by mieć pewność, że żadna z nich nie odłączyła się od grupy. Wydawało mu się, że wycieczka do komputerowego ośrodka obliczeniowego korporacji finansowej była ze wszech miar pożyteczna, nawet jeśli dziewczęta nie wszystko zrozumiały z objaśnień fachowca operującego skomplikowanym językiem technicznym, który tłumaczył im zastosowanie różnorodnych urządzeń (Childes uśmiechał się, widząc nieobecne spojrzenia niektórych dziewcząt). Niemniej miały teraz jako takie pojęcie o tym, jak komputery usprawniają pracę wielkich międzynarodowych instytucji.

Wszystkie dziewczęta były już na miejscu i żadnej nie brakowało. To było udane przedpołudnie.

Childes zerknął na zegarek: jedenasta czterdzieści siedem.

Z miejsca, w którym stali, szeroka ulica prowadziła w stronę pobliskiego portu, gdzie las masztów jachtowych leniwie podrygiwał na fali.

— Mamy jeszcze sporo czasu do lunchu — zwrócił się do dziewcząt — więc możemy sobie pozwolić na mały odpoczynek w porcie.

Dziewczęta zapiszczały z radości i prędko ustawiły się parami. Childes ruszył na czele tak sformowanej grupy w kierunku portu,

nakazawszy uczennicom zachowanie względnego spokoju. Po raz pierwszy od tygodnia czuł, że wraca do równowagi psychicznej. Może stało się to pod wpływem ciepłych promieni słonecznych, gwaru dziewczęcych rozmów i sympatycznego otoczenia. To, co zdarzyło się, kiedy ujrzał i dotknął kamienia księżycowego, wywołało w nim dziwne poczucie bezsilności w obliczu niezrozumiałych zjawisk, a późniejsza rozmowa z Amy spowodowała falę głęboko utajonych i niechcianych wspomnień. Przez ostatnie dni często nawiedzały go koszmarne wspomnienia z dzieciństwa, choć zdawał sobie sprawę, że jego nienawiść do ojca wygasła, podobnie jak inne niepożądane uczucia, które dawno nauczył się tłumić w sobie. W paradoksalny sposób ten rodzaj opanowania zawdzięczał właśnie ojcu. Kiedy dzień był słoneczny, a otoczenie normalne, udawało mu się odpędzić złe myśli i makabryczne wspomnienia, ale noc wciąż pozostawała sprzymierzeńcem strachu!

Childes dostrzegł pustą ławkę na nabrzeżu jednej z przystani jachtowych i wskazał ją dziewczętom, które natychmiast rzuciły się, by zająć miejsca. W wielkim ścisku, pośród chichotów i pojękiwań, sześć z nich stłoczyło się na jednej ławce. Pozostałe musiały zadowolić się oparciem o przeciwległą metalową balustradę.

Port był pełen turystów i mieszkańców wyspy. Wzdłuż na-brzeżnej drogi powoli przesuwaly się samochody i białe autobusy, a wszystkie okoliczne parkingi były zatłoczone do granic możliwości.

Obie przystanie, otoczone granitowymi ostrogami, wypełnione były żaglówkami, jachtami i motorówkami różnych typów i rozmiarów. Kutry i łodzie, należące do miejscowych rybaków, cumowały w innej przystani położonej w spokojniejszej części portu. Przy końcu jednej zakrzywionej ostrogi wznosiła się latarnia morska, a po przeciwległej stronie widniały szare mury starego fortu, od wieków stojącego na straży zatoki. Od strony miasta port okalały kolorowe kamieniczki o pastelowych fasadach, stare i nowe, nadając przystaniom słodki, niemal

„pocztówkowy” wygląd. Gdzieniedzie pomiędzy kamienicami widać było strome schody wiodące

do wąskich przesmyków, dziwnych i tajemniczych, które otwierały drogę ku dalszym, wyżej położonym dzielnicom miasta.

— Dwie spośród was mają szansę na dobry uczynek na rzecz starszej osoby — powiedział Childes, zbliżając się do grupy siedzących uczennic. Spojrzały na niego zdziwionym wzrokiem, a on wskazał kciukiem siebie. — Ustąpcie miejsca nauczycielowi.

— Czy Isobel liczy się za dwie, proszę pana? — spytała Kelly, pokazując tęgą koleżankę siedzącą na przeciwległym krańcu ławki, co natychmiast wzbudziło salwę śmiechu i jeden głośny protest.

— Myślę, że zajmę twoje miejsce, Kelly — powiedział — podczas gdy ty spełnisz kolejny dobry uczynek.

Wstała z wyzywającym uśmiechem, w którym jednak nie było cienia złośliwości.

— Cokolwiek pan rozkaże. Sięgnął do kieszeni po portfel.

— Dziewczeta, macie wybór pomiędzy lodami waniliowymi a truskawkowymi. Żadnych tutti frutti, żadnych czekoladowych z migdałami, żadnych potrójnych z mango, mandarynkami — nic, co mogłoby nam skomplikować życie, dobrze? Potrzebne mi dwie ochotniczki, które pomogą Kelly przynieść lody.

Isobel natychmiast wstała z ławki z oczami lśnącymi z podniecenia, podczas gdy pozostałe wydawały okrzyki radości.

— Ja jej pomogę, proszę pana — zaproponowała.

— Och, nie — odezwał się czyjś głos. — Jak ona wróci, to już nic dla nas nie zostanie. —

Dziewczeta znów ryknęły śmiechem, a tęgawa Isobel zgromiła je wzrokiem.

— W porządku — powiedział Childes, siadając na zwolnionym przez Kelly miejscu i wyjmując dwa banknoty z portfela. — Może jeszcze Jeanette pójdzie z nimi. — Uśmiechnął się do stojącej naprzeciwko drobnej dziewczynki, która usłyszawszy swoje imię, natychmiast zeszywniała. Myślę, że tobie mogę ze spokojem powierzyć forszę.

Dziewczyna nieśmiało sięgnęła po pieniądze, unikając jego wzroku.

— Zbieraj zamówienia, Einsteinie — powiedział do Kelly. — Dla mnie waniliowe. I uważajcie przy przechodzeniu przez jezdnię. Panna Piprelly nie wybaczyłaby mi, gdybyśmy nie wrócili w pełnym składzie.

Poszły: Kelly i Isobel, szepcząc sobie coś na ucho, a Jeanette w pewnej odległości za nimi. Childes obserwował uczennice, dopóki nie znalazły się po drugiej stronie ruchliwej jezdni, po czym ponownie popatrzył w stronę portu. Do krańca północnej przystani właśnie zbliżał się prom z Anglii. W oddali gładka toń morza usiana była białymi plamami żagli, które z tej odległości wyglądały jak maleńkie papierowe stożki. W tej samej chwili nad ich głowami właśnie przelatywał niewielki żółty samolot, dwunastoosobowy trislander, który kursował prawie jak regularny autobus pomiędzy tutejszymi wyspami. Przytłumiony dźwięk jego silników stanowił nieodłączną część składową atmosfery panującej na wyspie, tak samo jak bzyczenie pszczoł letnią porą. Uspokoiło go przekonanie, że panujący teraz gwar i warkot niezliczonych samochodów jest zaledwie oznaką przejściowego szaleństwa, gdyż po sezonie wszystko wróci do normy. Zresztą nawet teraz widok spokojnego morza i kołujących nad jego powierzchnią mew działał na niego kojąco.

Odprężył się, widząc, że dziewczęta także nie czują się spięte w jego towarzystwie i cieszą się z wycieczki w takim samym stopniu jak on. Zaczął zadawać im pytania dotyczące działu komputerowego w budynku kompanii Rotschilda, który przed chwilą zwiedzali, żeby zorientować się, ile z tego wszystkiego zapamiętały, ale ich rozmowa wkrótce odbiegła od szkolnych tematów. Niektóre z celnych uwag zaciekały go, a dowcipy dziewcząt szczerze rozbawiły i po raz któryś z rzędu utwierdził się w przekonaniu, iż wspólne wycieczki znacznie zmniejszają dystans pomiędzy nauczycielem a uczniem i pozwalają na lepsze zrozumienie podopiecznych. Childes miał w planie podobną wyprawę z udziałem męskiej klasy z College'u Kingsleya, ale przewidywał, że może być znacznie mniej przyjemna z powodu naturalnej u chłopców skłonności do braku dyscypliny.

Kelly, Isobel i Jeanette powróciły obładowane lodami ku uciezce pozostałej części grupy. Childes uśmiechnął się do Jeanette, kiedy sięgnęła do kieszeni i podała mu resztę pieniędzy.

— Dziękuję — powiedział.

— To ja dziękuję, panie Childes — odparła, odwzajemniając

uśmiech. Jakaś część jej poprzedniej nieśmiałości bezpowrotnie uleciała.

— Ciekaw jestem, ile zrozumiałaś z tego, co widzieliśmy dziś na wycieczce — zapytał ją Childes.

— Sądzę, że całkiem sporo — odparła.

— To przestaje wydawać się takie skomplikowane, kiedy już zaczniesz się co nieco rozumieć.

Najważniejsze to dobrze opanować podstawy, a potem jest już znacznie łatwiej. Zresztą sama się o tym przekonasz — dodał uspokajająco, po czym rozejrzał się dokoła. — Hej, kto ma mojego loda?

— Przepraszam — powiedziała Kelly, chichocząc. — Jak Boga kocham, nie miałam zamiaru go zjeść.

Lód zaczął się już topić i częściowo spływał między palcami Kelly. Jej własny był już zjedzony do połowy.

Wziął od niej loda, a dziewczynka natychmiast uniosła dłoń do ust, by zlizać słodką ciecz z palców. On także zabrał się do jedzenia, lecz nagle poczuł swąd spalenizny. Dziwny zapach jakby spalonego mięsa.

Spojrzał na Kelly i zauważył, że jej dłoń trzymająca loda nagle poczerniała, jak gdyby strawiły ją płomienie. Ręka dziewczynki była tylko grupą zniekształconych kości, na których zwisały strzępy osmalonej skóry.

Śmiechy dziewcząt dobiegały do niego jak gdyby z oddali, choć przecież uczennice wciąż były tuż obok. Poczuł na udzie chłodną wilgoć i spojrzał w dół. Zobaczył śmietankową maź stopionego loda spływającą po jego spodniach.

Kiedy ponownie przeniósł wzrok na Kelly, ta śmiała się razem z innymi dziewczętami, wciąż zlizując resztki loda z ręki, która teraz była nietknięta.

Ulica była szeroka, a ruch na niej niewielki.

Wszystkie domy w okolicy były wolno stojące, z własnymi garażami i małymi, dobrze utrzymanymi frontowymi ogródkami. Ogrody znajdujące się na tyłach domów były z pewnością duże, choć w tego rodzaju dzielnicy dobrobyt mieszkańców nie oznacza jeszcze bogactwa.

Samochód jechał wolno, a jego kierowca wyraźnie szukał domu o konkretnym numerze.

Pojazd zatrzymał się, a siedząca wewnątrz osoba zaczęła obserwować dom.

Ten ktoś wiedział, że jego nie będzie w domu: dziewczynka o piszczącym głosie powiedziała, że tatuś już tu nie mieszka, i że wyprowadził się na wyspę. Oczywiście, że zna nazwę wyspy, przecież ma już siedem i pół roku.

Postać czekała w samochodzie, obserwując dom, lecz starając się nie zwracać na siebie uwagi. To nie było trudne, ponieważ w sobotni rano mieszkańcy odpoczywali po trudach całego tygodnia.

Teraz, kiedy kierowca ustalił już położenie domu, postanowił powrócić tu po zapadnięciu zmroku, pod osłoną nocy.

Postać nagle stała się czujna, kiedy zza rogu domu wybiegła mała dziewczynka goniąca czarnego kota. Kierowca poczuł dreszcz podniecenia, który zelektryzował jego potężne ciało.

Kot zeskoczył na niski murek dzielący dom od ogrodu i zastygł w bezruchu, ujrawszy cień postaci w zaparkowanym samochodzie. Sierść zwierzęcia nagle zjeżyła się, ogon wyprostował pionowo, a żółte ślepia połyskiwały wrogo. Po chwili kot potulnie umknął.

Na jego miejscu pojawiła się twarz dziewczynki, która ciekawie zerkała ponad krawędzią muru.

Postać w samochodzie jeszcze przez chwilę przyglądała się, po czym otworzyła drzwi pojazdu.

Frań przeciągnęła się i ziewnęła szeroko. Poprawiła się na łóżku, z przyjemnością otrząsając z resztek snu. Przewróciła się na bok, a jej kasztanowe włosy rozsypały się na poduszce.

Miała przed sobą zupełnie wolny weekend: żadnych spotkań z klientami, telefonów, żadnych negocjacji z producentami radiowymi i telewizyjnymi w celu wytargowania wywiadu z klientem.

Nie musiała odtrącać zalotów ze strony nachalnych współpracowników i klientów (szczególnie tych ostatnich), którzy traktowali każdą niebrzydką rozwódkę jak wyzwanie dla ich męskiej próżności.

Miała więc okazję poświęcić więcej czasu Gabby, najwspanialszemu dziecku na świecie, którą ostatnio trochę zaniedbywała. Och, Boże, daj mi siłę, żebym mogła zejść do kuchni i przygotować jej jakieś porządne śniadanie, pomyślała. Ale przedtem pozwól mi jeszcze poleniuchować przez dziesięć minut.

Gabby zajrzała już wcześniej do sypialni, żeby pocałować ją na dzień dobry. Przynęła, że zrobi

zmęczonej mamie poranną herbatkę i zeszła na dół, szczebiocąc wesoło i wołając Pannę Puddles. Frań była zadowolona, że Douglas nie został na noc. Zresztą i tak chyba nie mógłby — za bardzo zależało mu na utrzymaniu swojego małżeństwa. Douglas Ashby był dobrym partnerem w interesach i znakomitym kochankiem. Do tego, niestety, był także wzorowym mężem (z wyjątkiem tego jednego romansu) i nigdy nie pozostawał poza domem dłużej, niż to było konieczne. Może to nawet lepiej dla niej: doświadczyła już życia z jednym śmiertelnie poważnym mężczyzną i nic z tego nie wyszło. Wiedziała, że Gabby ogromnie tęskni za Jonathanem, a i jej samej w przeciągu ostatnich paru lat nieraz zdarzało się żałować, że potraktowała go tak bezwzględnie. Jednak nie potrafili już dłużej ze sobą wytrzymać. Musieli spojrzeć prawdzie w oczy: nie nadawali się dla siebie.

Ale byłoby miło mieć teraz obok siebie mężczyznę. To zabawne, jak bardzo udana godzina z kochankiem rozbudzała ją i powodowała pragnienie seksu po przebudzeniu. Jęknęła cicho. Herbata, Gabby, herbata! Powstrzymaj matkę przed onanizmem.

Frań usiadła na łóżku i poprawiła poduszki zaplecami. Uważnie przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze toaletki stojącej po przeciwnej stronie sypialni. Wciąż wyglądała całkiem nieźle. Piersi nadal jędrne i prawie żadnej zbędnej fałdy tłuszczu na ciele. Włosy długie i błyszczące bez udziału wymyślnych kosmetyków. Na szczęście dla niej lustro znajdowało się zbyt daleko, by mogła dostrzec zmarszczki dookoła oczu i na szyi. Odrzuciwszy kołdrę, zaczęła oglądać swój brzuch. Hmm, powinna zabrać się do jakichś ćwiczeń gimnastycznych, zanim z „miękkiego” zrobi się „sflaczały”. Ale za to z udami nie było żadnych problemów: szczupłe i kształtne jak zawsze. Szkoda, że takie zgrabne ciało nie jest w pełni wykorzystane. Frań z powrotem przykryła się kołdrą. Położyła głowę na poduszce i wpatrywała się w biały sufit. Musi wymyślić jakieś rozrywki dla Gabby na dzisiaj, pomyślała. Najpierw zrobią zakupy, żeby uzupełnić domowe zapasy, a potem może pójdą gdzieś razem na lunch. To jej się na pewno spodoba. A po południu może wyskoczą do kina. Mogłyby zabrać ze sobą Annabel. To też by jej się spodobało. Musi zacząć poświęcać Gabby więcej czasu, do diabła z robotą. Córka szybko rośnie i staje się trochę zbyt dojrzała i samodzielna jak na swój wiek. Nie może odbierać jej słodkich lat dzieciństwa. Swoją drogą to dziwne, biorąc pod uwagę, że bardzo rzadko widuje się z ojcem, jak bardzo upodabniała się do Jonathana. I nie chodzi tylko o to, że Gabby, tak jak on, jest krótkowidzem. To coś znacznie więcej niż zwykłe podobieństwo fizyczne.

Frań usłyszała dźwięk samochodu ruszającego spod domu, który po chwili rozplynął się w oddali. Zamknęła oczy, choć to nie miało sensu. Była wciąż zmęczona, ale senność ustąpiła, a w jej głowie kołatały różne myśli, w większości trywialne. Dlaczego, och dlaczego zawsze wtedy, gdy ma czas na odpoczynek, jej mózg nigdy na to nie zezwala? I gdzie do diabła podziewa się Gabby z upragnioną herbatą?

Odrzuciwszy kołdrę, Frań wstała i sięgnęła po wiszący na oparciu krzesła szlafrok. Potykając się, ruszyła do drzwi. Przechyliła się przez poręcz schodów i zawołała:

— Gabby, umieram z pragnienia. Co z tą herbatą?

Nie było odpowiedzi.

Poruszyła się niespokojnie. Childes leżał nieruchomo, żeby jej nie zbudzić. Miała odkrytą jedną pierś, której delikatna krągłość prowokowała, by jej dotknąć. Jednak oparł się pokusie. Lecz jej usta, lekko rozchylone we śnie, były zbyt kuszące. Pocałował je. Amy otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Pocałował ją powtórnie i tym razem odpowiedziała na pocałunek, obejmując go mocno ramieniem. I choć ich usta rozłączyły się po chwili, ciała zostały przytulone, upajając się wzajemnym ciepłem i bliskością. Rozwarła lekko nogi, a jego udo delikatnie wsunęło się w utworzoną przestrzeń. Westchnęła cicho. Poglądziła go po plecach opuszkami palców, delikatnie masując linię jego kręgosłupa.

Ułożyli się wygodniej, tak by mogli leżeć na boku i patrzeć sobie w twarz. Zaczął masować jej małe piersi, z których dumnie sterczały sutki, a ona sięgnęła między jego nogi, by pieścić go delikatnymi ruchami zręcznych palców. Kochali się wolno, bez pośpiechu i szaleńczego tempa, które towarzyszyło ich miłości poprzedniej nocy. Tym razem robili to z powolnym rozmysłem, przedłużając rozkoszne chwile.

Nachylił się nad jej rozwartymi nogami i zwilżył ją własnym językiem. Z trudnością panowała nad rosnącym podnieceniem. Czując to, wszedł w nią z ogromną łatwością. Objęła go mocno nogami, przyciskając do siebie.

Nie musieli długo czekać na nadejście orgazmu. Wkrótce ogarnęła ich fala gorąca i wspólnego drżenia, które stopniowo opadało. Pozostali złączeni aż do chwili, kiedy zupełnie opuściło ich radosne podniecenie.

W końcu oderwali się od siebie i leżeli blisko, czekając, aż uspokoją się ich oddechy.

— Dobrze spałeś? — spytała Amy.

— Wydawało mi się, że nie będę mógł zasnąć, ale w końcu spałem jak kłoda — odparł.

— Żadnych snów?

— Niczego nie pamiętam.

Dotknęła jego twarzy i poczuł zapach ich ciał na opuszkach palców.

— Wczoraj wyglądałeś okropnie — powiedziała.

— Przestraszyłem się, Amy. I teraz też się boję. Dlaczego zobaczyłem rękę Kelly tak straszliwie zniekształconą? Dzięki Bogu, że dziewczyny śmiały się i nie zauważyły mojego przerażenia. — Złapał ją za ramię. — Co to mogło być? Jakieś przecucie?

— Powiedziałeś, że nie masz zdolności przewidywania przyszłości.

— Coś się we mnie zmienia. Czuję to.

— Skądże, Jon, jesteś po prostu zdenerwowany po tym zdarzeniu z kamieniem księżycowym. Ktoś płata ci figle, bawiąc się twoją wyobraźnią, i nęka cię z rozmysłem. Przecież sam tak powiedziałeś.

— Myślisz, że wkłada mi do głowy te wyobrażenia?

— Być może.

— Nie, to bzdura. Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę.

— Chryste! — wybuchnęła. — Jak możesz mówić coś takiego? Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć?

— Uważasz, że to jest rzeczywiste?

— Przecież czujesz, co się z tobą dzieje? Musisz pogodzić się z faktem, że to, co innym może wydawać się fantastyczne, jest dla ciebie naturalne. Musisz zaakceptować swoje niespotykane zdolności i nauczyć się je kontrolować! Sam przyznałeś, że jakaś zewnętrzna siła wpływa na twoje myśli, a więc chyba powinieneś postarać się zrozumieć istotę swojego daru psychicznego, choćby po to, by skutecznie się bronić.

— To nie takie proste...

— Wcale tego nie powiedziałam. Ale nie chcesz chyba pozwolić, żeby ktoś narzucał ci, co masz postrzegać albo o czym myśleć?

— Wiem, że masz rację. Bardzo chciałbym jakoś zebrać się w sobie, ale wygląda na to, że tamten ktoś nie pozwala mi otrząsnąć się po poprzednim szoku i natychmiast przypuszcza kolejny paralizujący atak. To się już robi nudne. Muszę mieć czas, by pomyśleć, Amy. Zaniepokoiło mnie coś, co niedawno usłyszałem z twoich ust i muszę to przetrwać. Jakieś drzwi czekają, by je otworzyć — potrzebny jest tylko klucz.

— Czy nie moglibyśmy zabrać się do tego wspólnie?

— Jeszcze nie teraz. Jestem pewien, że jest coś, co tylko ja sam potrafię rozszyfrować, tak więc musisz jeszcze uzbroić się w cierpliwość.

— Zgoda, ale pod warunkiem, że nie będziesz niczego przede mną tał.

— To warunek łatwy do spełnienia.

— Zobaczymy.

— Jesteś głodna?

— Zbyt łatwo zmieniasz temat.

— A czy jest jeszcze coś do dodania? — Pewnie, że tak.

— Później. Co zjesz na śniadanie?

— Jak nie masz konia z kopytami, to zadowolę się grzanką i kawą.

— Skoro jesteś taka głodna, to mogę przyrządzić coś lepszego.

— Pozostawiam to twojej decyzji, ale może wolałbyś, żebym ją przygotowała śniadanie?



— Jesteś moim gościem.

— W takim razie mam nadzieję, że nie nadużyłam twojej gościnności przez ostatnie dwa dni.

— Nie ma obawy. A jak to przyjmuje twój tatuś?

— Z kamienną twarzą. Muszę się wykąpać, Jon.

— Okay. Wykąp się w czasie, kiedy będę robił śniadanie.

— Świętoszek.

— Mówisz to po wspólnie spędzonych nocach?

— No, może rzeczywiście nie jesteś takim świętoszkiem. Twoja wanna i tak jest za mała.

Wyszedł z łóżka i założył płaszcz kąpielowy.

— Daj mi parę minut — zawołał przez ramię, schodząc po schodach.

Amy zamknęła oczy i wkrótce na jej delikatnej twarzy pojawił się chmurny grymas.

Na dole Childes szybko ogolił się elektryczną maszynką, odkręciwszy najpierw kurek z gorącą wodą na kąpiel dla Amy. Otworzył szafkę łazienkową, skąd wyjął pudełko ze szklami kontaktowymi. Założył miękkie soczewki, jeszcze zanim lustro zdążyło pokryć się parą. Pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, i włożył wyblakłe dżinsy, trampki i szary sweter. Amy przyglądała mu się z łóżka.

— Musisz się trochę podtuczyć — zauważyła.

— Aby potem dać się zarząć? — odparł, lecz żadne z nich | nie znalazło niczego zabawnego w tej odpowiedzi.

— Twoja kąpiel jest już prawie gotowa — powiedział, przeczesując dłonią gęste, zmierzwione włosy.

— Czuję się jak niewolnica.

— Ja też czasami mam ochotę na niewolnicę, ale ostatnio coraz trudniej o nie.

— Widzę, że powrócił twój dobry humor.

— To nawyk. — Zdał sobie sprawę, że w tym, co powiedział, jest sporo prawdy: tłumił w sobie myśli o tym, czemu nie potrafił stawić czoła.

— Pocałunek bardzo by mi pomógł wyjść z łóżka — powiedziała Amy.

— Ach tak? A czego potrzeba, żeby cię zaciągnąć do łazienki?

— Chodź do mnie, to się przekonasz.

— Woda przeleje się z wanny.

— Wiesz co, jednak czasami jesteś aż nadto poważny.

— A ty zachowujesz się w sposób, który nie przystoi nauczycielce z pensji dla pańienek. — Rzucił jej płaszcz kąpielowy. — Jedzenie będzie gotowe za dziesięć minut. Nie mógł się powstrzymać i podszedł do łóżka, by pocałować jej usta szyję i piersi. Dopiero wtedy zszedł do kuchni. Później, kiedy Amy siedziała naprzeciw niego przy mikroskopijnym kuchennym stole z mokrymi włosami, w niebieskim płaszczu kąpielowym, zupełnie nie wyglądała jak nauczycielka, ale uczennica. Omawiali plany na ten dzień.

— Będę musiała pojechać do domu po parę rzeczy — powiedziała, biorąc się z entuzjazmem do porcji jajek na bekonie z pomidorami.

— Chcesz, żebym pojechał z tobą? — Uśmiechnął się, widząc jaki ma apetyt. Dziwiło go, że przy tej ilości pochłanianego jedzenia wciąż potrafi zachować szczupłą sylwetkę. Ugryzł grzanekę, jedyną na swoim talerzu.

Amy potrząsnęła głową.

— Może będzie lepiej, jak zrobię to sama.

— Prędzej czy później musimy przygotować się na jakąś scenę — oznajmił, mając na myśli Paula Sebire'a.

— Niech to nastąpi jak najpóźniej. Bez tego masz chyba dość kłopotów.

— Zdążyłem się już przyzwyczać do tego, że jesteś ze mną. Przerwała jedzenie.

— Chyba jest nam... dość dobrze ze sobą, prawda?

— Dość.

Zrobiła śmieszny minę i zaczęła jeść dalej.

— To znaczy, mam wrażenie, że jest nam razem wygodnie. To jest takie podniecające.

— Sądzę, że tak.

— Sądziysz? — spytała, przeżuując chleb.

— Jestem pewien. Myślę, że nawet mógłbym się do tego przyzwycząić.

— Chciałbyś, żebym wprowadziła się do ciebie na stałe? Był zaskoczony, ale ona udała, że tego nie zauważyła.

— Moglibyśmy spróbować — ciągnęła, nie patrząc na niego — i zobaczyć, jak nam się ułoży.

— Jeśli nie liczysz się ze zdaniem ojca, to wyobraź sobie

choć, co powiedziałyby na to panna Piprelly: dwoje nauczycieli z jej szkoły żyjących ze sobą w grzechu.

— Nie jesteśmy homoseksualistami ani lesbijkami. To powinno przemawiać na naszą korzyść. A poza tym Pip wcale nie musi się o tym dowiedzieć. \*

— Chyba żartujesz. Na takiej małej wyspie, gdzie jak ktoś kichnie na jednym brzegu, to na przeciwległym ludzie łapią przeziębienie? Ona i tak prawdopodobnie wie o nas.

— W takim razie nie ma sprawy. Westchnął z uśmiechem.

— Wiesz, że to spora różnica. Amy odłożyła nóż i widelec.

— Czy chcesz w ten sposób wymigać się od wszystkiego? Wybuchnął śmiechem.

— Podsuwasz mi dobry pomysł. Ale... Urwał nagle. Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

— Jon? — Dotknęła jego dłoni.

W rogu kuchni syczała maszynka do kawy. Na oknie bzyczała mucha. W ostrych promieniach słońca widać było unoszące się drobinki kurzu. A jednak wydawało się, że świat zamarł w bezruchu.

— Co się stało? — Amy spytała nerwowo. Childes zatrzepotał powiekami. Zaczął podnosić się z krzesła, lecz znieruchomiał w pół drogi.

— Och, nie... — jęknął — ...tylko nie to...

Knykie jego palców zaciśniętych na blacie stołu pobiełały. Nagle zgarbił się, a jego głowa opadła na pierś.

Amy zadrżała z przerażenia, kiedy podniósł głowę i ujrzała na jego twarzy wyraz najwyższej trwogi.

— Jon! — krzyknęła za nim, gdy wybiegł z kuchni, strącając ze stołu kubek z herbatą.

Amy odepchnęła krzesło i pobiegła za nim do przedpokoju. Stał przy telefonie, usiłując wykrecić numer drżącymi palcami. Nie mógł dać sobie z tym rady i spojrzał na dziewczynę błagalnym wzrokiem.

Podeszła do niego i złapała za ramię.

— Powiedz, co zobaczyłeś — prosiła.

— Pomóż mi, Amy, błagam cię, pomóż!

Z przerażeniem dostrzegła, że jego oczy napęcznieją się łzami.

— Do kogo, Jon, do kogo chcesz zadzwonić?

— Do Frań. Szybko! Coś się stało Gabby!

Serce podskoczyło jej do gardła ze strachu, lecz wzięła do ręki słuchawkę, starając się opanować zdenerwowanie. Poprosiła, by podał jej numer, a on początkowo nie potrafił go sobie przypomnieć. Potem wymówił szereg cyfr tak szybko, że musiała poprosić o powtórzenie.

— Jest połączenie — powiedziała, podając mu słuchawkę i przysuwając się bliżej do niego. Czowała, jak drży.

Z drugiej strony ktoś podniósł słuchawkę i Amy usłyszała odległy głos.

— Frań...?

— Czy to ty, Jonathanie? O Boże, dobrze, że dzwonisz! — W kobiecym głosie znać było podenerwowanie i Childes był bliski omdlenia.

— Czy Gabby...? — zaczął.

— Stało się coś strasznego, Jon, coś okropnego.

— Frań... — Strumienie łez ściekały mu teraz po policzkach.

— Chodzi o koleżankę Gabby, Annabel. Zniknęła, Jon. Wyszła, żeby pobawić się z Gabby, ale nie

pojawiła się u nas. U Franka i Melanie jest teraz policja. Melanie prawie odchodzi od zmysłów. Nikt nie widział Annabel od tamtej pory. Po prostu przepadła jak kamień w wodę. Gabby jest zrozpaczona i ciągle płacze. Jonathanie, słyszysz mnie...?

Gdyby Amy nie podtrzymała go, Childes upadłby bezwładnie na podłogę.

Amy wiozła Childesa na lotnisko, od czasu do czasu niespokojnie zerkając na jego pobladłą twarz. Milczał przez całą drogę.

W jego głowie uczucie ulgi mieszało się ze smutkiem z powodu zaginionej dziewczynki, gdyż znał los Annabel. To coś, ten ktoś popełnił błąd; był tego pewien. Ofiarą miała być jego córka. Sprawca na pewno zorientował się w swojej pomyłce.

Amy zaparkowała swojego MG, podczas gdy Childes podszedł do kontuaru biura linii lotniczych, by potwierdzić rezerwację. Spotkali się w barze w hali odlotów. Żadne z nich nie mówiło zbyt wiele, aż do chwili ogłoszenia lotu Childesa. Odprowadziła go do wyjścia, obejmując go w pasie ramieniem.

Amy pocałowała Childesa namiętnie i na chwilę przytuliła się do niego mocno.

— Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz czas, dobrze? — powiedziała.

Skinął posępnie głową. Po chwili ruszył ku wyjściu, z torbą podróżną przewieszoną przez jedno ramię, i wmieszał się w grupę pasażerów lotu do Londynu.

Amy opuściła terminal i siedziała w samochodzie, aż do chwili, kiedy samolot Jona wzniósł się w powietrze. Płakała.

Childes zadzwonił do drzwi i po chwili ujrzał, że coś poruszyło się za matowymi szybami. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Frań. Na jej strapionej twarzy widać było oznaki zadowolenia na jego widok.

— Jonathanie — powiedziała, robiąc krok do przodu, tak jakby chciała go objąć, po czym zawahała się, ujrawszy postać stojącą za plecami Childesa.

— Cześć, Frań — powitał ją Childes i odwrócił się w stronę towarzysza. — Chyba pamiętasz inspektora Overoya?

Na jej twarzy początkowo pojawiło się zmieszanie, a potem wrogość.

— Ależ tak, jakże mogłabym zapomnieć? — Rzuciła byłemu mężowi pytające spojrzenie.

— Pozwól, że wszystko wyjaśnię — powiedział Childes. Stanęła bokiem, żeby ich wpuścić do środka. Nie odpowiedziała na powitanie Overoya.

— Wejdzmy do saloniku — zaproponowała Frań, ale zanim zdolali to zrobić, usłyszeli tupot nóg na schodach.

— Tatusiu, tatusiu! — rozległ się podekscytowany okrzyk Gabby i po chwili dziewczynka zbiegła w dół i skoczyła z ostatnich trzech stopni wprost w ramiona Childesa. Przytulił ją mocno, przekrzywiając okulary na nosie dziewczynki. Czuł wilgoć jej łez na swoich policzkach. Zamknął oczy i objął ją jeszcze mocniej.

Zanosząc się płaczem, powiedziała:

— Tatusiu, zabrali Annabel.

— Wiem, Gabby, wiem.

— Dlaczego, tatusiu? Czy zabrał ją jakiś brzydki pan?

— Nie wiemy. Ale policja wszystko wyjaśni.

— Dlaczego on nie chce jej wypuścić? Jej mamusia bardzo za nią tęskni i ja też. To moja najlepsza przyjaciółka. — Twarz Gabby była zaczerwieniona, a oczy podpuchnięte od łez.

Childes postawił dziewczynkę na podłodze i usiadł obok niej, wyjmując chusteczkę, by obetrzeć jej łzy z policzków. Zdjął okulary i przetarł szkła, cały czas przemawiając do niej łagodnie. Gabby wciąż trzymała go za rękę.

Overoy odezwał się:

— Chyba zajrzę obok, żeby zamienić parę słów z państwem...

— Berridge — dokończyła za niego Frań.

— Proszę bardzo — powiedział Childes, obejmując ramieniem przygarbioną córeczkę. —

Porozmawiamy, jak pan skończy.

Skinąwszy głową w stronę Frań, Overoy wyszedł. Natychmiast przekreśliła za nim gałkę zamka.

— Co on tu, u diabła, robi? — spytała z wyrzutem.

— Zadzwońeł do niego przed odlotem — wyjaśnił Childes. — Odebrał mnie z Gatwick i przywiózł tutaj.

— Tak, ale co on ma z tym wspólnego?

Childes głaskał po głowie Gabby, która niespokojnie przerzucała wzrok z ojca na matkę. Chciał uniknąć kłótni w obecności dziecka.

— Gabby, pędź teraz do siebie na górę, a ja niedługo tam zajrzę. Musimy porozmawiać z mamusią.

— Nie będziecie na siebie krzyczeć? Wciąż pamiętała.

— Nie, oczywiście, że nie. Po prostu musimy o czymś porozmawiać w cztery oczy.

— OAnnabel?

— Tak.

— Ale to moja przyjaciółka. Ja też chcę o niej porozmawiać.

— Kiedy przyjdę do twojej sypialni, będziesz mogła opowiadać mi, co tylko dusza zapagnie.

Podniosła się i stanęła na pierwszym stopniu schodów. Objęła go za szyję.

— Obiecuj, że to nie potrwa długo.

— Masz moje słowo.

— Tęskniłam za tobą, tatusiu.

— Ja za tobą też, Bąbelku.

Weszła po schodach i odwróciła się na półpiętrze, żeby pomachać do niego.

— Gabby — zawołała za nią Frań. — Myślę, że najwyższa pora, żebyś przygotowała się do spania.

Różowa koszulka nocna jest w górnej szufladzie.

Usłyszeli jej nieśmiały protest, ale to było wszystko.

— Miała ciężki dzień — powiedziała Frań, kiedy Childes wstał.

— Wygląda na to, że ty też — zauważył.

— Wyobraź sobie, przez jakie piekło przechodzą Frank i Melanie. — Jeszcze przez chwilę trzymała się z daleka, patrząc na niego niepewnie, lecz zaraz rzuciła się w objęcia Childesa. Poczul jej głowę na ramieniu i miękkie włosy na policzku. — Och, Jon, to takie straszne.

Uspokajał ją tak samo, jak poprzednio córkę, głaszcząc po głowie.

— Przecież to mogło zdarzyć się Gabby — dodała. Nie odpowiedział.

— To dziwne, ale rano czułam, że coś jest nie w porządku. Gabby była w kuchni i parzyła herbatę,

a ja wstałam, żeby sprawdzić, dlaczego to trwa tak długo. — Frań zaśmiała się nerwowo. —

Uwierzyłbyś? Rozsypała cukier i zamiatała dokładnie podłogę, żebym się o tym nie dowiedziała.

Mniej więcej w tym czasie Annabel musiała przejść przez ogród, żeby pobawić się z Gabby. Może

tym razem wyszła na ulicę — nie wiadomo, nikt jej nie widział. Tylko ta osoba, która ją porwała.

Mój Boże, tyle razy ostrzegaliśmy Gabby i Annabel, żeby same nie oddalały się od domu!

— Myślę, że dobrze by nam obojgu zrobiło, gdybyśmy się czegoś napili — zaproponował.

— Nie miałam odwagi sama zrobić sobie drinka; mogłabym nie móc się powstrzymać. Nie

potrafiłabym pomóc Frankowi

i Melanie, gdybym się urznęła. Dobrze, że jesteś. Tobie zawsze udawało się kontrolować moje picie.

Weszli do salonu, obejmując się tak, jakby wciąż byli kochankami. Wszystko dookoła było w

przyjemny sposób znajome Childesowi, z wyjątkiem kilku sprzętów, które Frań kupiła od czasu,

kiedy się wyprowadził. Pięć lat życia spędzonych w tym domu było trudne do wymazania z

pamięci, a jednak czuł, że nie jest już częścią tego wszystkiego, że należy już gdzie indziej. To było

dziwne i niezbyt przyjemne uczucie.

— Usiądź — powiedział — a ja przygotuję drinki. Wciąż pijesz gin z tonikiem? Frań skinęła

głową.

— Tak. Nalej dla mnie solidną porcję. — Rozparła się wygodnie na kanapie, zrzuciwszy buty i

podkurczywszy nogi pod siebie. Obserwowała go przez cały czas. — Jonathanie, kiedy dzwoniłeś

do mnie dziś rano, nie dałam ci prawie dojść do słowa, ale wydaje mi się, że już byłeś czymś

zdenerwowany. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki wymówiłeś moje imię.

— Chcesz lodu?

— Wszystko mi jedno. Po prostu mam ochotę się napić. No więc jak, byłeś zdenerwowany czy nie? Nalał dużą porcję ginu i sięgnął po butelkę toniku, która stała w głębi barku.

— Przyszło mi do głowy, że coś się stało Gabby — odparł.

— Gabby? A skąd...? — urwała i zamknęła oczy. — Och, nie, nie znowu to — jęknęła cicho.

Podszedł i wręczył jej szklankę z ginem, a ona nie spuszczała z niego wzroku.

— Opowiedz o wszystkim — powiedziała niemal błagalnie. Childes nalał sobie szkockiej, po czym wrócił i usiadł na kanapie blisko niej.

— Znowu mam widzenia.

— Jon...

— Dziś rano miałem niesamowite przeczucie, że Gabby znajduje się w niebezpieczeństwie. —

Czyż mógł jej powiedzieć, iż był pewien, że ich córka znajduje się w niebezpieczeństwie oraz że Annabel została porwana przez pomyłkę? Przez cały dzień tamten torturował go wizjami okrutnych czynów, jakich się dopuszczał. I w dziwny sposób Childes zahartował się, ze spokojem znosząc kolejne bolesne obrazy, gdyż zdał sobie sprawę, że najgorsze już minęło i Annabel nie czuje bólu zadawanych tortur. Od początku nic nie czuła. Przynajmniej to powinien powiedzieć Frań.

— Ale przecież to nie Gabby porwano, ale jej koleżankę, Annabel — odezwała się jego była żona.

— Pomieszało mi się to w głowie. — To było tchórzostwo, ale Frań i tak przeżyje szok, kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw. Powoli, pomyślał, należy dozować bolesne szczegóły. — Frań, jest coś, co powinnaś wiedzieć.

Pociągnęła duży łyk ginu, jakby dla dodania sobie kurażu, pamiętając, że jego wizje zawsze oznaczały tragedię. Powiedziała to za niego. Nie mogła się powstrzymać.

— Annabel nie żyje, prawda?

Skinął głową, unikając jej wzroku.

Twarz Frań poszarzała, a szklaneczka z ginem zadrżała w jej dłoni, na której rozlało się kilka kropel alkoholu. Childes odebrał jej szklankę i postawił na stoliku, po czym objął Frań ramieniem i przyciągnął do siebie.

— To takie okrutne, nieludzkie — zajęczała. — Dobry Boże, co ja powiem Frankowi i Melanie?

Jak zdołam to im powiedzieć?

— Nie, Frań, jeszcze nie możemy im nic powiedzieć. To będzie zależało od policji, gdy... kiedy znajdą ciało.

— Ale jak mam spojrzeć w twarz Melanie, jak mogę jej pomóc, wiedząc o tym? Czy jesteś pewien, Jon? Absolutnie pewien?

— To dzieje się tak samo jak poprzednio.

— Nigdy się nie pomyliłeś?

— Nie.

Poczuł, że Frań sztywnieje.

— Dlaczego sądziłeś, że porwano Gabby? — Odsunęła się od niego, by móc spojrzeć mu w twarz. Frań nie była głupia.

— Nie mam pewności. Przypuszczam, że odebrałem to w ten sposób, bo to zdarzyło się w pobliżu domu. Zmarszczyła brwi

z nieufnym grymasem twarzy i właśnie miała coś powiedzieć, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi.

— To na pewno Overoy — rzekł z ulgą Childes. — Otworzę mu.

Detektyw miał zaszepconą twarz, kiedy wszedł do salonu.

— Fatalnie to przyjęli — powiedział.

— A czego się pan spodziewał? — rzuciła Frań z gwałtownością, która zdziwiła obu mężczyzn.

— Przepraszam, nie powinienem tego mówić — usprawiedliwił się Overoy. Skinął głową, kiedy Childes wskazał gestem butelkę whisky. — Czy mogę pani zadać pytanie, które zadałem rodzicom Annabel, pani Childes? Eee... pani wciąż nazywa się Childes, prawda?

— Childes brzmi znacznie lepiej niż moje panięskie nazwisko, więc nie zwracałam sobie głowy, żeby je zmieniać. Poza tym nie sprawia to kłopotu Gabrieli. A jeśli chodzi o pańskie pytanie, to dzisiaj już wielokrotnie zadawali mi je pańscy koledzy, a moja odpowiedź jest niezmienna: nie

widziałam nikogo podejrzanego w pobliżu domu w przeciągu ostatniego tygodnia. A teraz proszę pozwolić, że ja o coś pana zapytam.

Overoy wziął szklaneczkę whisky od Childesa i ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

— Proszę usiąść, inspektorze — powiedziała Frań, sięgając po swojego drinka. Jej ręka trzymająca szklanę wciąż drżała. W jej głowie rodziło się kolejne podejrzenie. Childes podszedł i usiadł obok byłej żony.

— Wydaje mi się dziwne, że Jonathan natychmiast skontaktował się z panem tylko dlatego, że miał kolejne „widzenie”, a pan zadał sobie trud odebrania go z lotniska i przywiezienia tutaj. To znaczy, dlaczego właśnie pana zawiadomił, skoro nie widzieliście się od — ile to już będzie — prawie trzech lat?

— Znam jego przeszłość, pani Childes, jego szczególnie dar psychiczny.

— Tak, wiem, że pan w końcu uwierzył w niego. Ale żeby rzucić wszystko tylko po to, by odebrać go z lotniska? Zastanawiam się, czy był pan w ogóle na służbie? Przecież dziś sobota.

Tym razem odpowiedział Childes.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to zadzwoniłem do domu inspektora Overoya.

— Och, miałeś więc jego prywatny numer telefonu.

— Wcale nie mieliśmy zamiaru niczego przed tobą ukrywać, Frań. Po prostu sądziliśmy — ja sądziłem — że będziesz za bardzo zdenerwowana porwaniem Annabel i że to będzie ponad twoje siły.

W jej oczach pojawił się nowy strach. Obiema dłońmi uniosła do ust szklanę i upiła trochę ginu, po czym powoli odstawiła ją na kolana. Wyprostowała się i powiedziała łamiącym się głosem:

— Chyba nadeszła pora, żebyście mi wszystko powiedzieli.

Było już późno.

Childes i jego była żona siedzieli we dwoje przy kuchennym stole, mając przed sobą talerze z resztkami posiłku przyrządzonego i zjedzonego bez entuzjazmu. W sypialni Gabby panowała cisza.

— Powinnaś zajrzeć do Melanie i sprawdzić, jak się czuje.

— Frań przygryzła dolną wargę w nerwowym grymasie, za który często beształ ją mąż w czasach małżeństwa.

— Jest już dobrze po dziesiątej, Frań. Na twoim miejscu nie zawracałbym jej teraz głowy. A poza tym, o ile mi wiadomo, lekarz dał jej środek usypiający, więc być może już śpi.

Frań rozłożyła bezradnie ręce.

— Zresztą, co mogłabym jej powiedzieć po tym, czego się od ciebie dowiedziałam? Czy jesteś tego zupełnie pewien? Wiedział, co ma na myśli.

— Chciałbym mieć wątpliwości.

— No tak, przecież w tych sprawach nigdy się nie myliłeś. — W tej uwadze nie było cienia zgryźliwości, tylko wielki smutek.

— Ale tym razem to coś innego, prawda? To nie przypomina wydarzeń sprzed kilku lat.

Wypił łyk letniej kawy, zanim odpowiedział.

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Jakimś sposobem ten potwór potrafi drażnić mój umysł. Pozostaje tajemnicą jak i dlaczego.

— Może w przypadkowy sposób złamał twój kod. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem.

Frań odsunęła swój talerz i podparła się łokciami o blat stołu.

— Spójrzmy na to z innej strony, używając twoich ukochanych komputerów jako analogii. Kiedy chcesz uzyskać dostęp do innego systemu, musisz znać jego kod, prawda? Kiedy już masz go w ręku, możesz swobodnie dotrzeć do banku pamięci. Nawiązuje się wtedy coś w rodzaju dialogu między dwoma komputerami, mam rację? W takim razie może tamta osoba przypadkowo odnalazła twój kod. Albo też jej kod znajduje się gdzieś w twojej podświadomości.

— Nie wiedziałem, że interesujesz się takimi sprawami.

— W zasadzie nie, ale to, co się nam zdarzyło ostatnim razem, spowodowało, że zaciekały mnie te rzeczy. Przeprowadziłam takie małe badania na własny użytek! Wciąż nie rozumiem zbyt wiele, ale dzięki temu poznałam kilka teorii wyjaśniających powstawanie dziwnych zjawisk psychicznych.

Choć, trzeba przyznać, większość z nich wydaje się całkiem nieprawdopodobna, to niektóre odznaczają się swoistą logiką. Dziwię się tylko, że ciebie jakoś nigdy to nie zainteresowało. Zmieszał się.

— Chciałem o wszystkim jak najprędzej zapomnieć.

— To dziwne.

— Co takiego?

— Nieważne. — Uśmiechnęła się w zamyśleniu. — Pamiętam, że nigdy nie lubiłeś opowieści o duchach. Zawsze składałam to na karb twojego zawodu. Wydawało mi się, że w technicznym umyśle nie ma miejsca na irracjonalizm. Jaka w tym ironia losu, że ktoś taki jak ty otrzymuje informacje drogą telepatyczną. To nawet mogłoby wydawać się zabawne, gdyby nie było takie przerażające.

— Zmieniłem się.

— Byłabym rada dowiedzieć się czegoś na ten temat.

— Komputery już nie znaczą dla mnie tyle, co kiedyś. To po prostu praca, do tego w niepełnym wymiarze godzin.

— W takim razie muszę przyznać, że naprawdę się zmieniłeś. A co prócz tego?

— Prowadzę zupełnie inne życie, bardziej zrelaksowane — sędzę, że ty właśnie tak byś to określiła. Dużo odpoczywam i korzystam z dobrodziejstw natury.

— Kiedy mieszkaliśmy razem, też nie byłeś bezgranicznie oddany pracy zawodowej, Jon, choć przyznaję, że zabierała ci wiele czasu. Jednak, kiedy tylko to było możliwe, zawsze potrafiłeś znaleźć czas dla mnie i Gabby.

— Teraz wiem, że to było za mało.

— Było w tym sporo mojej winy. Miałam wiele niesprawiedliwych wymagań. Ale to już należy do przeszłości i nie ma sensu się w nią zagłębiać.

— Masz rację. — Odstawił kubek z kawą. — Frań, martwię się o was, o to, że zostajecie tu we dwie.

— Więc jesteś pewien, iż ten potwór zamierzał porwać Gabby?

— To coś chciało uderzyć we mnie poprzez Gabby.

— Skąd możesz mieć pewność, że to ta sama osoba? — Podniosła głos. — I dlaczego, do diabła, ciągle mówisz „coś”? Mój Boże, to obrzydliwy wampir, ale przecież jest istotą ludzką!

— Nie potrafię myśleć o nim jak o człowieku. Moje odczucie bezbrzeżnej potworności, brutalności jest zbyt nieludzkie. Kiedy wkrada się do mojego umysłu, prawie czuję smród rozkładu, mogę niemal ujrzeć całą jego ohydę.

— Mój Boże, rzeczywiście się zmieniłeś. Potrząsnął przecząco głową.

— Staram się tylko przedstawić ci wrażenie, jakie pozostaje we mnie po jego psychicznym najeździe: uczucie zgnień, jadowitej złośliwości i zaciekleści. To brzydkie uczucie, Frań, i przerażające.

— Rozumiem, Jonathanie, ja nie próbuję podważać prawdziwości twoich wizji. Wiem, że naprawdę bardzo to przeżywasz, ale czy jesteś pewien, że nie tracisz kontroli nad własnym umysłem? Usiłował zdobyć się na uśmiech.

— Zawsze szłaś na całość. Chcesz powiedzieć, że dostaję bzika?

— Nie, nie to mam na myśli. Ale niewykluczone, że te straszliwe doznania mogły spowodować u ciebie powstanie halucynacji, prawda? Spójrzmy na to trzeźwo, przecież niewiele wiemy na temat wielorakich funkcji ludzkiego mózgu, skąd więc można mieć pewność, co powoduje lekkie zaburzenia jego funkcjonowania?

— Musi wystarczyć ci moje słowo: tamta osoba, jeśli już obstajesz przy tym, by tego potwora nazywać człowiekiem, która zamordowała prostytutkę i staruszka oraz sprofanowała zwłoki chłopca, jest z całą pewnością tą samą, która omyłkowo porwała Annabel. Poznała mnie i chce dostać się do mnie, by sprawić mi ból. Dlatego ty i Gabby musicie mieć ochronę.

— Ale skąd ta osoba dowiedziała się, gdzie mieszkamy? Czy to też wyczytała z twoich myśli? To wszystko nie ma najmniejszego sensu!

— Nie potrafię przed nim ukryć swojej przeszłości. Frań, nie rozumiesz?

— Nie, do cholery, nie rozumiem!

— Mój umysł jest dla niego jak pamięć komputera, do którego z łatwością może się dostać, poznawszy kod. Sama wysnułaś tę analogię. Może udało mu się odkryć to, co zdarzyło mi się w przeszłości. — Przyszła mu do głowy pewna myśl. — Frań, czy nadal masz zastrzeżony numer telefonu?

— Nie, prosiłam o przyznanie nowego numeru. W mojej pracy nie mogę sobie pozwolić na anonimowość. Childes poprawił się na krześle.

— To może być wyjaśnienie.

— Czyżby? Twój potwór nie jest istotą ludzką, a potrafi wyszukać numer w książce telefonicznej.

— Nerwowo założyła nogę na nogę.

— Usiłowałam ci to wytłumaczyć. To jest człowiek, ale jest w nim coś koszmarnie nieludzkiego. Jest inteligentny, gdyż w innym razie policja dawno by go ujęła.

— Jednak nie dość bystry, żeby porwać właściwe dziecko — wypaliła.

— Nie, dzięki... — Nie dokończył zdania i nagły przypływ poczucia winy złagodził istniejące między nimi napięcie. — Chodzi mi o to — ciągnął Childes — że to coś wkrótce zda sobie sprawę z pomyłki, jeśli to już się nie stało.

— Znajdzie odpowiedź w gazetach.

— Albo w radiu lub w telewizji. Jej oczy gwałtownie się rozszerzyły.

— Jon, jeśli oni znajdą powiązanie, to... Patrzył martwo w blat stołu.

— To będziemy musieli przejść przez to wszystko jeszcze raz. Porwanie dziecka sąsiadów człowieka, który kiedyś pomagał policji w sprawie serii morderstw dzieci, to zbyt wielki zbieg okoliczności.

— Nie zniosłabym tego.

— Kolejny powód przemawiający za tym, żeby wyprowadzić się stąd na jakiś czas. Overoy zorganizował obserwację domu dla waszego bezpieczeństwa, ale nie może zrobić nic, by powstrzymać reporterów. Na razie można będzie powiedzieć, że ochrona policyjna dotyczy Melanie i Franka, ale nie sądzę, aby dziennikarze dali się na to nabrać. Będziesz tu miała prawdziwe obłężenie, kiedy dowiedzą się prawdy. — Zamilkł na chwilę, zanim zdobył się na następną sugestię.

— Sądzę, że powinnyście na jakiś czas przyjechać do mnie.

— Nie ma mowy, Jon — odparła natychmiast. — Moja praca na to nie pozwala. A Gabby musi chodzić do szkoły.

— Jakieś dwa tygodnie wolnego nie powinny jej zaszkodzić, a ty też na pewno masz jakiś zaległy urlop do wykorzystania. Potrząsnęła głową.

— Nie, mam masę roboty w agencji, a nie możemy sobie pozwolić na to, by odprawić klientów z kwitkiem. Poza tym obie musiałybyśmy i tak kiedyś wrócić. I co wtedy?

— Należy mieć nadzieję, że do tego czasu morderca zostanie ujęty.

— Ciekawe jak. Twoje pomysły są mało praktyczne, Jon, ale sądzę, że możemy znaleźć jakiś kompromis. Mogłabym przeprowadzić się do matki. Aż się rwie do tego, żeby zajmować się Gabby, a poza tym mama mieszka niedaleko od miasta, więc mogłabym stamtąd bez większych problemów dojeżdżać do pracy.

— Może pozwolisz, żeby choć Gabby pojechała ze mną. Jej odpowiedź była stanowcza i bezwzględna.

— Sąd mnie powierzył opiekę nad nią.

— Bo nie występowałam o jej przyznanie.

— Byłeś na to zbyt mądry. A poza tym, czy nie przyszło ci do głowy, że właśnie ty jesteś najbardziej narażony na niebezpieczeństwo ze strony tego mordercy? Może przyszedł tutaj, bo szukał ciebie?

Brał pod uwagę taką ewentualność w rozmowie z Overoyem w drodze z lotniska.

— Może masz rację, Frań, nie ma sposobu, żeby się o tym przekonać, ale to dowodziłoby, że nie ma pojęcia, gdzie teraz mieszkam.

— Im głębiej zapuści swoje macki do twojego mózgu, tym więcej będzie o tobie wiedział.

— Ten zmysł nie działa w ten sposób; myśli nie przyoblekają konkretnego kształtu. Może będzie



miał pewne pojęcie o otoczeniu, w jakim przebywam, ale na pewno nie pozna w ten sposób szczegółów. Czy nie przypominasz sobie, że wtedy, gdy rozpoznałem miejsce ukrycia zwłok dzieci, byłem w stanie opisać wyłącznie okolice?

— Byłeś dość dokładny, ale, w porządku, rozumiem, o co ci chodzi. Mimo to uważam, że niebezpieczeństwo koncentruje się wokół twojej osoby.

Musiał ustąpić.

— Będziesz musiała mieć ochronę policyjną nawet wtedy, gdy pojedziesz do matki.

— To powinno jej się nawet spodobać. Wiesz, jaka jest: lubi, żeby coś się działo dokoła niej.

— Wiem. Nie posyłaj Gabby do szkoły, dobrze?

— Jeśli uważasz, że to konieczne. Może znajdę jakąś szkołę w pobliżu domu matki.

— To by było najlepsze rozwiązanie.

— Dobra, zgadzam się. — Frań przeczesła dłonią kasztanowe włosy i miała wrażenie, że odprężyła się.

— Chcesz jeszcze kawy?

— Nie, jestem strasznie zmęczony. Nie masz nic przeciwko temu, żebym został na noc?

— Wydawało mi się to oczywiste, że zostaniesz. Pomimo tego, co zaszło między nami w przeszłości, jesteś tu zawsze mile widzianym gościem. — Dotknęła jego dłoni gestem, który był tylko trochę niezręczny, a on odpowiedział przelotnym uściskiem. — Być może nie daliśmy sobie zbyt wiele szczęścia, ale mieliśmy w małżeństwie sporo jaśniejszych momentów, prawda?

Mimo zmęczenia Childes zdołał się uśmiechnąć.

— To były dobre lata, Frań.

— Początkowo tak.

— Zmieniliśmy się i staliśmy dla siebie obcy.

— Gdy... — zaczęła, ale przerwał jej.

— To stare dzieje, Frań. Odwróciła wzrok.

— Pościelę ci w pokoju gościnnym, jeśli właśnie tam chcesz spać... — celowo zawiesiła głos.

Czuł pokusę. Frań nie była wcale mniej godna pożądania niż kiedykolwiek przedtem, a dramatyczne wydarzenia tego dnia zrodziły w nich potrzebę psychicznej pociechy. Minęło sporo czasu, zanim odpowiedział:

— Jestem z kimś związany.

W odpowiedzi Frań znać było złośliwą nutę. — Jakieś zaprzyjaźnione ciało pedagogiczne?

— Skąd wiesz? — zdziwił się.

— Gabby była zachwycona miłą nauczycielką, którą poznała, kiedy ostatnim razem była u ciebie.

To już trwa dość długo, prawda? Nie obawiaj się, możesz mi o tym otwarcie powiedzieć. Już dawno przeszła mi wszelka zazdrość, tym bardziej że nie mam już do niej żadnego prawa, przynajmniej w związku z twoją osobą.

— Nazywa się Aimee Sebire.

— Francuzka?

— Ma francuskie nazwisko. Znamy się od ponad dwóch lat.

— To brzmi poważnie. Nie odpowiedział.

— Ja ciągle pechowo wiążę się z zonatymi facetami. — Frań westchnęła. — Prawdę mówiąc, nigdy nie potrafiłam dokonać właściwego wyboru.

— Jesteś wciąż piękna, Frań.

— Ale można mi się oprzeć.

— W innych okolicznościach...

— W porządku, celowo zapędziłam cię w kozzi róg. Niezależność może być bardzo uciążliwa dla kobiety, pomimo że żyjemy w liberalnych czasach. Nawet nam, wyzwolonym kobietom, potrzebne jest ciało, do którego można by się przytulić, i silne ramię, na którym można by złożyć głowę. — Powoli wstała od stołu i po raz pierwszy ujrzał jej podpuchnięte oczy. — Pójdę po pościel. Nie powiedziałeś mi jeszcze, co ty i inspektor Overoy planujecie zrobić w sprawie naszego wilkołaka.

— Czekala w drzwiach na odpowiedź.

Przekreślił się na krześle, by nie siedzieć tyłem do Frań. Ton jego głosu i implikacje tego, co

powiedział, przeraziły ją.

— Do tej pory to „coś” bezkarnie grzebało w moich myślach. Overoy uważa, że czas już, by role się odwróciły.

Obudził się i poczuł, że w pokoju prócz niego jest jeszcze ktoś. Przez chwilę był zdezorientowany; w półmroku nie mógł rozróżnić kształtu otaczających go przedmiotów. Przypomnił sobie wydarzenia minionego dnia. Był w domu. Nie, nie w domu. W swoim dawnym domu z Frań i Gabby. Światło ulicznej lampy prawie nie docierało do środka pokoju.

Jakiś cień zbliżył się do niego.

Childes gwałtownie podniósł się, prawie zmartwiały z przerażenia.

Poczuł ciężar na łóżku, a w chwilę później usłyszał głos Frań.

— Przepraszam, Jon. Nie mogę spać sama, nie dziś. Proszę, nie gniewaj się na mnie.

Podniósł kołdrę, a ona wsunęła się obok i przytuliła do niego. Jej nocna koszula była cienka i delikatna.

— Nie musimy się kochać — szepnęła. — Nie po to przyszłam. Po prostu obejmij mnie i przytul na chwilę.

Zrobił to, o co prosiła. A potem się kochali.

Obudził się jeszcze raz tej nocy, dużo później, wyrwany z mocnego snu.

Frań ścisnęła go za ramię.

— Co to? — syknęła. \*

— Nie mam poję... Znow to usłyszeli.

— Gabby! — krzyknęli jednocześnie.

Childes zerwał się z łóżka, a za nim Frań. Oboje pobiegli do drzwi. Namacał kontakt w hallu. Jasne światło początkowo oślepiło go, aż zabolęły oczy.

Przed otwartymi drzwiami sypialni Gabby ujrzeli czarną kotkę z grzbietem wygiętym w pałąk i zjeżoną sierścią. Panna Puddles patrzyła przed siebie rozjuszonym wzrokiem i z szeroko otwartym pyszczkiem, z którego sterczały ostre jak szpilki zęby.

Znow rozległ się przeraźliwy krzyk Gabby.

Nastroszona sierść kota zafalowała, jakby targana silnym podmuchem wiatru. Zwierzę zbiegło po schodach i zniknęło w ciemności.

Ruszyli do sypialni dziecka i gdy weszli do środka, zobaczyli, że Gabby siedzi wyprostowana na łóżku. Patrzyła w róg pokoju, a wskutek słabego światła nocnej lampki jej twarz niknęła w głębokim cieniu.

Nawet nie spojrzała na nich, kiedy podbiegli do łóżka, lecz wciąż wpatrywała się w ciemny kąt sypialni, tak jakby widziała tam coś, czego nie mogli dostrzec rodzice.

Gdy Frań mocno przytuliła ją do siebie, dziewczynka zatrzepotała powiekami, jakby budząc się z głębokiego snu. Childes patrzył na nią zatroskanym wzrokiem, kiedy wyrwała się z matczynej objęć i sięgnęła po coś leżącego na nocnym stoliczku. Znalazła okulary, prędko je włożyła i jeszcze raz zerknęła w stronę ciemnego kąta.

— Gdzie ona jest? — spytała płacząco.

— Kto, kochanie, kto? — zapytała Frań, znowu biorąc ją w objęcia.

— Czy już sobie poszła, mamusiu? Była taka smutna. Childes poczuł falę zimnych dreszczy. Miał czoło i dłonie złane zimnym potem.

— Powiedz mi kto, Gabby? — pytała matka. — Powiedz, kogo widziałaś.

— Dotknęła mnie i była taka zimna, mamusiu, lodowato zimna. Annabel była taka smutna.

Childes poczuł, że gdzieś w głębi ożyło dawno zapomniane wspomnienie.

Paczka przyszła wraz z poranną pocztą w poniedziałek i była zaadresowana do JONATHANA CHILDESA. Zarówno jego nazwisko, jak i adres żony zostały wypisane starannym, drobnym, drukowanym pismem. Szara koperta była typowa i miała wymiary dwadzieścia pięć centymetrów na dwadzieścia.

Wewnątrz znajdowało się małe, kwadratowe, kartonowe pudełko.

Wewnątrz pudełka było zawiniątko z pomiętej bibułki. W papierze znajdowało się sześć przedmiotów.

Pięć obciętych palców maleńkiej dłoni i gładki, biały kamień księżycowy.

Życie szło dalej swoim torem.

Childes wrócił na wyspę po dwóch dniach intensywnych policyjnych przesłuchań oraz upewnieniu się, że Frań i córeczka bezpiecznie ulokowały się u jego byłej teściowej, która mieszkała w spokojnej, małej wiosce niedaleko Londynu. Nie odwoził ich, gdyż nie chciał, aby w jego pamięci utrwaliły się jakiegokolwiek szczegóły dotyczące podróży.

Chociaż nie potrafił w żaden sposób pomóc policjantom prowadzącym dochodzenie, czuł, że tylko zapewnieniom inspektora Overoya zawdzięczał fakt, iż pozwolono mu na wyjazd. Ani stempel pocztowy (pochodzący z przedmieść Londynu), ani staranny charakter pisma na kopercie nie dostarczyły policji żadnych użytecznych wskazówek. Na sklejeniu koperty nie było mikrośladów śliny, gdyż była to koperta samoprzylepna. Nie udało się odczytać żadnych wyraźnych odcisków palców na kopercie ani na pudełku. Wzmianka o półszlachetnym kamieniu znalezionym wśród odciętych palców nie dostała się do prasy, by nie zachęcić innych potencjalnych zabójców do kopiowania wyczynów mordercy. Natomiast nie udało się ukryć faktu istnienia „prawdopodobnego” związku między porwaniem a trzema innymi zbrodniami, ale policja nie podała przyczyny, na której opiera tę teorię.

Childesowi udało się uniknąć rozgłosu związanego z jego udziałem w sprawie. Jego kontakt telepatyczny z mordercą pozostał ściśle strzeżoną tajemnicą. Orzeczenie patologa głosiło, że palce zostały odcięte po śmierci ofiary. Przynajmniej to było pewną pociechą.

Ciała Annabel nie odnaleziono, a Childes nie potrafił pomóc w jego zlokalizowaniu. Szczerze próbował uruchomić swój niezwykły dar, ale bez rezultatu.

W ciągu najbliższych tygodni nie miało zdarzyć się nic niezwykłego.

Ujrzał we śnie ciemnowłosego chłopca i zrozumiał, że to on jest tym chłopcem.

Chłopiec siedział wyprostowany w wąskim łóżku wśród zmierzwionej pościeli. Powtarzał wciąż te same słowa bezsensownej litanii:

— ...to... nie możesz... być...

Przy łóżku stała postać kobieca, jak figura z kości słoniowej, nieruchoma w świetle księżyca. Bił od niej ogromny smutek. Childes wiedział, że ta kobieta to jego matka. Nieżyjąca matka.

— On mówi... że to... niemożliwe... To... nie możesz... być... — mamrotał chłopiec, a smutek obojga — syna i matki — stał się ogromny.

I wtedy chłopiec ze snu poczuł obecność obserwatora i z zaskoczeniem spojrzął w najciemniejszy kąt pokoju. Childes patrzył w swoje własne oczy.

Lecz wrażenie rozwiało się z chwilą pojawienia się odgłosu kroków w korytarzu. Zjawa-matka zniknęła w tej samej chwili.

W drzwiach stanął nachwiejnych nogach mężczyzna. Childes, który wciąż obserwował tę scenę, odczuł niemal fizycznie falę gniewu i złości ojca. Podobnie jak jego młodsze wcielenie. Childes skulił się ze strachu, kiedy pijany ojciec ruszył z zaciśniętymi pięściami w stronę chłopca.

— Przecież mówiłem ci — wykrzyknął ojciec. — Dość tego! Dość już tego...

Chłopiec krzyczał, kiedy jeden za drugim posypały się na niego ciosy.

Childes chciał krzyknąć, nakazać ojcu, by zostawił chłopca w spokoju. Chciał wyjaśnić, że chłopiec nie potrafi nic poradzić na to, że objawia mu się duch matki. Zamierzał powiedzieć, że matka wróciła po to, by go pocieszyć i zapewnić o swojej miłości, która nie umarła wraz z jej ciałem stoczonym przez raka; że śmierć nie jest przeszkodą dla miłości i że dzięki swemu specjalnemu darowi, który pozwala na widzenie...

Ale ojciec nie słuchał, nie słyszał, gdyż wściekłość zagłuszała wszystkie jego zmysły. Przecież już wcześniej powiedział synowi, że życie po śmierci nie istnieje, a zmarli nigdy nie powracają na ziemię, oraz że matka umarła w cierpieniach, gdyż Bóg tak chciał, bo zasługiwała na nie, będąc osobą pełną nienawiści. Więc to niemożliwe, żeby wstała z grobu i mówiła teraz o miłości, bo przepelniała ją nienawiść do męża. Poza tym duchy nie istnieją; nawet Kościół zaprzecza ich istnieniu. Nic takiego nie istnieje, nic...!

Krzyki dziecka przeistoczyły się w szloch. Tym razem ojciec bił go jeszcze mocniej niż zwykle.

Wkrótce chłopiec stracił przytomność, jakby świadomie chciał odrzucić to, co się zdarzyło. I wtedy

Childes, dorosły świadek wydarzeń we śnie, zrozumiał, że umysł chłopca wykształcił w sobie blokadę broniącą dostępu także temu, co jeszcze miało się wydarzyć.

Obudził się, szlochając, tak jak to bywało, gdy był chłopcem.

— Jon, dobrze się czujesz?

Amy pochylała się nad nim, a jej włosy łaskotały go w policzek.

— Miałeś jakiś koszmarny sen, ten sam co kiedyś; mówiłeś przez sen te same słowa, krzyczałeś na kogoś, żeby przestał.

Oddychał płytko i szybko, a jego pierś unosiła się gwałtownie. Zapalił lampkę nocną i w jej świetle ujrzał śliczną, zatroskaną twarz Amy. Odetchnął z ulgą.

— On... on mnie zmusił... — wyszeptał.

— Kto, Jon? Do czego cię zmusił?

Prędko otrząsnął się z resztek snu. Leżał przez chwilę w milczeniu, zbierając myśli, a w końcu usiadł na łóżku, opierając się plecami o ścianę. Amy przykłęka obok. Światło wydobyło łagodne krągłości jej ciała. Odgarnęła kosmyk włosów z jego czoła.

— Co mówiłem przez sen? — zapytał.

— Mamrotałeś coś, co brzmiało jak: „To niemożliwe”, „nie”, „to nie możesz być”. Powtarzałeś to w kółko, a potem zacząłeś krzyczeć.

Choć była noc, powietrze było ciepłe, a przez otwarte okno nie wpadał nawet najmniejszy podmuch wiatru.

— Och, Amy, Amy, wydaje mi się, że zaczynam rozumieć — powiedział, a jego słowa zabrzmiały jak jęk. Objęła go i położyła głowę na jego ramieniu.

— Przerażasz mnie — powiedziała. — Opowiedz mi o wszystkim, Jon. Proszę, niczego nie ukrywaj.

Pogłaskał ją po plecach, napawając się jej ciepłem, które nie było wyłącznie fizyczne. Zaczął mówić, początkowo z wahaniem, miękko i cicho.

— Kiedy Gabby... kiedy widziała... kiedy sądziła, że zobaczyła Annabel tamtej nocy... po tym jak ją... porwano, wtedy coś drgnęło we mnie, jakieś wspomnienie. Wspomnienie, które skrywałem w podświadomości przez długie, długie lata. To bardzo złożone i nie wiem, czy potrafię ci to wyjaśnić, ale spróbuję.

Amy ułożyła się wygodniej, by nie uciskać go swoim ciężarem.

— Przypuszczam, że nikt tak naprawdę nie chciałby nienawidzić swojego ojca — ciągnął. —

Pamiętaj, że był dla mnie przez długi czas jedynym rodzicem, więc poczucie winy mogło odgrywać pewną rolę w tym, że nie przyjmowałem do wiadomości pewnych faktów odnośnie do mojej osoby. Nie mogę być pewien, Amy, ale po prostu usiłuję to sobie jakoś zrationalizować.

Zamilkł, jak gdyby dobierał i porządkował w myślach słowa. Amy próbowała mu pomóc.

— Ten sen, Jon. Może zaczniesz od niego. Childes potarł palcami zamknięte powieki.

— Tak — powiedział po chwili — sen jest kluczem do zrozumienia wszystkiego. Sęk w tym, że wcale nie jestem pewien, czy to był tylko sen, Amy. — Ujął jej dłoń i przyciągnął ją do siebie, po czym popatrzył w stronę okna po przeciwległej stronie pokoju. — Ujrzałem siebie jako małego chłopca, mniej więcej w wieku Gabby, i patrzyłem na niego — to znaczy, na siebie, z góry, tak jakbym unosił się w powietrzu pod sufitem jego sypialni. Chłopiec siedział na łóżku. Był zalekziony, a jednak wydaje mi się, że w jakiś sposób szczęśliwy. W sypialni był jeszcze ktoś, Amy, jakaś postać stała w świetle księżyca przy łóżku chłopca i patrzyła na niego tak samo jak ja.

Kobieta. Moja matka.

Childes wziął głęboki oddech, a Amy czekała w milczeniu. Miał poważny wyraz twarzy, a błysk w jego oczach zdradzał jednocześnie smutek i podekscytowanie z powodu nagłego odkrycia.

— Ale moja matka wtedy nie żyła już od ponad tygodnia.

— Jon...

— Nie przerywaj mi, Amy. Gabby nie śniła tej nocy, kiedy ujrzała Annabel. Nie rozumiesz? Ona ma mój dar; jest medium

— chyba tak to się nazywa. Gabby i ja jesteśmy tacy sami, ona odziedziczyła po mnie ten dar. Ale mój ojciec, niech go Bóg ma w swojej opiece, wybijał mi to z głowy. Nie potrafił przyjąć tego do

wiadomości i nie pozwalał mi samemu zaakceptować istnienia tego daru! We śnie widziałem, jak bił chłopca — bił mnie!

— do utraty przytomności. A to nie było po raz pierwszy i nie sądzę, żeby po raz ostatni. Zmusił mnie do odrzucenia daru, tego, co można chyba nazwać postrzeganiem pozazmysłowym. Zmusił mnie do wyrzeczenia się go.

— Ale dlaczego miałby... ?

— Nie mam pojęcia! Ale we śnie wyczuwałem jego zmieszanie, gniew, strach i poczucie winy! Być może w jakiś sposób winił siebie za jej śmierć... — Zamknął oczy, próbując się skoncentrować i przypomnieć sobie. — Może nie mógł znieść jej powolnego konania. Był pijakiem, samolubnym człowiekiem, który nie potrafił stawiać czoła obowiązkom. Sądzę, że nie potrafił znieść jej cierpień, nie mogąc ulżyć jej w bólu. Może źle ją traktował, a później miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Mój ojciec chciał kompletnie wymazać pamięć o niej, ale moje wizje, moje „widzenia”, nie pozwalały na to. Niszczyłem barierę, którą zbudował dla swoich uczuć.

Urwał na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu, gdyż słowa wylewały mu się z ust nieprzerwanym potokiem.

— Nie wiem, czy będę kiedykolwiek w stanie poznać całą prawdę, Amy. Mogę ci tylko powiedzieć to, co czuję. Świadomie zawsze odrzucałem wszystko, co dotyczyło zjawisk nadprzyrodzonych, gdyż jako dziecku wkładano mi do głowy, że to nienaturalne i złe, a mimo to ta moc tkwiła we mnie. Czy potrafisz wyobrazić sobie nieustanny konflikt, jaki zachodził w moim umyśle za młodu? Kochałem matkę i bardzo mi jej brakowało. Pragnąłem jej pocieszenia, a ojciec zmuszał mnie, bym ją odrzucił, a wraz z nią mój dar szczególnej percepcji. Przypuszczam, że świadoma część mojego umysłu w końcu zwyciężyła w tych zmaganiach, ale nie było to zwycięstwo na zawsze.

Amy wyjęła rękę z jego dłoni i dotknęła twarzy Childesa.

— To by wiele tłumaczyło — powiedziała z uśmiechem. — Może nawet wybór zawodu wymagającego precyzyjnej logiki. Dziwne, że w takiej sytuacji nie jesteś znerwicowany.

— A kto mówi, że nie jestem? — Poprawił się w łóżku, zdając sobie sprawę z towarzyszącego mu napięcia. — Ale dlaczego właśnie teraz, Amy? Dlaczego to ujawniło się we mnie właśnie teraz?

— To nie stało się tak od razu, nie pojmujesz? Ten proces zaczął się już trzy lata temu.

— Przy okazji tamtych morderstw?

— Czyż nie wtedy właśnie uwidocznił się twój szczególny dar? A kto wie, co jeszcze składałeś na karb intuicji, a co było wynikiem twojego postrzegania pozazmysłowego?

Zamyślił się, po czym powiedział wolno:

— Może mogło to się stać dopiero przy udziale kogoś innego. — I jeszcze ciszej dodał: — Ktoś mógł złamać mój kod.

— Co?

— Coś, co powiedziała Frań, robiąc porównanie między ludzkim mózgiem i komputerem. Zresztą porównanie jest nieistotne, ale mogła się nie mylić co do zasady. — Nagle podkurczył nogi i pochylił się. — Przypomniałem sobie jeszcze coś z mojego snu, jeśli można nazwać to snem. Chłopiec widział mnie, Amy. Wyczuł moją obecność. Potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem.

— Popatrz na mnie. Spojrzałem na siebie samego, Amy! Nie, to nie mógł być sen. To musiało być wspomnienie. Pamiętam, jak duch matki przyszedł do mnie, by okazać mi swą miłość i powiedzieć, że śmierć nie oznacza końca wszystkiego. Pamiętam, że jeszcze ktoś wtedy był w mojej sypialni. Zaklinam się, że pamiętam tę noc z mojego punktu widzenia jako chłopca. Pamiętam, że oczy patrzące na mnie z rogu pokoju należały do kogoś, kto był mi bliski, kto troszczył się o mnie i niepokoił o mój los, Amy, czy teraz już rozumiesz? Miałem dar widzenia siebie w przyszłości! Czyja zwiariowałem, czy właśnie to jest prawdą? Jako dziecko byłem w stanie ujrzeć siebie, jakim będę w przyszłości, a dzisiejszej nocy cofnąłem się w przeszłość, by zobaczyć siebie, gdy byłem dzieckiem!

Zadrżał, a ona przytuliła się do niego.

— To jest we mnie silne — powiedział. — Boże, czuję, że ta moc jest we mnie. I... i...

Ujrzał przed sobą blask. Wiedział, że pojawia się tylko w jego umyśle, a nie jest fizycznie obecny w

pokoju. Najpierw był mały, potem zaczął rosnąć, aż przybrał zaokrągloną formę.

Był to kamień księżycowy.

Ale nie. To coś wciąż rosło, zmieniało swój kształt i fakturę. Już nie był to kamień księżycowy. Jego powierzchnię pokrywały kraterzy i rozpadliny. Łańcuchy górskie rzucały cienie na jego bladej powierzchni.

Ujrzał Księżyc.

Wraz z tym obrazem pojawiło się koszmarnie, przyprawiające o mdłości przecucie.

Jeanette biegła przez trawnik w stronę wejścia do budynku mieszczącego pracownię techniczną, modląc się w duchu, żeby żaden z nauczycieli tego nie zauważył. Z rozwianymi włosami, trzymając pod pachą książki i zeszyt na następną lekcję, obiegła dookoła pomnik założyciela szkoły. Na szczęście tą lekcją były zajęcia komputerowe z panem Childesem, który rzadko gniewał się na uczennice, choć bywał bardzo zasadniczy, kiedy dziewczyny naprawdę pozwalały sobie na zbyt wiele.

Z ulgą pozostawiła za sobą trawnik i przebiegła krótki odcinek żwirowej drogi dzielący ją od wejścia. Wbiegła po dwa stopnie naraz i popchnęła szklane drzwi. Następnie pokonała schody na pierwsze piętro, gdzie mieściła się pracownia komputerowa. Będąc już u szczytu schodów, Jeanette upuściła książki i musiała jeszcze raz zbiec po schodach, by je pozbierać. Pobiegła na górę.

Przed drzwiami pracowni stanęła na chwilę, by skontrolować swój wygląd. Wzięła trzy głębokie oddechy i przecesała dłonią włosy, po czym weszła.

— Dzień dobry, Jeanette. — Childes powitał ją lekkim zmarszczeniem brwi. — Jesteś cokolwiek spóźniona.

— Wiem, proszę pana, przepraszam — powiedziała, wciąż z trudnością łapiąc oddech. —

Zostawiłam arkusz z programem w internacie, a na przerwie nie miałam czasu, żeby po niego pójść.

— Spojrzała na niego wyczekująco i uśmiechnęła się.

— Nic się nie stało — powiedział. — Zaraz, zaraz, będziesz musiała dosiąść się do Nicoli i Isobel i poczekać, aż one skończą. Mam nadzieję, że przygotowałaś jakiś porządny program.

— Test ortograficzny, proszę pana. Ktoś zachichotał.

— To trochę za proste, Jeanette, ale będzie musiało wystarczyć — powiedział Childes, a potem dodał, zwracając się do klasy: — Każdy musi znaleźć swój własny sposób na poznanie komputera.

Niestety, na tej drodze nie ma żadnych skrótów. Poznanie specyficznej logiki języka programowania zajmuje trochę czasu, ale kiedy już się ją zrozumie, to dalej idzie łatwo.

Jeanette wysunęła krzesło i usiadła za plecami Nicoli i Isobel, patrząc na monitor, którego używały. Zauważyła, że grają w grę anagramową.

Childes chodził pomiędzy stanowiskami, udzielając rad i sugestii, jak można wzbogacić programy ułożone przez dziewczęta.

Zatrzymał się na dłużej przy Kelly, kiwając z zadowoleniem głową. Musiała zadać sobie sporo trudu, by pójść do kapitanatu portu na wyspie po informacje na temat żeglugi jachtów i regulujących ją zasad. W jej programie chodziło o ustalenie ruchu wpływających i wypływających jachtów. Kelly dostrzegła jego zainteresowanie i obejrzała się z uśmiechem.

Jak zwykle, pomyślał, jesteś trochę za bardzo zadowolona z siebie, Kelly, ale bez wątpienia najlepiej radzisz sobie z moim przedmiotem. Głośno zaś powiedział:

— To dobre ćwiczenie, Kelly. Masz pewnie na uwadze swój przyszły jacht?

— Tak, proszę pana. Z tą różnicą, że mój będzie cumował na Wyspach Bahama.

— Nie wątpię — odparł, wstrzymując się od grymasu.

Odwróciła się z powrotem w stronę ekranu komputera. Patrzył na jej zgrabne palce sprawnie poruszające się po klawiaturze. Jedyną skazą na jej ręce była plama od atramentu. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, co było przyczyną tego, że widział jej rękę tak potwornie zniekształconą kilka tygodni temu. Proroctwo wizje nie były częścią posiadanego przezeń daru. A jednak, będąc chłopcem, był w stanie zobaczyć siebie jako dorosłego człowieka. Nadal miał zamęt w głowie i lękał się, lecz postanowił, że nie pozostanie bezwolną ofiarą straszliwej klątwy i potwora, który katował go koszmarnymi wizjami. Za radą Overoya, Childes w końcu zaczął podejmować próby dotarcia do umysłu mordercy. Pożar w szpitalu psychiatrycznym nie został przypisany żadnemu

podpalaczowi, ale zarówno Childes, jaki Overoy byli przekonani, że była to ta sama osoba, która zamordowała staruszka i dokonała wszystkich poprzednich przestępstw. Chyba powinien być wdzięczny Overoyowi za to, że w niego uwierzył. Widać było, że bardzo się stara, by nie powiązano nazwiska Childesa ze sprawą zniknięcia Annabel. Tym razem Overoy wyraźnie pragnął zrehabilitować się za to, co zrobił poprzednio, jednak Childes jakoś nie potrafił całkowicie zaufać temu człowiekowi. Kiedy rozmawiali po raz ostatni, zaledwie trzy dni temu, Overoy powiedział mu, że mianowano go głównym koordynatorem wszystkich czterech dochodzeń, co stało się ze względu na jego znajomość z Childesem. Jednak jak dotąd żadna ze spraw nie posunęła się ani o krok do przodu. Czy Childes nie ma nic nowego do dodania, by uchronić go od osądzenia, iż jest kompletnym osłem? Zupełnie nic, odparł Childes, po czym opowiedział o dziwnej wizji z kamieniem księżycowym, który stopniowo przeistoczył się w księżyc. Cóż to mogło znaczyć? Kto to wie. Nie, niestety jak dotąd nie udało mu się nawiązać kontaktu z tamtą osobą. Prawdę powiedziawszy, Childes zastanawiał się już, czy przypadkiem telepatyczny dar nie opuścił go na dobre. Czyżby rzeczywiście było już po wszystkim? Czy ten potwór, podobnie jak poprzednio morderca dzieci, przestał istnieć? Popełnił samobójstwo? Czy straszne wizje i senne koszmary wreszcie się skończyły?

— Proszę pana. Proszę pana!

Głos Kelly wyrwał go z odrętwienia. Spojrzał na nią i zauważył, że ponownie odwróciła się od ekranu monitora, lecz tym razem na jej twarzy zagościła konsternacja.

— O co chodzi, Kelly? — zapytał, wstając zza katedry.

— Z moim komputerem jest coś nie w porządku. — Ponownie popatrzyła na monitor i zaczęła stukać w klawiaturę.

— Chwileczkę! — powiedział, podchodząc do niej. — Nie zrzucaj winy na komputer. Prześledźmy jeszcze raz twój program.

Pochylił się nad monitorem i dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Zaciśnął dłoń na oparciu krzesła, czując lekki ucisk w głowie.

— Skąd przyszło ci do głowy, żeby to napisać, Kelly? — zmusił się do zachowania spokoju w głosie.

— Ja tego nie zrobiłam — odparowała z oburzeniem. — To po prostu pojawiło się na ekranie, a wszystko inne zniknęło.

— Wiesz, że to niemożliwe.

— Mówię prawdę, proszę pana, ja nic nie zrobiłam.

— W porządku, usuń to z ekranu i zacznij od nowa. Dziewczyna wcisnęła klawisz RETURN. Nic sienie zmieniło. Childes, nie będąc pewien, czy nie jest to jakiś idiotyczny dowcip z jej strony, wcisnął ten sam klawisz. Bez skutku.

— Kelly, czy...?

— Naprawdę niczego takiego nie zrobiłam.

— W porządku, pozwól, że usiądę na twoim miejscu.

Wstała, a Childes usiadł, obserwując ekran monitora tak, jakby nie wierzył własnym oczom. Ręce nerwowo błędziły nad klawiaturą urządzenia. Inne dziewczęta w klasie zaczęły spoglądać na nich ciekawie.

— Spróbujmy za pomocą RESET — mruknął Childes, starając się ukryć narastające w nim przerażenie. Nie potrafił jednak ukryć kropel potu, które zaczęły gromadzić się na jego czole.

Wcisnął klawisz.

Napis zniknął z ekranu, a Childes westchnął z ulgą.

Jednak zaraz pojedyncze słowo pojawiło się znowu.

— Co się dzieje z tym komputerem, proszę pana? — zapytała Kelly nachylona nad jego ramieniem.

Oboje byli zaskoczeni i jednocześnie zafascynowani tym zjawiskiem.

— Nie mam pojęcia—odparł. — To nie powinno się zdarzyć. To przecież niemożliwe.

Niewykluczone, że ktoś z zewnątrz w jakiś sposób podłączył się do systemu. — To mało prawdopodobne, pomyślał i przypomniał sobie wymyślone przez Frań porównanie pamięci komputera do ludzkiego umysłu. Nonsens, ten potwór nie może mieć z tym nic wspólnego!

Ponownie wcisnął klawisz RESET.

Słowo zniknęło z ekranu monitora, lecz zaraz pojawiło się znowu.

— Nie chciałbym skasować twojego programu — Childes odezwał się do Kelly, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie — ale obawiam się, że to nieuniknione.

Tym razem wcisnął klawisz HOME.

Napis zniknął, a ekran stał się czarny. Childes rozparł się wygodnie na krześle.

Drgnął i wyprężył się, kiedy słowo znów rozświetliło czarną powierzchnię ekranu.

Wpatrywał się w monitor z niedowierzaniem, z rozszerzonymi oczami, a zielone litery odbijały się na powierzchni jego szkieł kontaktowych.

Wyrazem, który pojawił się na ekranie, był:

KSIEŻYC

Niektóre dziewczęta podeszły do Childesa i stanęły za jego plecami, kiedy nagle te uczennice, które pozostały przy swoich komputerach, zaczęły wydawać okrzyki zdumienia. Childes odepchnął krzesło i po kolei obszedł wszystkie te stanowiska. W irracjonalny sposób na każdym monitorze znajdowało się jedno i to samo słowo.

Zdjęty desperacją, która przeraziła dziewczęta, sięgnął ręką pod ławki i powyrywał wtyczki z gniazdek, odcinając dopływ energii do wszystkich komputerów, których ekrany nagle poszarzały. Stał na środku sali i wyczekiwał przez chwilę, oddychając ciężko, a dziewczęta skupiły się w grupie i patrzyły na niego, jakby był szaleńcem.

Ostrożnie podeszedł do urządzenia, przy którym pracowała Kelly, i ponownie włożył wtyczkę do kontaktu.

Ekran monitora rozbłysnął, ale słowo, które tak bardzo go przeraziło, już się nie pokazało.

Ledwie udało mu się zachować spokój do końca zajęć. Wyjaśnił uczennicom, że to, co się zdarzyło, jest wynikiem wadliwego działania komputerów albo też skutkiem dostania się innego komputera do szkolnego systemu. Wiedział, że takie tłumaczenie nie ma większego sensu, ale wydawało się, że dziewczęta przyjęły jego wyjaśnienie bez zastrzeżeń.

Po skończonej lekcji odszukał Amy. Pojechali samochodem w ustronne miejsce, z dala od szkoły, gdyż szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie była dłuższa przerwa na lunch, dzięki czemu mieli więcej czasu dla siebie. Zatrzymał samochód dopiero, gdy znaleźli się na skraju odludnej nadmorskiej skarpy.

Wyłączył silnik i zapatrzył się przed siebie na morze. Minęła dłuższa chwila, nim odwrócił się do niej i powiedział:

— Amy, to coś tu jest. Na wyspie.

Dzień był piękny. Zaledwie kilka pierzastych chmur zakłócało harmonie błękitnego nieba i zastygło nieruchomo w powietrzu. Widocznie nawet w górnych partiach atmosfery nie było najmniejszego powiewu wiatru. Słońce, jak rozżarzona kula, upajało się swoją dominacją na niebie. Nad powierzchnią morza rozsnuła się delikatna mgiełka i sąsiednie wyspy były ledwie widoczne wśród jej białych pasemek.

Dziesiątki małych motorówek pozostawiały za sobą krótkie pióropusze białej piany, a jachty na próżno poszukiwały choćby lekkiej bryzy, by móc zrobić użytek z żagli. Bliżej brzegu zwolennicy windsurfingu kołysali się na małej fali, wypoczywając w wodzie obok swoich desek z kolorowymi żaglami. Piaszczyste plaże były zatłoczone i jedynie małe, trudniej dostępne zatoczki były wolne od wczasowiczów, stanowiąc ustronne schronienie dla tych, którzy na tyle cenili sobie spokój, że decydowali się podjąć męczącą wspinaczkę.

Na szczycie klifowej skarpy, u stóp której znajdowała się właśnie jedna z takich odosobnionych zatoczek, stał Żeński College im. La Roche'a. Jego główny budynek o białej elewacji wyglądał w słońcu jak oślepiająca latarnia morska.

Idealna sobota na Dzień Otwarty, kiedy to nauczyciele, uczennice i sale lekcyjne poddawane są czujnej inspekcji. Ważny dzień w życiu szkoły: wtedy rozdaje się nagrody, pochwały i wyróżnienia za osiągnięcia podczas roku szkolnego. Porządek dnia przewiduje także przemówienia dyrektorki szkoły, panny Estelle Pip-relly, oraz członka Zarządu Szkoły, radnego Victora Platnauera, a także recytację rymowanego (tak nakazuje tradycja) raportu na temat ważniejszych wydarzeń z



życia szkoły na przestrzeni ostatniego roku, będącą najczęściej testem cierpliwości dla zgromadzonych gości; oraz różne próby mające na celu przekonanie rodziców o konieczności opłaty wysokiego czesnego. Dzień pełen uciech na świeżym powietrzu, do których należą loterie fantowe, wyprzedaż używanych mundurków szkolnych, kram ze słodkościami (truskawkami ze śmietaną, ciastkami i cukierkami), ogrodowy bar z hot dogami, barbecue, stoisko z napojami, pokazy gimnastyczne, występ szkolnego chóru i tańce ludowe — wszystko na szkolnych trawnikach.

Dzień, w którym nie powinno zdarzyć się nic nieprzewidzianego.

Wszędzie tłoczyli się rodzice w towarzystwie rozszczebiotanych dziewcząt; wciąż podjeżdżały nowe samochody, których kierowcy usiłowali znaleźć wolne miejsce na zapchanym do granic możliwości szkolnym parkingu. Childes wyszedł z pracowni komputerowej, gdy upłynął czas przeznaczony na rozmowy z rodzicami. Teraz przyglądał się tłumowi, usiłując zachować niewzruszony wyraz twarzy, lecz mimo to niejednen z rodziców poczuł się nieswojo pod wpływem jego świdrującego wzroku.

Po chwili poczuł, że sam jest obserwowany. Odwrócił się i ujrzał pannę Piprelly, pozornie zaangażowaną w rozmowę z grupą rodziców, lecz wpatrującą się w niego. Ich spojrzenia zetknęły się i Childes miał wrażenie, że odczuwa coś na kształt dziwnego porozumienia — uczucia, które nigdy dotąd nie towarzyszyło jego kontaktom z dyrektorką. Na jej twarzy malowało się zaniepokojenie i po chwili przeprosiła rodziców, po czym, jak zawsze sztywno wyprostowana, podeszła do Childesa. Po drodze odpowiadała skinieniem głowy na pozdrowienia rodziców, siląc się na zdawkowy uśmiech, który nie zachęcał do podjęcia rozmowy. W chwilę później stała już przed nim, patrząc mu prosto w oczy. Zamrugał, gdy ujrzał emanującą od niej wielobarwną aureę. To było niezwykle wrażenie, którego ostatnio kilka razy doświadczył

— widział coś w rodzaju otoczki z małych płomieni okalających sylwetkę. Zawsze kiedy koncentrował się, wrażenie znikało. Tak było i tym razem, aureola bowiem zniknęła z chwilą, gdy panna Piprelly przemówiła do niego, co odwróciło jego uwagę.

— Wolałabym, żeby nie stał pan tutaj, taksując wszystkich wzrokiem, panie Childes. Jeśli uważa pan, że coś jest nie w porządku, to proszę mi o tym powiedzieć.

W jej oczach dostrzegł dziwne zrozumienie. Powoli zaczynał dostrzegać dyrektorkę szkoły w innym świetle, zauważając oznaki wielkiej wrażliwości drzemiącej pod maską oficjalnej oziębłości. Jednak nie wpłynęło to na poprawę stosunków między nimi. Zastanawiał się, czy to nowe spojrzenie na osobę dyrektorki nie jest spowodowane jego zmianą stosunku do siebie samego.

— Panie Childes? — Czekala na odpowiedź.

Miał przemożną chęć wyjawić jej wszystko, ale czy będzie mogła mu uwierzyć? Estelle Piprelly była przecież niezwykle racjonalną osobą, która energicznie i w sposób zorganizowany zmierzała w kierunku edukacyjnej doskonałości. A jednak było w niej coś, czego nie rozumiał, coś głęboko skrywanego, co zadawało kłam jej zewnętrznemu wizerunkowi. Co?

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

— Panie Childes?

— Przepraszam, zamyśliłem się.

— Dostrzegłam to. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan te słowa, ale nie wygląda pan zbyt dobrze.

Prawdę powiedziawszy, ten stan utrzymuje się od czasu pańskiej kilkudniowej nieobecności.

Childes usprawiedliwił swoją nieobecność w szkole niegroźnym przeziębieniem w czasie, gdy faktycznie, w związku z porwaniem Annabel, przebywał w Anglii.

— To nic takiego. — Usiłował zbagatelizować sprawę. — Semestr letni dobiega końca, a więc będę miał sporo czasu na wypoczynek.

— Nie można powiedzieć, że jest pan nadmiernie obciążony zajęciami, panie Childes.

— Z pewnością ma pani rację.

— O co chodzi, panie Childes?

Złamał się, doszedłszy do wniosku, że to nie pora ani miejsce na szczerą rozmowę. Zresztą, gdyby dowiedziała się prawdy, na pewno natychmiast odprawiłaby go ze szkoły.

— Eee... próbowałem po prostu na zasadzie podobieństwa twarzy skojarzyć rodziców z dziećmi. To

taka zabawa wymyślona na własny użytek. Czy kiedykolwiek zwróciła pani uwagę na to, jak niektóre dzieci podobne są do swoich rodziców, a inne zupełnie nie? To niezwykle, prawda? Wyraźnie nie była usatysfakcjonowana jego odpowiedzią, ale zbyt zajęta, aby poświęcać temu swój czas.

— Wcale nie uważam tego za niezwykle. Proszę, żeby pan natychmiast przerwał tę niestosowną „zabawę” i raczej włączył się do zabawiania naszych gości. — Panna Piprelly już odwracała się, by odejść, kiedy nagle zatrzymała się i dodała: — Panie Childes, jeśli tylko ma pan jakiś problem, to drzwi mojego gabinetu stoją zawsze dla pana otworem.

Unikał jej wzroku, czując się niezręcznie, gdyż w tej uwadze było coś więcej niż tylko zwykłe zaproszenie. Ciekawe, ile ona tak naprawdę o nim wie?

— Będę o tym pamiętał — powiedział, po czym przyglądał się, jak odchodzi.

Amy dostrzegła w tłumie Overoya, usiłującego sprawiać wrażenie, że jest jednym z ojców odwiedzających szkołę. Jednak bez powodzenia. Wciąż wyglądał jak policjant po cywilnemu, który czujnie rozgląda się w poszukiwaniu kieszonkowców. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu; może tak jej się tylko zdawało, gdyż wiedziała, kim jest naprawdę i dlaczego tu przyszedł. Odrzuciła kuszącą myśl, by zawołać: „Inspektorze!” Zamiast tego, pouczyła dwie uczennice, które pomagały jej w sprzedaży deserów truskawkowych:

— Przejmijcie na chwilę moje obowiązki. Pamiętajcie o dokładnym sprawdzaniu reszty. I jeszcze jedno, tylko cztery truskawki do każdego kubeczka, bo inaczej za szybko nam się skończą i nie będziemy miały z tego żadnego zysku. — Dobrze, panno Sebire — odpowiedziały chórem, zadowolone, że mogą wykazać się samodzielnością.

Amy wycofała się z za straganu i witając po drodze znajomych rodziców, poszła w stronę inspektora. Overoy stał pod drzewem, popijając wino z plastikowego kubka. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami, a marynarkę przewiesił przez ramie.

— Wygląda na to, że panu gorąco, inspektorze — powiedziała Amy, kiedy podeszła blisko. Odwrócił się w jej stronę, początkowo zaskoczony.

— Och, dzień dobry, panno Sebire. Była pani bardzo zajęta przy sprzedaży truskawek.

— W taki dzień jak dzisiaj truskawki ze śmietaną cieszą się ogromnym powodzeniem. Czy mam przynieść panu porcję?

— To bardzo miło z pani strony, ale nie, dziękuję.

— Sądzę, że to by mogło uwiarygodnić pański kamuflaż. Uśmiechnął się ciepło, słysząc w jej głosie lekką drwinę.

— Czyżbym aż tak bardzo rzucał się w oczy?

— To chyba wyłącznie dlatego, że wiem, kim pan jest i co pan tu robi. Za to pańscy ludzie są bardzo głęboko zakonspirowani. W ogóle ich nie widać.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się z rozgoryczeniem.

— Tak, wiem. Przykro mi z tego powodu, ale jestem sam. Trudno mi było przekonać przełożonych o potrzebie wysłania grupy operacyjnej. Zresztą i tak wyspa znajduje się poza naszą jurysdykcją. Na szczęście inspektor Robillard jest moim starym przyjacielem, a więc spędzam tu weekend dzięki jego gościnności.

— Wydaje mi się, że widziałam go gdzieś tutaj w towarzystwie żony.

— Podobnie jak ja, jest tu nieoficjalnie. Rozglądamy się.

— Szukając naszego potwora?

— Tak. To dość trudne, zważywszy, że nie mamy pojęcia, jak wygląda.

Overoy podrapał się po policzku pociemniałym od nikotyny palcem, uważając, by nie rozlać wina.

— Pan Childes jest... eee... dość dziwnym człowiekiem, panno Sebire — powiedział.

Amy uśmiechnęła się słodko.

— Sądzę, że i pan byłby taki, gdyby przeszedł przez to samo. co on, inspektorze.

— Chyba nie. Myślę, że na jego miejscu dawno bym już zwariował.

Amy nagle spoważniała.

— Nie to chciałem powiedzieć — usprawiedliwił się Overoy. — Może być pani pewna, że z nim jest wszystko w porządku.

Uniósł plastikowy kubek, jak gdyby to była tarcza, którą chciał się zasłonić.

— Nie zamierzałem niczego sugerować, panno Sebire. Prawdę powiedziawszy, pan Childes jest niezwykle rzeczowym i opanowanym człowiekiem. Chciałem tylko powiedzieć, że to jego... postrzeżenie pozazmysłowe jest odrobinę dziwne.

— Sądziłam, że zdążył się pan już do tego przyzwyczaić.

— Myślę, że nawet on sam nie potrafi się z tym pogodzić.

— Jon wreszcie zaczyna akceptować swój niezwykle dar.

— Ja już dawno to w nim zaakceptowałem, co wcale nie oznacza, że zdołałem się do tego przyzwyczaić.

Grupa przechodzących w pobliżu rodziców pomachała do Amy, a ona odpowiedziała na powitanie.

— Czy naprawdę sądzi pan, że ta osoba, to „coś”, jak upiera się Jon, jest na wyspie?

Overoy wypił łyk wina, zanim odpowiedział.

— On wie, że Childes jest tutaj, więc nie można tego wykluczyć. Obawiam się, że cała ta sprawa nabrała charakteru osobistej zemsty.

— Naprawdę sądzi pan, że tamtemu udało się odczytać myśli-Jona?

— Żeby ustalić miejsce pobytu, o to pani chodzi? Och nie, to wcale nie było potrzebne. Córka Childesa, Gabriela, odebrała dziwny telefon na jakieś dwa dni przed porwaniem jej przyjaciółki. Zakładamy, że to właśnie był telefon od porywacza.

— Jon wspominał mi o tym.

— Nie mieliśmy o tym pojęcia, ale kiedy przesłuchaliśmy małą Gabrielę, pytając w szczególności o kontakty z nieznanymi w okresie poprzedzającym porwanie Annabel, przypomniała sobie ten telefon. — Zaczął bacznie lustrować tłum gości i wyglądał tak, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego. — Gabriela nie potrafiła opisać głosu w słuchawce, ale próbowała go naśladować. To było niesamowite. Aż ciarki mi przeszły po plecach. — Dopił wino i rozejrzał się za koszem na śmieci, by wyrzucić kubek. Amy wzięła go od niego.

— Proszę mówić dalej — powiedziała.

— To był dziwny, niski, burkliwy głos bez szczególnego akcentu, nic na czym moglibyśmy się oprzeć. Oczywiście Gabriela jest tylko małym dzieckiem, a rozmówca prawdopodobnie celowo zmienił głos, by nie zostać rozpoznanym, więc nie udało nam się ustalić nic konkretnego. Niemniej, kiedy ten ktoś zapytał ją o ojca, powiedziała, że nie mieszka już z nimi, lecz na tej wyspie.

— Tak więc, kiedy odnalazł ich dom w Londynie, to znaczy, że...

— ...poszedł tam po Gabrielę. Nie mówiliśmy o tym rodzicom Annabel — to byłoby nieludzkie — ale mamy niemal pewność, że morderca pomylił się, biorąc Annabel za córkę Childesa. Powiedziała matce, że idzie bawić się z Gabrielą, a więc zakładamy, że w chwili porwania była w ogrodzie koło domu Childesów.

— Nadal nie znaleźliście ciała? Overoy potrząsnął głową.

— Ani śladu — powiedział ponuro. — Ale mordercy nie zależy na tym, byśmy odnaleźli ciało; przecież sprezentował nam kamień księżycowy i obcięte palce dziewczynki.

Mimo że dzień był gorący, Amy zadrżała..

— Dlaczego to zrobił?

— Pyta pani, skąd wziął się kamień, czy też chodzi o obcięte palce? Zbezczeszczenie zwłok ma wszelkie cechy mordu rytualnego, w którym pewną rolę może odgrywać kamień księżycowy.

— Czy Jon wspominał panu o swoim śnie?

— O kamieniu przestaczającym się w Księżyc? Tak, powiedział, ale cóż to może znaczyć? I dlaczego słowo „księżyc”

pojawiło się na monitorach w pracowni komputerowej? Czy to w ogóle prawda?

Amy była wyraźnie zaskoczona.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

— Ludzki mózg to dziwne urządzenie, a pan Childes nieco różni się od większości ludzi, jakich znam. Być może tylko wyobrażał sobie, że widzi to słowo na ekranach monitorów.

— Ale uczennice też widziały.

— Dziewczęta w tym wieku są bardzo podatne na sugestię. Mam tu na myśli pewien rodzaj

zbiorowej hipnozy lub halucynacji. Takie rzeczy zdarzają się dość często, panno Sebire.

— Ale przecież w tych okolicznościach... Podniósł rękę.

— To tylko jeden z wariantów, które musimy wziąć pod uwagę. Przecież nie byłbym tutaj, gdybym sądził, że Childes to wszystko sobie wymyślił. Mam pewną teorię na ten temat, ale muszę poświęcić jeszcze trochę czasu na jej dokładne zbadanie.

— A może Księżyc to... czyjeś nazwisko albo pseudonim?

— To była pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, więc zacząłem sprawdzać, czy zamordowana prostytutka nie miała stałego klienta o takim pseudo. Ale jak dotąd bez rezultatu. Sprawdziłem też pod tym kątem pracowników i pacjentów szpitala psychiatrycznego, ale i tutaj nic to nie przyniosło. Jednak wierzę, że prędzej czy później natkniemy się na jakiś ślad. To jest regułą w tego typu dochodzeniach.

— Czy mogę panu w czymś pomóc? — zaproponowała Amy.

— Bardzo bym chciał, żeby to było możliwe; potrzebna nam wszelka pomoc. Proszę rozglądać się i mieć na oku wszystkich, którzy wydadzą się pani podejrzani i będą kręcić się w pobliżu Childesa. Proszę też uważać na siebie. Proszę pamiętać, że morderca próbował dobrać się do Childesa, chcąc zamordować jego córkę. Następnym razem może to być pani.

— Czy... czy sądzi pan, że ten ktoś jest tu dzisiaj? Westchnął i rozejrzał się dookoła.

— Trudno powiedzieć. W końcu, na jakiej podstawie możemy być pewni? Czy dlatego, że na monitorach komputerów pokazało się słowo „księżyc”? Sama pani musi przyznać, że to niewiele, prawda? Ale jeśli on tu jest, to należy założyć, że dowie się, gdzie mieszka pan Childes. Wystarczy sprawdzić w książce telefonicznej. Sam to zrobiłem: jest tam tylko jedna osoba o tym nazwisku.

— Czy w związku z tym kazał pan obserwować dom Jona? — spytała Amy z niepokojem.

— Niestety, nasza jurysdykcja nie obejmuje swym zasięgiem wyspy, panno Sebire.

— Inspektor Robillard...

— Cóż on może poradzić? Mnie samemu zabrało wiele czasu i wysiłku, by przekonać przełożonych do tej sprawy, tak więc co może zdziałać inspektor Robillard, który zresztą uważa, że postradałem zmysły?

— Ale w takim razie Jon nie ma żadnej ochrony.

— Może dziś coś się zdarzy. Childes ma dziwne przeczucie, że zagrożone jest bezpieczeństwo uczennic, i dlatego tu jestem. Udało mi się przekonać Geoffa Robillarda, by mi pomógł. Przyznaję, że to trochę mało, ale to jedyne, co mogłem zrobić. Przyszło nam do głowy, żeby uprzedzić dyrektorkę, ale jaki rozsądny powód naszej obecności moglibyśmy podać? Wie pani, ja sam nie jestem niczego pewien w tej zagmatwanej sprawie, ale byłbym niepokieszony, gdyby rzeczywiście miało coś się tu zdarzyć, a ja nie podjąłbym minimalnych środków ostrożności.

Amy spokojnie przyglądała się Overoyowi, kiedy mówił.

— Myślę, że Jon miał szczęście, znajdując w panu sprzymierzeńca — powiedziała. — Trudno sobie wyobrazić, by jakikolwiek inny policjant mógł mu uwierzyć.

Overoy odwrócił wzrok z zakłopotaniem.

— Jestem mu to winien — odparł. — Poza tym, jego osoba jest kluczem do sprawy. Bo dlaczego ten wariat wysłał kamień księżycowy pod jego adresem? Mówiąc szczerze, w całym śledztwie osoba Jonathana Childesa jest naszym jedynym punktem zaczepienia. — Nadal bacznie obserwował przechadzających się ludzi, wypatrując jakiegoś śladu nienaturalnego zachowania, które by czyniło kogoś podejrzanym. Jak dotąd wszystko wydawało się w porządku, ale było jeszcze wcześniej.

Amy już zabierała się do odejścia, kiedy Overoy zapytał:

— Powiedział pani o śnie, jaki miała jego córka? Zatrzymała się.

— W którym Gabby widziała Annabel po porwaniu? Skinął głową.

— Tak.

— To nie był sen, prawda?

— A więc Jon powiedział panu?

— Niezbyt jasno. Powiedział, że on i jego była żona usłyszeli w środku nocy krzyki dziecka.

Wybiegli z sypialni i pobiegli do pokoju dziecka. Zastali córkę w łóżku. Była roztrzęsiona i

powiedziała im, że śniła jej się Annabel. Tyle się dowiedziałem. Chciałbym wiedzieć, czy to był rzeczywiście sen. To oczywiście nieważne, ale chciałbym wiedzieć dla własnej ciekawości, panno Sebire. Czy Gabby odziedziczyła po ojcu ten niesamowity dar? — Nie zauważył, że to, co powiedział, wyraźnie poruszyło Amy.

— Jon sądzi, że to nie był sen — odpowiedziała z roztargnieniem. — Może powiedział tak, by ją ochronić... ~\*

— Przede mną?

— Ostatnim razem pozwolił pan sprawom wymknąć się spod kontroli. Sądzę, że nie chciał, by Gabby musiała przechodzić przez to samo, czego on doświadczył. Dziwię się, że w ogóle o tym panu napomknął.

— Bo nie powiedział. Dowiedziałem się o tym od pani Childes.

— Może ja też nie powinnam o tym wspominać.

Tym razem do inspektora dotarło, że Amy straciła cały poprzedni dobry humor, i opacznie zrozumiał, że to dlatego, iż nieumyślnie wyjawiała mu prawdę.

— Jak już powiedziałem, to nie ma dla mnie znaczenia, więc zostawmy już ten temat. Niemniej przykro mi, że Childes wciąż mi nie ufa. Byłbym niepokieszony, gdyby miało się okazać, że tai przede mną istotne fakty.

— Jestem pewna, że tego nie zrobi, inspektorze. Jon jest w tej chwili przerażony.

— Jeśli mam być szczerzy, to nie jest w tym odosobniony. Widziałem zdjęcia wykonane przez naszego fotografa i wiem, do czego zdolny jest ten maniak.

— Nie sądzę, żebym chciała znać szczegóły. — Amy popatrzyła w stronę straganu z truskawkami.

— Muszę wracać, bo dziewczyny nie dają sobie rady. Tworzy się kolejka.

— Na pewno zobaczy pani jeszcze mnie i inspektora Robillarda, jak kręcimy się w pobliżu, więc proszę podejść i szepnąć słówko, jeśli cokolwiek wyda się pani podejrzane. Nie sądzę, żeby coś miało się zdarzyć w obecności tak wielu świadków, ale nigdy nie wiadomo. Och, i jeszcze jedno, panno Sebire — dodał, gdy już zdążyła się odwrócić — jak pani natknie się na mnie następnym razem, proszę nie nazywać mnie „inspektorem”, dobrze? — Uśmiechnął się, lecz ona myślami była już zupełnie gdzie indziej, gdyż nie zdobyła się na dowcipną odpowiedź.

— Będę o tym pamiętać — powiedziała i zniknęła wśród gości oblegających stragan z deserami truskawkowymi.

Spojrzał na zegarek: wkrótce zaczną się pokazy gimnastyczne i tańce.

Childes obserwował gości i pracowników szkoły, którzy zmierzały teraz w stronę głównego trawnika na tyłach budynku. Wciąż czuł się nieswojo, choć nie zdarzyło się nic, co mogłoby stanowić powód do niepokoju. Nie natknął się na nikogo wzbudzającego podejrzenia, nikogo, kto wywołałby uczucie mrowienia na karku — czuł, że właśnie w ten sposób zareagowałby, gdyby spojrzał na tę osobę-potwora, którego wypatrywał. Potwora, który szukał jego. Czy to możliwe, że nie miał racji? Czy przecucie, że tamten znajduje się na wyspie, jest mylne? Nie sądził, by mógł się pomylić, gdyż uczucie to było zbyt intensywne.

Childes ruszył w ślad za wszystkimi, zauważając w tłumie policjanta z wyspy. Robillarda. Overoy też nie mógł być zbyt daleko.

Gwar beztróskich rozmów i widok uśmiechniętych twarzy dookoła nie mogły uspić jego czujności. Dlaczego więc był pewien, że coś nieuchronnie się zdarzy? Przecież nie miał żadnych \*\* sygnałów ostrzegawczych, nie czuł bezpośredniego zagrożenia. Nic konkretnego; tylko to wewnętrzne rozdygotanie, niepewność i niejasne napięcie. Wtem poczuł na sobie czyjś wzrok, a wewnątrz paraliżujący lęk, by nie patrzeć w tamtym kierunku. Zmusił się.

Zaledwie o kilka kroków od niego stał Paul Sebire, pozornie zajęty rozmową z Victorem Platnauerem, lecz wpatrzony w Childesa. Przeprosił tamtego i zbliżył się.

— Nie zamierzam tu robić żadnych scen, ale chyba nadeszła pora, żeby poważnie porozmawiać, Childes — Sebire odezwał się opryskliwie. /

Na chwilę Childes zapomniał o swoim głównym zmartwieniu.

— Każda okazja jest dobra do rozmowy na temat Amy — odparł z udawanym spokojem.

— O tobie będziemy rozmawiać, a nie o mojej córce. Stali twarzą w twarz, a tłum omijał ich tak,

jak górską rzeką omija napotkane po drodze głązy.

— Odkryłem pewne sprawy związane z tobą — ciągnął Sebire — które bardzo mnie niepokoją.

— Tak, odgadłem, że zapoczątkował pan prywatne śledztwo i zaczął grzebać w mojej przeszłości. Musiało być dla pana niespodzianką, że Amy o wszystkim wie.

— To mnie nie obchodzi. Natomiast obchodzi mnie to, że miałeś do czynienia z policją.

Childes westchnął ze znużeniem.

— Doskonale pan wie, o co chodziło w tamtej sprawie. Nie muszę się panu z niczego tłumaczyć.

— Och tak, wiem, że zostałeś oczyszczony z zarzutów, ale chcę powiedzieć jedno, Childes: sądzę, że jesteś niezrównoważony. Dowiodło tego twoje zachowanie podczas wizyty w moim domu.

— Niech pan posłucha, nie zamierzam się z panem kłócić. Może pan sobie myśleć, co się panu podoba, ale kocham pańską córkę i nawet dla kogoś takiego jak pan powinno być oczywiste, że ona odwzajemnia moje uczucie.

— Jest zaślepiona i jeden Bóg wie, dlaczego tak się dzieje. Czy zdajesz sobie sprawę, że nie widziałem Aimee od czasu, kiedy wyprowadziła się do ciebie?

— To sprawa między panem a córką, panie Sebire. Nie mogę jej nakazać, by się z panem widywała.

— Ona nie jest dla kogoś takiego jak ty. — Podniósł głos i kilku przechodniów spojrzało w ich kierunku.

— Pozwoli pan, że to ona o tym zadecyduje.

— Otóż nie...

— Niech pan nie będzie śmieszny.

— Jak śmiesz...!

Ktoś podszedł i stanął między nimi.

— Paul, musimy już iść—powiedział Victor Platnauer uspokajająco. — Zaraz złączą się występy, a ja jak zwykle muszę wygłosić małe przemówienie. — Zaśmiał się krótko. — Tym razem postaram się was nie zanudzić. Proszę nam wybaczyć, panie Childes. Posłuchaj, muszę cię o coś zapytać... — Łagodnie acz stanowczo odciągnął finansistę na bok, by nie doszło do czegoś, co mogłoby zakłócić przebieg uroczystości.

Childes przypatrywał się, jak odchodzili, żałując, że dał się sprowokować do gwałtownej wymiany zdań z Sebirem, lecz jednocześnie niezadowolony z faktu, że rozmowa nie przyniosła definitywnego rozstrzygnięcia. Nie zamierzał zakochać się tak bardzo w Amy — zresztą trudno powiedzieć, by ktokolwiek decydował się na to świadomie — ale skoro to już się zdarzyło, musi zrobić wszystko, by ją zatrzymać przy sobie. Chociaż publiczna kłótnia z ojcem ukochanej raczej niczego nie ułatwi. Jeśli już o to chodzi, to spanie z Frań także. Odepchnął od siebie tę myśl, ale wciąż dręczyło go głębokie poczucie winy.

Tłum wokół niego przerzedził się; większość gości już stała w pobliżu zaimprovizowanej sceny. Zamiast pójść w ślad za nimi, Childes ruszył dookoła budynku okrężną drogą, rzucając czujne spojrzenie w stronę każdej większej kępy krzewów i skraju pobliskiego lasu. Zaglądał do zacienionych kątów budynku szkoły i jego przybudówek.

Na niebie mewy krążyły leniwie, co chwila znikając za krawędzią klifowego urwiska. Kiedy Childes zatrzymał się na chwilę, czujnie nad słuchując, do jego uszu dotarł jedynie cichy szum fal rozbijających się o skały. Gruby, kosmaty trzmiel szedł ospale ścieżką pod nogami Childesa. Stał się ofiarą przedwczesnych letnich upałów; nie dawał rady wznieść się w powietrze. Słońce przypiekało niemiłosiernie.

Childes ruszył dalej, zwracając uwagę, by nie zmiażdżyć potykającego się owada. Nagłe poruszenie po lewej stronie spowodowało, że znowu zatrzymał się i spojrzał niespokojnie w tamtym kierunku. Jednak natychmiast zorientował się, że dźwięk pochodzi z małego krzewu, za którym człowiek nie byłby w stanie się schronić. Ruszył przed siebie.

Kiedy tylko doszedł do rogu budynku, zaatakował go gwar rozmów i wkrótce ujrzał tłum gości zebranych, by zobaczyć występy. Ławki i krzesła ustawiono w długich rzędach, pozostawiając szeroki pas trawy między budynkiem a pierwszym rzędem oraz taras na miejsce występów, przemówień oraz wręczania nagród. Rzędy siedzeń wypełnione były przez rodziców i ich pociechy. Tworzyli oni potężną plamę niespokojnych kolorów na tle zielonego trawnika. Żółty samolot

przeleciał wysoko nad głowami zgromadzonych. Za plecami tłumu na tle niesamowicie niebieskiego nieba odcinała się ciemna ściana lasu.

Childes poszedł zwirową ścieżką graniczącą z trawnikiem. Zauważywszy, że wszystkie miejsca przeznaczone dla nauczycieli i honorowych gości zostały już zajęte, przesunął się do tylnych rzędów, gdzie znalazł wolne miejsce.

Na tarasie, wśród członków Zarządu Szkoły, przedstawicieli Komitetu Rodzicielskiego i wybranych nauczycieli, siedziała panna Piprelly. Przed nią na stole leżał stos nagród, zwiniętych w rulon świadectw i fantów loteryjnych. Było tam też coś, co z daleka wyglądało jak staromodny mikrofon. Na taras prowadziły krótkie i szerokie kamienne schody. W tle wznosił się stary, ciemny budynek szkoły, w którym znajdowały się sale lekcyjne i bursa. Biała wieża nowego budynku, mieszcząca aulę i salę gimnastyczną, górowała nad całym otoczeniem.

Tłum uspokoił się w momencie, gdy dyrektorka College'u La Roche'a zabrała głos, a Childes, czując na plecach dotyk słonecznych promieni, zaczął poważnie zastanawiać się, czy tym razem przecucie nie wprowadziło go w błąd.

Jeanette leżała na łóżku z kilkoma poduszkami pod głową. Miała na sobie jasnoniebieską sukienkę i białe podkolanówki. Trzymała na brzuchu przybrudzoną lalkę-Pierrota o smutnej twarzy, która opierała się plecami o jej kolana. Dziewczyna z posępną miną szarpała guziki stroju Pierrota. Jeanette powinna być wśród koleżanek na dworze, ale udało jej się wymknąć cichcem, gdyż pragnęła samotności. One wszyst- ' kie miały przy sobie rodziców, braci i siostry, a ona nie. Przebywanie w towarzystwie koleżanek sprawiało tylko, że jeszcze bardziej tęskniła za swoimi bliskimi. Poza tym nie została wybrana do popisów tanecznych, a już na pewno nie była dobrą sportsmenką, więc na stole prezydialnym nie oczekiwały na nią żadne dyplomy i nagrody. Nie miała żadnej szansy na nagrodę. Zresztą zawsze tak było! Fakt, kiedyś udało jej się i dostała wyróżnienie za wykonane przez nią hafty, ale nie było to jakieś szczególne osiągnięcie. Zresztą może to i dobrze, że rodzice nie mogli przylecieć z dalekiej południowej Afryki na uroczystość tylko po to, by oglądać, jak jej koleżanki odbierają nagrody i wyróżnienia. Jej ojciec był inżynierem — nigdy nie wiedziała dokładnie, czym się właściwie zajmował — i używał wyspy jako bazy wypadowej w niezliczonych służbowych wojażach zagranicznych, w których często towarzyszyła mu żona. Tym razem zanosilo się na to, że będą poza domem przez półtora roku — półtora roku! — ale przynajmniej będzie miała okazję spędzić z nimi dwumiesięczne wakacje zaraz po zakończeniu semestru letniego. Bardzo tęskniła za rodzicami, ale nie miała pewności, czy oni odwzajemniają jej uczucia. Mówili, że tak, ale czy można mieć pewność? Oczywiście, że ciebie kochamy i tęsknimy za tobą, kochanie, ale to wysoce niepraktyczne, aby ciągnąć ciebie ze sobą przez pół świata i przerywać w ten sposób twoją edukację. Oczywiście, że chcielibyśmy, żebyś była z nami, ale nauka jest najważniejsza. Jeanette wypuściła z rąk Pierrota, który zsunął się i spadł na podłogę. Jego smutna mina tylko pogarszała jej nastrój.

Zamknęła na chwilę oczy, a jej związane w koński ogon włosy (mówiła sobie, że to w stylu panny Sebire) rozsypały się na poduszce. Gdyby ktoś znalazł ją teraz w bursie, miałyby z tego powodu duże nieprzyjemności. Na szczęście wszyscy nauczyciele zbyt byli zajęci nadskakiwaniem rodzicom płacącym wysokie czesne, by zawracać sobie głowę inspekcją w internacie. W innym razie nie zdobyłaby się na to, by tu przyjść. Czasami lubiła pobyc przez chwilę w samotności, jednak kłopot w tym, że za bardzo wtedy rozpamiętywała swoje odosobnienie i robiło jej się smutno.

Jeanette westchnęła i wyobraziła sobie, jak Kelly dziarsko maszeruje, by odebrać liczne nagrody: za wyróżniającą działalność w kółku dyskusyjnym, za najlepsze oceny z matematyki i fizyki, specjalną nagrodę za postępy w zajęciach komputerowych i tak dalej, i tak dalej... — i myślała, że chciałaby być taka jak ona. Do tego Kelly jest taka ładna. Jeanette wiedziała, że nie należy być zazdrosną, ale czasami... czasami po prostu nie potrafiła opanować myśli, że chciałaby być podobna do swojej koleżanki z klasy. Wiedziała, że to nierealne, że musi się z tym pogodzić, ale przecież każdy musi mieć coś, w czym jest równie dobry jak inni. Zabrało jej sporo czasu, zanim zorientowała się, co jest jej mocną stroną. A jednak wkrótce może nadarzy się okazja, by zademonstrować swoje możliwości. Może już niedługo. A kiedy zaczną się jej miesiączki, to pewnie z twarzy znikną

pryszczę i wreszcie zaczną rosnać jej piersi. Wtedy na pewno przestanie być taka rozkojarzona i może urośnie i...

... wtedy pajak-dekoracja wiszący pod sufitem zaczął poruszać się, jak gdyby pod wpływem podmuchów wiatru.

Oczywiście okna na górnych piętrach były otwarte w taki upalny dzień, więc to na pewno wskutek przeciągu. Jeanette była

na siebie zła. Inne dziewczyny często naśmiewały się z niej, mówiąc, że boi się własnego cienia, i czasami niechętnie zmuszona była przyznać im rację. Nie lubiła ciemnych kątów, filmów grozy — wręcz nienawidziła wszelkiego robactwa—nie cierpiała starego budynku o skrzypiących podłogach i stukających okiennicach, które nie pozwalały jej spać w nocy. Obawiała się głębokich cieni, szczególnie tych pod łózkami.

Jeanette usiadła, ale nie od razu spuściła nogi na podłogę. Najpierw zajrzała pod łóżko.

Upewniwszy się, że nie czai się tam żadna bestia gotowa wciągnąć ją do swego mrocznego legowiska, Jeanette dotknęła stopą podłogi. Przez chwilę siedziała w ciszy na krawędzi łóżka, intensywnie nad słuchując. Nie wiadomo, co właściwie chciała usłyszeć. Może lekkie skrzypnięcie podłogi w sąsiednim pokoju, może tajemnicze drapanie myszy albo stąpanie oślizłego morskiego potwora przemierzającego opustoszałe korytarze, albo kroki potężnej zakapturzonej postaci czekającej na nią za progiem z rozczapierzonymi szponami...

Przestań! Sama sobie napędzała strachu. Czasami Jeanette nie potrafiła okiełznać swojej bujnej wyobraźni, która podsuwała jej obrazy różnych duchów, widm i potworów. Był jasny dzień, na terenie szkoły było pełno ludzi, a ona celowo torturowała się koszmarnymi myślami. Jeanette sięgnęła po buty i uznała, że pora dołączyć do koleżanek.

Wsunęła jedną stopę do buta i wtedy usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Spojrzała z zaciekawieniem w tamtą stronę i zmartwiała z przerażenia. Wyprostowała się i nad słuchiwała.

Popatrzyła w stronę otwartych drzwi pokoju.

Kroki były ciężkie i wciąż się zbliżały, a ich dźwięk zahipnotyzował ją.

Serce dziewczyny waliło jak młot.

Odgłos kroków nagle się urwał i Jeanette przez chwilę miała wrażenie, jakby w tej samej chwili stanęło jej serce.

Czy to możliwe, żeby słyszała czyjś ciężki oddech za drzwiami?

Jeanette powoli podniosła się z łóżka, gubiąc but, który zsunął się jej znogi. Stała obok łóżka, z trudnością łapiąc oddech. Pierrot wpatrywał się w nią martwym, smutnym spojrzeniem.

Wcale nie miała zamiaru podejść do drzwi, ale coś — być może pragnienie stawienia czoła swoim bzdurnym lękom zmusiło ją do tego. Boso, z zaciśniętymi w pięści dłońmi, zaczęła skradać się ku drzwiom.

Zawahała się tuż przed osiągnięciem celu, czując przypływ irracjonalnego strachu, silniejszego niż kiedykolwiek wcześniej.

Coś czaiło się przy wyjściu. \*

Pokazy gimnastyczne i taneczne skończyły się. Panna Piprelly wygłosiła swoją zwięzłą i treściwą mowę, po czym przedstawiła radnego Victora Platnauera, którego przemowa była dłuższa, swobodniejsza w tonie i zawierająca odrobinę humoru. Niemniej Childes nie potrafił skoncentrować się na słuchaniu któregoś z przemówień, gdyż wciąż przeszukiwał wzrokiem tłum w poszukiwaniu jakiegoś nieznacznego sygnału mogącego zrodzić podejrzenie co do któregoś z licznie zgromadzonych gości.

Jednak nie tylko nie udało mu się wyłowić czegokolwiek podejrzanego, ale również jego szósty zmysł podpowiadał mu, że nie ma powodów do niepokoju. Wszystko było w najlepszym porządku: widzowie zasłuchani w treść oficjalnych przemówień, cudowna pogoda, ciekawe i starannie przygotowane pokazy w wykonaniu uczennic.

Właśnie rozpoczęło się wręczanie nagród i wyróżnień, kiedy coś nagle przyciągnęło jego uwagę.

Mrugnął, nie będąc pewnym, czy to tylko refleks światła na jednym z okien budynku po przeciwnej stronie trawnika. A jednak coś zmaćło jego wzrok. Bardziej wyczuł to wewnętrznie, niż zobaczył.



Jego wzrok jeszcze raz powędrował w stronę budynku.

W jednym z okien ujrzał czyjąś twarz. Pomimo że znajdowała się w odległości uniemożliwiającej rozpoznanie, w niewytłumaczalny sposób wiedział, do kogo należy.

Nagle krew zamarła mu w żyłach.

Siedział przez chwilę jak sparaliżowany, przygnieciony nieznanym ciężarem do ławki. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku, tak jakby jakaś zaciśnięta stalowa, zimna pięść zatykała mu gardło.

Twarz w oknie znieruchomiała i Childes miał wrażenie, że tamte oczy patrzą na niego.

Po chwili zamazany biały punkt zniknął.

Childes niezdarnie podniósł się, czując dziwną ociężałość. Wyszedł z ławki i rozejrzał się w poszukiwaniu Overoya. jednak nie dostrzegł go w tłumie. Czuł, że dziwny paraliż powoli ustępuje. Nie mógł czekać. W budynku szkolnym działo się coś niepokojącego, coś, co przejmowało go lękiem.

Przebiegł wzdłuż rzędów ławek i ruszył zwirową alejką w kierunku budynku szkolnego. Za plecami usłyszał wybuch oklasków nagradzających jedną z uczennic, która właśnie odbierała dyplom.

Zaledwie kilka osób zauważyło biegnącego Childesa. Jedną z nich był Overoy, który ulokował się pod drzewem, w punkcie zapewniającym mu dogodny widok na wszystkich zgromadzonych.

Niestety, znajdował się na przeciwległym skraju ogrodów szkolnych i nie mógł dogonić Childesa.

Zdecydował więc, że pójdzie okrężną drogą i spotka go po przeciwnej stronie budynku szkolnego.

Overoy szybko zarzucił marynarkę i pomaszzerował w kierunku szkoły.

Childes wszedł do środka pierwszym wejściem, jakie napotkał, i mimowolnie zadrżał, gdy owionęła go fala chłodu panującego wewnątrz starego budynku. Pobiegnął schodami na górę i po chwili znalazł się już w głównym korytarzu ciągnącym się wzdłuż całego budynku. Twarz, którą ujrzał poprzednio, znajdowała się w jednym z okien na trzecim piętrze, gdzie mieścił się internat starszych dziewcząt. Pobiegnął w stronę głównej klatki schodowej, a odgłos jego kroków odbijał się echem od ścian korytarza wyłożonych do połowy boazerią.

Minawszy bibliotekę i pokój nauczycielski, dotarł do krętych stopni, gdzie zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć w górę klatki schodowej, jak gdyby spodziewając się zobaczyć tam twarz osoby wychylonej przez poręcz. Na schodach nie było nikogo.

Nie poddając się ogarniającemu go w coraz większym stopniu lękowi, Childes zaczął wspinać się na schody.

Overoy przeklinał siebie w duchu. Zapomniał, że stary budynek szkolny został poszerzony o nowe skrzydła i aneksy. Detektyw został odcięty od Childesa przez biały budynek z wysoką wieżą, który dobudowany został do starej siedziby. Miał do wyboru: okrążyć budynek i przyłączyć się do Childesa po drugiej stronie lub też próbować przejść przez budynek. Wybrał to drugie. Znalazł najbliższe drzwi i wszedł do środka.

Pierwsze piętro. Childes rzucił szybkie spojrzenie w obie strony korytarza. Pusto. Ale usłyszał jakiś dźwięk z góry.

— Nie! — krzyknął. — Nie rób tego!

Pobiegnął, pokonując po trzy stopnie naraz i korzystając z poręczy, by podciągać się szybciej do góry. Pobladła ze strachu twarz nie zarumieniła się nawet wskutek wysiłku.

Drugie piętro. Słyszany poprzednio dźwięk teraz ucichł. Popędził jeszcze wyżej. Teraz usłyszał taki odgłos, jakby ktoś krztusił się i gwałtownie wierzgał nogami.

Kiedy był już prawie na trzecim piętrze, odniósł wrażenie, że jakiś wielki czarny cień rozplywa się w mroku u szczytu schodów. Wydawało mu się, że usłyszał też odgłos oddalających się kroków, lecz całą uwagę skupił na drobnej postaci wiszącej nad przepaścią klatki schodowej.

Kiedy zakręciła się w jego stronę, ujrzał jej siniejącą twarz z wytrzeszczonymi oczami. Usiłowała zerwać zadzierzgniętą na szyi pętlę z kolorowego materiału. Dziewczyna bezradnie wierzgała nogami w powietrzu.

— Jeanette! — krzyknął Childes.

Był już blisko, kiedy potknął się na ostatnich stopniach i przewrócił na podłogę. Nie zwracając uwagi na ból w kolanie, nawet nie próbował się podnieść, lecz podpełzł na czworakach do

balustrady schodów i sięgnął, by złapać wijące się ciało Jeanette. Ujął ją mocno pod ramiona i podciągnął w górę. Zdawało mu się, że coś poruszyło się za jego plecami, ale skoncentrował się na wiszącej dziewczynie. Podniósł ją wyżej, ale znajdował się w niewygodnej pozycji. Mógł wyłącznie leżeć na podłodze, sapiąc i prychając z wysiłku, podtrzymując dziewczynę. Czuł, że nie da rady jej utrzymać, że wymyka się z uścisku.

— Nie wierć się, Jeanette. Staraj się nie ruszać... proszę... nie walcz ze mną!

Ale dziewczyna nie była w stanie opanować instynktownych, rozpaczliwych wysiłków. Charczenie zmieniło się w przeciągły, zduszony pisk. Palce dziewczyny wciąż zaciskały się na pętli, znacząc szyję krwawymi śladami.

Childes czuł, że ciało Jeanette wyslizguje mu się z rąk.

Usłyszał odgłos szybkich kroków na schodach poniżej i ujrzał twarz Overoya, który pędził do góry tak prędko, jak tylko potrafił.

Leżąc płasko na podłodze z rozrzuconymi nogami i twarzą przyciśniętą do metalowych słupków balustrady, Childes przywarł mocniej do Jeanette. Kiedy już czuł, że traci siły, jego wzrok przykuł jakiś drobny przedmiot leżący tuż obok krawędzi schodów.

Był to mały, okrągły kamień księżycowy.

Na drogach głównego portu miasta wyspy panował duży ruch. Childes prowadził samochód ze zdwojoną uwagą, choć nerwy wciąż odmawiały mu posłuszeństwa, a ręce zaciśnięte na kierownicy drżały. Siedząca obok niego Amy była pogrążona w zadumie. To, co się zdarzyło, musiało nią wstrząsnąć. Wyczuwał u niej także dziwną rezerwę.

Zatrzymał samochód przed światłami na skrzyżowaniu w pobliżu portu. Turyści spacerowali, korzystając z ciepłego wieczoru, a na pokładach przycumowanych jachtów wypoczywały ich załogi, popijając wino i rozprawiając na temat niefortunnej, bezwietrznej pogody. Powracający z jednodniowej wycieczki na sąsiednie wyspy opuszczali właśnie pokład wodolotu, który zacumował przy końcu długiego, zakrzywionego pomostu. Niewielkie zielone dźwigi, służące do załadunku i wyładunku, stały wzdłuż nabrzeża towarowego z żurawiami nachylonymi ku sobie, tak jakby były pogrążone w rozmowie.

Zerknął na Amy.

— W porządku?

— Boję się, Jon. — Spojrzała na niego, lecz zaraz odwróciła głowę.

— Ja też, Amy. Ale przynajmniej można liczyć na to, że policja wreszcie energiczniej zajmie się tą sprawą.

— Biedna mała Jeanette.

— Wyjdzie z tego. Ma poranioną szyję, uszkodzoną krtań i tchawicę wskutek ucisku pętli ze szkolnego krawata, którego użył ten szaleniec, ale wyjdzie z tego.

— Mam na myśli konsekwencje dla jej psychiki. Czy dojdzie do siebie po takim szoku?

Światła zmieniły się i Childes zdjął nogę z hamulca, wcisnął pedał przyspieszenia i skierował samochód na prawy pas, by móc jechać wzdłuż portu.

— Jest młoda, Amy, a czas najlepiej leczy rany.

— Mam nadzieję, że masz rację.

— Należy dziękować Bogu, że Overoy nas znalazł. Nie utrzymałbym jej dłużej.

— Czy on naprawdę... nie widział nikogo?

— Nie. Nie miał czasu na to, żeby szukać sprawcy. Musiał zająć się Jeanette i mną. Policja uważa, że szaleniec uciekł schodami przeciwpożarowymi. Stamtąd łatwo przemknąć się do lasu. La Roche nie jest szczególnie dobrze strzeżonym terenem.

Kiedy minęli port, droga zaczęła piąć się stromo w górę zakosami. Wkrótce byli na przedmieściach.

— Jaka szkoda, że detektyw nie natknął się na tego szaleńca

— powiedziała nagle Amy.

Childes rzucił jej zdziwione spojrzenie.

— Zauważyłeś, jak niektórzy policjanci przypatrywali się tobie podczas przesłuchania? — ciągnęła.

— Tak, podejrzanie. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić. Przecież nikt nie widział napastnika, nawet sama Jeanette. Z tego, co zdołaliśmy się dowiedzieć — a musisz pamiętać, że dziewczyna

jest nadal w szoku, a obrażenia szyi utrudniają jej mówienie

— wiemy, że wyszła z pokoju, kiedy ktoś ją złapał od tyłu, zarzucając na szyję krawat, zanim zdążyła krzyknąć. Opierała się tak mocno, jak tylko potrafiła, ale napastnik zaciągnął ją do schodów i przerzucił przez poręcz. Dopiero potem, trzymając krawat, przywiązał jego koniec do prętów balustrady. Czy możesz sobie wyobrazić, jakiej to wymagało siły? Wiem, że Jeanette jest drobna jak na swój wiek, ale i tak trzeba było kogoś o niezwyklej sile, by tego dokonać. Gdyby nie znalazł nas Overoy, lecz ktoś inny, mógłby mnie z pewnością winić o to, że próbowałem powiesić Jeanette, ale i on musiałby przyznać, że nie jestem dostatecznie silny, by to zrobić.

Skręcił w jedną z wąskich dróg prowadzących w stronę jego domu. Droga wiodła między wysokimi żywopłotami i starymi murami wiejskich domów, które oddzielały ich od łąk i pól uprawnych.

— Dlaczego miałby przyjechać na wyspę?—Amy poruszyła się niespokojnie na fotelu, a na jej twarzy pojawił się wyraz z troskania. — I dlaczego zaatakował dziecko?

— Żeby mnie dręczyć — odparł ponuro. — On prowadzi jakąś koszmarną grę, wiedząc, że i tak prędzej czy później zostanie ujęty, szczególnie teraz, kiedy jest na wyspie jak w potrzasku. Myślę, że nie robi mu to różnicy. Ale zanim do tego dojdzie, chce się ze mną zabawić.

— Ale co was łączy? Dlaczego wybrał właśnie ciebie? — Jej głos zdradzał panikę.

— Na Boga, nie wiem. Nasze myśli skrzyżowały się i to może być wystarczającym powodem. Może stanowię dla niego swoiste wyzwanie.

— Potrzebna ci ochrona. Musisz mieć policyjną ochronę.

— Może nawet Overoy zdołałby ich do tego namówić, ale nie sądzę, by byli w stanie zrobić coś więcej, jak tylko wysłać od czasu do czasu patrol w okolice mojego domu. Sądzę, że tutejsza policja raczej zajmie się patrolowaniem College'u La Roche'a do końca semestru letniego.

Korony drzew tworzyły zielony baldachim nad drogą, przez co w samochodzie było dość ciemno. Childes pomasaował dłonią skroń, jak gdyby chcąc usunąć ból głowy.

— Na pewno inspektor Overoy będzie naciskał, by zapewniono ci właściwą ochronę.

Słońce przeświecało przez korony drzew, rzucając co jakiś czas promienie na twarz Amy, kiedy pędzili wąską drogą.

— Jestem pewien, że zrobi, co będzie mógł, ale w szpitalu Robillard powiedział mi, że ma niewielkie możliwości ze względu na nawal zajęć w pełni sezonu turystycznego. Wiesz, jak bardzo wzrasta tu przestępczość w okresie lata.

Zamilkła.

Childes zjechał na skraj wąskiej drogi, widząc, że z przeciwka nadjeżdża inny samochód. Tamten kierowca podziękował gestem dłoni za ustąpienie miejsca i po chwili morris znowu nabierał szybkości.

Amy przerwała milczenie.

— Rozmawiałam z Overoyem podczas szkolnej uroczystości. On przypuszcza, że Gabby może być taka jak ty, to znaczy, że odziedziczyła twoje zdolności psychiczne, Jon.

— Ja też się nad tym zastanawiałem. Oczywiście niewykluczone, że tylko wydawało jej się, iż widzi Annabel, kiedy do niej dobiegaliśmy.

— Kiedy ty i Frań do niej dobiegaliście?

— Tak.

— Gdzie byliście, kiedy usłyszeliście wołanie Gabby, Jon? — Powiedziała to spokojnym tonem i wpatrzona była przed siebie, a jednak Childes wyczuł prawdziwą intencję kryjącą się w tym pytaniu. — Nie mówiliśmy o tym, szczególnie poprzednio, ale wnioskuję, że oboje z Frań znaleźliście się w pokoju Gabby jednocześnie.

— Amy...

— Muszę wiedzieć.

Gwałtownie skręcił kierownicą, by uniknąć uderzenia w gałąź niebezpiecznie wystającą z żywopłotu. — Tamtej nocy spałem w pokoju gościnnym. — Łatwiej, dużo łatwiej byłoby skłamać. Ale nie potrafił, nie w stosunku do Amy. — Frań była zdenerwowana i przyszła do mnie.

— I spałeś z nią?

— To stało się bezwiednie, Amy. Nie miałem takiego zamiaru. Nie chciałem tego. Wierz mi, to

stało się tak jakoś...

— Bo była zdenerwowana?

— Frań potrzebowała pocieszenia. Wiele przeszła tego dnia. Zerknął ukradkiem na Amy. Płakała. Childes wyciągnął do niej rękę.

— To nie miało dla nas żadnego znaczenia emocjonalnego. Frań szukała pocieszenia, nie było w tym nic więcej.

— I uważasz, że to załatwia sprawę?

— Nie. Popełniłem niewybaczalny błąd i jest mi bardzo przykro. Nie chcę, żebyś myślała, że zrobiłem to rozmyślnie...

— Już sama nie wiem, co mam o tym myśleć. Wydaje mi się, że potrafię to zrozumieć. Przecież przez długi czas byliście małżeństwem. Ale to wcale nie zmniejsza mojego bólu. — Wyswobodziła dłoń z jego uścisku. — Myślałam, że mnie kochasz, Jon.

— Wiesz, że cię kocham. — Czuł w głowie narastający ucisk, który nie miał nic wspólnego z rozmową z Amy. — Ja... po prostu nie potrafiłem jej odmówić tamtej nocy.

— To było coś w rodzaju przysługi dla starej przyjaciółki, tak?

— Myślę, że to jest bliskie prawdy.

— W takim razie mam nadzieję, że Frań się nie zorientowała. W tym miejscu droga zaczęła, opadać stromo w dół i zrobiło się jeszcze ciemniej.

— Nie pozwólmy, żeby to, co się stało, zniszczyło nasze uczucie.

— A czy potrafimy jeszcze być tacy sami?

Poczuł dziwne mrowienie na karku, podobne do tego, jakie miał wcześniej tego popołudnia, kiedy ujrzał twarz w oknie szkolnej bursy.

— To było... nieważne — zająknął się, czując drżenie rąk zaciśniętych na kierownicy. Czuł, że sztywnieje mu kark i plecy.

— Nie wiem, Jon. Może gdybyś wcześniej sam mi o tym powiedział...

— Ale... jak, jak mogłem ci powiedzieć? Jak wyjaśnić? — Ciężka i zimna dłoń spoczęła na jego ramieniu, ale kiedy obejrzał się na tylne siedzenie, nie było tam nikogo. — Amy...

We wstecznym lusterku ujrzał wpatrzoną w siebie parę złych, nienawistnych oczu.

Amy popatrzyła na niego i ujrzała wyraz panicznego strachu na jego twarzy.

— Jon, co z tobą?

Obejrzała się na tylne siedzenie.

Childes ujrzał w lusterku, jak oczy zbliżają się powoli —

potwór pochylał się nad nim, dotykając mocnymi dłońmi jego karku i wbijając ostre paznokcie w skórę szyi...

Samochód skręcił gwałtownie na brzeg drogi, ocierając się o gałęzie żywopłotu.

— Jon! — krzyknęła Amy.

Zachłanne, złowieszcze oczy. Stalowe szpony zacisnęły się na szyi. Poczuł gorący, cuchnący oddech zjawy napoliczku. Dotknął szyi i natrafił na pustkę.

Samochód nagle zjechał na prawo i uderzył bokiem w niski kamienny mur. Snop iskier trysnął z chwilą, gdy samochód dotknął szorstkiej powierzchni muru. Gałęzie krzewów chłostały okna pojazdu.

Amy złapała kierownicę, usiłując skierować samochód na lewo, ale Childes mocno zacisnął na niej dłonie. Odgłos rozrywanego metalu świdrował jej uszy.

Ledwie łapał oddech przez ściśniętą krtani. Jego prawa noga wciąż mocno naciskała pedał gazu, jak gdyby Childes zamierzał umknąć samochodem przed chichoczącym potworem na tylnym siedzeniu. Ale jak, skoro potwór był tuż za jego plecami?

Zbliżali się do ostrego zakrętu. Poprawił uścisk na kierownicy i lekko skręcił, jednak nie dość mocno, by morris zdołał zmieścić się w zakręcie. Gwałtownie wcisnął hamulec, ale było za późno.

Samochód wpadł w poślizg, a kamienny mur nagle znowu wyrósł wprost przed nimi.

Childesowi udało się nieco zamortyzować wstrząs, gdyż odruchowo jeszcze mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Lecz Amy nie miała żadnego oparcia.

Siła uderzenia wyrzuciła ją przez przednią szybę. Dziewczyna, krzyząc przeraźliwie, przeleciała

nad krótką maską samochodu i wylądowała za niskim murem, wykręcona i zakrwawiona. Childes pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Tępy pulsujący ból głowy sprawiał, że robiło mu się niedobrze. Czuł też ból w piersiach; wiedział, że stłukł sobie żebra, uderzając w kierownicę. Jednak miał znacznie więcej szczęścia niż Amy.

Obrotowe drzwi przy końcu korytarza otworzyły się i pojawił się w nich mężczyzna w białym kitlu. Lekarz zauważył Childesa siedzącego na miękkiej kanapie i z wawym krokiem ruszył w jego stronę, zamieniając po drodze kilka słów z przechodzącą właśnie pielęgniarką. Siostra prędko oddaliła się, znikając za tymi samymi drzwiami, przez które wszedł lekarz. Childes zaczął się podnosić.

— Proszę siedzieć, panie Childes — zawołał doktor Poulain, a kiedy podszedł bliżej, dodał: — Mnie też przydałoby się usiąść na chwilę. Mam za sobą wyjątkowo pracowity dzień. — Usiadł obok Childesa z westchnieniem ulgi. — Wygląda na to, że dla pana dzisiejszy dzień również obfitował w dramatyczne wydarzenia. — Otaksował Childesa profesjonalnym spojrzeniem. — Pora przyjrzeć się pańskim obrażeniom — powiedział.

— Proszę powiedzieć, doktorze, jak ona się czuje.

Poulain przyglądał zmierzwiłone, przedwcześnie siwiejące włosy i spojrzał na Childesa poprzez szkła okularów w złoconej oprawie. — Panna Sebire doznała licznych obrażeń twarzy, szyi i rąk. Obawiam się, że jedna lub dwie rany mogą pozostawić trwałe, choć niewielkie, blizny. Musiałem usunąć odłamki szkła z jednego oka — ale nie ma powodu do niepokoju: ośrodek wzroku nie został uszkodzony, więc wszystko powinno być w najlepszym porządku. Rana jest powierzchowna i niegroźna.

— Dzięki Bogu.

— Tak, należą mi się dzięki. Bardzo bym chciał, żeby tutejsza rada legislacyjna poszła za przykładem Anglii i wprowadziła obowiązek jazdy w pasach bezpieczeństwa, ale jestem niemal pewien, że jak zwykle będą nad tym deliberować jeszcze przez długie lata. — Cmoknął i potrząsnął głową. — Panna Sebire ponadto doznała złamania nadgarstka oraz poważnych stłuczeń żeber i nóg. Niemniej można powiedzieć, że miała niezwykle szczęście, panie Childes.

Childes odetchnął z ulgą i ponownie podparł głowę dłońmi. — Czy mogę ją zobaczyć? — spytał, patrząc na doktora.

— Niestety, nie. Chcę, by odpoczęła, więc dałem jej środek nasenny. Sądzę, że w tej chwili na pewno już śpi. Pytała o pana. Powiedziałem jej, że z panem wszystko w porządku. Panna Sebire wyraźnie ucieszyła się tą wiadomością.

Nagle Childes poczuł się wyczerpany. Przyglądał się swoim dłoniom, które trzęsły się w sposób nie kontrolowany.

— Chciałbym zabrać pana do gabinetu — nalegał Poulain. — Niewykluczone, że odniósł pan jakieś obrażenia wewnętrzne. Na kości policzkowej ma pan paskudne stłuczenie i widzę, że dolna warga strasznie puchnie.

Childes dotknął palcami twarzy i zacisnął z bólu zęby, kiedy dotknął sińca na policzku.

— Musiałem odwrócić głowę w chwili uderzenia — powiedział, dotykając spuchniętej wargi.

— Proszę wziąć głęboki oddech i powiedzieć, czy będzie bolało — nakazał Poulain.

Childes zrobił to, o co go prosił.

— Czuję lekki ucisk i to wszystko — powiedział, wypuściwszy powietrze.

— Hmm. Nie czuje pan ostrego bólu?

— Nie.

— Mimo wszystko musimy to sprawdzić.

— Czuję się dobrze. Może jestem trochę rozdygotany, ale nic mi nie jest.

Lekarz wybuchnął urywanym śmiechem.

— Chyba więcej niż trochę; jest pan kłębkiem nerwów. Kiedy po południu przywiózł pan tę dziewczynkę — jak jej na imię? Jeanette, nieprawdaż? — chciałem zaordynować panu łagodny środek uspokajający, ale pan odmówił. Tym razem dam panu coś silniejszego, co pozwoli panu spokojnie zasnąć, kiedy znajdzie się pan w domu.

— Sądzę, że i bez tego będę spał.

— Proszę nie być tego takim pewnym.

— Jak długo Amy będzie musiała zostać w szpitalu?

— Wiele zależy od tego, jak jutro będzie wyglądać jej oko. Pozostanie parę dni na obserwacji, nawet jeśli okaże się, że wszystko jest w porządku.

— Powiedział pan...

— Wiem, co powiedziałem. Jestem prawie pewien, że oko nie zostało poważnie naruszone, ale musimy to dokładnie sprawdzić, by uzyskać całkowitą pewność. Nie powiedział mi pan jeszcze, jak doszło do tego wypadku. — Lekarz zmarszczył brwi, ujrzawszy wyraz lęku na twarzy Childesa.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć — powiedział wolno Childes, unikając wzroku doktora. — Wszystko zdarzyło się tak szybko. Coś musiało odwrócić moją uwagę przy wjeździe w zakręt. — Co innego mógł powiedzieć? Że we wstecznym lusterku ujrzał oczy, które wpatrywały się w niego złowieszczo? Że na tylnym siedzeniu był ktoś, kogo tam fizycznie wcale nie było?

— Co?

Childes popatrzył na lekarza pytająco.

— Co odwróciło pańską uwagę? — Doktor Poulain nie ustępował.

— Nie... nie pamiętam. Może ma pan rację. Jestem kłębkiem nerwów.

— Teraz tak, ale kiedy był pan tu poprzednim razem, wcale nie był pan tak bardzo wstrząśnięty. Proszę mi wybaczyć ciekawość, panie Childes, ale znam rodzinę Sebire'ów od lat, a samą Amy od czasu, kiedy była jeszcze dzieckiem, tak więc wykracza to poza moje normalne zainteresowania zawodowe. Czy kłócił się pan z nią?

Childes nie potrafił zdobyć się na natychmiastową odpowiedź.

— Bo widzi pan — ciągnął Poulain — być może będzie musiał pan wytłumaczyć policji źródło sińców, które właśnie pojawiają się na pańskiej szyi. Rodzaj zasinienia zdradza, że powstały pod naciskiem dłoni — punkty nacisku są widoczne dość wyraźnie.

Childes zamarł z przerażenia. Czy to możliwe? Czy to coś rzeczywiście mogło mieć taką władzę? Przecież czuł palce zaciskające się na szyi, a jednak nikogo prócz Amy i jego nie było w samochodzie. Z trudem się opanował: nikt — nic — nie jest w stanie fizycznie zranić kogoś wyłącznie za pomocą myśli. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy zahipnotyzowana ofiara sama się okalecza.

Nie było czasu na dalsze spekulacje i następne pytania lekarza, gdyż oto otworzyły się drzwi windy, w których pojawił się Paul Sebire z żoną. Childes zadzwonił do Sebire'ów wkrótce po przybyciu do szpitala i zawiadomił Vivienne Sebire o wypadku. Zatraskanie na twarzy Sebire'a ustąpiło gniewowi, kiedy tylko dojrzał Childesa, który jednocześnie z doktorem wstał z kanapy.

— Gdzie jest moja córka? — finansista zapytał lekarza, zupełnie nie zwracając uwagi na Childesa.

— Odpoczywa — odparł doktor i zwięźle poinformował rodziców o stanie zdrowia Amy.

Sebire miał zacięty wyraz twarzy, kiedy Poulain skończył.

— Chcemy ją zobaczyć.

— Nie sądzę, żeby to była najodpowiedniejsza chwila. Paul — powiedział lekarz. — To ją może zdenerwować, a was jeszcze bardziej. W tego rodzaju wypadkach obrażenia wyglądają na znacznie poważniejsze, niż są w rzeczywistości. Właśnie poradziłem panu Childesowi, że nie należy jej obecnie niepokoić.

Z twarzy Sebire'a emanowała wściekłość, kiedy odwrócił się w stronę młodszego mężczyzny.

Vivienne prędko ujęła Childesa pod ramię.

— A jak ty się czujesz, Jonathanie? Niewiele zdołałeś powiedzieć przez telefon.

— Nic mi nie jest. Martwię się tylko o Amy.

— To by się nigdy nie zdarzyło, gdyby moja córka tak idiotycznie nie zadurzyła się w tobie — warknął Sebire. — Ostrzegalem ją, że znajomość z tobą przyniesie jej tylko kłopoty.

Jego żona raz jeszcze się wtrąciła.

— Nie teraz, Paul. Sądzę, że Jonathan ma dość wrażeń jak na jeden dzień. Przecież doktor Poulain zapewnił nas, że obrażenia Amy są niegroźne...

— Może się okazać, że zostaną jej blizny na całe życie, Vivienne! Czy to cię uspokaja? Poulain odezwał się:

— Blizny będą nieduże. Nic na tyle poważnego, żeby nie mogła tego skorygować drobna operacja

plastyczna.

Childes próbował rozmasować sobie kark. Zrobił to niezdarnie, gdyż wciąż czuł tępy ucisk w piersiach.

— Panie Sebire, chciałbym powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało.

— Jest ci przykro? Myślisz, że to wystarczy?

— Ten wypadek mógł się zdarzyć... — Mógł się zdarzyć każdemu? — Childes nie zdołał dokończyć zdania.

— Trzymaj się z dala od mojej córki! Odczep się od niej, zanim stanie się coś gorszego.

— Paul! — Vivienne usiłowała powstrzymać męża, łapiąc go za rękaw, kiedy ten zrobił krok w stronę Childesa.

— Proszę, Paul — powiedział doktor Poulain — miej wzgląd na pacjentów.

— Ten człowiek nie jest tym, za kogo się podaje. — Sebire oskarżycielskim gestem wymierzył palec w stronę Childesa. — Czułem to od samego początku. Wystarczy przypomnieć sobie to, co zdarzyło się dziś w szkole, żeby nabrać co do tego pewności.

— Jak możesz tak mówić? — zaprotestowała jego żona. — Przecież uratował życie tej dziewczynce.

— Czyżby? Czy są na to świadkowie? Może było wręcz odwrotnie i to on chciał ją zamordować. Tego już było za wiele dla Childesa.

— Jak zwykle robisz z siebie durnia, Sebire — powiedział cicho.

— Naprawdę? Jesteś podejrzanym, Childes. Policja na pewno podziela moje zdanie. Nie sądzę, żeby udało ci się wrócić do pracy w college'u albo w jakiegokolwiek innej szkole na tej wyspie. Nie będziesz już więcej krzywdził bezbronnych dzieci!

Childes miał wielką ochotę rzucić się na finansistę, by wyładować na kimś, kimkolwiek, nagromadzoną wściekłość — zresztą Sebire byłby idealnym celem — ale nie miał energii. Zamiast tego odwrócił się na pięcie, by odejść.

Sebire złapał go za rękaw i szarpnął ku sobie.

— Słyszałeś, co powiedziałem, Childes? Jesteś skończony na tej wyspie, więc radzę ci, żebyś wyniósł się stąd, póki jeszcze możesz to zrobić o własnych siłach.

Childes zmęczonym gestem wyswobodził rękę.

— Idź do diabła — powiedział.

Pięść Sebire'a ugodziła Childesa w zraniony policzek. Zachwiał się, zaskoczony ciosem, i uklęknął na jedno kolano. Usłyszał gwar podniesionych głosów i odgłos kroków. Ociężałe, z wielkim trudem podniósł się na nogi. Ktoś ujął go pod ramię i pomógł wstać. Czuł, że się chwieje, lecz ktoś pomagał mu utrzymać się na nogach. Po chwili zorientował się, że to Overoy. Zobaczył też, że inspektor Robillard odciąga Sebire'a.

— Dobrze, że nie czytałem dziś rano pańskiego horoskopu — Overoy szepnął Childesowi do ucha. Childes zdołał odzyskać równowagę, choć walczył z pokusą, by usiąść na kanapie. Jego mięśnie utraciły sprężystość, tak jak krew nagle zgęstniała mu w żyłach. Vivienne Sebire stała obok męża, z pobladłą twarzą i patrzyła na Childesa przepraszającym wzrokiem. Sebire wciąż usiłował wyrwać się inspektorowi Robillardowi, ale robił to ze znacznie mniejszym przekonaniem niż przed chwilą, tak jakby jego wściekłość wyczerpała się wraz z jedynym ciosem. Może usiłował w ten sposób ukryć zmieszanie i wstyd.

— Chodź, Jon — powiedział Overoy, po raz pierwszy zwracając się do Childesa po imieniu. — Zabieram cię stąd. Wygląda na to, że porządny drink dobrze ci zrobi. Ja stawiam.

— Pan Childes jeszcze nie został zbadany — wtrącił pospiesznie lekarz.

— Według mnie nic mu nie dolega — odparł Overoy, łagodnie ujmując Childesa pod ramię. — Jest może trochę potłuczony, ale nic mu nie będzie. Zawsze mogę go tu przywieźć później, jeśli zajdzie potrzeba.

— Jak pan uważa. — Poulain zwrócił się teraz do Sebire'a, chcąc załagodzić sytuację. — Może jednak zgodzę się, żebyście zobaczyli Amy, jednak pod warunkiem, że będziesz się zachowywał rozsądnie.

Finansista zamrugał, z twarzą wciąż poczerwieniałą od gniewu, po czym oderwał wzrok od

Childesa i skinął głową. Dopiero wtedy Robillard go puścił.

— Chodźmy — powiedział Overoy do Childesa, który zawahał się na chwilę, otworzywszy usta, by powiedzieć coś matce Amy, jednak nie potrafił znaleźć właściwych słów. Oddalił się wraz z detektywem.

W windzie Overoy wcisnął guzik z literą P i powiedział:

— Policjant strzegący uczennicy doniósł nam, że wróciłeś do szpitala. Chyba podoba ci się to miejsce.

Childes zamknął oczy i oparł się o ścianę windy.

— Słyszeliśmy, że miałeś wypadek.

— Zgadza się. — To wszystko, co był w stanie odpowiedzieć.

Winda stanęła i otworzyły się drzwi. Do środka wszedł sanitariusz pchający przed sobą pacjenta na wózku, siwowłosą kobietę, która posępnym wzrokiem przyglądała się swoim poskręcany przez artretyzm palcom i tak była osłabiona swoją ułomnością, że nawet nie zwróciła uwagi na dwóch mężczyzn. Wszyscy milczeli, aż winda dojechała do parteru i drzwi ponownie się otworzyły.

Sanitariusz wycofał wózek, po czym odszedł, wesoło pogwizdując i uwożąc zasepioną pacjentkę.

— Wynająłem samochód na weekend, więc możemy pojechać w jakieś ciche miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać — powiedział Overoy, przytrzymując drzwi przed ponownym zamknięciem. — Nawet gdyby twój samochód nadawał się do użytku, to nie sądzę, żebyś mógł go prowadzić. Hej, jesteśmy już na parterze. Childes drgnął

— Co takiego?

— Wychodzimy.

— Przepraszam.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

— Jestem po prostu potwornie zmęczony.

— A jak twój samochód?

— Nie wygląda zbyt dobrze.

— Do kasacji?

— Powiedzieli, że da się go jeszcze poskładać do kupy.

— W takim razie, tak jak powiedziałem, pojedziemy moim.

— Może mnie pan... możesz zawieźć mnie do domu?

— Jasne, jednak będziemy musieli pogadać.

— No to pogadamy.

Wyszli z budynku szpitala i odnaleźli wynajęty samochód Overoya na parkingu zarezerwowanym dla lekarzy. Wsiedli i Childes z przyjemnością usiadł na miękkim siedzeniu obok kierowcy. Zanim włączył silnik, detektyw powiedział:

— Wiesz, że muszę wyjechać jutro po południu? Childes znów zamknął oczy i skinął głową.

— Tak więc, jeśli masz mi cokolwiek nowego do powiedzenia...?

— To coś spowodowało wypadek.

— W jaki sposób?

— Ujrzałem, jak na mnie patrzy, Overoy. Zobaczyłem go na tylnym siedzeniu. Tylko, że go tam wcale nie było!

— Spokojnie, chłopie. Wydawało ci się, że zobaczyłeś kogoś na tylnym siedzeniu samochodu i dlatego spowodowałeś wypadek?

— To coś było tam. Chciało mnie udusić.

— Czy panna Sebire może to potwierdzić? Widziała tę osobę?

— Nie wiem. Nie, nie mogła tego widzieć. To istniało wyłącznie w mojej wyobraźni. Ale przecież czułem, jak jego palce zaciskają się na mojej szyi!

— To niemożliwe.

— Mogę ci pokazać ślady. Doktor Poulain je zauważył. — Odchylił kołnierz koszuli, a Overoy zapalił światło wewnątrz samochodu.

— Widać coś? — spytał Childes, niemal z nadzieją w głosie.

— Nie, Jon. Nie ma żadnych sińców ani zadrapań. Childes przekręcił lusterko i spojrzał,



nadstawiając szyję. Detektyw miał rację: na skórze nie było najmniejszego śladu.

— Zawieź mnie do domu — powiedział znużonym głosem. — Dokończymy tę rozmowę.

Postać stała nieruchomo w mroku starej samotnej wieży. Cisza i bezruch sprawiały jej przyjemność. Czarna nicość.

Szum fal rozbijających się o podnóże klifu docierał tu przez szczeliny w murach i odbijał się echem we wnętrzu warownej baszty, jak szept podzielony na wiele głosów. Człowiek stojący na szczycie wieży wyobraził sobie, że to żałobne śpiewy tych, których morze zabrało na zawsze. Ta myśl wydała mu się zabawna.

Wewnątrz syjących się murów zionęło ciężkim smrodem moczu, kału i zgnilizny — będącym pamiątką po tych, dla których zabytki i ich historia nie miały najmniejszego znaczenia — ale te zapachy wcale nie odstręczały człowieka czającego się w kojącym mroku. Wręcz przeciwnie.

Gdzieś w ciemnościach rozległ się krzyk małego zwierzęcia, które padło ofiarą innego, zrzęczniejszego i bardziej krwiożerczego.

Człowiek uśmiechnął się.

Siły rosły w potęgę. Częścią tego procesu był tamten mężczyzna. Jednak nie uświadamiał sobie tego.

Niedługo zrozumie.

Ale wtedy będzie już dla niego za późno.

Estelle Piprelly wypatrywała czegoś w ciemnościach. Księżyc znalazł się za gęstymi chmurami i z jej okna niewiele było widać. Trawniki były na swoim miejscu, tak samo jak drzewami, morskie fale wciąż rozbijały się o skały klifowego urwiska — jednak dla niej tamten zewnętrzny świat, roztaczający się poza granicami jej pokoju, równie dobrze mógłby nie istnieć. Samotność Estelle Piprelly była tak wielka, że nawet życie zdawało się jej złudzeniem, fantazją zrodzoną tylko w jej umyśle.

Z tym jednak potrafiłaby się pogodzić, gdyż samotność nie była dla niej niczym nowym, pomimo że ocierała się o wielu ludzi i czas miała szczelnie wypełniony różnymi zajęciami.

Dziś czuła, że tajemnicza i straszna pustka, która ją otacza, niesie ze sobą nowy, trudny do zniesienia element. Nastrój nocy przepowiadał nadchodzące zagrożenie.

Odwróciła się od okna, pozostawiając po sobie cień-widmo na firance. Zazwyczaj sztywno wyprostowana sylwetka Estelle Piprelly była tym razem lekko zgarbiona, co nadawało jej postaci kruchy wygląd. W jej ruchach znać było brak wyraźnego celu. Kiedy apatycznym krokiem przemierzała wzdłuż i wszerz pokój będący częścią mieszkania zajmowanego przez nią w jednym z budynków szkoły. Najbardziej na jej twarzy pojawiły się zmarszczki będące oznaką zafasowania, a drobne dłonie zacisnęły się wzdłuż szwów długiej wełnianej kamizelki. Jej usta, które nadawały twarzy surowy wygląd, tym razem nie były ściśnięte tak mocno, jak zazwyczaj.

Ani nieprzenikniony mrok, ani denerwująca nocna cisza nie

były źródłem niepokoju dyrektorki College'u La Roche'a. Tego dnia objawiła jej się śmierć. Jej straszliwą zapowiedź ujrzała w twarzach niektórych spośród swoich dziewcząt.

Zupełnie tak samo, jak wtedy, dawno temu, gdy będąc dzieckiem mogła wyczytać nieuchronną śmierć z twarzy niektórych niemieckich żołnierzy. Teraz ujrzała śmiertelne maski na twarzach swoich uczennic.

Niepokój osłabił ją i musiała usiąść. Na półce nad kominkiem stał zegar, którego tykanie przypominało uderzenia słabnącego serca. Otuliła się szczelnie wełnianą kamizelką, zakrywając szyję, by ochronić się przed zewnętrznym zimnem.

Panna Piprelly, przedwcześnie postarzała i niemal trzęsąca się ze starości, próbowała skupić myśli, gorąco pragnąc, by zadziałał jej pozazmysłowy dar. Lecz wiedziała, że jej moc jest zbyt słaba. Bez porównania słabsza niż ta, którą dysponował Jonathan Childes. Dziwne, że nie zorientował się w swoich możliwościach.

Zagadka tego człowieka przerażała ją.

Poryw wiatru poruszył firankę. Odwróciła się w tamtą stronę. Czyżby spodziewała się, że Pani Śmierć zajrzy do niej osobiście?

Panna Piprelly zastanawiała się, czy budynki szkolne są dobrze zabezpieczone przed intruzami. To

prawda, że przy głównej bramie stał uzbrojony policjant, który miał za zadanie również od czasu do czasu sprawdzać drzwi i okna budynków oraz patrolować tereny zielone wokół szkoły. Ale cóż znaczy jeden policjant? Czy jest w stanie nie dopuścić, by do któregoś z budynków dostał się ktoś z zewnątrz, zważywszy, że możliwości jest wiele, a teren wokół szkoły i układ architektoniczny zabudowań znacznie utrudnia dozór? Poruszyła ten temat we wcześniejszej rozmowie z inspektorem Robillardem (nie mogąc oczywiście ujawnić prawdziwej przyczyny swego zaniepokojenia), który zapewnił ją, iż od tragicznego zamachu na życie Jeanette teren szkoły jest regularnie patrolowany. Powiedział, że doskonale rozumie jej z troską, jednak uważa, że jest nieuzasadnione. Wyraził też wątpliwość, że napastnik powróci do college'u po tym, jak policja została postawiona w stan pogotowia. Estelle Piprelly całym sercem pragnęłaby podzielać spokój policjanta.

Jej myśli powędrowały znowu w stronę Jonathana Childesa — jak to już wiele razy zdarzało się w ciągu ostatnich kilku dni. Nie bez oporów panna Piprelly poprosiła go, żeby nie pojawiał się w szkole. Zaznaczyła przy tym, że nie został zawieszony w obowiązkach nauczyciela oraz że jest absolutnie poza wszelkimi podejrzeniami, jednak wydaje jej się, iż to właśnie z jego powodu życie jednej z uczennic zostało zagrożone, podczas gdy dobro uczennic stanowi przedmiot troski dyrekcji. Dyskutowała o tym na zebraniu z członkami rady szkolnej i wszyscy byli zgodni co do tego, że należy czasowo odsunąć Childesa od obowiązków (nie zdradziła, że Victor Platnauer nalegał, by natychmiast wydalić go ze szkoły). Ponieważ do zakończenia semestru letniego pozostały zaledwie dwa tygodnie, wydaje jej się, że Childes powinien podporządkować się decyzji rady. I podporządkował się bez wahania.

Kiedy w poniedziałek, zaledwie trzy dni temu, wezwała go do swojego gabinetu, zorientowała się, że jego psychiczny dar jest wyjątkowo silny, co wprawiło ją w zakłopotanie. Wydawało się, że wcale jej nie słucha, co nie oznaczało, że nie zwracał na nią uwagi. W jego umyśle kłębiły się różne sprzeczne myśli, a mimo to z wielką ostrością postrzegał wszystko, co działo się dookoła. Z pewnością był zdenerwowany — nie tylko z powodu tego, co przydarzyło się Jeanette, ale także wskutek wypadku, w którym panna Sebire odniosła rany — a jednak czuła, że jego wewnętrzne zaabsorbowanie niewiele ma wspólnego z szokiem. Ten człowiek pragnął przeniknąć do jej umysłu — czuła to — lecz robił to w sposób niewprawny. Poznał, że i ona posiada dar, choć nie wspomniał o tym ani słowem. Wyczuwała emitowane przez niego fale, które gwałtownie zmieniały swą moc i częstotliwość. Te zmiany rozpraszały ją, a jednak wydawało się, że on nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia.

Jej ciałem targnął wstrząs, kiedy do jej myśli wdarła się jak ostry sztylet wizja — zapowiedź przyszłych okropności. Umysł Estelle Piprelly przestał rozpamiętywać minione tragedie. Teraz bowiem zaczął się prawdziwy koszmar.

Ktoś niepowołany dostał się na teren szkoły.

Wraz z tym wrażeniem wydało jej się, że cienie w pokoju otoczyły ją ciasniejszym kręgiem, a zegar zaczął tykać głośnie. Wszystko po to, by ją zastraszyć i ograniczyć działanie zdrowego rozsądku. W pierwszej chwili pannie Piprelly przyszła do głowy myśl, by zadzwonić do Komendy Policji. Z trudem podniosła się z fotela — z trudem, gdyż napór otaczających ją cieni i coraz głośniejsze uderzenia zegara ograniczały jej ruchy — i podeszła do telefonu. Lecz jej ręka zamarła w bezruchu na słuchawce.

Co mogła im powiedzieć? Proszę natychmiast przyjechać, bo jestem sama i boję się, że w szkole jest ktoś, kto chce nas skrzywdzić. Moje dziewczęta śpią, a ja ujrzałam w ich twarzach śmierć. One są jeszcze takie młode i nieświadome. Życie jeszcze przed nimi... Nie zdają sobie sprawy z zagrożenia!... Czy właśnie to miała powiedzieć policji?

Zapytaliby ją, czy słyszała odgłosy włamania? Ich człowiek nie zgłaszał nic podejrzanego, ale połączą się z nim przez radiostację i każą rozejrzeć się lepiej po okolicy. Proszę się nie martwić, panno Piprelly (stara panna boi się własnego cienia), nasz człowiek jest na służbie. Proszę zadzwonić później, jeśli coś panią znowu zaniepokoi.

Mogłaby skłamać, że słyszała hałasy. A gdyby przyjechali i stwierdzili, że wszystko jest w najlepszym porządku i nie ma śladu intruza, co wtedy? Wyśmiewaliby się z niej przez całą drogę

powrotną?

Wyprostowała się, a jej twarz nabrała zwykłego, surowego wyrazu. Nie da się poniżyć z powodu jednorazowego przeczucia. Panna Piprelly ruszyła do drzwi. Musi to sama sprawdzić, a kiedy znajdzie nawet najmniejszy dowód na to, że naprawdę coś jest nie w porządku, dopiero wtedy zadzwoni na policję. Nawet najdrobniejszy ślad...

Ale całe to mocne postanowienie legło w gruzach z chwilą, gdy otworzyła drzwi i owiał ją strach, niczym za dotknięciem ręki szkieletu wyłaniającego się z mroku.

Childes przebudził się. Tym razem nie dręczyły go koszmary; nie potwory i demony wyrwały go ze snu. Po prostu otworzył oczy i poczuł, że już nie śpi.

Leżał w ciemności, nad słuchując dźwięków nocy. Nie usłyszał nic, co mogłoby go zaniepokoić. Tylko wiatr szeptał cicho.

Mimo to podniósł się i usiadł na krawędzi łóżka, czując natychmiastowy powiew chłodu na nagim ciele i nie będąc pewnym, co go zbudziło. Lekki niepokój wkraść się do jego myśli. Zarys najbliższego okna był szarym prostokątem na czarnym tle. Widział jaśniejsze smugi chmurna nocnym niebie.

Namacawszy ręką okulary leżące obok na stoliku, Childes założył je i podszedł do okna.

Nagle poczuł silny skurcz w klatce piersiowej, jak gdyby ktoś zacisnął stalowe, zimne imadło na jego sercu. Gwałtownie złapał się parapetu.

W oddali, niedaleko szczytów nadmorskiego urwiska, nad College'em La Roche'a jaśniała czerwona luna. Tym razem, nie tak jak poprzednio, nie ujrzał szkolnych zabudowań skąpanych w promieniach zachodzącego słońca, lecz płomień wypelzające z okien, liżące ściany i zachmurzone niebo.

Gdy Estelle Piprelly schodziła na dół, jej kroki dudniły głucho na pustej klatce schodowej i powitał ją dziwny zapach. Wydawał się jej znajomy, lecz jednocześnie obcy w tym miejscu zazwyczaj przesiąkniętym wonią starego drewna, pasty do podłogi i delikatnym zapachem ludzkich ciał. Ta natomiast woń nie była żadną z nich.

Przystanęła na chwilę z dłonią zaciśniętą na poręczy schodów. Przysłuchiwała się ciszy, która tym razem nie tchnęła spokojem, lecz wydawała się złowieszczą. Zapach, wciąż delikatny, gdyż jego źródło musiało znajdować się w oddali, był lekko drażniący i nasuwał jej skojarzenia z budynkiem szkolnego magazynu, w którym przechowywano maszyny ogrodnicze. Był to mały ceglany budynek pełen narzędzi, kosiarek do trawy, sekatorów do strzyżenia żywopłotów i tym podobnych rzeczy, gdzie zawsze śmierdziało ziemią, smarem i... benzyną.

Teraz, kiedy już rozpoznała unoszącą się w powietrzu woń, jej niepokój wzrósł dziesięciokrotnie, gdyż smrodliwy zapach zdawał się być zapowiedzią czegoś strasznego i potwierdzać jej poprzedni, intuicyjny lęk. W pierwszym odruchu chciała zawrócić i pójść na górę, gdzie spały jej podopieczne, następnie obudzić je i wyprowadzić z tego niebezpiecznego miejsca. Jednak inny impuls przeważał. Jakaś nieznaną siłą wabiła ją na dół.

Racjonalny umysł Estelle Piprelly podpowiedział jej, że to na pewno ciekawość. Potrzeba utwierdzenia się w podejrzeniach, tak by nikt nie mógł jej oskarżyć o nieuzasadnione wywoływanie alarmu. Jakiś głos, niemal szept, ukryty głęboko w podświadomości doradzał coś innego.

Nakazywał jej stawić czoło duchom, które wciąż nawiedzały ją pod postacią twarzy nieświadomych osób, którym przeznaczona była rychła śmierć.

Zeszła niżej.

Na ostatnim stopniu, skąd w obie strony rozciągał się korytarz, panna Piprelly jeszcze raz przystanęła i pociągnęła nosem, krzywiąc się na skutek wyraźnego odoru oparów benzyny. Deski podłogi połyskiwały od rozlanego płynu. Światło z górnej części klatki schodowej tylko w niewielkim stopniu rozpraszało mrok korytarza. Jego przeciwległe krańce były pogrążone w całkowitej ciemności. Szerokie podwójne drzwi wejściowe znajdowały się dokładnie naprzeciw schodów w odległości mniejszej niż dziesięć metrów. Na ścianie obok drzwi znajdowały się wyłączniki światła.

Dziesięć metrów to niewiele. W takim razie dlaczego odległość wydawała się jej tak ogromna? I dlaczego tak bardzo przerażała ją ciemność?

Bo jest niemądrą starą panną, która wkrótce zacznie przed snem zaglądać pod łóżko, zganiała siebie w myślach, ale wiedziała, że nie to jest powodem jej lęku. Ciemność była przerażająca, a odległość dzieląca ją od drzwi była ogromna.

Jednak nie miała innego wyjścia. Musiała pokonać tę przestrzeń. Powrót na górę oznaczałby, że rozlana benzyna zapłonie. Zapalenie świateł-może zdoła odstraszyć intruza. A już na pewno zaalarmuje policjanta stojącego na straży.

Jedna stopa obuta w trzewik na klockowatym obcasie dotknęła podłogi. W ślad za nią druga. Panna Piprelly rozpoczęła długi marsz w poprzek korytarza.

Jednak znowu zatrzymała się w pół drogi. Czyżby usłyszała coś? A może poczuła to? Czy w lewej części korytarza rzeczywiście ktoś jest? Czy zauważyła kątem oka jakiś ruch w ciemności? Panna Piprelly podjęła przerwany marsz, a łatwopalna ciecz zaczęła wsiąkać w jej buty. Będąc już w pobliżu drzwi, przyspieszyła kroku.

Ktoś czał się w mroku, ktoś, kto miał złe zamiary wobec niej i jej szkoły. Wyczuła to z niezwykłą ostrością. Strach paraliżował

ją, wdzierając się w pierś i ściskając krtań, tak że jej oddech stał się szybki i urywany. Serce panny Piprelly zaczęło łomotać wraz z rytmem przyspieszonych kroków, jeszcze zanim znalazła się w pobliżu wyłączników. Czowała czyjąś obecność coraz bliżej, jeszcze nie dostrzegając nikogo, ale wiedziała, że jest już blisko, za chwilę ją dopadnie.

Musi wydostać się na zewnątrz!

Odszuka i przy woła policjanta, powie mu o tym, że jakiś intruz wtargnął do szkoły. On na pewno będzie wiedział, co zrobić. Nie pozwoli, by ktoś podpalił benzynę! Uratuje budynek!

Dopadła drzwi, szukając po omacku klamek i zamka, łkając z ulgi, że udało jej się dobiec do wyjścia i za chwilę uwolni się od niebezpieczeństwa, które czai się za jej plecami.

Wiedziała, że tamten jest już blisko, ale nie ważyła się obejrzeć za siebie, pewna, że mrowienie na karku spowodowane jest zimnym oddechem ścigającego.

Trochę zdziwiło ją, że drzwi nie są zamknięte, lecz po chwili nacisnęła obie klamki i z cichym okrzykiem ulgi zmieszanej z trwogą szarpnęła drzwi do wewnątrz. Owiało ją zimne powietrze.

Na tle nocnego nieba wyrósł przed nią ciemniejszy kształt. Ktoś stał nieruchomo na ganku przed wejściem.

Pod panną Piprelly ugięły się nogi i zdołała jedynie wydać z siebie cichy jęk, kiedy postać wyciągnęła ręce w jej kierunku.

Childes zatrzymał wynajęty samochód z gwałtownym piskiem opon przed szeroko otwartą bramą wjazdową do college'u. Mimo iż kurczowo zacisnął ręce na kierownicy, wstrząs rzucił jego ciałem do przodu, a następnie do tyłu.

Z rozszerzonymi oczami patrzył na zabudowania szkoły, które pojawiły się w świetle reflektorów samochodu.

Budynki były ciemne i martwe, a biel głównego z nich odcinała się jaśniejszą szarością od pozostałych na tle zachmurzonego nieba. W oknach nie było pełgających płomieni, a wewnątrz nawet śladu czerwonej łuny. Żadnego pożaru.

Nie słyszał strażackich syren ani nie napotkał żadnego samochodu pędzącego w tym samym kierunku podczas szalonej jazdy z domu do college'u. Na drogach było pusto. Zresztą dlaczego miałyby być inaczej o tak późnej porze, kiedy naprawdę nie było żadnego pożaru?

Potrząsnął głową w oszołomieniu. Wtedy zauważył radiowóz policyjny stojący tuż za bramą z wyłączonymi światłami i silnikiem. Childes włączył pierwszy bieg i powoli przejechał przez bramę, jak gdyby policyjny wóz był jakimś potężnym drzemiącym zwierzęciem, którego lepiej nie niepokoić. Zatrzymał się tuż obok. Radiowóz był pusty.

Czy naprawdę?

Skąd w takim razie wziął się impuls, by wysiąść z samochodu i zajrzeć do wnętrza radiowozu?

Skąd pojawiło się przeciwstawne pragnienie, żeby zawrócić i natychmiast opuścić to przekłete miejsce oświetlone zamgloną poświatą przesłoniętego chmurami księżycy?

No właśnie, dlaczego? — gdzieś w umyśle Childesa pojawił się niski kpiący głos.

Srebrzyste krawędzie poszarpanych chmur wyglądały jak zastygłe w bezruchu błyskawice. Liście i

gałęzie drzew poruszały się w porywach lekkiego wiatru od morza, a długie światła samochodu wcinały się w mrok tworzący jasny tunel wiodący w kierunku wysokich budynków college'u. Childes wiedział ponad wszelką wątpliwość, że zajrzy do wnętrza radiowozu, po czym podjedzie w stronę zabudowań szkoły, tak jakby reguły tej gry zostały przez kogoś wcześniej ustalone. Wciąż nie był bezwolny i mógł w każdej chwili postąpić inaczej, ale mimo to czuł, że w pewnym sensie jego los został wyznaczony. Pójdzie za swoim przeznaczeniem, ale nie podda mu się. Modlił się w duchu, aby tak się nie stało.

Childes wysiadł z samochodu i obszedł go dookoła. Zbliżył się do radiowozu i zajrzał do środka przez otwarte okno.

Policjant zsunął się nisko na siedzeniu i kolanami obejmował kierownicę. Przez chwilę Childes sądził, że tamten zasnął na służbie, jednak czarna plama krwi sączącej się spod szyi na jasną koszulę mężczyzny potwierdziła wcześniejsze podejrzenia. Mimo to Childes tracił ramię policjanta, uważając, by nie dotknąć lepkiej cieczy, która wciąż wypływała z rany. Zgodnie z przewidywaniem tamten nie zareagował. Childes złapał za klamkę i uchylił drzwi na tyle, by zapaliło się światło wewnątrz samochodu.

Broda mężczyzny w mundurze spoczywała na piersi, więc Childes nie mógł dojrzeć szyi. Był tęgi jak na policjanta. Górne światło padało na jego łysiejącą głowę. Oczy miał lekko przymknięte, tak jakby patrzył w dół i przyglądał się ciemnobrunatnej plamie, która zniszczyła jego koszulę. Ręce miał opuszczone po bokach, palce nie zaciśnięte, rozluźnione. Wyglądało to tak, jakby śmierć przyszła zbyt szybko, nie pozostawiając mu czasu na obronę. Wydawało się, że odpoczywał, zupełnie nieświadomy czekającego go losu.

Childes zamknął drzwi samochodu z lekkim trzaskiem podobnym do odgłosu zamykanego wieka trumny. Podparł się ramionami o dach samochodu i ukrył twarz w dłoniach. Policjant, który rzadko w swojej pracy stykał się z okrucieństwem świata przestępczego, na pewno obserwował budynki szkoły, mając otwarte okno, by móc usłyszeć najmniejszy podejrzany hałas. Prawdopodobnie całą swą uwagę skierował na zabudowania i okoliczne zarośla, nie spodziewając się ataku od tyłu. Ktoś zadał mu cios nożem, brzytwą lub innym ostrym stalowym narzędziem, które bezgłośnie i głęboko podcięło gardło. To nie zabrało więcej jak dwie, może trzy sekundy. Gdyby policjant zdołał wykrztusić z siebie krzyk, to i tak byłby on tylko cichym rżeniem.

To było tam, w szkole. To coś... ten ktoś, kogo znał wyłącznie jako Księżyc.

Ta myśl spowodowała u niego gwałtowny skurcz żołądka oraz płuc, które zeszytywniały i z ogromnym trudem pompowały powietrze. Podniósł głowę i spojrział w perspektywę długiego zwirowego podjazdu oświetlonego przez reflektory samochodu. Pograżony w ciemnościach budynek szkoły wyglądał teraz szczególnie posepnie. Księżyc schował się za chmurą.

: odebrał jakiś sygnał. Czyjś przerażony krzyk. Należał do kogoś, kto znajdował się za drzwiami najwyższego budynku. Ktoś był śmiertelnie przerażony.

A coś... ktoś inny też tam był i upajał się tym strachem.

Wtem Childes dostrzegł na parterze głównego budynku College^ La Roche'a gwałtownie rozprzestrzeniający się pomarańczowy blask. Tym razem pożar nie był tylko proroczą wizją w jego umyśle, lecz rzeczywistością.

Panna Piprelly leżała na podłodze, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu, z głową groteskowo wykręconą w bok.

Była przytomna. Bała się ogromnie. W dziwny sposób miała świadomość — gdyż nie czuła bólu, a jedynie skutek paraliżu nie mogła się poruszyć — że ma uszkodzony kręgosłup, który łatwo pękł pod naciskiem mocnych, szorstkich dłoni ukrytego za drzwiami napastnika.

Panna Piprelly nie widziała jego twarzy, dostrzegła tylko zarys sylwetki i poczuła cuchnący oddech w chwili, gdy jego dłonie zaciskały się najej szyi. Usłyszała też chrapliwy pomruk satysfakcji, kiedy pod naporem stalowego uścisku jej kręgosłup wydał trzask podobny do dźwięku łamanej zapalki.

Potem usłyszała odgłos oddalających się ciężkich kroków na drewnianej podłodze. W chwilę później znów kroki i chlupot jakiejś cieczy rozlewającej się po jej ubraniu, włosach i twarzy. Leżała tak, sparaliżowana, próbując wydać z siebie krzyk, który stał się zaledwie niewyraźnym

bełkotem. Poczowała piekący ból oczu, kiedy rozlany płyn wdarł się pod powieki. Zamrugła — przynajmniej tyle była w stanie zrobić — by lepiej widzieć, lecz piekący ból nie pozwalał jej na to. W końcu udało jej się dostrzec zgarbioną postać w końcu korytarza. W jej umyśle narodził się krzyk, który nie zdołał jednak opuścić ust.

Ujrzała odległy błysk zapalanej zapałki. Obserwowała jej powolny lot na podłogę i nagły wybuch płomienia.

Postać wzniciła ogień z uśmiechem na twarzy... Uśmiechała się szyderczo w jej stronę!

Płomień błyskawicznie pełzył po podłodze korytarza w stronę oblanego benzyną, nieruchomego ciała...

Na oczach Childesa, który biegł w stronę budynku, pożar rozprzestrzenił się na parterze z ogromną szybkością, łapczywie trawiąc stare suche drewno podłóg i boazerii. Kolejne okna rozjarzały się ognistą luną. W centrum pożaru szyby okienne zaczęły już pękać pod wpływem gorąca. Kiedy podbiegł bliżej, zauważył, że płomień zaczęły już pięć się na pierwsze piętro. Jak przez mgłę dotarł do niego dźwięk dzwonek alarmowych uruchomionych przez elektroniczne czujniki dymu. Potknął się i przewrócił, gdy ze zwirowej ścieżki wbiegł na wilgotny od rosy trawnik przed budynkiem. Podniósł się natychmiast i pognał dalej, mijając po drodze pomnik patrona szkoły. Z wysokości cokołu La Roche beznamiętnie przypatrywał się pożodze, a na jego obliczu pojawiła się czerwona poświata.

Childes wbiegł po kilku stopniach dzielących go od głównego wejścia. Spodziewał się, że drzwi będą zamknięte, lecz jedno skrzydło otworzyło się do wewnątrz. Fala gorąca spowodowała, że okręcił się dookoła i schował za zamkniętą połową drzwi.

Oslaniając oczy. Childes zajął jeszcze raz do środka. I tym razem odczuł na twarzy i rękach żar płomieni. Zaparło mu dech w piersiach i zatoczył się znowu, czując, że pod wpływem gorąca na lakierowanej powierzchni drzwi zaczynają się tworzyć pęcherze i pęknięcia.

Klatka schodowa stała w płomieniach. Na podłodze w pobliżu wejścia dojrzał czarny kształt trawiony przez ogień. Tylko przez chwilę zastanawiał się, czyje to zwłoki.

Nade wszystko pragnął stąd uciec, wydostać się. Bał się

o swoje życie, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę z tragicznej sytuacji tych, którzy pozostali na górze: uczennic i nielicznych pracowników szkoły mieszkających w internacie college'u. Na pewno dzwonek sygnalizacji przeciwpożarowej obudziły ich. Muszą być teraz strasznie dezorientowani i przerażeni. Na pewno będą próbować wydostać się z budynku głównymi schodami, nie mając pojęcia, że ich dolna część jest już częściowo zniszczona przez płomień. Być może w pośpiechu i w panice zapomną o starannie wyćwiczonej procedurze ewakuacji na wypadek pożaru.

Jeszcze zanim pobiegł na tyły budynku, gdzie znajdowało się wyjście przeciwpożarowe, Childes sięgnął do wnętrza gorejącego korytarza, chwycił klamkę i krzycząc z bólu pod wpływem dotknięcia rozgrzanego metalu, przyciągnął drzwi do siebie. Ten wyczyn był mało znaczącą próbą powstrzymania przeciagu, który mógłby jeszcze bardziej podsycić ogień wewnątrz budynku. Miał jednak nadzieję, że to coś da. Drzwi, zamykając się, uderzyły w bliźniaczą część, gdyż drewno było już wypaczone wskutek gorąca. Childes zostawił drzwi za sobą i pobiegł wzdłuż ściany budynku, mijając po drodze buchające płomieniami okna i kuląc się na dźwięk pękającego szkła.

Za rogiem owiał go nagły chłód, jak fala zimnego powietrza przy otwieraniu zamrażarki. Było ciemniej — żadnej luny — do tej strony budynku płomień jeszcze nie dotarł. Tylko światła zapalające się po kolei w oknach bursy rzucały odbłask na trawnik. Childes pobiegł wzdłuż muru do kolejnego rogu i po chwili dotarł do drzwi zapasowej klatki schodowej. Szyba w drzwiach była częściowo wybita, dzięki czemu można było otworzyć wewnętrzną zasuwę.

Childes nie tracił czasu na zastanawianie się, kto wybił szybę. Wszedł do środka i sięgnął ręką do wyłącznika światła, który znajdował się gdzieś w pobliżu.

Gryzący dym zaczął powoli wdzierać się także tutaj, choć wciąż był jeszcze rzadki. Dzwonki alarmów, tutaj dużo głośniejsze niż na zewnątrz, wzmagaly jego lęk, jednak zmusił się do tego, by wejść na schody. Ruszył do góry, pokonując po trzy stopnie naraz, a napięte nerwy przypomniały mu, że zaledwie kilka dni temu w podobny sposób wbiegał po schodach. Tym razem jednak stawką było więcej niż jedno życie.

Dym stopniowo gęstniał i Childes słyszał już trzaski płomieni. Po chwili coraz głośniejsze okrzyki i kroki. U góry na schodach błysnęło jaśniejsze światło i Childes zauważył kątem oka jakiś ruch.

Dzięki Bogu, schodzili!

Zatrzymał się przy drzwiach na pierwszym piętrze. Otworzył je i spojrzał w głąb korytarza. W przeciwnym końcu szalały płomienie wypełniające całą wysokość pomieszczenia. Fala gorąca przetoczyła się wzdłuż hallu i dotarła do niego.

Podjął przerwana wspinaczkę po schodach. Głupotą byłoby zatrzymać się choćby na sekundę. Tak samo jak idiotyzmem byłoby zastanawiać się nad grożącym niebezpieczeństwem.

Głosy były już blisko, chyba dobiegały z następnego piętra, i Childes mozolnie wchodził do góry.

Dym zaczynał szczypać go w oczy, a powietrze stało się suche i gorące, choć przecież centrum pożaru znajdowało się jeszcze dość daleko. To nasunęło mu pytanie: jak bardzo pożar zdołał rozprzestrzenić się na parterze? Ujrzał pierwsze dwie osoby na schodach i prędko pokonał dystans dzielący go od nich.

Dziesięcioletnia może dziewczynka o zażawionej twarzy wpadła prosto w jego ramiona.

Poszarpany rąbek nocnej koszuli plątał się dookoła jej bosych stóp.

— Jesteś bezpieczna — powiedział, wypatrując kolejnych dziewcząt za jej plecami. — Wkrótce wydostaniecie się z budynku. Do wyjścia już niedaleko.

— Panie Childes, panie Childes, czy to pan? — dotarł do niego zdyszany głos ze środka grupy.

Jakaś postać, wyróżniająca się wśród dziewcząt wzrostem, przeciskała się do niego. Podobnie jak uczennice, była w nocnej koszuli, którą ścisnęła wokół siebie, jak gdyby w obronie przed wzmagającym się gorącem. Wyglądała groteskowo, gdyż na nogach miała turystyczne półbuty o grubych podeszwach. Przez chwilę sądził, że to dyrektorka college'u, ale po chwili rozpoznał w niej Harriet Yallois, nauczycielkę historii, która jednocześnie pełniła funkcję wychowawczyni w internacie.

— Czy wszystkie dziewczęta opuściły swoje pokoje? — zapytał, starając się przekrzyczeć dzwonki alarmowe i okrzyki przerażonych dziewcząt, z których część kasłała i krztusiła się pod wpływem gęstniejącego dymu.

— Gospodyni internatu i panna Todd właśnie to sprawdzają — odparła nauczycielka, a z drżenia jej warg można było wywnioskować, że sama jest bliska płaczu. — Wysłały mnie z tą grupą.

Ujął ją za ramię, bardziej po to, by ją podtrzymać, niż pocieszyć.

— Czy panna Piprelly jest z nimi?

— Nnnie. Pukałam do jej mieszkania, ale nikt nie odpowiadał. Sądziłam, że musiała pójść prosto do pomieszczeń bursy, ale... ale tam też jej nie było!

Częściowo zwęglone, tłące się zwłoki w korytarzu!

Childes zadrżał. Równie dobrze mogło to być ciało podpalacza, uwięzionego we własnej pułapce.

Nie mógł być pewien, że to, co widział — bryła osmalonego mięsa — było ciałem Estelle Piprelly. A jednak w niewytłumaczalny sposób wiedział, że się nie myli.

Harriet Yallois patrzyła dzikim wzrokiem w górę schodów, tak jakby spodziewała się, że stamtąd nadciągnie upragniona pomoc.

— Musi pani wyprowadzić dziewczęta! — krzyknął, mocniej ściskając jej ramię. Nagły ból spowodował, że znowu odwróciła się twarzą do niego.

— Musi je pani stąd wyprowadzić! — powtórzył, popychając ją lekko w dół schodów i podając rękę dziewczynki, która wciąż tuliła się do niego. — Niech się trzymają razem i nie zatrzymujcie się pod żadnym pozorem. — Po czym dodał ciszej, nachyliwszy się do jej ucha: — Nie macie zbyt wiele czasu.

Znów na jej twarzy pojawił się wyraz panicznego lęku.

— Nie pomoże mi pan? — odezwała się błagalnie. Pewnie, że wolałby to zrobić: wyprowadzić ją i dziewczęta

i wycofać się z tego piekła, które na pewno pochłonie jeszcze wiele ofiar prócz nieszczęsnej panny Piprelly.

— Wszystko będzie w porządku — próbował ją uspokoić. — To niedaleko. Ja muszę zająć się tymi, którzy pozostali na górze.

Znów lekko popchnął ją przed siebie i wyciągnął rękę do najbliższych stojących dziewcząt, ponaglając je do marszu w dół schodów i przemawiając uspokajająco. Reszta posłusznie ruszyła za nimi. Naliczył ich chyba trzydzieści, lecz wciąż mijały go kolejne. Childes nie miał pojęcia, ile spośród trzystu uczennic college'u mieszkało na stałe w internacie, ale wydawało mu się, że zaledwie około sześćdziesięciu. Z wyjątkiem Estelle Piprelly, tylko dwie wychowawczynie i gospodyni bursy sprawowały w nocy pieczę nad dziewczętami. Przyspieszył, mimo że coraz trudniej było mu wspinać się po schodach, a powietrze stawało się coraz bardziej duszące. Im wyżej wchodził, tym więcej było dookoła gryzącego dymu. Docierały do niego coraz wyraźniej odgłosy pożaru: trzaski pękających belek brzmiały jak wystrzały z karabinu. Ponad wszystkim jednak dominował przeraźliwy dźwięk dzwonek alarmowych, który dodatkowo podsycił panikę.

Zaczynał się dusić, więc wyjął z kieszeni chusteczkę i przytknął ją do ust. Pełne przerażenia okrzyki poprzedziły pojawienie się kolejnej grupy dziewcząt.

— Szybko schodźcie na dół — krzyknął do nich, ale nie potrzebowały dodatkowej zachęty. Dwie starsze uczennice prowadziły młodszą, która była całkiem bezradna w swojej histerii. Childes niemal uległ pokusie, by wziąć dziewczynkę na ręce i znieść ją na dół w bezpieczne miejsce, ale doszedł do wniosku, że dziewczęta poradzą sobie bez jego pomocy.

Z chmury dymu wyłonił się jeszcze ktoś, zatoczył się i wpadł na niego.

— Eloise! — zawołał Childes, rozpoznając drugą wychowawczynię z internatu.

Panna Todd spojrzała na niego szalonym wzrokiem. Jej pierś falowała w urywanym, chrapliwym oddechu.

— Ile dziewcząt zostało jeszcze na górze? — wrzasnął jej prosto w twarz.

Potrząsnęła głową, chcąc możliwie jak najprędzej wyrwać się z szalejącego pożaru.

— Na Boga, pomyśl!

— Puść mnie — błagała. — Nic już nie można zrobić!

— Ile ich tam zostało? — nie ustępował, ściskając ją mocniej za ramię.

— Szukałyśmy wszędzie! Niektóre były tak przerażone, że ukryły się w łazienkach. Inne stały przy oknach i krzyczały.

— Czy wyprowadziłyście je wszystkie?

— Och, puść mnie! Trzymał ją mocno.

— Czy wyprowadziłyście je?

Kolejne dziewczęta schodziły po schodach, szlochając i krztusząc się dymem. Ich zbiorowy płacz przekształcił się w wielki żałobny lament. Nauczycielka wyrwała się Childesowi i przyłączyła do uczennic, obejmując jedną z nich ramieniem w geście pocieszenia pomimo własnego strachu.

Jeszcze odwróciła się do Childesa i zawołała:

— Kilka dziewcząt uciekło w przeciwnym kierunku, w stronę głównej klatki schodowej.

Gospodyni poszła za nimi! — Po czym pospieszyła w dół schodów, popychana przez tłoczące się bezładnie dziewczęta.

Childes nie tracił więcej czasu. Zakrywszy usta chusteczką, pokonał ostatnie stopnie, nie napotykając nikogo po drodze. Stracił rachubę, ale wydawało mu się, że większość uczennic mieszkających w internacie była już w drodze na parter.

Dotarł na najwyższe piętro, gdzie dymu było jeszcze więcej. Oczy łzawiły mu i prawie nic nie widział, a gardło miał wyschnięte i obolałe. Z rozpaczą dostrzegł czerwony blask w dalszej części korytarza — znak, że pożar błyskawicznie rozprzestrzenił się i zdołał dotrzeć już na najwyższe piętro.

Schyliwszy się, by uniknąć kłębow gęstego dymu, Childes pobiegł korytarzem, zaglądając po drodze do pomieszczeń internatu.

Atak kaszlu spowodował, że zgiął się wpół i opadł na kolana. Zdał sobie sprawę, że jest w pobliżu łazienki, więc wczołgał się

do środka i zorientował się, że powietrze jest tu o wiele czystsze. Zataczając się, podszedł do umywalki, po czym zdjął okulary i ochlapał twarz zimną wodą. Chwycił ręcznik i zmoczył go, a następnie owinał wokół głowy, tak aby zasłonić usta i nos.

W tak sporządzonej masce przeszukał wszystkie kabiny w toalecie, po czym wybiegł znowu na



korytarz. Właśnie miał zamiar wejść do następnego pokoju, kiedy jego uwagę przyciągnął dźwięk, słaby wśród terkotu dzwonek alarmowych, trzasków płonącego i pękającego drewna, lecz różniący się od nich. Krzyki wydawały się dochodzić z samego centrum pożaru.

Zacisnąwszy mokry ręcznik na dolnej części twarzy, Childes ruszył w tamtą stronę.

Z trawionej ogniem klatki schodowej tryskały snopy iskier, jak z wulkanicznego krateru, a pomarańczowoczerwone płomienie lizały ściany i toczyły się kuliście w stronę sufitu. Sam szczyt schodów nie był jeszcze ogarnięty ogniem, lecz rozgrzana podłoga zaczynała tlić się pod wpływem wysokiej temperatury. Pomiędzy deskami sączył się biały dym.

Childes zbliżył się do balustrady, lecz odskoczył gwałtownie, dotknawszy łuszczącej się poręczy.

Dziewczęta znajdowały się dokładnie naprzeciw niego, w rogu półpiętra. Z obu stron odcięte były przez płomienie. Próbowaly tędy umknąć przed pożarem, ale powstrzymał je gwałtownie rozprzestrzeniający się ogień. Kiedy chciały zawrócić, zorientowały się, że droga odwrotu także jest już odcięta.

Wydawało się, że niektóre z nich są nieprzytomne, podczas gdy reszta tuliła się do siebie, zasłaniając twarze rękami w obronie przed gorącym. Było ich sześć lub siedem (tak mocno stłoczone, że trudno było je policzyć), a wraz z nimi gospodyni internatu, odwrócona plecami do ognia, z rozrzuconymi ramionami, jak gdyby chciała ciałem ochronić swoje podopieczne.

Childes zrobił kilka kroków do krawędzi schodów, ale niemal natychmiast bijący żar zmusił go do wycofania się. Ściana ognia blokowała całą szerokość schodów. Może mógłby przeskoczyć przez płomienie na półpiętro, ale co by to dało? Czy w ten

sposób zdołałby pomóc dziewczętom? Podbiegł z powrotem do balustrady.

— Panno Bates! — zawołał. — Panno Bates, tutaj!

Zauważył, że gospodyni uniosła głowę, i zawołał ponownie.

Odwróciła twarz w jego stronę i spojrzała w górę. Zauważyła go. Childesowi wydawało się, że dostrzegł w jej oczach błysk nadziei, ale nie mógł być tego pewien, bo rozgrzane powietrze sprawiało, że nie widział wyraźnie.

Gospodyni zostawiła dziewczęta i podeszła bliżej krawędzi półpiętra.

— Czy... czy to pan Childes? Och, dzięki Bogu! Niech pan nam pomoże, panie Childes, proszę nas stąd wydostać!

Kilka dziewcząt również spojrzało teraz w jego stronę, choć nadal tłoczyły się w kącie.

Pomóc im, ale jak. Ale jak? Nie mógł się do nich dostać, a one były zbyt daleko, by wyciągnąć ku niemu ręce. Gospodyni zgięła się wpół, krztusząc się i charcząc.

Cofnęła się w róg półpiętra, z dala od szalejącego piekła. Nagle w górę wystrzelił żółto-biały jęzor ognia, przez co Childes także zmuszony był odskoczyć do tyłu. Płomień prawie natychmiast osłabł, ale zdołał dotknąć sufitu i od niego zajęły się drewniane krokwie. Pozostało niewiele czasu.

Gdyby miał drabinę, mógłby spuścić ją z galerii na półpiętro, ale nie było czasu, by wracać na dół i szukać jej. W takim razie może znajdzie jakąś linę. Może udałoby się wyciągnąć je po kolei za pomocą liny. Gdzie tu, do diabła, można znaleźć linę?

— Ratunku! — rozległ się przerażony krzyk gospodyni. Dziewczęta również zaczęły wzywać pomocy.

— Trzymajcie się z dala od schodów! — krzyknął, widząc, że niektóre z nich podeszły do skraju półpiętra. W grupie dziewcząt Childes rozpoznał Kelly z twarzą umazaną sadzą i śladami łez na policzkach. Błagalnym gestem wyciągała rękę w jego kierunku. Bezbronne, szlochające dziecko. Wtedy przypomniał sobie, że w wyobraźni widział jej spaloną, zniekształconą przez ogień rękę i to wspomnienie niemal sparaliżowało go.

Jęknął z przerażenia, a ręcznik — już prawie suchy od gorąca — opadł mu na ramiona. Gęsty dym wdarł mu się do płuc i dopiero przeraźliwe krzyki dziewcząt oraz głośny trzask pękającego drewna wyrwały go z odrętwienia.

Część schodów poniżej półpiętra, gdzie uczennice znalazły schronienie, zarwała się, odsłaniając głęboką przepaść. Dziewczęta i gospodyni jeszcze bardziej stłoczyły się w kącie, machając rękami, jak gdyby to było w stanie odpędzić szalejące płomienie.

— Zaraz wracam! — krzyknął. — Spróbuję spuścić do was jakąś linę! — Nie miał pojęcia, czy w

ogóle usłyszały. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Czy to możliwe, żeby udało mu się wyciągnąć je stamtąd jedną po drugiej? Childes odepchnął od siebie to pytanie.

Poprzez podeszwy butów czuł, że podłoga rozgrzewa się coraz bardziej. Korytarz wypełniały kłęby dymu. Wydawało mu się, że czuje, jak wewnątrz budynku narasta ciśnienie i powietrze powoli zmienia się w wybuchową mieszaninę, by w końcu rozsadzić budynek jak domek z kart.

Gwałtownie łapał powietrze, co spowodowało natychmiastowy atak kaszlu. Czuł, że płuca ma suche jak pieprz.

Jednak nie zatrzymał się. Na czworakach podążył w kierunku wejścia do najbliższego pokoju.

Wpełził do środka i kopnięciem zatrzasnął za sobą drzwi. Przewrócił się na plecy i pozwolił sobie na parę sekund wytchnienia, łapiąc powietrze, które tutaj było odrobinę mniej przesiąknięte dymem. W oparach rzadkiego dymu ujrzał rząd łóżek. Podniósł się na kolana, sięgnął do najbliższego łóżka, skąd zdjął pościel.

Związał dwa prześcieradła, po czym pozbierał kilka następnych, nie dopuszczając myśli o bezcelowości tych zabiegów. Kiedy przywiązywał kolejne prześcieradło, wydało mu się, że słyszy przytłumiony szloch.

Rozejrzał się, nie będąc pewien, skąd pochodził ten dźwięk. Teraz miał w uszach tylko trzask płomieni. Pochylił się nisko i zajrzał pod łóżka. Nikogo. Skończył wiązanie prześcieradeł i potykając się, ruszył do wyjścia, kiedy znowu usłyszał szloch.

Okręcił się na pięcie i oparł plecami o drzwi. Przeszukiwał wzrokiem pomieszczenie: łóżka z rozgrzebaną w pośpiechu pościelą, porzucone lalki i maskotki, plakaty na ścianach. Na jego okularach utworzyła się warstwa sadzy zmieszanej z jego własnym potem. Rąbkami prześcieradła przetaił szkła, cały czas nasłuchując szłochu. Dźwięk był cichy, lecz wyróżniał się spośród pozostałych. Zatrzymał wzrok na szafie garderobianej, która znajdowała się po przeciwnej stronie pokoju.

Nie ma czasu. Nie ma czasu przeszukiwać pokoju. Musi wracać do dziewcząt uwięzionych na półpiętrze.

Rzucił prześcieradło i podbiegł do szafy. Otworzył drzwi i wśród kijów hokejowych, rakiet tenisowych, wiszących sukien i płaszczy zobaczył dwie zanoszące się płaczem, przytulone do siebie dziewczynki. Wtedy one skuliły się jeszcze bardziej i zaczęły krzyczeć z przerażenia. Childes złapał jedną z nich za ramię i siłą obrócił jej głowę tak, by mogła ujrzeć jego twarz. Ledwie zorientował się, że jest uczennicą najmłodszej klasy, gdy zgasło światło.

Childes zanurzył się w głąb szafy i wyciągnął stamtąd obie dziewczynki.

— Nie bójcie się — powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił. — Pożar spalił przewody, dlatego zgasło światło. No chodźcie, przecież mnie znacie. Nazywam się Childes. Wyprowadzę was stąd, dobrze? — Dziewczynki nadal były panicznie przerażone i wyrywały się, by schować się z powrotem w szafie.

— Wszystkie wasze koleżanki są już na dole i czekają na was. Będą się chyba niepokoić, prawda?

— Mój Boże, tamte dziewczęta na półpiętrze! Musi do nich wrócić, zanim będzie za późno!

— No chodźcie, zejdziemy, a potem opowiecie swoim koleżankom, jaką miałyście przygodę. Tylko mały spacer po schodach i znajdziecie się w bezpiecznym miejscu.

Przerażona dziewczynka walczyła z sobą, by powstrzymać szloch:

— Ale schody... schody... się palą.

Pogładził ją po głowie i mocno przytulił do siebie.

— Pójdziemy drugimi schodami. Pamiętajcie ćwiczenia przeciwpożarowe? Tamte schody są z kamienia i ogień nic im nie zrobi, więc nie ma się czego bać. Pamiętajcie mnie, dziewczynki?

Nazywam się Childes. Założę się, że kiedyś zwiedzałyście moją pracownię komputerową, prawda? Nagle, jakby pod wpływem wspólnego impulsu, obie dziewczynki rzuciły się w ramiona Childesa, który dopiero wtedy zorientował się, jak bardzo dygocą ze strachu. Poczul też wilgoć ich łez na piersi i szyi. Bez dalszych słów podniósł je i ruszył w kierunku wyjścia, trzymając je pod ramiona. Po drodze potknął się kilka razy, ale prawie nie czuł ich ciężaru.

Teraz do jego uszu dotarł jeszcze jeden dźwięk, który narastał z każdą chwilą — odgłos strażackich syren.

Dziewczynki, z których jedna miała na sobie pidżamę, a druga długą koszulę nocną, wtuliły twarze w ubranie Childesa, kaszląc i prychając od dymu.

— Starajcie się nie oddychać za głęboko — powiedział im, przełykając resztki śliny, by zwilżyć wyschnięte, spieczone gardło. Ręcznik zsunął się gdzieś z jego ramion i pozbawiony był nawet tej symbolicznej ochrony.

Gdy znaleźli się przy drzwiach, Childes postawił dziewczynki na podłodze i zaczął szukać porzuconych prześcieradeł. Namacał dłonią tkaninę i przyciągnął ją do siebie. Przerazone dziewczynki wciąż trzymały się blisko niego.

Zmusił się, by przemówić do nich głosem pozbawionym cienia paniki:

— Jestem pewien, że się znamy, ale nie pamiętam waszych imion. Może byście mi się przypomniały, co?

— Sandy — odezwała się jedna z nich łamiącym się głosem.

— Bardzo ładne imię. A ty? — zwrócił się do drugiej, tuląc ją do siebie. — Jak tobie na imię?

— R-r-rachel — odparła, jękając się.

— Świetnie. Teraz posłuchajcie, Sandy i Rachel. Zaraz otworze te drzwi i wyjdę na zewnątrz, ale pragnę, żebyście tu na mnie poczekały.

Dziewczynki gwałtownie przytuliły się do niego.

— Obiecuję wam, że wszystko będzie w porządku. Nie będzie mnie tylko przez chwilę. /

— Niech pan nas tu nie zostawia!

Nie potrafił powiedzieć, która z nich to powiedziała.

— Muszę pomóc innym, starszym dziewczynkom. One są niedaleko stąd, ale nie potrafią sobie same dać rady. Muszę je sprowadzić.

Delikatnie, lecz stanowczo wyrwał się z ich objęć. Choć serce mu się krajało, nie miał wyboru. Namacał ręką klamkę. Była ciepła. Czy to możliwe? Szarpnięciem otworzył drzwi i natychmiast poczuł falę gorącego powietrza.

Zasłaniając oczy przed żarem, wyrzwał na korytarz i z przerażeniem stwierdził, że pożar trawi budynek z rosnącą żarłocznością.

Z chwilą gdy wyszedł z pokoju, rozległ się ogłuszający trzask pękającego drewna. Odgłosowi nie towarzyszyły żadne wołania o pomoc ani krzyki rozpacz — przynajmniej nic takiego nie słyszał — ale wiedział, co się stało.

Jednak czuł, że musi się upewnić. Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa...

— Zostańcie tutaj! — krzyknął w stronę dwóch przerażonych, przytulonych do siebie dziesięciolatek. Zgiąwszy się wpół, ignorując gwałtowne uczucie pieczenia skóry i ciągnąc za sobą związane prześcieradła, ruszył w tamtą stronę.

Childes dotarł w pobliże balustrady, ale nie mógł podejść do niej, gdyż trawiły ją płomienie. To samo było z dużą połacią podłogi tuż obok. Na suficie pełgały dziwne okrągłe płomyki. Między płomieniami ujrzał fragmenty klatki schodowej, a raczej to, co z niej pozostało.

Schody zniknęły, pozostały tylko płonące kikuty wystające ze ścian. Nie było też półpiętra.

Wszystko zarwało się i zniknęło w czeluści szalejącego krateru.

Childes powrócił do pokoju bursy, zbyt odrętwiały, by pozwolić sobie na łzy rozpacz. Trzy powiązane prześcieradła leżały na podłodze tam, gdzie je porzucił, i już zaczęły się zajmować ogniem. Zatoczył się, podpierając się o ścianę, lecz brnął do przodu, bo wiedział, że zatrzymanie się teraz miałyby tragiczne skutki. Przyspieszył kroku, kiedy zobaczył, że dziewczynki nie stoją przy drzwiach. Modlił się w duchu, by okazało się, że posłuchały jego poleceń i nie pobięły gdzieś w przeciwnym kierunku. Gdyby zgubiły się w chmurach gęstniejącego dymu...

Drzwi były wciąż lekko uchylone. Popchnął je tak silnie, że uderzyły o pobliski nocny stolik. Sandy i Rachel siedziały na łóżku przytulone do siebie i wpatrywały się w niego z przerażeniem.

— Chodźcie — powiedział, a dziewczynki wyczuły w jego głosie martwe otepienie. — Zabieram was stąd.

Podbiegły do niego i wziął je na ręce. Teraz wydawały mu się znacznie cięższe, ale wiedział, że musi sobie jakoś poradzić. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by przynajmniej je dwie uratować.

Childes wycofał się z pokoju i poszedł długim korytarzem, by uciec od ogniska pożaru, gdzie

wszystko — ściany, sufit i podłogi — groziło nagłą eksplozją płomieni. Prawie nic nie widział przed sobą i czuł narastający, tępy ból głowy. Słup ognia trysnął z podłogi po prawej stronie, zmuszając Childesa, by obrócił się plecami do ognia i przesunął blisko muru po lewej. Dziewczynki nie wydawały z siebie ani jednego dźwięku. Trzymały go mocno za szyję i były na pewno przerażone do granic, ale jednocześnie ufały, że potrafi wyprowadzić je w bezpieczne miejsce. Być może wyplakały się już wcześniej w szafie. Wśród kłębow gryzącego dymu Childes na moment stracił orientację, lecz po chwili zobaczył w perspektywie korytarza pomarańczowe płomienie. Miał nadzieję, że schody przeciwpożarowe znajdują się na tyle daleko od centrum pożaru, że pozostaną nietknięte. Widok płomieni po drugiej stronie zdawał się temu przeczyć.

W końcu, minawszy kolejne zarzewie, dotarli do szczytu betonowych schodów ewakuacyjnych. Tu Childes potknął się i przewrócił na łokcie i kolana, Sandy i Rachel czekały cierpliwie u jego boku, aż minie mu atak kaszlu.

Otrząsnął się na tyle, że mógł podnieść się i zajrzeć w dół schodów. Wśród kłębiących się obłoków dymu ujrzał w dole ogniki wypełzające z bocznych korytarzy.

Jeszcze była szansa, aby się wydostać — oczywiście jeśli nie zaduszą się po drodze czadem.

Przygarnął do siebie dziewczynki i powiedział:

— Wszystko będzie dobrze. Zejdziemy tymi schodami i za parę minut będziemy na dole. Mówiłem wam, że schody są z betonu, a więc nie zajmą się ogniem, ale będziemy musieli się trzymać z dala od korytarzy. — Sięgnął do kieszeni, skąd wyjął chusteczkę. Podał ją jednej z dziewczynek, mówiąc: — Rachel, zakryj tym usta i nos.

Posłusznie wzięła od niego chusteczkę i przycisnęła do twarzy.

— Sandy, obawiam się, że będziemy musieli zniszczyć twoją koszulkę.

Złapał za skraj koszuli nocnej i oderwał spory pas materiału, po czym przewiązał dookoła głowy dziecka, tak aby dolna część twarzy była zasłonięta. Wstał.

— No dobra, idziemy.

Childes złapał obie dziewczynki za ręce i sprowadził do pierwszego półpiętra, starając się iść wzdłuż ściany i z dala od unoszących się oparów dymu.

Sandy i Rachel próbowały się opierać i musiał je ciągnąć za sobą. Dotarłszy do miejsca pomiędzy pierwszym a drugim piętrem, przygarnął dziewczynki do siebie, by zasłonić je własnym ciałem.

Rachel słabła i ugiwały się pod nią kolana. Zrozumiał, że dziewczynka nie da rady zejść na dół o własnych siłach. Zdjął kurtkę i zarzuciwszy ją na głowę Rachel, wziął dziecko w ramiona. Osunęła się na niego bezwładnie, była półprzytomna. Może to nawet lepiej, pomyślał, łatwiej będzie ją nieść. Wziął Sandy za rękę i ruszyli w dalszą drogę.

— To już niedaleko — krzyknął, by dodać jej odwagi.

W odpowiedzi uściśnieła jego dłoń. Przez chwilę zamajaczyła przed nim twarz Gabby i niemal wykrzyknął jej imię. Tym razem pod nim ugięły się kolana i przysiadł na betonowych stopniach.

Sandy pociągnęła go za ramię, nie pozwalając nawet na chwilowy odpoczynek.

Spojrzał na jej umazaną od sadzy twarz, a dziewczynka powtórzyła jego własne słowa:

— To już niedaleko.

Niedaleko, powtarzał sobie, niedaleko, wkrótce dojdziemy do ostatniego rzędu schodów. Ale siły opuszczały go coraz szybciej.

Czuł, że słabnie z każdą chwilą. Każdy oddech przynosił z sobą kolejną falę trujących wyziewów. Oczy piekły go i łzawiły. Już prawie nie widział, gdzie ma postawić stopę. Ból powiek stawał się nieznośny. Krtusił się i męczyły go powtarzające się ataki suchego kaszlu...

...Sandy ciągnęła go w dół, jej wyczerpane drobne ciało nie było już zdolne walczyć. Osuwała się coraz niżej i niżej, aż w końcu musiał taszczyć ją za sobą po betonowych schodach...

...nie panował nad zmysłami, wszędzie widział wirujące kamienie księżycowe, twarz Gabby i poszarpane ciała dzieci, świdrujące spojrzenie zimnych oczu, które kpiąco przyglądały mu się poprzez płomienie, i Amy poranioną, krwawiącą i wijącą się z bólu, i srebrnobłady księżyc przeświecający przez smugi dymu i broczący krwią...

...tracił przytomność, z każdym niezdarnym krokiem powoli zapadał w nieświadomość, puścił rękę Sandy i dotknął ciepłego betonu. Poddał się działaniu duszącego dymu, mimo, że do przebycia

zostało już niewiele stopni, tylko jedna kondygnacja, tylko jedno piętro...

Jakaś drobna część jego umysłu jeszcze działała i zarejestrowała jakieś poruszenie na dole. Leżąc bezwładnie na schodach, podniósł się na łokciu.

Głosy. Słyszał jakieś głosy. Okrzyki. Ciemne sylwetki na tle płomieni bijących z korytarza na parterze. Postacie na schodach zmierzające w jego kierunku...

KAMIEN KSIĘŻYCOWY (krzemian alumińowy-potasowy Gęstość: 2,57 Twardość: 6

Współczynnik refrakcji: 1,519 — 1,526 (niski) Odmiana skalenia charakteryzująca się słabą, lecz specyficzną fluorescencją po naświetleniu promieniami Roentgena. Kamień księżycowy, nazywany tak, gdyż w świetle posiada charakterystyczną srebrzystą barwę przypominającą światło księżyca, jest zazwyczaj biały. Zjawisko to nosi w geologii nazwę szyleryzacji (od niemieckiego schiller— opalizowanie). Występuje w SriLance, na Madagaskarze i w Birmie.

Overoy zgasił niedopałek w popielniczce, pocierając zmęczone oczy kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki. Siedział przy stole w salonie. Nad blatem z przydymionego szkła wisiała lampa, która zwieszała się tak nisko, że pozostała część pokoju tonęła w głębokiej ciemności. Część wypoczynkowa pokoju znajdowała się za ścianą działową z łukowym sklepieniem. Sam dokonał przeróbek, umożliwiających połączenie obu pokoi w jeden, kiedy wprowadzili się tu z Josie dziewięć lat temu, gdy jeszcze miał dość energii na jednoczesne poświęcanie się domowi i pracy zawodowej. W pokoju paliła się tylko jedna lampa, szary ekran telewizora trwał w bezruchu, a zasłony były zaciągnięte.

Nic. Zajrzał do notatek i powiedział głośno:

— Nic.

Mały kamyczek jest czymś w rodzaju znaku rozpoznawczego. Ale znaki rozpoznawcze służą identyfikacji.

Dlaczego właśnie kamień księżycowy? Jaki to ma związek z Księżycem?

Jedną ręką rozwinął notatki, układając je w dłoni jak karty do gry.

Amy Sebire sugerowała, że Księżyc może być nazwiskiem. Jednak Childes w wyobraźni postrzegał Księżyc jako symbol.

Symbol, który reprezentuje nazwisko?

Overoy sięgnął po papierosy i zorientował się, że paczka jest pusta. Rzucił ją w koniec stołu. Wstał i rozprostował ścierpnięte ręce. Obszedł stół dookoła. Znowu usiadł i ukrył twarz w dłoniach, po czym przeczesał włosy i splótł dłonie na karku.

Ciekawe, jak Childes daje sobie radę? — zastanawiał się. Wbrew wszelkim regułom, Overoy zostawił mu dowód znaleziony na miejscu przestępstwa. Mały przedmiot, kamień księżycowy. Childes chciał go mieć. Więc czemu nie? Dla policji był bezużyteczny, lecz miał jakieś znaczenie dla mordercy. Sprawdzanie jubilerów w Londynie i okolicach jak dotąd nie dało żadnych rezultatów. Dowiedziano się tylko, że takie nie oprawione kamienie rzadko są przedmiotem sprzedaży. Stąd wniosek, że poszukiwana osoba musiała dokonywać zakupów w różnych sklepach, gdyż zakup hurtowy na pewno zwróciłby uwagę któregoś ze sprzedawców.

Zmęczonym wzrokiem spojrzął na stertę książek, leżących na szklanym blacie stołu, z których większość była bezużyteczna. Zaledwie w kilku znalazł coś interesującego. Były to materiały dotyczące Księżycy, a w szczególności jego mistycznych aspektów.

Josie przed położeniem się spać utyskiwała, że zaczyna mieć obsesję na punkcie Księżycy.

Ale to nie on miał szaleńczą obsesję, lecz ktoś inny.

Wystarczy sprawdzić statystyki policyjne, a okaże się, że podczas pełni Księżycy zwiększa się liczba przestępstw, szczególnie tych gwałtownych. Nawet autorytety psychiatryczne wierzą, że pełnia Księżycy aktywizuje osoby psychicznie chore. Overoy podkreślił jedną z poczynionych przez siebie notatek:

„Jeśli Księżyc ma wpływ na ziemskie zasoby wodne, dlaczego nie miałby także wpływać na ludzki mózg, który jest przecież półpłynną substancją?” To była niezła myśl.

Ludzie, którzy wierzą w astrologię, twierdzą, że dwa nowe Księżycy w jednym miesiącu prorokują zgon. Owego maja, kiedy przydarzyły się pierwsze okrucieństwa związane z kamieniem księżycowym, faza nowiu wystąpiła dwa razy. To też zostało podkreślone w notatkach.

Wiele popularnych wierzeń przypisuje Księżycowi zbrodnicze działanie (pomimo zmęczenia Overoy uśmiechnął się do siebie na myśl o Księżycowym Człowieku, bohaterze komiksów o wybitnie podłym charakterku), które ujawnia się w zachowaniu ludzi obdarzonych wiedzą i zdolnościami okultystycznymi. Ciekawe, ale raczej nie nadaje się do raportu dla komisarza. Wziął do ręki czerwony flamaster i zakreślił napisane drukowanymi literami słowo OKALECZENIA, po czym poprowadził linię w stronę kolejnego słowa: RYTUAŁ. Obok napisał: OFIARA?

Ofiara dla kogo? Dla Księżyca? Nie, w tym musi być jakaś logika, jeśli szaleniec w ogóle posługuje się jakąkolwiek logiką. W takim razie może to ofiara dla księżycowego bóstwa? Zdaje się, że tę sferę kultu zdominowały boginie, więc niech to będzie bogini. Mój Boże, gdyby jego kumple z pracy mogli go teraz zobaczyć.

W porządku. Było kilka bogiń Księżyca, które można brać pod uwagę. Przejrzyjmy ich listę jeszcze raz:

DIANA

ARTEMIDA

SELENE

Potem jeszcze trzy następne, a właściwie jedna występująca pod trzema imionami:

grecka AGRIOPE ]

hebrajska SHEOL > HEKATE

egipska NEFIS j

Hekate. Dlaczego właśnie to imię wywoływało u niego odległe skojarzenia? Musiał już się z nim kiedyś spotkać. Zagłębił się bardziej w studiowanie historii kultu Księżyca. Wydawało się, że właśnie ta bogini cieszyła się największą popularnością, ale dlaczego to miałoby mieć znaczenie dla śledztwa? Nie miał pojęcia. Trzeba jeszcze raz przejrzeć te zapiski.

Hekate. Bogini ciemności. Poświęcano jej czarnoksiężskie rytuały. Córka tytana Persesa i Asterii. Nauczycielka i opiekunka czarownic. (Czy można to wszystko brać poważnie?)

Hekate. Klucznik Piekieł, władczyni świata zmarłych i upiórów. Nocą opuszczała Hades, by wałęsać się po świecie w orszaku psów i dusz zmarłych. Jej włosy przypominały węzowe sploty, a głos był podobny do wycia wilczycy. Jej ulubiona nocna kryjówka znajdowała się opodal jeziora Armarantiam Phasis, „jeziora zbrodni”. (Miła kobietka.)

Hekate. Znająca wszystkie odmiany wiedzy tajemnej, matka czarownic. (Skąd właściwie znał to imię?)

Hekate. Tak jak Księżyc miała zmienny, kapryśny charakter. Czasami dobrotliwa i matkująca, była akuszerką, pielęgnowała noworodki, sprawowała pieczę nad dziećmi, bywała przybraną matką, doglądała zbiorów i inwentarza. Ale druga, ciemna strona jej natury stopniowo wzięła górę nad dobrą. Stała się boginią piekieł, węzowym bóstwem o trzech głowach — psa, konia i lwa. (Styl jak u Edgara Allana Poe. Do diabła, nie mógł uwierzyć, że sam to wszystko napisał. Przynajmniej był na tyle mądry, żeby nie robić z siebie durnia w pracy.)

Overoy sięgnął po kubek z nie dopitą kawą, który stał obok sterty książek. Skrzywił się z niesmakiem, kiedy pociągnął łyk zimnych fusów. Odstawił kubek i rozparł się wygodnie na krześle. I do czego to go doprowadzi? Czy to jest tylko stratą czasu, czy może okazać się pomocne? Miał do czynienia z osobą o chorym, obłąkanym umyśle, kimś, kto profanował zwłoki i okaleczał swoje ofiary. Z kimś, kto zostawiał kamienie księżycowe jako swój znak rozpoznawczy i czerpał przyjemność z tortur psychicznych. Niezbyt przyjemna osóbka. Ale czciciel Księżyca? Albo, dokładniej, czciciel bogini Księżyca?

Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

Nie ulega wątpliwości, że morderca jest niespełna rozumu. Ale dlaczego utkwiała mu w głowie ta Hekate? W tym imieniu było coś znajomego, ale co? Musiał gdzieś to widzieć.

Ziewnął. Nic z tego nie będzie. Był za bardzo zmęczony, żeby dalej myśleć. W głowie czuł szum i zamęt. Nic nie układało się w jakąś spójną całość. Do łóżka. Czas spać. Pogadajeszczę z Josie — o kurczę, która to godzina? Porozmawia z Josie jutro. Zawsze pomagała mu wyklarować myśli. Może mylił się od początku do końca. Boginie Księżyca, czciciele Księżyca, kamienie księżycowe.

Telepatia. Życie policjanta jest dużo mniej skomplikowane.

Overoy wstał i z rękami w kieszeniach jeszcze raz spojrzął na rozrzucone notatki.

W końcu wzruszył ramionami, zgasił światło i poszedł do łóżka...

... obudził się o świcie, mając przed sobą odpowiedź niczym światło neonu widziane przez mgłę.

Niewiele, nic poważnego, zaledwie promyczek w środku nocy.

Natychmiast opuściła go cała senność i wygramolił się z łóżka.

Na niebie pojawił się księżyc w pełni..

— Z kim mam przyjemność rozmawiać?

— Cześć, tatusiu!

— Cześć, Robaczku!

— Tatusiu, jestem w nowej szkole.

— Wiem, mamusia właśnie mi powiedziała. Masz już jakieś koleżanki?

— Chyba jedną. Tak naprawdę to dwie, ale jeszcze nie wiem, czy chcę, żeby Lucy była moją przyjaciółką. Czy muszę zostać w tej szkole, tatusiu? Tęsknię do tamtej.

— Tylko przez jakiś czas, Gabby, aż zaczną się letnie wakacje.

— A potem wrócimy do naszego domu?

— Nie podoba ci się u babci?

— Taaak, ale w domu jest fajniej. Babcia mnie rozpieszca, wciąż myśli, że jestem małą dziewczynką.

— To nie wie, że jesteś już dużą panną?

— Nie, ale to nie jej wina. Robi to w dobrej wierze. Wybuchnął śmiechem.

— W takim razie korzystaj z tego, moje dziecko. Jeszcze masz czas, żeby być dorosłą.

— Wszyscy tak mówicie. Przyjedziesz mnie odwiedzić, tatusiu? Namalowałam coś specjalnie dla ciebie. Babcia była trochę zła, bo poplamiałam przy tym ścianę, ale wcale nie dała mi klapsa. Nigdy mnie nie bije. No więc jak, przyjedziesz do mnie, tatusiu?

Childes zawahał się.

— Nie jestem pewien, Gabby. Wiesz, że tego pragnę, prawda?

— Masz dużo pracy w szkole? Powiedziała moim koleżankom, że jesteś nauczycielem, ale Lucy nie chciała mi uwierzyć. Powiedziała, że w szkole nie uczy się gier komputerowych. Próbowałam jej wytłumaczyć, ale przecież sam wiesz, jakie tępe są niektóre dzieciaki. A będę mogła cię odwiedzić w czasie wakacji?

Tyle myśli chodziło mu po głowie, ale powiedział: „tak”.

— Ale będę musiała płynąć statkiem, tatusiu? — powiedziała i jej głosik stracił cały poprzedni entuzjazm.

— Nie, przylecisz samolotem, tak jak poprzednio.

— Chciałam powiedzieć, że nie chcę znowu pływać statkiem.

— Masz na myśli tę ostatnią wycieczkę motorówką dookoła wyspy? Odniosłem wrażenie, że to ci się podobało.

— Już nie lubię wody.

To było wszystko, co powiedziała.

— Czemu nie, Gabby? Kiedyś lubiałaś. Milczenie w słuchawce, a potem:

— Czy mamusia też może przyjechać?

— Oczywiście, jeśli tylko będzie miała ochotę. Może mama pozwoli ci zostać ze mną przez miesiąc. — Zapomnij o problemach, pomyślał. Oby te wszystkie obietnice mogły zostać spełnione.

— Naprawdę? Mówisz poważnie? Mogłabym być z tobą dłużej jak dwa tygodnie?

— To zależy od mamy.

— Zapytasz ją teraz? Proszę.

— Nie, Gabby, jeszcze nie mogę. Jest coś, co... musi się do tego czasu wyjaśnić. Wtedy będę wiedział, czy możesz przyjechać na dłużej.

— Ale nie zapomnisz, że obiecałeś?

— Nie zapomnę. \*

— W porządku, tatusiu. Jest tu ze mną Panna Puddles i bardzo chciałyby przekazać ci

pozdrowienia.

— Powiedz jej „miau” ode mnie.

— Ona też mówi „miau” do ciebie. To znaczy, nie naprawdę, ale wiem, że tak myśli. Babcia kupiła dla niej specjalny kosz, ale woli spać na lodówce.

— Babcia śpi na lodówce?

— Głuptas z ciebie. Chcesz jeszcze porozmawiać z mamusią? Mama obiecała, że przeczyta mi bajkę na dobranoc.

Nie, chciał ją zapytać o wodę. Małe dzieci często nieoczekiwanie wykształcają u siebie irracjonalne lęki, które trapią je przez jakiś czas, by potem równie nagle zniknąć bez śladu. Childes był zaniepokojony tym, co powiedziała Gabby. Może widziała jakiś straszny film w telewizji albo jakieś dziecko opowiedziało jej jakąś makabryczną historię o utonięciu. To bez znaczenia. Zresztą od pewnego czasu też niespecjalnie przepadał za wodą.

— Dobrze. Poproś jeszcze mamę na chwilę. Posłuchaj, wkrótce znowu do ciebie zadzwonię, dobrze?

— Tak. Pa, pa, kocham cię, tatusiu!

Przez chwilę Childes miał niesamowite uczucie, że może już nigdy nie usłyszy tych słów z ust córki, ale to uczucie minęło jak niespodziewany poryw zimnego wiatru.

— Ja też cię kocham, Gabby.

Usłyszał w słuchawce sześć głośnych całusów, po czym odpowiedział jednym wielkim cmoknięciem.

Tuż przed odłożeniem słuchawki Gabby powiedziała:

— Aha, tatusiu, powiedz ode mnie Annabel, że za nią tęsknię i opowiedz jej o mojej nowej szkole. Potem usłyszał już tylko stuknięcie odkładanej słuchawki i oddalający się głos Gabby wołający matkę.

— Gabby...

Nie było jej.

Czyżby źleją zrozumiał? Pewnie pomyliła się i miała na myśli Amy. Powiedz Amy, że za nią tęsknię... Jej przyjaciółka, Annabel, nie żyła. Gabby już o tym wiedziała. Frań wyjaśniła jej, że Annabel już nie wróci stamtąd, gdzie jest...

— To znowu ja, Jon — głos Frań był jak zwykle lekko zadyszany.

Childes potrząsnął głową — a może zadrżał? — żeby zebrać myśli.

— Frań, czy Gabby zachowuje się ostatnio normalnie?

— Raczej nie. Przeprowadzka wybiła ją z równowagi, a do

tego jeszcze nowa szkoła. Wiesz, że dzieciaki bardzo przeżywają takie zmiany. — Ton jej głosu się zmienił. — Mam dziwne uczucie, ilekroć zaczynasz pytać o Gabby.

— Nie obawiaj się. Nie miałem żadnej proroczej wizji, Frań. Mówię prawdę. Czy kiedykolwiek wspomniała o Annabel?

— Wiele razy. Ale wcale nie jest tak przygnębiona jej śmiercią, jak można by oczekiwać, A czemu pytasz?

— Odniosłem wrażenie, że uważa, iż jej koleżanka wciąż żyje.

Frań nie odpowiedziała od razu. W końcu odparła:

— Gabby ostatnio miewa różne dziwne sny. Nie są to koszmary, nic z tych rzeczy, ale dużo mówi przez sen.

— Czy wymieniła imię Annabel we śnie?

— Parę razy. Wydaje mi się, że pogodziła się z faktem, iż już nigdy jej nie zobaczy.

— Dlaczego nagle zaczęła odczuwać lęk przed wodą?

— Co?

— Powiedziała, że nie chce pływać statkiem.

— To dla mnie coś zupełnie nowego. Mogłabym zrozumieć, że boi się ognia po tym, co ty przeszedłeś. Ale wody? Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

— Powiedziałaś jej o college'u?

— Jasne. Jej ojciec jest bohaterem. Przecież ma prawo wiedzieć.



— Jakim tam bohaterem.  
— I do tego skromnym człowiekiem.  
— Parę osób dałoby wiele, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób znalazłem się na miejscu pożaru, jeszcze zanim zawiadomiono straż pożarną.  
— Ale policja cię oczywiście nie podejrzewa?  
— Nie stawiałbym tej sprawy tak kategorycznie, ale powiedzmy, że nikt jeszcze nie zakłada mi kajdanek.  
— Och, Jon, nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe, żeby byli takimi głupcami. Przecież ledwie sam uszedłeś z życiem. I wyratowałeś te dwie małe...  
— A pozostałych siedem pozostawiłem na pewną śmierć.  
— Przecież próbowałeś je ratować, zrobiłeś, co było w twojej mocy. Sam mi to opowiadałeś.  
— To, co się stało, wydarzyło się przeze mnie.  
— Przestań robić z siebie męczennika i zacznij gadać sensownie. Nie można cię winić za to, że jakiś cholerny psychopata wybrał sobie ciebie za obiekt wariackiej osobistej wendetty. Nie miałeś wpływu na żadne z tych zdarzeń. A teraz powiedz, co ci durni gliniarze wymyślili.  
— Trzeba na to spojrzeć z ich punktu widzenia.  
— Spróbuję.  
— Najpierw chcieli wiedzieć, co mnie skłoniło, żeby pójść do szkoły, zanim wybuchł pożar.  
— To musiało być rzeczywiście trudne do wyjaśnienia. Wytłumacz mi to jeszcze raz.  
— Już ci wyjaśniłem, Frań. Nie przerabiamy tego znowu. W każdym razie maglowali mnie ostro i wcale nie przeszkadzało im to, że leżałem w szpitalu i pompowano we mnie tlen.  
— Co za idiotyzm!  
— No wiesz, mieli spaloną szkołę, kilka ofiar pożaru i zamordowanego policjanta — czego można by się po nich spodziewać? To już po raz drugi zdarzyło mi się pierwszemu pojawić na miejscu zbrodni.  
— Więc podejrzewają cię o podpalenie i morderstwo? Wspaniale, Jon, dlaczego nie rzucisz tego wszystkiego w cholerę i nie wsiądziesz w pierwszy samolot do Anglii? Czemu godzisz się na to wszystko?  
— Nie sądzę, żeby im się to spodobało.  
— Nie mogą cię zatrzymać.  
— Kto wie. Może mogą. Nie wyjeżdżam, Frań. Jeszcze nie teraz.  
Jej irytacja była bliska gniewu.  
— Ale dlaczego?  
— Bo to coś jest tutaj. I dopóki tak jest, ty i Gabby jesteście bezpieczne, nie rozumiesz?  
Rozumiała to. Cichym głosem przyznała mu rację.  
Childes wrócił do pokoju i poszedł w stronę regału, na którym stał rząd butelek. Wziął butelkę whisky i zdjął nakrętkę. Zatrzymał się. To nie pomoże, pomyślał. Nie dziś. Odstawił butelkę na półkę.  
Pokój pogrążony był w półmroku. Paliła się tylko lampa na stole. Żadne z okien nie było zasłonięte i widać było przez nie, że niebo tej nocy ma niezwyklej metalicznoniebieską barwę. Childes zasłonił najbliższe okno, to od frontu, po czym przemierzył całą długość pokoju i stanął przy drugim. Ujrzał księżyc, biały, zasnuty lekką mgiełką, nie będący jeszcze na swoim bezchmurnym terytorium, przypominający komunijny opłatek — płaski i delikatny w swej strukturze. Zasłonił okno.  
Z rękami głęboko w kieszeniach welwetowych spodni, Childes wolno podszedł do stolika stojącego prawie na środku pokoju. Dwudniowy zarost poczercił mu podbródek, a w jego spojrzeniu znać było osobliwe napięcie — zmęczenie i podekscytowanie zarazem. W jego oczach można było wyczytać też zdecydowanie.  
Usiadł na krawędzi kanapy i podparł się łokciami na kolanach, wpatrując się w drobny przedmiot leżący na gładkiej powierzchni drewna.  
Światło lampy nasyciło kamień księżycowy cieplejszymi barwami, tak że teraz mienił się odcieniami błękitu i indygo.  
Wpatrywał się we wnętrze kamienia, jak starodawna wróżka w kryształową kulę, jak gdyby

fascynowała go gra subtelnych barw. Prawdę mówiąc, patrzył jeszcze głębiej, daleko poza jądro minerału, przeszukując najskrytsze pokłady swojej jaźni. Szukał jeszcze czegoś: starał się znaleźć powiązanie, łącznik, kod dostępu.

Jednak jawiły mu się tylko imiona. I twarze nie z tego świata. Kelly, Patricia, Adele, Caroline, Isobel, Sarah-Jane. I Kathryn Bates, gospodyni internatu. Wszystkie nie żyły. Zostały z nich tylko prochy. Estelle Piprelly. Proch.

Annabel. Nie żyje.

Ale Jeanette żyje. Amy, słodka Amy. Żyje. I Gabby żyje.

Ale jednak te trzy ostatnie nie zaistniały w jego wizji tak silnie, jak pozostałe. Myśl o nich była płytka, w jakiś sposób mniej ważna, nie będąca częścią tego nowego.

Jego myśli błądziły wśród zmarłych.

Nawet tych, których nie znał.

Prostytutka. Chłopiec, którego pośmiertny spokój został zakłócony. Staruszek, któremu odpiłowano czubek głowy. Inni z tamtego szpitala. Nie pragnął wyobrazić ich sobie, nie chciał słyszeć ich głosów, gdyż szukał czegoś — kogoś innego. Ale obrazy ich postaci rozsadały jego wyobraźnię... rosnąc w siłę... słabnąc, to znów rosnąc, kurcząc się, to nadymając, by utworzyć ... wielki niematerialny balon... zamgloną białą kulę... Księżyc...

Drgnął i złapał się za czoło, czując nagły ostry ból, który nałożył się na tępy ból głowy, który męczył go przez cały dzień. Opadł na oparcie kanapy.

Już prawie udało mu się dotknąć...

— Vivienne?

— Tak?

— Mówi Jonathan Childes. Przepraszam, że zawracam głowę o tak późnej porze.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

— Przepraszam, zamykałam drzwi — wyjaśniła Vivienne. Childes wyobraził sobie Paula Sebire'a podsłuchującego pod drzwiami.

— Co u ciebie, Jonathanie? Czy otrząsnąłeś się już po tych strasznych przeżyciach?

— Wszystko w porządku — odparł. — Czuję się też nie najgorzej. — Przynajmniej fizycznie, dodał w myślach.

— Amy jest z ciebie bardzo dumna. Ja też.

— Szkoda, że...

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Szkoda, że nie zdołałeś także uratować tamtych dziewcząt. Musisz zdać sobie sprawę, że zrobiłeś wszystko, co tylko było możliwe. Mam nadzieję, że wkrótce złapią tego szaleńca. Ale nie sądzę, żebyś chciał tracić czas na pogawędkę ze mną. Amy odpoczywa w swoim pokoju, ale zaraz jej powiem, żeby podniosła u siebie słuchawkę. Wiem, że jeszcze nie śpi, bo przed chwilą wyszłam od niej. Prawdę powiedziawszy, właśnie rozmawialiśmy na twój temat. Bardzo się ucieszy z twojego telefonu.

— Czy na pewno nie sprawiam kłopotu? Vivienne zaśmiała się cicho.

— Oczywiście, że nie. To znaczy... będę musiała raczej przemknąć się do jej pokoju, niż ją zawołać.

— Jej ojciec?

— Tak. Jej ojciec. Ale on wcale nie jest taki zły, jak sądzisz, Jonathanie. Po prostu lubi sprawiać takie wrażenie. W końcu pójdzie po rozum do głowy, zobaczysz. A teraz pójdę do Amy.

Czekał, wciąż czując ten sam, co poprzednio, tępy ból głowy. Usłyszał trzask, po czym zgłosiła się Amy.

— Jon? Czy coś jest nie w porządku?

— Nie, Amy. Chciałem usłyszeć twój głos, to wszystko. Nagle poczułem taką potrzebę.

— Cieszę się, że dzwonicz.

— Jak się czujesz?

— Tak samo jak po południu, kiedy ostatnio dzwoniłeś. Jestem senna, ale to przez te tabletki. Poza tym żadnych problemów. Doktor był wieczorem i powiedział, że rany nie są nawet w połowie tak paskudne, jak początkowo sądził. „Ładnie się goją”, że użyję jego słów. Jutro będę mogła wstać i zgadnij, gdzie się wybieram.

— Nie, Amy, nie rób tego. Nie przyjeżdżaj tutaj. Jeszcze nie teraz.

— Wiem, gdzie chcę być najbardziej, Jon, i wiem z kim. Nie ma sensu się spierać. Miałam ostatnio dość czasu na myślenie i wyżyłam się zazdrości o Frań. Muszę przyznać, że przyszło mi to niełatwo. Ale udało się.

— Amy, musisz się trzymać z dala ode mnie.

— Powiedz mi, dlaczego.

— Przecież wiesz.

— Myślisz, że stanowisz niebezpieczeństwo.

— Przebywanie ze mną może okazać się niebezpieczne dla kogokolwiek. Musiałem się poważnie zastanowić, zanim zdecydowałem się na telefon do Gabby. Boję się myśleć o niej na wypadek, gdyby ten potwór potrafił dotrzeć do niej przeze mnie.

— Policja wkrótce go złapie. Nie ma możliwości, żeby wydostał się z wyspy.

— Sądzę, że to mu już nie robi różnicy.

Znowu ostry penetrujący ból. Childes wziął głęboki oddech.

— Jon?

— Pozwolę ci teraz odpocząć, Amy.

— Tego mam aż za wiele. Chcę porozmawiać.

— Jutro.

To słowo zabrzmiało niepewnie.

— Czy dzieje się coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć? — spytała ostrożnie.

— Nie — skłamał. — Chyba po prostu mam już dość stania na uboczu, podczas gdy dzieją się te wszystkie okropności.

— Nic na to nie poradzisz. Tylko policja może doprowadzić tę sprawę do końca.

— Być może.

Znowu nie spodobał się jej ton jego głosu. Brzmiał poważnie i znać było w nim skrywaną wściekłość. Poczula to od razu, kiedy tylko sięgnęła po słuchawkę i zanim jeszcze się odezwał, jak gdyby energia tego gwałtownego uczucia promieniowała wzdłuż przewodów elektrycznych.

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to absurdalne, ale dlaczego w takim razie czuła się dziwnie słaba pod wpływem działania tajemniczej mocy, jaka emanowała od Childesa?

— Zaśnij teraz, Amy — powiedział. — Odpoczywaj.

I nagle poczuła się tak zmęczona, jakby jej ciału wydano rozkaz, któremu nie jest w stanie się przeciwstawić. Była niewiarygodnie znużona.

— Jon...

— Jutro, Amy.

Jego głos brzmiał pusto i dudnił zwielokrotnionym echem. Słuchawka telefonu zaczęła jej niewygodnie ciążyć w ręce.

— Dobrze, w takim razie do jutra — powiedziała wolno, czując, że powieki robią się coraz cięższe.

Co to jest — hipnoza

przez telefon? — Jon... — Chciała zdobyć się na protest, ale zabrakło jej energii, by dokończyć zdanie.

— Kocham cię bardziej, niż sobie to wyobrażasz, Amy.

— Wiem...

Usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Wezbrało w niej głębokie uczucie pustki, jakby straciła kogoś bardzo bliskiego. Ale przecież kazał jej odpoczywać, spać...

Słuchawka wysunęła się z jej dłoni.

Childes odłożył słuchawkę i zastanawiał się, czy to skutek przepisanych przez lekarza tabletek Amy jest taka senna. Prawdopodobnie łączyły w sobie działanie przeciwbólowe i uspokajające.

Jego też ogarnęło zmęczenie. Poszedł do łazienki, by umyć twarz. Jednak w paradoksalny sposób czuł, że jego zmysły znajdują się w stanie najwyższego pobudzenia. Napełnił umywalkę zimną wodą i ochlapał twarz, przez chwilę przyciskając mokre dłonie do powiek. Wyprostował się i przyjrzał swemu odbiciu w lustrzanych drzwiczkach szafki. Miał przekrwione oczy z powodu długotrwałego noszenia miękkich szkieł kontaktowych.

Gdyby lustra mogły także odbijać aurę, być może zauważyłby, że jego ciało emanuje białofioletowymi promieniami.

Childes osuszył twarz i ręce ręcznikiem, po czym poszedł z powrotem do pogrążonego w półmroku saloniku. Znowu usiadł na kanapie obok stolika i jeszcze raz oparł się pokusie, by nalać sobie podwójną whisky. Chciał, żeby jego zmysły pozostały niczym nie zmacone. Kamień księżycowy wydawał mu się teraz jaśniejszy, a błękitnawy blask promieniujący z jego wnętrza osłabł.

Znowu poczuł krótkie urywane ukłucie bólu w głowie. Lecz postanowił, że tym razem nie ustąpi. Tylko gwałtowna potrzeba rozmowy z Amy, a poprzednio z Gabby, była w stanie przerwać długi proces przygotowań. Teraz już nic mu nie przeszkodzi, ponieważ Amy i Gabby były bezpieczne i nikt nie może ich skrzywdzić. Teraz mógł skoncentrować myśli. Chociaż sprawiało mu to ból; Boże, jak to bolało. Zamknął oczy, a mimo to wciąż widział kamień.

Otworzył je, kiedy do jego uszu dotarły szepty.

Childes rozejrzał się dokoła. Szepty ucichły. Był sam w pokoju. Znow zamknął oczy.

I znowu usłyszał stłumione szepty.

Pozwolił umysłowi pójść w ślad za nimi, wchłonąć je i być przez nie wchłoniętym. Tym razem to przyszło niespodziewanie szybko. Po godzinach spędzonych na bezowocnym szukaniu, przesyłaniu swoich myśli w różne zakątki. To było jak zapadanie w wielką śniegową zaspę — delikatne i łagodne.

Szepty.

Głosy.

Niektóre z nich rozpoznał. Należały do dziewcząt z Żeńskiego College'u imienia La Roche'a — tych, które stopiły się w jedno wielkie kłębowisko ciał, spadające w czeluść szalejącego krateru ognia, po czym przeistoczyły się w kupkę bezimiennych prochów.

I inne.

Piszczący dziecięcy głosik, taki jak Gabby, ale nie należący do niej.

Jeszcze inne.

Bezrozumne nawet po śmierci.

Niemal czuł ich obecność.

Jedne głosy ostrzegały go, inne witały z radością.

Jego głowa wirowała wraz z nimi. A kamień księżycowy, który przybrał teraz postać Księżyca, nabrzmiewał i pulsował, rósł i otaczał wszystko... stawał się groźny...

...Tym razem Childes przeniknął do chorego i perwersyjnie złośliwego umysłu tamtego człowieka...

Gdyby posterunkowy Donnelly nie uznawał każdej postaci życia za świętą — nawet życia królików, które późną nocą stawały słupka na środku drogi, zdezorientowane i sparaliżowane światłami samochodu — wtedy prawdopodobnie nie straciłby z oczu samochodu, który przykazano mu śledzić.

Kiedy, siedząc w ciemnym wnętrzu radiowozu, ujrzał Childesa wychodzącego z domu i wsiadającego do wynajętego samochodu marki Renault, pierwsze co zrobił, to poinformował o tym centralę drogą radiową. Następnie ruszył w ślad za obserwowanym obiektem, starając się utrzymać bezpieczną odległość.

Tuż przed zakrętem w lewo na drodze pojawił się królik (a może zając? podobno zające zupełnie głupieją podczas pełni księżyca) i Donnelly ledwie zdołał przyhamować, by ominąć wystraszone stworzenie. Samochód wpadł w poślizg i otarł się o żywopłot, lecz szczęśliwie uniknął najechania na zwierzę. Królik (albo zając — nigdy nie wiedział, na czym właściwie polega różnica) stał jak wryty na drodze i ani myślał się ruszyć. Drżał na całym ciele i wpatrywał się w posterunkowego błyszczącymi czarnymi oczami. Litościwy policjant musiał wyjść z radiowozu i osobiście przepłoszyć głupie stworzenie.

Kiedy posterunkowy Donnelly wreszcie podjął przerwana obserwację i ruszył w ślad za renaultem, tylne światła tamtego zniknęły mu z pola widzenia.

Zupełnie jakby samochód wraz z kierowcą rozpląnął się w księżycowej poświacie.

Najpierw dźwięk dzwonka do drzwi zakłócił sen Amy, potem do jej świadomości dotarły głosy.

Jeden z nich bez wątplenia należał do ojca i znać w nim było zagniewanie. Nie bez wysiłku

odrzucała kołdrę i podeszła do drzwi sypialni, lekko utykając. Uchyliła je, by się zorientować, co się dzieje.

Głosy były wciąż przytłumione, ale zorientowała się, że ojciec protestuje przeciwko wizycie o tak późnej porze. Po chwili wydawało jej się, że rozpoznaje także pozostałe głosy. Podeszła do matki, która stała w szlafroku na półpiętrze i wychylała się przez poręcz schodów w stronę trzech mężczyzn stojących w hallu. Jednym z nich był Paul Sebire, wciąż jeszcze w ubraniu, gdyż widocznie śleczął nad dokumentami. Towarzyszyli mu inspektorzy Overoy i Robillard. Amy zastanawiała się, co sprowadziło Overoya z powrotem na wyspę. Stała obok matki i przysłuchiwała się.

— To idiotyczne, Robillard — mówił Paul Sebire. — Skąd miałbym wiedzieć, gdzie ten człowiek się podziewa? Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby mi nie wchodził w drogę.

Teraz odezwał się Overoy.

— Musimy wiedzieć, czy kontaktował się z pańską córką.

— Sądzę, że dzwonił tu kilka razy w ciągu ostatnich kilku dni, ale jestem pewien, że moja Aimee nie ma pojęcia, gdzie go teraz można znaleźć.

Amy i jej matka wymieniły spojrzenia.

— Załóż szlafrok i zjedź na dół — Vivienne rzekła do córki.

— Panie inspektorze — dodała, schodząc po schodach. — Istotnie, Amy odebrała telefon od Jonathana dziś późnym wieczorem. Paul Sebire spojrzał na żonę początkowo ze zdziwieniem, które natychmiast przekształciło się w rozdrażnienie.

— Ach tak — powiedział Overoy i czekał, aż gospodyni dołączy do nich w hallu. — Czy w takim razie mógłbym zamienić słowo z panną Sebire? To niezwykle pilne.

— Proszę pana — wtrącił się Paul Sebire — moja córka śpi i pod żadnym pozorem nie wolno jej niepokoić. Jeszcze nie doszła do siebie po wypadku.

— Nic mi nie będzie — usłyszeli głos Amy.

Sebire odwrócił głowę i zobaczył, że córka już do nich schodzi. Nawet nie spojrzała na ojca — prawdę powiedziawszy, od kiedy dowiedziała się, że uderzył Childesa w szpitalu, prawie z nim nie rozmawiała.

Overoy zmarszczył brwi, widząc opatrunek na oku i gips na lewym przedramieniu Amy. Poruszała się sztywno i nieznacznie utykała. Gojące się skaleczenia na twarzy i rękach szpeciły delikatnie opaloną skórę, która zapadła mu w pamięć podczas ich spotkania. Miał szczerą nadzieję, że rany nie pozostawią trwałych blizn.

— Bardzo przepraszamy za najście o tej porze, panno Sebire

— usprawiedliwiał się Robillard, czując się niezręcznie w hallu przy wciąż otwartych drzwiach wejściowych — ale jak już wyjaśnialiśmy pani ojcu, sprawa, która nas sprowadza, jest bardzo ważna.

— Nic nie szkodzi, panie inspektorze — odparła Amy. — Jeśli to dotyczy Jona, to z przyjemnością służę pomocą. Czy coś się stało?

— Powinnaś być w łóżku, Aimee — wtrącił Paul Sebire i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu, a nie jak wyrzut.

— Bzdura. Dobrze wiesz, że doktor pozwolił mi jutro wstać. Overoy powiedział:

— Bardzo mi przykro z powodu pani wypadku. Jon mówił mi o pani obrażeniach. Jak z okiem... ?

"%

Choć nie mogła się doczekać wyjaśnienia powodu nieoczekiwanej wizyty, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Obrażenia są zupełnie niegroźne i pozostaną bez wpływu na ostrość wzroku. Opatrunek jest tylko po to, by uchronić oko od ewentualnej infekcji i zmusić je do odpoczynku. Proszę mi teraz powiedzieć, o co chodzi.

Vivienne podeszła do córki i objęła ją w pół.

— Pan Childes zniknął z domu dzisiejszej nocy — rzekł inspektor Robillard.

Przez otwarte drzwi Amy zauważyła, że przed domem stało więcej policyjnych radiowozów.

Poczuła nagły skurcz w gardle.

— Jeden z naszych ludzi — ciągnął inspektor — wykazał się wyjątkową... to znaczy, stracił z oczu samochód pana Childesa.

Potrząsnęła głową, zdając się nie rozumieć tego, co usłyszała.

— Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem Jonathan nie dzwonił do pani. mówiąc, gdzie się wybiera — powiedział Overoy. drapiąc się poźółkłym od nikotyny palcem w skroń.

Wzrok Amy biegł od jednego policjanta do drugiego.

— Tak, tak, dzwonił, ale nie mówił nic, że zamierza gdzieś jechać. Robił wrażenie bardzo zmęczonego. Ale, o co chodzi? Chyba nie jest o nic podejrzany?

— Jeśli chodzi o mnie, to nigdy nie był, panno Sebire — stwierdził Overoy, zerkając w stronę kolegi z nie ukrywaniem lekceważeniem. — Udało mi się złapać ostatni samolot na wyspę, bo chciałem z nim porozmawiać. Mam nadzieję, że uda mi się pomóc tutejszej policji dokonać aresztowania.

Urwał i głęboko odetchnął, patrząc po twarzach zebranych.

— Gdyż udało nam się ustalić tożsamość osoby odpowiedzialnej za te wszystkie makabryczne czyny. Wiemy ponad wszelką wątpliwość, że nadal przebywa ona na wyspie. I może dotrzeć do Jonathana Childesa przed nami.

Childes siedział przez chwilę w samochodzie, czując nagły przypływ lęku. Coś zwabiło go tutaj, przesławszy mu wyobrażenie wielkiego, oświetlonego przez księżyc, jeziora. Jednak wiedział, że takiego potężnego jeziora nie ma na wyspie. Lecz była tu rozległa dolina, która przed laty została zalana przez spiętrzone wody. Woda pokryła las i zabudowania porzucone przez dawnych mieszkańców doliny, tworząc wielki sztuczny zbiornik ograniczony od strony morza potężną betonową zaporą.

Jakiś głos wabił go nieznaną obietnicą. Właściciel głosu wydawał się pozbawiony cielesnej powłoki. Z chwilą gdy Childes skoncentrował myśli, ujrzał przed sobą tylko łagodną światłość księżyca, który połyskiwał na tle muru podświadomości, wypierając wszystkie inne wyobrażenia wymiernego światła.

Coś chciało, by tutaj przybył, a Childes nie opierał się temu.

Może wskutek obietnicy?

Nadchodził koniec mordów. Koniec psychicznych męczarni. Zbliżał się do poznania odpowiedzi, do rozwiązania własnej tajemnicy.

Myśl o tym sprawiła, że otworzył drzwi samochodu, tak samo jak poprzednio popchnęła go do przyjazdu tutaj. Opuściwszy dom, zorientował się, że jest śledzony przypuszczalnie przez wóz policyjny, gdyż wiedział, że znajduje się pod stałą obserwacją — ale światła samochodu wkrótce zniknęły, jak gdyby kierowca zjechał w którąś z bocznych dróg. Childes zastanawiał się, czy w końcu nie popadł w paranoję, choć z drugiej strony, kto by go mógł za to winić? %

Noc była zimna jak na tę porę roku. Ostre powietrze od morza chłodziło ład nagrzaną po upalnym dniu. Sweter i welwetowe spodnie nie mogły powstrzymać dreszczy, które wstrząsnęły Childesem, gdy wysiadł z samochodu. Włożył kurtkę i postawił kołnierz. Okrągły księżyc, wciąż nie przesłonięty żadną chmurą, oświetlał krajobraz swoim chłodnym blaskiem, pozornie spłaszczając zarys okolicznych wzgórz i wąwozów. Idąc w stronę tamy, Childes miał wrażenie, że cały krajobraz zastygł nieruchomo w zimnym blasku niesamowitej poświaty.

Jego zmysły były wyostrzone do granic możliwości. Niespokojnym wzrokiem badał przestrzeń, doskonale zdając sobie sprawę, że każde trwające w bezruchu stworzenie mogło z łatwością wtopić się w nieregularne tło. Samotny krzew mógł być w istocie skulonym zwierzęciem, a pień ściętego drzewa o sterczących korzeniach — siedzącym człowiekiem. Kępa drzew po lewej stronie mogła swobodnie ukryć zaczajoną postać, a znajdujący się na wprost od niego pagórek porośnięty wysoką trawą mógł stanowić osłonę dla jakiegoś drapieżnego zwierza.

Przyszło mu do głowy, czy nie byłoby lepiej, gdyby rzeczywiście był śledzony przez policyjny radiowóz. Może nawet powinien był zadzwonić do Robillarda przed wyjazdem z domu. Ale jak zdołałby wytłumaczyć sceptycznie nastawionemu policjantowi, że wreszcie zdołał przeniknąć do umysłu oprawcy? Tym razem różnica polegała na tym, że nastąpiło pełne połączenie, w którym Childes był stroną dominującą. To jemu udało się wkraść do zakątków mózgu tamtego stworzenia!

zadziwić własną mocą.

Potwora!

Jak zdołałby wytłumaczyć niemą walkę, która potem nastąpiła i podczas której tamten katował go scenami swoich okrucieństw. Obrazy śmierci, które przybierały postać fragmentów filmu nie poddanych obróbce w montażu. Każdemu z tych obrazów towarzyszyły wszystkie doznania zmysłowe. Childes czuł zapachy, ból i strach ofiar, jak za sprawą nowego, czwartego wymiaru — cudownego wynalazku kinematografii. Sceny jawiły się przed nim w przypadkowym porządku: Stary człowiek słabo broniący się przed stalowym ostrzem piły tnącej jego czaszkę.

Przerażona Jeanette wisząca nad przepaścią schodów i duszona zawiązanym krawatem, którą los uratował od śmierci, lecz nie oszczędził jej męki bliskiego konania.

Prostytutka, której wydarte wnętrzności ujrzał Childes na początku, nie mając pojęcia, że jest to pierwsza z makabrycznych wizji, które miały go nękać. Powtórzenie dawnego koszmaru.

Spalona i powykręcana ręka Kelly.

Płonący budynek szkoły, który objawił mu się jeszcze przed faktycznym wybuchem pożaru.

Martwy chłopczyk, zbezczeszczone zmasakrowane zwłoki i wnętrzności rozłożone na trawie obok grobu.

Annabel. Biedna mała Annabel, którą omyłkowo wzięto za Gabby, i jej drobne palce brutalnie obcięte przez oprawcę i zawinięte w papier.

Wreszcie Estelle Piprelly, która leżała z pękniętym kręgosłupem na podłodze korytarza i patrzyła w sunący ku niej jęzor ognia.

Jak wytłumaczyć ten makabryczny seans filmowy pragmatycznemu, żeby nie powiedzieć dogmatycznemu, stróżowi prawa. Wyjaśnić, jakim sposobem wiedział, gdzie to coś będzie na niego oczekiwać oraz że właśnie tu dokona się finał wszystkiego. Takie sprawy nie poddają się normalnej logice: mogą być tylko poznawane pozazmysłowo i trzeba je przyjmować na wiarę. Czego Childes przez większą część swego życia nie potrafił.

Childes przeszedł przez parking — teren, gdzie wykarczowano wszelką roślinność — który sąsiadował z wąską drogą okrążającą zalew i skracającą w dolinę poniżej poziomu tamy. Wspiął się na betonowe schody prowadzące na zaporę, gdzie przystanął, by rzucić okiem na długie, wąskie betonowe przejście ograniczone z obu stron szerokim, na metr wysokim, murem. Pas zapory był łukowato wysklepiony w centralnej części, poniżej której znajdowały się, niewidoczne z tej odległości, przepusty pozwalające na przepływ w przypadku nagłego wezbrania wody wskutek gwałtownych opadów. Potężne betonowe ostrogi, rozmieszczone w równych odstępach, wspierały betonowy gzyms, którego ściany przyozdobione były graffiti wydrapanymi przez turystów chcących upamiętnić swój pobyt. Ponad głównym pasem zapory wznosiła się ośmioboczna wieża ciśnienia, skąd przesyłano wodę do stacji pomp mieszczącej się w głównym trzonie tamy.

Childes szedł przed siebie w podmuchach wiatru, który mierzwił mu włosy. Na szczycie zapory czuł się odsłonięty i bezbronny. Wciąż rzucał przed siebie czujne spojrzenia. Naturalne światło księżycy nadawało nocnej scenarii niezwykle, surrealistyczny wymiar. Powierzchnia zalewu wyglądała stąd jak delikatnie pofałdowany arkusz blachy aluminiowej, jednak czuło się potężną energię skumulowaną poniżej srebrzącej się delikatnej powłoki, która choć ukryta, wydawała się przez to nie mniej groźna. Upadek oznaczałby wessanie w smolistą otchłań i roztrzaskanie się na jej dnie, a nie utonięcie.

Childes naliczył siedem wąskich stopni, które wiodły na pomost przerzucony bezpośrednio nad łukami przepustów. Stał dokładnie na środku zapory. Zupełnie sam. Był pełen strachu i determinacji zarazem.

Noc była tak czysta i jasna, że z miejsca, w którym się znajdował, słyszał szum morza i widział cienkie pienne fale, rozbijające się o odległy brzeg. Przenikliwie zimne powietrze owiało jego twarz, gdy wychylił się ponad obmurowaniem od strony nie zalanej przez jezioro. Mur schodził w dół łagodnym łukiem. U podstawy znajdował się betonowy rezerwuuar gromadzący przepływającą wodę, zakończony wlotem do podziemnego rurociągu, który wzdłuż doliny przeprowadzał wodę do morza. Niedaleko zbiornika mieścił się biały budynek stacji pomp oraz filtry oczyszczalni. W dolinie mrugały nieliczne światła w oknach domów, których mieszkańcy przesiadywali do późna.

Zazdrościł im błęgiego komfortu nieświadomości.

Nagle niebo przeciął skrzydlaty stwór, zbyt szybki i cichy jak na ptaka. Zatem musiał to być nietoperz, który poruszał się w zgodzie z nocą. Delikatny trzepot skrzydeł przywiódł mu na myśl nierówne bicie przerażonego serca.

Kiedy Childes stał wpatrzony w noc, z twarzą bladą od księżycowej poświaty jak maska, do jego umysłu znów wtargnęły

wizje, atakując go z nową zaciekłością. Nie po raz pierwszy pomyślał o podłej złośliwości tego, który je wysyłał. Ostatnie kilka dni Childes spędził na badaniu, sondowaniu psychicznej przestrzeni, zdając sobie sprawę, że pozwalala na to tylko wewnętrzna akceptacja własnych niezwyklej umiejętności. Już nie opierał się temu, z czego podświadomie zdawał sobie sprawę, lecz odrzucał przez wiele lat. To właśnie wzmocniło działanie jego zmysłu i nadało mu nowy wymiar.

Pamiętał nawet te momenty swojego życia, które latami wypierał z pamięci, zjawiska, które skłonny był uważać za wynik przypadku, zbiegu okoliczności. Na przykład, przypominał sobie kolegę z dzieciństwa, o którym wiedział, że zginie pod kołami samochodu. Wypadek faktycznie zdarzył się dopiero kilka tygodni później. Jako dziecko przewidział ciężką chorobę serca u wujka, który jakiś czas później został sparaliżowany przez chorobę wieńcową. Widział śmierć swojej matki, na długo zanim rak zaczął toczyć jej ciało.

Ojciec brutalnie ukarał go za to płaczące wyznanie, tak samo jak ukarał go później, gdy duch matki przybył do niego. Childes pamiętał, że ojciec bił go, gdyż obarczał go winą za śmierć matki, uważając proroczą wizję dziecka za faktyczną przyczynę jej zgonu. Złamał mu wtedy nos i trzy żebra. I zmusił go, żeby powiedział lekarzowi z pogotowia, że spadł ze schodów.

Jednak najgorsze było to, że z czasem chłopiec uwierzył w argumentację ojca, uwierzył, iż jego prorocza wizja—jak urok rzucony przez złą czarownicę—spowodowała śmierć matki.

Tym samym wydawało mu się, że jest w równym stopniu odpowiedzialny za śmierć kolegi w wypadku samochodowym i ciężką chorobę wujka.

Poczucie winy było czymś znacznie gorszym od bólu połamanych żeber i siniaków na ciele i kiedy chłopiec silnie gorączkował, w jego umyśle utworzyła się bariera ochronna, dzięki której mógł odrzucić zarówno drażniące poczucie winy, jak i swój niezwyklej dar psychiczny.

Zabójca dzieci sprzed trzech lat jakimś sposobem rozluźnił system obronny w umyśle Childesa i spowodował powtórne

ujawnienie się jego nadzwyczajnych możliwości parapsychicznych.

A teraz inny morderca zdołał przebić mur, który tym razem legł w gruzach i przestał go w jakikolwiek sposób ograniczać.

Podświadomość Childesa kazała mu nawet przebyć drogę do czasów własnego dzieciństwa w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące go pytania. W chłopcu drzemała niezwyklej moc, która umożliwiła mu dostrzeżenie siebie samego w przyszłości. Dojrzały Childes był właśnie tym, który obserwował chłopca z rogu pokoju.

Te odpowiedzi oczywiście ujawniały istnienie kolejnych tajemnic, które być może nigdy nie ujrzą światła dziennego, gdyż dotyczą ludzkiej psychiki, istoty życia, ludzkiego umysłu i jego mrocznych sekretów.

Takie myśli przetaczały się przez jego głowę, kiedy wyczekiwał na szczycie wysokiej zapory.

Odczuwał radosne, lecz ostrożne podniecenie, tak jakby stał u progu świata nowych doznań.

Gdy popatrzył w górę, dostrzegł, że nawet światło księżyca dostojnie królującego na gwiazdzistym niebie posiada szczególną, witalną właściwość. Dreszcz napięcia przeszył ciało Childesa.

Poczuł, że już nie jest sam.

Obejrzał się za siebie, tam, skąd przyszedł. Nie dostrzegł żadnego ruchu.

Spojrzał przed siebie, w kierunku przeciwnego końca zapory, gdzie od drogi wiodła kręta ścieżka wśród bujnej zieleni.

Ujrzał, że coś się tam poruszyło.

Postać obserwowała go z ukrycia. Na jej twarzy zagościł zjadliwy uśmiech.

Tak więc w końcu tu był.



To dobrze, bo nadszedł właściwy czas. Teraz w świetle pełni księżyca. To najbardziej stosowny moment.

Postać wyłoniła się spod drzew i ruszyła w stronę zapor.

Gdyby strach miał granice, to Childes właśnie je osiągnął. Poczuł, że nogi miękną mu w kolanach i oparł się o betonową balustradę. Zrobiło mu się słabo i usłyszał, jak wali mu serce. Ogarnęła go dziwna niemoc.

Już był na zaporze. Wielki czarny cień w księżycowej poświacie zmierzał w jego stronę, kołysząc się niezdarnie na szeroko rozstawionych nogach. Kiedy postać zbliżała się do niego, Childes słyszał jej obrzydliwy chichot w zakamarkach umysłu, szyderczy śmiech, który zmroził go i niemal paraliżował.

Childes przywarł jeszcze mocniej do niskiego muru. Och, mój Boże, jest we mnie obecny jeszcze silniej niż kiedykolwiek!

Wkrótce mógł już rozróżnić zarys sylwetki na tle srebrnej poświaty — szerokie ramiona i długie zmierzwiłone włosy. Dojrzał kształt nosa, szczęki, płaszczyzny czoła i policzków i skrzywione w pogardliwym uśmiechu usta.

Postać minęła wieżę ciśnień i zbliżała się, częściowo ukryta za schodami wiodącymi na taras, na którym stał Childes. Przez chwilę widział tylko jej głowę i ramiona. Oczy wciąż skrywał cień.

Postać weszła sztywno po schodach, jak upiór powstały z grobu, i podchodziła bliżej, coraz bliżej. Było coś dziwnego w nieforemnym cielsku, czego Childes nie rozumiał, coś, co z wolna, w miarę jak postać się zbliżała, stawało się oczywiste. Zatrzymała się zaledwie o trzy metry od niego.

Dopiero wtedy ujrzał szeroką twarz i małe czarne oczy. To była kobieta. Choć nawet głos nie zaświadczał o jej płci, kiedy przemówiła — był niski i chrapliwy.

— Ta zabawa... sprawiła mi... przyjemność — powiedziała, cedząc powoli słowa.

Jej charczący śmiech był równie nieprzyjemny jak głos. Zaciśnął mocniej ręce na balustradzie.

Kobieta przysunęła się jeszcze bliżej i zauważył, że kostki jej nóg, wyglądające spod długiej obszernej spódnicy, były nienaturalnie spuchnięte i obrzmiałe ciało przelewało się przez paski sandałów. Miała też na sobie wielką ortalionową kurtkę z kapturem, która zwisała jej z ramion w niechlujnych fałdach.

Childes wysiłkiem woli wyprostował się. W głowie kotłowało mu się pełno sprzecznych myśli, a żołądkiem wstrząsały fale nudności. Czuł zapach tej kobiety! Wyczuwał jej szaleństwo! Z trudem przełknął ślinę, chcąc za wszelką cenę odzyskać utraconą energię.

Przyszło mu do głowy tylko jedno słowo:

— Dlaczego? — wykrztusił z siebie niewyraźnie, ale kobieta mimo to zrozumiała go. Wyczuł zmianę jej nastroju. Poprzednie rozbawienie opuściło ją.

— Dla niej — powiedziała niskim bezosobowym głosem i skierowała twarz ku księżycowi. — Dla mojej Pani.

Wykrzywiła usta i zobaczył jej powykrzywiane nadpsute zęby. Wciągnęła głęboko powietrze, jak gdyby wdychała księżycowe promienie, a kiedy spuściła głowę, na jedną krótką chwilę ujrzał w jej czarnych okrutnych oczach odbicie bladego księżyca. Miał niesamowite wrażenie, jakby księżyc emanował z jej wnętrza, wypełniał jej ciało.

— Powiedz mi... powiedz mi, kim jesteś? — rzekł Childes, zastanawiając się, czy sam jest przy zdrowych zmysłach.

Potężnie zbudowana kobieta przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, zanim znów się odezwała. Z jej oczu zniknął tamten blask, lecz na jego miejscu pojawił się inny.

— Nie wiesz? — spytała powoli. — Nie dowiedziałeś się niczego o mnie? A ja tak wiele dowiedziałam się o tobie, mój drogi.

Już nie opierał się płochliwie o betonowy murek.

— Nie rozumiem — powiedział, starając się opanować drżenie w głosie. Przecież to tylko kobieta, pomyślał, nie żadne mistyczne „coś”. Tylko kobieta. Ale szalona kobieta, usłyszał wewnętrzny pogardliwy szept. Do tego ta wariatka jest niezwykle silna, szydził głos. Ponadto ona zdaje sobie sprawę, że jesteś zastraszone, mój drogi.

— Wykraść ci dziewczynkę. — Kobieta zachichotała. Znowu zauważył u niej zmianę nastroju.

Odebrał to tak, jakby ich umysły były połączone w integralną całość.

— Nie twoją dziewczynkę... — dodała przebiegle — ..niestety. Inną. Jak ta mała wierciła się i wierzała, jak się darła wniebogłosy.

Poczuł, że wzbiera w nim gniew, który z wolna zaczyna. górować nad lękiem.

— Ty... zabiłaś... Annabel — powiedział głuchym głosem.

— I innych też. — W jej chrapliwym głosie znać było nutkę rozbawienia. — Nie zapominaj o pozostałych. Te dziewczyny też były ofiarą dla mojej Pani.

Wiatr dął coraz silniej, chłostając Childesa po twarzy. Niósł z sobą słony zapach morza.

— Zamordowałaś je — wykrztusił.

— Dokonał tego pożar, mój drogi. Zabiłam też kobietę, która próbowała mnie powstrzymać. Ogień strawił też tych czubków ze szpitala. Och, jak bardzo mi się tam podobało. — Podeszła jeszcze bliżej Childesa, nachyliła się i dodała konspiracyjnym szeptem: — W szpitalu było mi dobrze. Nikt nie wierzył w to, co wygadywali ci wariaci. No bo kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby w to, co z nimi wyrabiałam, kiedy znaleźliśmy się sam na sam? To było niezwykle przyjemne. Jaka szkoda, że musiałam z tym skończyć, ale to dlatego, że byłeś coraz bliżej, prawda, mój drogi? Wydałbyś mnie policji. A to bardzo zasmuciłoby moją Panią.

Teraz już tylko jedna ręka Childesa spoczywała na betonowej półce.

— Nadal nie rozumiem. O jaką panią chodzi? Wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiechu.

— Nie wiesz? Czy sam nie odczuwałeś jej boskiej mocy? Siły pochodzącej od bogini Księżycy, która wzmacnia się i słabnie wraz

z fazami srebrnego globu. Czy nie czujesz tej władzy w naszych umysłach? Ty też masz ten rzadki dar, mój drogi, nie rozumiesz?

— Moje widzenia...? Poczuł jej zniecierpliwienie.

— Nieważne, jak to nazwiesz. Kiedy zespolimy umysły — tak jak teraz! — nasza siła jest wielka... tak potężna... tak cudownie potężna. — Ta myśl odebrała jej dech w piersiach. Zachwiała się i znów podniosła twarz ku niebu.

Czuł, jak emanuje od niej szaleństwo. Zastygła w bezruchu i opuściła głowę.

— Pamiętasz, co zrobiliśmy z twoimi maszynami? Pamiętasz naszą zabawę?

— Masz na myśli komputery? — Potrząsnął głową z niedowierzaniem. — To ty sprawiłaś, że na monitorach ukazało się słowo „KSIĘZYC”.

Zaśmiała się złowrogo.

— Dzięki tobie to słowo pojawiło się w ich głowach! Maszyny nie miały w tym udziału, mój drogi głupcze! To było nasze dzieło, twoje i moje. Twoje słodkie dziewczęta zobaczyły to, co chcieliśmy! A ty widziałeś to, co ja ci nakazałam widzieć.

Iluzja. To wszystko było złudzeniem. Teraz, kiedy wiedział, że to było złudzenie, wszystko nabrało innego sensu.

— Ale dlaczego — jęknął — na Boga, dlaczego one musiały zginąć?

— Nie dla Boga, ale dla naszej Bogini. Były zwierzętami ofiarnymi, mój drogi. Poza tym, czerpałam od nich energię duchową, choć muszę przyznać, że na ogół była ona słaba. Tylko u tej kobiety, której skręciłam kark w szkole, była zadziwiająco silna.

— U panny Piprelly? Wzruszenie potężnych ramion.

— Jeśli tak się nazywała. Wiesz, jaką energię mam na myśli, prawda? Myślę, że ty określiłbyś ją siłą psychiczną albo jakimś innym równie wymyślnym mianem. Chodzi o moc zgromadzoną tutaj.

— Grubym palcem popukała się w czoło. Dopiero teraz

Childes zdał sobie sprawę, jak potężne miała ręce — grube i napuchnięte jak całe ciało.

— Ale energia tej kobiety była niczym w porównaniu z twoją, mój drogi. Och nie, twoja moc jest zupełnie wyjątkowa. Wniknęłam w głąb twego umysłu i znalazłam ją tam. Taka moc! I do tego zupełnie nie wykorzystana! Teraz należy do mnie.

Skrzywiła się w paskudnym uśmiechu i przysunęła jeszcze bliżej.

— A inni? — spytał szybko Childes, czując, że potrzeba mu więcej czasu, by gniew zagłuszył tłącą się w nim obawę. — Dlaczego kaleczyłaś ich ciała?

— Smakowałam ich duszę poprzez ciało. To taki sposób, rozumiesz, mój drogi? Wypróżniałam ich

brzuchy i znowu zapełniałam, ale już nie za pomocą ich własnych organów. Och nie, tego nie wolno mi było robić, bo wtedy mogliby walczyć o zwrot dusz, które od tej chwili należały do naszej Bogini. Zostawiałam w nich kamień — fizyczny znak obecności naszej Pani na ziemi. Doświadczyłeś obcowania z jej ziemskim duchem poprzez kamień, prawda? Ten maleńki błękitny ognik jest jego jądrem. Kamień księżycowy był moim darem dla tych nieszczęśników, którzy musieli oddać Bogini swe życie.

Szalona. Była kompletnie szalona. Stała tuż przy nim.

Ogarnęła go zimna fala przerażenia, kiedy wyciągnęła w jego stronę potężną rękę i powoli otworzyła dłoń.

— Mam jeden dla ciebie—szepnęła, uśmiechając się na myśl o tym, co za tym się kryło.

Na wyciągniętej dłoni spoczywał mały okrągły kamień. Zapewne za sprawą iluzji wytworzonej przez jej szatański umysł — gdyż ta kobieta mimo swego szaleństwa rzeczywiście posiadała niewiarygodne psychiczne umiejętności — Childes ujrzał w świetle księżyca, że kamień fosforyzuje niebieskawym blaskiem. W aureoli dziwnej luminescencji, jak w kalejdoskopie, ujrzał wszystkie ohydne morderstwa.

Z okrzykiem strachu i wściekłości Childes rzucił się w stronę wariatki i podbił jej dłoń, tak że kamień wyleciał prosto w powietrze, po czym jak spadająca gwiazda zniknął w ciemności za murem zapory.

Szalona kobieta stała przed nim w milczeniu z ręką wciąż wyciągniętą przed siebie i nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Childes też zastygł w bezruchu, czując, jakby powietrze między nimi było naładowane elektrycznością, w wyniku czego włosy zjeżyły mu się na głowie. Jakaś obca siła wtargnęła do jego mózgu, powodując, że zachwiał się. Zobaczył Amy leżącą na ziemi przy drodze obok niskiego muru, z twarzą pokaleczoną odłamkami szkła i nienaturalnie wykręconą szyją na skutek uderzenia o pień drzewa. Z jej półotwartych ust wypływała strużka krwi. — Nie!—krzyknął.

Obraz zniknął.

Wariatka uśmiechnęła się szyderczo.

Zakrył twarz dłonią w chwili, kiedy zaatakował go następny makabryczny obraz.

Tym razem ujrzał Jeanette z pętlą z krawata mocno zaciśniętą na szyi. Z ust powoli wysuwał się jej drżący, rozdęty język, jak purpurowa larwa pełznąca w dół podbródka. Oczy wychodziły jej z orbit i po chwili kolejno wypłynęły z oczodołów i zawisły na policzkach. Spomiędzy nóg dziewczynki wypłynęła strużka moczu, ściekając po nogach i plamiąc białe podkolanówki.

— To nieprawda! — wykrzyknął.

Teraz ujrzał Gabby, nagą i nieruchomą jak śmierć. Jej brzuch był rozcięty ostrym narzędziem, tak że widać było parujące, błyszczące narządy wewnętrzne. Jej usta zaczęły się otwierać, a nacięcie na brzuchu rozwarło się jeszcze mocniej i organy zaczęły wylewać się jak obrzydliwe pasożyty.

Dziewczynka miała obcięte palce u rąk i nóg. Wołała go. Wzywała swojego tatusia. Tatusiuuu... tatusiu!...

— To złudzenie! — wrzasnął.

Ale postać stojąca naprzeciw niego na koronie zapory wydała z siebie głuchy, złośliwy rechot.

Poczuł na twarzy uderzenie niewidzialnej siły, tak mocne, że głowa odskoczyła mu w bok. Dotknął piekącego policzka i poczuł, że jest gorący. A jednak kobieta nie zrobiła najmniejszego ruchu w jego stronę. Słyszał jej urywany szyderczy śmiech, kiedy otrzymał silny cios w krocze i zgiął się wpół pod wpływem potwornego bólu.

— To też złudzenie, mój drogi? — usłyszał jej głos.

Wrzasnął z bólu, kiedy gorąca jak ogień ręka sięgnęła jego odbytu i wdarła się do środka, szukając wnętrzości, by rozerwać je i spalić.

— ZŁUDZENIE? — żądała odpowiedzi.

Choć ból był trudny do zniesienia, w głowie Childesa pojawił się błysk zrozumienia. Wiedział, że ma do czynienia ze złudzeniem, i to pomogło mu zwalczyć paniczny lęk, który nim zawładnął.

Wraz z tym zmalęła jej władza nad jego umysłem i ból zniknął równie szybko, jak się pojawił. Czuł się osłabiony i oparł się o betonowy mur cokołu. Wpatrywał się w czarny kształt wielkiej

nieruchomej postaci.

— Złudzenie — potwierdził zdyszczym głosem.

Jej gniew uderzył jak potężny poryw wiatru, przyciskając go do muru. Poczłł gwałtowny ból oczu i sięgnął palcami, by wyjąć szkła kontaktowe. Rzucił pofałdowane plastikowe soczewki na beton i podniósł się na nogi, mrużąc zażawione oczy.

Nieznana siła próbowała znowu obalić go na ziemię, lecz Childes stawil jej opór, szukając ręką zaczepienia o gzyms cokołu. To nieprawdziwe, nieprawdziwe, powtarzał sobie stale, nieprawdziwe! Nieśmiało zaatakował potwora stojącego przednim. Nie pięściami. Nie fizycznie. Energią psychiczną. Wymierzył jej cios siłą swego umysłu.

Zdziwił się, ujrawszy, że drgnęła.

Odpowiedziała ciosem i Childes zachwiał się na nogach, uderzył plecami o górną krawędź cokołu. Lecz tym razem jej atak był słabszy i nie odniósł spodziewanego efektu.

Dobiegły do niego z oddali echa dziwnych głosów. Były równie nierealne, jak brutalne myśli, które przesyłała w jego stronę szalona kobieta. Childes skoncentrował się znowu i zobaczył, że wariatka zachwiała się. To było niemożliwe — wiedział, że to niemożliwe, ale sprawiał jej ból.

Głosy nasiliły się, ale pochodziły gdzieś z jego wnętrza, a nie z otoczenia.

Wydawało się, że ona też je słyszy. Znowu użyła tajemnej siły, by zadać mu cios. Brutalna dłoń o rozcapierzonych palcach wpiła się w jego twarz. Ostre paznokcie rozdarły skórę na policzku. Czuł ich nacisk, ale nie odczuwał bólu. Jego ciało opanowały tajemnicze wibracje, pulsujące we wnętrzu żył i nerwów, a w głowie wciąż krążyły dziwne głosy.

— Już dość — usłyszał jej chrapliwy głos. — Gra skończona, mój drogi!

Ruszyła do ataku z wyciągniętymi rękami, które wyglądały jak ramiona potężnego dźwigu.

Jej wściekłość była mu sprzymierzeńcem. Childes wymierzył jej dokładny cios pięścią w twarz.

Zdołała lekko obrócić głowę, co osłabiło działanie uderzenia. Trafił w nos i ponad górną wargą kobiety pojawiła się strużka krwi.

Jedną wielką ręką odepchnęła go i już po chwili przyciskała potężnym cielskiem do muru. Słyszał jej świszczący oddech. Szorstka, mocna ręka naparła na podbródek Childesa. Był pewien, że za moment szalona kobieta złamie mu kark. Chwycił jej nadgarstek i usiłował odepchnąć zaciśniętą dłoń. Ale ona była silna, niesamowicie silna. Drugą ręką walił ją po twarzy, lecz ona tylko otrząsała się z ciosów. Leżał na wznak na szerokiej krawędzi betonowego cokołu, czując za plecami przepaść pod zaporą.

Stopy Childesa oderwały się od podłoża i bezskutecznie kopały otyłą kobietę.

Poczłł przyplływ lodowatego chłodu.

Zrozumiał, że za chwilę będzie po nim.

Paradoksalnie czuł podmuchy wiatru na policzkach i potężną otchłań za plecami. Zażawionymi oczami widział krągłość księżyca w pełni, który beznamiętnie oświetlał jego wykrzywioną bólem i przerażeniem twarz. Czuł na sobie jej cuchnący, rozgrzany wysiłkiem oddech i smród jej spoconego, nie mytego ciała. Zmysły miał wyostrzone i napięte do tego stopnia, że ich umysły znowu się zetknęły, niemal zlewając się w jeden. Poznał ją, dotknął istoty jej szaleństwa i gwałtownie się wycofał, kiedy

zorientował się, że chce nim zawładnąć. I wtedy uświadomił sobie, że ona także usłyszała rozpaczliwe krzyki.

Stracił równowagę i balansował na krawędzi betonowej półki. Trzymała go w tej pozycji, jak gdyby chciała przedłużyć chwilę swojego triumfu.

Lecz podniosła głowę i rozejrzała się dookoła, szukając źródła głosów. Popatrzyła czujnie w stronę końca zapory skąpanej w księżycowej poświacie.

Childes zdołał nieznacznie podnieść się, gdy nachwilę odwróciła od niego uwagę. Obrócił głowę i podążył za jej wzrokiem. Ujrzał sunące ku nim zjawy.

Wyłoniły się z mroku jak obłoki skłębionej mgły, ulotne i nieuchwytnie. A jednak to od nich pochodziły głosy, które płaczkliwie dawały znać o sobie w podświadomości Childesa.

Początkowo wydawało się, że tworzą jednolity obłok powoli przesuwający się wzdłuż szczytu zapory, lecz wkrótce zaczęły rozdzielać się i formować odrębne sylwetki.

Morderczy uścisk szalonej kobiety zelżał. Wyprostowała się. Childes dostrzegł na jej nalanej twarzy wyraz zaskoczenia. Było to coś więcej niż tylko zdziwienie. Childes wyczuł to swoim zmysłem: to było wewnętrzne drżenie, przeblysłk lęku. Wyswobodził się z rąk oprawczyni i dotknął stopami pewnego gruntu, czując drżenie mięśni wskutek wysiłku. Osunął się na beton i oparł plecami o ścianę cokołu.

Tak intensywnie wpatrywała się w eteryczne obłoki, iż wydawało się, że nie zwróciła na to uwagi. Zmarszczyła czoło i zacisnęła dłonie, jak gdyby sądziła, że Childes wciąż jest w jej uścisku. Cofnęła się o krok i stanęła bokiem do nadciągających mgieł, wciąż bacznie je obserwując. Te zbliżyły się.

Childes poczuł, że słabnie, tak jakby te niematerialne twory karmiły się jego energią, ale obłąkana kobieta także musiała to odczuć, gdyż się zgarbiła.

Zaczął rozumieć, co kobieta miała na myśli, mówiąc o posiadanym przez nich darze oraz o jego wielkiej mocy. Ale czy naprawdę w pełni zdawała sobie sprawę z jego możliwości? Gdyż właśnie teraz powoli można było dostrzec, czym w istocie są owe

nadciągające zjawy. Childes poczuł, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz i skulił się pod ścianą cokołu. Kobieta—coś—potwór—morderczyni—stała nieruchomo na środku betonowego przejścia jak kamienny monolit, a światło księżyca odsłaniało coraz konkretniejsze kształty tajemniczych postaci.

Pierwsza zjawa miała postać małego chłopca. Był bardzo blady. W jego żyłach nie płynęła krew, a w jego oczach nie było śladu życia. Był nagi i drżał z zimna. Chłopiec miał rozcięty brzuch i wydarte wnętrzności. Otworzył usta, wewnątrz których kłębiło się robactwo. Rozkładające się wargi chłopca z trudnością składały słowa.

— Oddaj... mi... je...

Wychudła ręka dziecka sięgnęła po serce, które wydarto mu z piersi.

Kobieta zachwiała się i tym razem ona wsparła się o cokół.

Zza pleców chłopca wysunęła się inna zjawa. Childes zauważył, że była to kobieta o twarzy umazanej szminką. Tusz do rzęs zabrudził jej powieki i spływał po policzkach, nadając jej pomalowanej twarzy wygląd maski szalonego kłowna, zdolnego straszyć, a nie bawić dzieci. Tak jak chłopiec była naga, a jej tors rozcięty od mostka w dół aż do kości łonowej. Nie miała piersi, gdyż odcięto je ostrym narzędziem. Niezgrabny ścieg puścił i z rany wysypały się różne śmieszne przedmioty, a jednak nikt nie uważał tego za zabawne: szczotka do włosów, budzik, lusterko i małe tranzystorowe radio. Przytrzymała krawędzie potwornej rany, tak jak kobieta, która pragnie otulić się wełnianą kamizelką. Wydawało się, że nie chce zgubić pozostałych przedmiotów, które stanowią o jej żywotnej sile, tak jak niegdyś prawdziwe serce, płuca i wątroba. Oczy prostytutki zionęły nienawiścią wobec kobiety, która brutalnie zmasakrowała jej ciało i nie poniosła za to kary.

Morderczyni, ubrana w obszerną kurtkę z kapturem, wyciągnęła przed siebie grubą, brzydką dłoń w obronnym geście.

Pomiędzy drżącego chłopca i groteskowo umalowaną prostytutkę wcisnął się staruszek o twarzy wykrzywionej grymasem

od

obłądu. Miał na sobie luźną pidżamę. Na jego twarzy znajdował się strup zakrzepłej krwi. Jego czaszka była odcięta piłą tuż powyżej brwi. Widać było jego rozpulchniony mózg, w którym roilo się od robactwa. Mężczyzna chichotał bez ustanku (oczywiście dźwięk ten słyszalny był tylko dla Childesa i szalonej morderczyni), tak jakby karmiące się pasożyty i zimny wiatr łaskotały go.

Obłąkana kobieta krzyknęła przenikliwie, nie chcąc dopuścić do siebie tego, czego była świadkiem. Tym razem ona krzyknęła:

— To nieprawdziwe!

Poruszające się postacie otoczyły ją, szarpiąc jej ubranie i drapiąc po twarzy. Chłopiec stanął na palcach, mając nadzieję, że zdoła wyłupić jej oko. Odepchnęła go, lecz ten, nie zrażony, powrócił. Powalono ją na kolana. Krzyczała:

— To nieprawdziwe! Nie jesteście prawdziwi!

Znieruchomieli i spojrzeli z góry na jej potężne cielsko. prostytutka trzymała się za brzuch, a chłopiec wciąż błagał ją, by zwróciła mu serce.

— To złudzenie — wyszeptał Childes, a szalona kobieta krzyknęła do niego:

— Każ im odejść, każ im odejść!

Przez chwilę, kiedy jego myśli błądziły między światem realnym a iluzją, odniósł wrażenie, że postaci znów przeistoczyły się w bezkształtne obłoki mgły. Stały się na moment tym, czym były naprawdę — przestrzenną formą myśli. Do czasu aż od grupy oderwała się postać małej dziewczynki. Ubrana była w cienką, zieloną, bawełnianą sukienkę. Była boso i nie miała swetra ani kamizelki, która ochroniłaby ją przed nocnym chłodem. Włosy miała zebrane z jednej strony w kitkę przewiazaną kokardą, a z drugiej rozpuszczone. Jej policzki błyszcząły jak wilgotny marmur, a drobna rączka chciała otrzeć łzy. Jednak jej dłonie pozbawione były palców.

— Annabel — wyszeptał Childes z lękiem w głosie.

— Chcę już iść do domu — odezwała się piskliwym głosem do trzęsącej się ze strachu obłąkanej morderczynie.

Kobieta uniosła głowę i zawyła okrzykiem pełnym udręki i przerażenia, który poniósł się echem po powierzchni spiętrzonych wód zalewu.

Mały chłopiec znów podskoczył do niej i wbił chudą dłoń w głąb jej oczodołu. Przynajmniej tak się Childesowi wydawało. To niemożliwe, powtarzał sobie, to tylko koszmar! Jednak z chwilą, gdy kościotrupie palce wycofały się, w ślad za nimi trysnęła krew i pozostało w nich coś obłego i błyszczącego.

Kobieta podniosła się, przyciskając dłoń do oczodołu, by powstrzymać krwawienie. Darła się jak opętana i błagała, by pozostawić ją w spokoju.

Ale wcale nie mieli takiego zamiaru. Wręcz przeciwnie, ruszyli na nią ze zdwojonym impetem. Wyrwała się i odtrąciła staruszka, który stracił równowagę i szara substancja, wypełniająca jego otwartą czaszkę, wylała się na beton. Staruszek z obłąkanym uśmiechem na twarzy schylił się, pozbierał mózg wraz z robactwem i na powrót wtłoczył do czaszki, jak ktoś kto wkłada kapelusze stracony przez wiatr.

Childes zastanawiał się, czy on też przypadkiem nie zwariował.

Kobieta, cofając się, potknęła się o wyciągnięte nogi Childesa i byłaby upadła, gdyby nie złapała za krawędź betonowej balustrady. Pobiegła w przeciwną stronę zapory, tam gdzie znajdowała się wieża ciśnień, w kierunku zarośli, w których poprzednio była ukryta. Zjawy ruszyły za nią, nie spuszczać jej z oczu. Mijały Childesa, jakby to on był niewidzialnym dla nich duchem.

Tylko zjawy małej dziewczynki, która była kiedyś Annabel, zatrzymała się przy nim na chwilę. Childes obserwował ucieczkę potykającej się kobiety. Nienawidził jej za ohydne czyny, których się dopuściła, a jednak widok makabrycznej zemsty nie sprawiał mu przyjemności. Przyciskała dłoń do krwawiącego oczodołu, ale nie zatrzymała się ani na chwilę, cofając się przed postępującymi krok w krok za nią zjawami. W końcu, odwróciwszy się do nich plecami, zmusiła swoje otyłe ciało do truchtu. Jednak nagle zatrzymała się jak wryta przy schodach z najwyższego tarasu zapory i zwróciła w stronę podchodzących zjaw.

Childes zobaczył, co było przyczyną jej nagłego odwrotu. Po schodach wspinały się nowe zjawy. Najpierw ukazały się ich głowy, lecz po chwili Childes dostrzegł, że ich stroje nie wyglądają tak, jak w chwili śmierci w pożarze, lecz są to mundurki szkolne College'u La Roche'a — czyste i nie naruszone przez płomienie. Jednak ich czaszki były pozbawione włosów, ciała zwęglone, a nie osłonięte wargami zęby wyszczerzone w ohydnych grymasach. Zobaczył, jak Kelly pokazuje spaloną ręką na wielką kobietę, a jej koleżanki chichoczą, jak gdyby dziewczyna opowiedziała im jakiś świetny dowcip...

...Na przodzie korowodu dziewcząt znajdowała się panna Piprelly, z jedną nadpaloną ręką opartą niezdarnie na biodrze jak gdyby bała się, że w każdej chwili może przełamać się wpół. Oczy Estelle Piprelly błyskały z głębi osmalonych oczodołów i znać w nich było bezbrzeżny smutek i boleść...

...Grupę zamykała gospodyni internatu, jak pasterz pilnujący, by żadna owieczka nie odłączyła się od stada.

Childes miał zamglony wzrok, bo stracił szkła kontaktowe, a jednak wszystkie wyobrażenia

pojawiały się w jego głowie z niezwykłą ostrością. Nawet wtedy, gdy jego oczy wypełniły się łzami na widok niezwykłej przemiany, kiedy dziewczęta i ich opiekunki przybrały na chwilę swą poprzednią postać. Panna Piprelly wyprostowała się, twarz Kelly nabrała dawnego, wyzywającego wyrazu, a jej ręka, oskarżycielsko wymierzona w morderczynię, stała się na powrót gibka i gładka. Po chwili, jeszcze zanim weszły na szczyt tarasu zapory, wszystko powróciło do poprzedniego stanu i znów były tylko grupą zwęglonych, zdeformowanych trupów.

Oprawczyni krzyczała przejmująco, kiedy zjawy dopadły jej, szarpiąc, okładając pięściami i drapiąc, zadając ciosy, które nie powinny powodować bólu, ajednak znowu trysnęła krew i kobieta — bestia — przewróciła się. Jedną ręką zasłoniła się przed ciosami, podczas gdy drugą wciąż zasłaniała krwawiący oczodół. Childes zorientował się, że w pewnym oddaleniu od szamoczącej się grupy stoi jeszcze jedna zjawa — postać w mundurze z poderżniętym gardłem, z którego sączy się krew. Childes pomyślał

o policjancie, którego znalazł przy bramie szkoły. Gdzieś na dalszym planie majaczyły inne sylwetki, ale mogły to równie dobrze być prawdziwe mgły unoszące się nad taflą zalewu. Ale nie, dochodziły stamtąd odgłosy śmiechu i płaczu.

Wciąż leżąc pod niskim betonowym cokołem, Childes z przerażeniem obserwował potworny spektakl. Opodal wciąż stała mała Annabel.

Potęźnie zbudowana morderczyni prawie leżała na parapecie cokołu, wymachując wielkimi rękami w obronie przed zmorami. Zasłoniła twarz, a spod dłoni wytrysnęła krew i rozbryznięła się na ścianie zapory, po czym zaczęła ściekać w dół cienką strużką.

To, co zdarzyło się później, nastąpiło w mgnieniu oka i Childes nie był pewien, jak to właściwie się stało.

Być może weszła na cokół, by uciec przed zjawami.

Może zdjęta bólem i szaleństwem zdecydowała się skoczyć.

Lub też otaczające ją zjawy podniosły ją i przerzuciły na drugą stronę.

Jakakolwiek była tego przyczyna, Childes ujrzał jej cielsko znikające za cokołem i usłyszał jej przeciągły krzyk. Zamknął oczy, by wyzwolić się od koszmaru, lecz niestety w niczym to nie pomogło.

— Och, Boże... — jęknął i otworzył oczy.

Kształty zjaw stały się mniej określone, znowu przybrały mglistą postać. Zgrupowały się na pasażu i wydawało się, że na coś czekają. Annabel nie ruszyła się z miejsca, wciąż stała obok niego. Jej drobna smutna twarzyczka także zaczęła rozplýwać się we mgle.

Childes wziął głęboki oddech. Głowa opadła mu na kolana, a ręce spoczęły bezwładnie na betonie jak martwe zwierzęta. To już koniec. Zmęczenie nie pozwalało mu zebrać myśli. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł zrozumieć prawdziwą naturę kobiety, która przez długi czas była dla niego tylko abstrakcyjnym tworem, dręczącym go z ukrycia — tym czymś, potworem, maniakałnym zabójcą o niezwykłych demonicznych właściwościach umysłu. Modlił się w duchu, aby jej tajemna moc pozostała na zawsze uspiona.

I w tej samej chwili znów poczuł znajome mrowienie skóry na karku.

Childes podniósł głowę i popatrzył w stronę rozwiewających się mgieł, w miejsce, gdzie kobieta spadła za krawędź cokołu. Otworzył usta i wytrzeszczył oczy z przestachu. Poczuł, że znów drży na całym ciełe.

Gdyż, pomimo że miał słaby wzrok, dojrzał wielką, pulchną dłoń zaciśniętą jak stalowe imadło na krawędzi betonowego muru.

— Nie — wymamrotał. — Och nie.

Childes podniósł się na kolana i chwytając ręką za brzeg cokołu, podciągnął się w górę. Z początku miał wrażenie, że nogi nie będą mogły go unieść, lecz poczuł, iż z wolna wstępują w niego siły, jak krew, która zaczyna krążyć szybciej w ludzkich mięśniach po przebudzeniu z głębokiego snu.

Podparł się o parapet cokołu dla zaczerpnięcia oddechu, po czym utykając, ruszył w stronę zaciśniętej dłoni. Zjawy ponownie rozdzieliły się, tworząc osobne sylwetki. Stawiał kroki niepewnie, odrętwiałały na skutek koszmarnych wydarzeń. Kiedy podszedł bliżej, zamglone sylwetki odstały od muru.

Obserwowały go beznamiętnie. Staruszek z otwartą czaszką szczerzący zęby w obłąkanym uśmiechu. Nagi chłopczyk ściskający w dłoni oko kobiety i próbujący wcisnąć je do głębokiej rany pod mostkiem. Groteskowo umalowana kobieta pozbawiona piersi, której rozdarty brzuch spęczniał od wypychających go przedmiotów. Uczennice i gospodynie internatu o szkieletach prześwitujących przez połączenie zwęglonej tkanki. Człowiek w mundurze z poderżniętym gardłem. Estelle Piprelly zagładająca Childesowi głęboko w oczy pełnym zrozumienia spojrzeniem.

Wszyscy patrzyli na Childesa wyczekująco.

Dotarł do miejsca, w którym dłoń morderczynie zacisnęła się na krawędzi muru. Wydawało mu się, że palce drżą od wysiłku pod ciężarem wielkiego ciała. Zauważył tłusty nadgarstek i krawędź rękawa kurtki. Reszta tonęła w mroku. Childes wychylił się. Zobaczył jej nalaną twarz skapaną w promieniach księżyca. Połowa twarzy zboczona była ciemną, lepką krwią. Wpatrywała się w niego jednym okiem, a jej druga ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia.

— Ratuj... mnie... — wychrypięła niskim głosem.

Z chwilą gdy spojrzał na jej szeroką twarz okoloną mierzwą jasnych włosów, ponownie zjednoczył się z jej umysłem i jeszcze raz rozpoznał szaleńcze opętanie kobiety, dla której kult mitycznej bogini Księżycy stanowił uzasadnienie bestialskich mordów. Wiedział, że w wołaniu o ratunek drzemie szyderstwo i kpina. Rozumiał to, gdyż ona była w nim, a on w niej. Narzucona przez nią gra wciąż sprawiała jej sadystyczną przyjemność.

Jednak kiedy jego ręce zacisnęły się na wielkiej, klockowatej dłoni, do świadomości kobiety wdarł się nowy element. Gdy oderwał od betonowego podłoża pierwszy palec, zdjął ją paniczny strach. Kiedy zrobił to samo z drugim, usłyszał jęk przerażenia. Krzyknęła przeciągle, z chwilą gdy oderwał ostatnie trzy palce i kobieta runęła w przepaść. Leciała w dół jak kłoda, odbijając się po drodze od ściany zapory.

Childes usłyszał jeszcze głuchoe tąpnięcie, kiedy jej ciało roztrzaskało się o betonowe dno. Osunął się bezwładnie i doznał uczucia niezwyklej ulgi. Uwolnił się od dręczących go koszmarów i pozbył bezsilnej wściekłości. Był zbyt otepiały, by zapłakać ze szczęścia, zbyt zmęczony, by upajać się zwycięstwem. Patrzył, jak mgliste zjawy powoli rozpraszają się i nikną.

Lecz jedna z nich przystanąła na chwilę.

Mała Annabel pochyliła się i dotknęła jego twarzy zimną dłonią pozbawioną palców. Gdzieś na krawędzi tamy błysnęły światła i po chwili ona także rozplynęła się w nocnym powietrzu.

— To złudzenie — wyszeptał do siebie.

Światła które pojawiły się na brzegu zapory, pochodziły od latarek i reflektorów. Childes spojrzał w tamtą stronę, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem. Usłyszał trzaski zamykanych drzwi samochodowych i gwar podekscytowanych głosów. Zobaczył sylwetki ludzkie na tle światła. Zastanawiał się, w jaki sposób go odnaleźli, ale nie był zdziwiony: tej nocy już nic nie mogło go zadziwić.

Childes nie miał zamiaru zostawać ani chwili dłużej na szczycie zapory, pomimo że tajemnicze zjawy rozproszyły się w ciemności, a gruba ręka już nie zaciskała się kurczowo na krawędzi cokołu. Tej nocy przeżył zbyt wiele, teraz potrzebował spokoju i odosobnienia. Czuł dziwną lekkość, gdyż uwolnił się wreszcie od ciężącego mu brzemienia, i choć wciąż miał zamęt w głowie, jego zmysły owionęła fala łagodnej euforii. Potrzebował czasu, żeby to wszystko przemyśleć, lecz jednego był pewien: już bez zastrzeżeń i ze spokojem pogodził się z faktem, że posiada szczególnie psychiczny dar. Gdyż był pewien, że będzie w stanie utrzymać go w ryzach, kontrolować i korzystać zeń w miarę potrzeb — ona go tego nauczyła, choć wykorzystywała go do niecznych celów. Podniósł się i popatrzył w dół, ale nie w stronę doliny wiodącej do morza, lecz w przeciwnym kierunku, ku spokojnej toni zalewu. Jego lustrzana powierzchnia srebrzyła się pod księżycową poświatą. Teraz widok ten już nie napawał go grozą. Childes oddychał rześkim nocnym powietrzem niosącym ze sobą delikatny zapach morza i czuł, że powietrze to oczyszcza go i rozprasza ostatnie cienie zamieszkujące dotąd jego umysł. Odwrócił się i ruszył w kierunku światła. Pierwszy podbiegł do niego Overoy, a zaraz po nim Robillard i dwaj inni umundurowani policjanci. — Jon — zawołał Overoy. — Wszystko w porządku? Widzieliśmy to, co się stało. — Objął Childesa ramieniem. Childes zamrugał, oślepiiony snopem jasnego światła.



— Zabierzcie te latarki — rozkazał Overoy.

Dwaj posterunkowi skierowali latarki w bok, a Robillard dał znak ręką, by wyłączono reflektory policyjnych radiowozów. Ulga była natychmiastowa.

— Widzieliście? — zdziwił się Childes.

— Niezbyt wyraźnie — odparł Robillard. — Znad zalewu podniósł się obłok mgły, który częściowo zasłonił nam widok.

Obłok mgły. Childes nic nie powiedział.

Overoy zaczął szybko mówić, tak jakby nie chciał dopuścić do głosu Robillarda.

— Widzieliśmy, jak próbowałeś ją ratować, Jon. — Zajrzał Childesowi prosto w oczy i, choć pozornie jego spojrzenie pozbawione było wyrazu, nie było w nim śladu wrogości. Childes był mu za to wdzięczny, chociaż Robillard patrzył na kolegę wzrokiem pełnym powątpiewania. Jednak nie zdobył się nawet na słowo komentarza.

Nie zrażony tym Overoy ciągnął:

— Domyślałam się, że chciała cię zabić i spadła podczas walki. Szkoda, że była za ciężka i nie dałeś rady jej utrzymać. — Powiedział to wolno, tak jakby chciał, żeby Childes nauczył się tych słów na pamięć.

— Wiedziałaś, że to była kobieta? — spytał cicho Childes. Overoy skinął głową.

— Odnaleźliśmy w Anglii miejsce, gdzie mieszkała. Dzwoniłem do ciebie parokrotnie wieczorem, ale linia była wciąż zajęta. Miałem szczęście, że udało mi się złapać ostatni samolot na wyspę.

Dwaj posterunkowi przeszukiwali światłami latarek dno tamy i odnaleźli zmiażdżone zwłoki.

— To, co znaleźliśmy w jej domu, nie było zbyt przyjemne, a raczej koszarne, ale dzięki temu mogliśmy autorytatywnie

stwierdzić, że to właśnie ona była odpowiedzialna za wszystkie zbrodnie. — Overoy dodał ponuro:

— Znaleźliśmy ukryte pod podłogą zwłoki tej dziewczynki, Annabel. To było idiotyczne z jej strony, bo w końcu odór gnijącego ciała zaalarmowałby sąsiadów, ale widocznie jej na tym nie zależało. Być może, kiedy jechała na wyspę, to zdawała sobie sprawę, że gra skończona. Musiała być kompletnie obłąkana i to właśnie jest ironią całej sprawy. Childes popatrzył na detektywa pytająco.

— Właśnie dzięki temu wpadłem na jej trop — wyjaśnił Overoy. — Jej nazwisko było na liście pracowników szpitala psychiatrycznego, gdzie zdarzył się pożar. Była tam pielęgniarką, a jednocześnie musiała być równie szalona, jak jej podopieczni. Chryste, musiałbyś zobaczyć te wszystkie śmieci w jej mieszkaniu — książki na temat okultyzmu, mitologii, jakieś emblematy i symbole. I, a jakże, cała kolekcja kamieni księżycowych, które nawiasem mówiąc, musiały ją kosztować sporo forsy. Jeśli każdy z nich przeznaczony był dla następnej ofiary, to... — Overoy wstrząsnął się.

— Powiedziała, że jest czcicielką...

— Księżycyca? Tak, to by się zgadzało, a w szczególności jednej bogini. Pełno było tego w jej książkach. Prócz tego jakieś zdjęcia na ścianach, posążki i podobne bzdury. Wszystko kompletnie zwariowane.

Od strony brzegu zbliżała się kolejna grupa osób.

Teraz odezwał się Robillard:

— Kiedy inspektor Overoy przekazał nam dane kobiety, z łatwością odnaleźliśmy ją na liście pasażerów promu. Przebywała na wyspie od dwóch tygodni. Potem już bez trudu ustaliliśmy miejsce jej pobytu. Zatrzymała się w pensjonacie położonym z dala od wybrzeża i głównych ośrodków turystycznych. Nikt nie widział jej przez cały dzień.

Przeszukaliśmy jej pokój. Wygląda na to, że miał pan szczęście, panie Childes, bo zostawiła w domu swoje „narzędzia”. Znaleźliśmy tam małą czarną torebkę zawierającą narzędzia chirurgiczne. Widocznie była pewna, że da sobie z panem radę gołymi rękami.

— Była niezwykle silna — wtrącił Overoy. — Tego dowiedzieliśmy się od jej pracodawców w szpitalu. Podobno korzystali z jej pomocy, żeby okiełznać najbardziej agresywnych pacjentów. Z tego, co mówili tamtejsi lekarze i pielęgniarki, nigdy nie miała z tym najmniejszych problemów.

— Nie dziwiło ich, że zniknęła po pożarze?

— Wcale nie zniknęła. Nawet była przesłuchiwana przez policję. Była na naszej liście pracowników szpitala. Potem po prostu wzięła urlop. Może była nienormalna, ale nie głupia. Może zdoła to przetrwać później. Teraz informacje Overoya nie miały dla niego większego znaczenia. Childes poruszył się, kiedy usłyszał znajomy, miły sercu, głos.

— Jon — zawołała Amy.

Spojrzał pomiędzy dwoma detektywami i zobaczył, że dziewczyna stoi tuż za nimi, podtrzymywana przez ojca. Na twarzy Paula Sebire'a widać było zatroskanie, a on zrozumiał, że była to troska o niego.

Childes podszedł do Amy, która wyciągnęła ramiona w jego kierunku. Przytulił ją mocno do siebie i rozczulił się, widząc opatrunek na jej twarzy. Skrzywiła się z bólu, kiedy przygarnął ją mocniej do siebie. Rozluźnił uścisk, obawiając się, że sprawi jej większy ból.

— Wszystko w porządku, Jon. — Śmiała się, a po policzku spływały jej łzy. — Jak to dobrze, że nic ci się nie stało. Tak strasznie bałam się o ciebie.

Ponad ramieniem Amy zobaczył, jak Paul Sebire marszczy brwi. Ojciec dziewczyny w milczeniu odwrócił się i odszedł w kierunku samochodów zaparkowanych przy końcu zapory.

Childes gładził ją po włosach i całował łzy na policzku.

— Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? — spytał.

Amy z uśmiechem oddawała mu pocałunki. W jakiś sposób dostrzegła zmianę, która się w nim dokonała. Rozumiała, że czarna chmura, która do tej pory ciążyła nad nim, teraz się rozwiązała.

— Dowiedzieliśmy się od Gabby — powiedziała.

— Od Gabby?

Overoy zbliżył się do nich i powiedział:

— Po tym jak nasz człowiek zgubił twój samochód, pojechaliśmy do domu panny Sebire, sądząc, że ona może nam powiedzieć, gdzie jesteś. Niestety nic nie wiedziała, ale...

— Przypomniałam sobie, że wcześniej rozmawiałeś z Gabby

— wtrąciła Amy. — Pomyślałam, że mogłeś wspomnieć coś Frań. Inspektor Overoy uznał, że warto spróbować i zadzwoniliśmy do Frań pod numer jej matki. Okazało się, że ma właśnie kłopoty z Gabby.

— Twoja córka wpadła w histerię z powodu sennych koszmarów — ciągnął Overoy. — Śniło jej się, że jesteś nad wielkim jeziorem i jakiś potwór chce cię wciągnąć w głębiny. Twoja była żona powiedziała, że nie potrafi uspokoić małej.

— Od niej dowiedzieliście się, gdzie jestem? — Childes zapytał z niedowierzaniem.

— Cóż, przyzwyczailem się do twoich „widzeń”, więc dlaczego nie miałbym potraktować poważnie wizji twojej córki?

Gabby też? Childes był oszołomiony. Pamiętał, że Gabby prosiła go, żeby powiedział Annabel, jak bardzo za nią tęskni.

Amy przerwała potok jego myśli.

— Na wyspie nie ma „wielkich” jezior, Jon. Tylko ten sztuczny zalew.

— Nie mieliśmy nic do stracenia — dodał z uśmiechem Overoy.

— Musieli tylko mnie przekonywać — zauważył Robillard.

— Ale pomyślałem sobie: do diabła, chyba warto spróbować. I tak niewiele kapowałem z tej całej sprawy, więc dlaczego miałbym mieć coś przeciwko tej nocnej wycieczce nad zalew. — Potrząsnął głową z zakłopotaniem. — Okazało się, że oni mieli rację. Żałuję tylko, że nie udało nam się szybciej dotrzeć na miejsce. Nie musiałby pan narażać się na niebezpieczeństwo.

— Czy to już koniec, Jon? — zapytała Amy, dotykając dłonią jego policzka. — Czy to już naprawdę koniec?

Przytaknął ruchem głowy, ale księżyc świecił za plecami Childesa, więc nie dostrzegła wyrazu jego twarzy. Odwrócił się do Overoya.

— Kim ona była? — spytał detektywa. — Jak się nazywała?

— Odkryliśmy, że od lat posługiwała się przybranym nazwiskiem. Nazwała się Heckatty. — Z jakiegoś powodu w tonie głosu Overoya pojawił się wyraz satysfakcji.

Heckatty. Nazwisko nic Childesowi nie mówiło. Zresztą nie spodziewał się, że będzie inaczej.

Nawet nie był pewien, co właściwie zdarzyło się tej nocy. Czy to możliwe, żeby duchy zmarłych powróciły, by dręczyć tę kobietę o pospolitym nazwisku? A może dzięki scaleniu umysłów, dzięki gwałtownemu kontaktowi z psychiką obłąkanej kobiety, w jego wyobraźni ukształtował się obraz ofiar makabrycznych zabójstw.

— To było złudzenie — powiedział jeszcze raz cicho do siebie, a Amy spojrzała na niego pytająco.

— Och, mój Boże — usłyszeli głos jednego z policjantów. Odwrócili się w tamtym kierunku i zobaczyli, że tamci odkryli coś leżącego na betonowym tarasie. Jeden z funkcjonariuszy wyjął coś z kieszeni munduru i podsunął to pod znaleziony przedmiot. Wstał i ruszył w ich kierunku, trzymając na wyciągniętej dłoni znalezisko. Jego kolega poszedł w ślad za nim.

Twarze policjantów wyglądały blado w świetle księżyca, ale ich miny wskazywały, że nie jest to wyłączna przyczyna.

— Sądzę, że nie powinna pani na to patrzeć — powiedział do Amy jeden z nich, zasłaniając ręką przedmiot leżący na foliowej torebce.

Zaciekawieni Overoy i Robillard przysunęli się, by zobaczyć znalezisko.

— Uch... — wymamrotał Robillard.

Childes odsunął się od Amy. Drugi policjant skierował światło swojej latarki na dłoń kolegi. Overoy odwrócił się z obrzydzeniem.

— Musieliście stoczyć niesamowitą walkę — odezwał się współczująco do Childesa, który patrzył na to, co znaleźli policjanci.

Zakrwawione oko wydawało się groteskowo wielkie. Kiedy policjant obrócił je w dłoni, Childes przez ułamek sekundy miał

koszmarne wrażenie, że w czarnym oku wciąż tli się ślad życia —niebieskawy błysk podobny do tego, jaki emanował z kamienia księżycowego.

Childes wzdrygnął się i odwrócił plecami. Wziął głęboki oddech, tak jak przed chwilą, kiedy rozpraszał resztki drzemających w nim mrocznych cieni.

Objął Amy ramieniem i odeszli, pozostawiając za sobą nawiedzone przez duchy srebrne jezioro. A Childes zastanawiał się, dokąd zaprowadzi go moc, z której istnieniem już się pogodził...